ŚLADY ZBRODNI

JEFFERSON BASS

KOŚCI Z AWINIONU

CYKL
TRUPIA FARMA

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

JEFFERSON
BASS

KOŚCI Z AWINIONU

Przełożyła z angielskiego
Tatiana Grzegorzewska

WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

WROCŁAW 2015

Tytuł oryginału
The Inquisitor's Key

Projekt okładki
IRINA POZNIAK

Fotografia na okładce:
© HARELUYA/Shutterstock.com

Redakcja
ANNA BROCZKOWSKA-NGUYEN

Korekta
IWONA HUCHLA

Redakcja techniczna
LOREM IPSUM

Copyright © 2012 by Jefferson Bass, LLC.

Polish edition © Publicat S.A. MMXV (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.
All rights reserved.

Motta na str. 7 zaczerpnięto z (numery stron dotyczą wydania papierowego):
Mistrz Eckhart, *Dzieła wszystkie*, tłum. W. Szymona, Poznań 2013, s. 191.
Eckhart Tolle, *Potęga teraźniejszości*, tłum. M. Kłobukowski, Łódź 2010, s. 62.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni autorów, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, jak i wydarzeń jest całkowicie przypadkowe.

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

Wydanie elektroniczne 2015

ISBN 978-83-271-5325-8

Publicat S.A.
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

SPIS TREŚCI

Kości z Awinionu

Dedykacja

Część pierwsza

- Prolog
- Rozdział 1
- Rozdział 2
- Rozdział 3
- Rozdział 4
- Rozdział 5
- Rozdział 6
- Rozdział 7
- Rozdział 8
- Rozdział 9
- Rozdział 10
- Rozdział 11
- Rozdział 12
- Rozdział 13
- Rozdział 14
- Rozdział 15
- Rozdział 16
- Rozdział 17
- Rozdział 18
- Rozdział 19
- Rozdział 20

Część druga

- Rozdział 21

Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Od Autora
Podziękowania
Przypisy

KOŚCI Z AWINIONU

W pałacu papieskim w Awinionie dochodzi do zagadkowego odkrycia. Zamurowane w ścianie ossuarium skrywa kości z charakterystycznymi wgłębieniami w stopach i nadgarstkach oraz ryt przedstawiający krzyż i baranka. Na miejsce przybywa Bill Brockton, antropolog sądowy z USA. Stwierdza, że szczątki mogą mieć około dwóch tysięcy lat. Co więcej, wykonana na podstawie czaszki rekonstrukcja twarzy wykazuje niezwykłe podobieństwo do wizerunku na całunie turyńskim. Badania są prowadzone w ścisłej tajemnicy. Gdy o znalezisku dowiaduje się grupa fanatyków religijnych wieszczących zbliżającą się apokalipsę, naukowcy nie mogą już czuć się bezpiecznie...

Pamięci J.W. (Billa) Jeffersona

[...] *w wieczności nie ma ani wczoraj, ani jutra,*
jest tylko obecne teraz. Jest w niej obecne to,
co było tysiąc lat temu i co będzie za tysiąc lat [...]
Mistrz Eckhart, *Kazanie 11*, ok. 1300 r.

Nic nigdy nie zdarzyło się w przeszłości;
wszystko zdarzyło się Teraz.
Nic nigdy nie zdarzy się w przyszłości;
wszystko zdarzać się będzie Teraz.
Eckhart Tolle, *Potęga teraźniejszości*, 1999 r.

AVIGNON.
RHOSNE FLVVIVS

CZĘŚĆ PIERWSZA

PROLOG

KNOXVILLE, TENNESSEE
CZASY WSPÓŁCZESNE

Na gałęzi derenia zaświergotał ptak. Mężczyzna w średnim wieku – z włosami przyprószonymi siwizną, ale o wysportowanej sylwetce i energicznych ruchach – podszedł do bramy ogrodzenia usytuowanego na zboczu zalesionego wzgórza. Miał na sobie kombinezon roboczy, który był za ciężki i za ciepły na czerwiec, lecz ze względu na zaplanowane na ten sam dzień spotkanie z rektorem uniwersytetu nie chciał, aby ubranie mu przesiąkło rozkładającymi się ludzkimi zwłokami. Do rękawów kombinezonu przyszyte były emblematy z napisem „Antropologia sądowa" i wizerunkiem ludzkiej czaszki ze skrzyżowanymi pod nią dwoma mieczami.

Zarówno bramę, jak i całe ogrodzenie zwieńczał błyszczący drut kolczasty. Nad nią i nad długim płotem otaczającym trzy akry lasu czuwały nieprzerwanie kamery monitoringu. Duży metalowy znak wiszący na bramie oznajmiał: „Uniwersytet Tennessee, Placówka Badawcza Wydziału Antropologii. Nieupoważnionym wstęp surowo wzbroniony. Wszelkich informacji udziela dr Bill Brockton,

Wydział Antropologii, tel. 865-974-0010". Brama zamknięta była na kłódkę, której pałąk miał grubość palca wskazującego.

Mężczyzna w kombinezonie – sam doktor Brockton – odczepił duże kółko z kluczami od paska, wybrał jeden i otworzył kłódkę. Uchylił bramę i podszedł do kolejnej – wewnętrznej – wykonanej z desek. Drewniana brama, stanowiąca część wysokiego płotu skrywającego teren przed oczami przypadkowych gapiów, także zamknięta była na kłódkę przytwierdzoną do ciężkiego stalowego łańcucha przewleczonego przez otwory we wrotach. Kiedy zamek ustąpił, Brockton przełożył jeden koniec łańcucha przez otwór w desce, ogniwo za ogniwem, a potem otworzył bramę do wewnątrz. Oczom mężczyzny ukazała się niewielka polanka otoczona szarańczynami, dębami, klonami, dereniami i pnącym się wiciokrzewem. Na jej krawędzi, tuż przy bramie, stały jeden na drugim trzy aluminiowe pojemniki, wielkości i kształtu prostych trumien. Z pojemników zwisały wyblakłe etykiety przewozowe z czerwonym ostrzeżeniem zagrożenia biologicznego.

Brockton wrócił do swojego pickupa, pozostawionego na jałowym biegu przed ogrodzeniem, i wjechał na polankę. Zaparkował między dwoma drzewami i wyłączył silnik. Podniósł plandekę i zaczął wyciągać deskę z paki.

Mięśnie napięły mu się z wysiłku, ponieważ na desce leżał czarny plastikowy worek o kształcie i rozmiarach ludzkiego ciała. Pociągnął kraniec deski do ziemi, tworząc w ten sposób rampę, a potem ściągnął po niej worek. Uklęknął przy nim i otworzył suwak biegnący na całej jego długości, a potem odwinął płachtę. W środku były świeże zwłoki – biały mężczyzna z twarzą pooraną zmarszczkami i z rzadkimi siwymi włosami, które wskazywały, że dożył sędziwego wieku. Twarz wydawała się spokojna. Można było ulec wrażeniu, że staruszek śpi, gdyby nie otwarte nieruchome

oczy... i gdyby nie muszka, która wylądowała na jego twarzy i wędrowała właśnie po gałce ocznej.

Brockton wyciągnął z samochodu dwa cienkie identyfikatory z numerem 49-12, który oznaczał, że były to czterdzieste dziewiąte zwłoki przyjęte do placówki w 2012 roku. Przytwierdził jeden z nich do lewego ramienia, a drugi do lewej kostki: drobny gest, który jednak miał symboliczne znaczenie. W swojej nowej roli – jako zwłoki, obiekt badań i szkielet – mężczyzna zyskał nową tożsamość. Od tej chwili będzie znany jako 49-12.

Kiedy Brockton złożył ramiona 49-12 na jego klatce piersiowej, w miejscowym kościele dzwony zaczęły wybijać południe. Antropolog podniósł wzrok, wsłuchując się, a następnie uśmiechnął się lekko. Spojrzał w oczy mężczyzny i wydobył z zasobów pamięci pokryty kurzem wers.

– Dlatego nigdy nie pytaj, komu bije dzwon – poradził 49-12. – Bije on tobie.[1]

W tym samym momencie zadzwonił telefon Brocktona.

– I mnie – dodał.

Helikopter Bell JetRanger przeleciał nisko nad zalesioną granią i opadł w kierunku zbiegu rzek Holston i French Broad, które łączyły się w szmaragdowe wody rzeki Tennessee. Pod prawą płozą helikoptera nad wąskim wylotem French Broad widać było rdzewiejące szyny. Na znajdującym się poniżej lotnisku Downtown Island równolegle do rzeki biegł krótki pas startowy, na którym czekał niewielki jednosilnikowy samolot. Pilot włączył radio.

– Kontrola lotów Downtown Island, tu JetRanger 3 WT. Przelatuję nad pasem zachodnim na wysokości 300 metrów w drodze na Trupią Farmę.

– 3 WW, tu Downtown Island. Lądujecie na Trupiej Farmie? Odbiór.

– Tak.

– 3 WT, czy wiecie, że Trupia Farma to zamknięta placówka?

– Downtown Island, jesteśmy z TBI. Chyba nie będą mieli nic przeciwko temu.

Cztery kilometry na zachód od lotniska na prawym brzegu rzeki widać było skromną panoramę centrum Knoxville. Składały się na nią dwa dwudziestopiętrowe biurowce (zbudowane przez braci, którzy swoją karierę zaczęli jako bankowcy, a skończyli jako oszuści), piramida hotelu Marriott, ogromna pomarańczowa piłka do koszykówki – na zawsze zawieszona w drodze do kosza Galerii Sławy Koszykówki Kobiet – i jeszcze większa kula złotego szkła, umieszczona na sześćdziesięciometrowej stalowej wieży jak piłeczka golfowa na podkładce – Sunsphere, pozostałość po prowincjonalnej wystawie światowej zorganizowanej przez dwóch braci oszustów w 1982 roku.

Bijące serce Knoxville – a może nawet finansowe i architektoniczne centrum miasta – znajdowało się niecałe dwa kilometry dalej w dół rzeki: masywny owalny stadion Neyland, należący do Uniwersytetu Tennessee. Podczas meczów z Florida Gators czy Alabama Crimson Tide stadion rozbrzmiewał głosami stu dwóch tysięcy fanów. Pod stadionem, w brudnym budynku wpasowanym pod trybuny, znajdował się wydział antropologii uniwersytetu, w którym schronienie znalazło dwudziestu wykładowców, stu studentów i tysiące ludzkich szkieletów.

Prawie dwa kilometry dalej helikopter TBI, Biura Śledczego Tennessee, przeleciał nad zalesionym, pagórkowatym brzegiem rzeki i wylądował tuż przed ogrodzeniem Trupiej Farmy. Z bramy wyszedł Brockton. Zmagając się z podmuchami wiatru wywołanymi przez śmigło helikoptera, zamknął bramę i pochylony dotarł do kabiny. Kiedy zamknął za sobą drzwi, turbina zakręciła

się, a helikopter wzbił się w powietrze, sprawiając, że z pobliskiego dębu opadła chmara liści. Pilot zrobił tak ostry zwrot, iż Brockton tuż pod sobą zobaczył nagie zwłoki 49-12 i z nerwowym uśmiechem pomyślał, że jeśli pasy by zawiodły, a drzwi się otworzyły, to dostarczyłby na Trupią Farmę własne świeże zwłoki. Ale na szczęście drzwi wytrzymały, helikopter wyrównał lot i poszybował w górę rzeki z antropologiem bezpiecznie przypiętym pasami do siedzenia.

Ekran GPS na kontrolce pokazywał mapę i kurs, jaki obrali, ale pilot ich nie potrzebował. Po prostu kierował się w stronę kłębów dymu trzydzieści pięć kilometrów na wschód.

Dym znaczył dopalające się szczątki hangaru, w którym znajdowały się zwęglone zwłoki tajnego agenta.

PARYŻ, 18 MARCA 1314 R.

Jacques Fournier bez wątpienia ma przewagę nad tłumem gapiów wypełniających plac przed katedrą Notre Dame. Po pierwsze, jest wyjątkowo wysoki, dzięki czemu nikt nie zasłania mu widoku. Po drugie, jest wyjątkowo dobrze zbudowany, dzięki czemu nie ma trudności z przeciśnięciem się przez tłum. Po trzecie, jest wyjątkowo ubrany – w białą sutannę i czarny szkaplerz cystersów – dzięki czemu gawiedź okazuje mu szacunek, gdy toruje sobie drogę do katedry. Jeśli ktoś ośmiela się zaprotestować albo go odpycha, Fournier kreśli dłonią znak krzyża i to na ogół załatwia sprawę. Tym sposobem dociera w końcu przed katedrę, gdzie wzniesiono podwyższenie na dzisiejsze widowisko. Fasada katedry jest jeszcze ocieniona, podświetlana tylko przez wschodzące słońce, jednak ogromne okno rozetowe, oświetlone od środka przez promienie padające na nawę główną, błyszczy czerwonozłotą poświatą.

Zgromadzeni zaczynają szeptać z ożywieniem i w końcu po placu niesie się krzyk przypominający dudniący grom:

– Nadchodzą! Nadchodzą!

Przy wtórze wiwatów i gwizdów przez plac przechodzi oddział zbrojnych strzegący czterech mężczyzn w kajdanach. Mężczyźni ci to najsłynniejsi więźniowie Francji: ostatni i najznakomitsi spośród templariuszy, zakonu rycerskiego, który podczas krucjat osiągnął niewyobrażalne bogactwo i władzę. Przez ponad sto lat templariusze byli wysoko cenieni zarówno przez króla, jak i papieża. Ochraniając pielgrzymów udających się do Ziemi Świętej, zapewniali im bezpieczeństwo i przewozili akredytywy – mniej interesujące rabusiów niż złoto czy srebro – a po przybyciu do Jerozolimy wymieniali je na pieniądze, które czerpali ze skarbca na Wzgórzu Świątynnym. Kiedy jednak Ziemia Święta dostała się pod władanie Saladyna i hord muzułmanów, templariusze zaczęli popadać w niełaskę. Aż wreszcie siedem lat temu, w roku 1307, król Filip IV Piękny uwięził setki członków zakonu, oskarżając ich o herezję i rozpustę.

„Bogu nie jest to miłe" – tymi słowami zaczynał się nakaz aresztowania. Fournier uważa, że mogą one się odnosić do wielu sytuacji i wielu ludzi. „Mamy w królestwie wrogów naszej wiary".

Zakuci w kajdany więźniowie wchodzą po schodkach na podwyższenie dokładnie w tym samym czasie, kiedy dochodzi do niego Fournier. Pierwszy z nich to Jacques de Molay, wielki mistrz zakonu templariuszy. Wysoki, siwy, siedemdziesięcioletni mężczyzna jest wychudły i wynędzniały – siedem lat w lochach robi swoje – ale idzie z tak wielką godnością, na jaką tylko pozwalają mu łańcuchy, wyczerpanie i zaawansowany wiek. Za nim wloką się Geoffroy de Charnay, namiestnik Normandii, a dalej Hugues de Pairaud i Godefroi de Gonneville. Po ich wejściu

na podwyższenie jedne z drzwi katedry się otwierają i pojawiają się w nich odziani z przepychem duchowni – dostojnicy, którzy przypieczętowali los templariuszy. Jako pierwszy kroczy Guillaume de Paris, arcybiskup Sens, który jest również inkwizytorem Francji i spowiednikiem króla. Za nim podąża kardynał Arnold Novelli, dla Fourniera po prostu: wuj Arnold. Trzy lata temu został mianowany kardynałem i wyznaczył Jacques'a na swego następcę na stanowisku opata opactwa Fontfroide. Była to dla Jacques'a wielka szansa, a zarazem zaszczyt. Trzy tygodnie temu do Fontfroide dostarczono list z pieczęcią kardynała Novellego. Wuj zapraszał go do Paryża, by stał się świadkiem, jak to określił: „wydarzenia, które niewątpliwie zwiększy zapał, z jakim bronisz wiary". I rzeczywiście, młody opat już czuje przypływ natchnienia, gdy przygląda się dostojnym duchownym, zakutym w łańcuchy heretykom i ogromnej bryle katedry Notre Dame. Znajduje się ona na wschodnim krańcu Île de la Cité, wąskiej wyspy na środku Sekwany. Na zachodniej części wyspy leży pałac królewski i ogrody. Ten podział wyspy na dwie połowy – boską i królewską – jest zdaniem Fourniera korzystny i pouczający. „Oddajcie więc Cezarowi to, co należy do Cezara, a Bogu to, co należy do Boga"[2], przypomina sobie. Równo podzielona między Kościół i państwo, wyspa o kształcie łodzi przez większość czasu zdaje się płynąć na równej stępce. Zdarza się jednak czasem, że na wyspie równowaga sił zostaje zachwiana i wtedy Francja niebezpiecznie balansuje na krawędzi. Jednak obecnie tak się nie dzieje; teraz król i kardynałowie zgadzają się co do tego, że templariusze powinni zostać ukarani – dla dobra królestwa i dla zbawienia swych dusz.

Kiedy blade późnozimowe słońce wznosi się ponad bliźniacze dzwonnice, arcybiskup postępuje do przodu. Ucisza tłum i odczytuje imiona templariuszy oraz zarzuty na nich ciążące.

– W pełni i z własnej woli przyznawszy się do winy – mówi do czwórki więźniów – niniejszym zostajecie skazani na wieczne uwięzienie. Niech Bóg zlituje się nad waszymi duszami.

Zebrani zaczynają wyć. Niektórzy z aprobatą, inni w proteście.

De Molay, stary wielki mistrz, podchodzi na skraj podestu i unosi ręce, prosząc w ten sposób o ciszę. Po kilku pojedynczych gwizdach hałas cichnie.

– Słuchajcie, i to uważnie! – woła de Molay głosem wysokim, lecz silnym. – Zaiste przyznaliśmy się do tych straszliwych zbrodni. – Przerywa, dając wybrzmieć słowom, a arcybiskup kiwa z powagą głową w mitrze. I wtedy de Molay krzyczy: – Ale to przyznanie się do winy zostało na nas wymuszone torturami!

Dołącza do niego Geoffroy de Charnay. Kiwa głową i krzyczy, że de Molay mówi prawdę. Tymczasem dwaj pozostali więźniowie cofają się nieznacznie, wyraźnie dystansując się wobec de Molay i de Charnay. Z kolei na drugim końcu podwyższenia arcybiskup Sens, kardynał Novelli i inni duchowni zbierają się razem i patrzą po sobie z konsternacją. W końcu arcybiskup spieszy do dowódcy straży, szepcze coś gwałtownie i pokazuje w stronę Jacques'a de Molay.

– Zakon templariuszy jest święty i czysty! – krzyczy de Molay, gdy oblegają go strażnicy. – Naszym grzechem nie była herezja, naszym grzechem była słabość! Zdradziliśmy nasz zakon! Podpisaliśmy wymuszone zeznania! W rzeczywistości to ci księża zdradzili Boga!

Cios jednego ze strażników powala staruszka na kolana, a tłum rusza do przodu, będąc na skraju wybuchu. Kiedy strażnicy ściągają skazańców z podwyższenia i zaganiają ich z powrotem do więzienia, z mieczami i kopiami w pogotowiu, Fournier czuje mieszankę oburzenia i smutku. Oburzenia na bezczelność de Molay i smutku,

że wuj Arnold i inni święci mężowie zostali publicznie oskarżeni przez kłamliwego heretyka!

Wiadomość o tym incydencie dociera do pałacu. Król Filip, który właśnie spożywa późne śniadanie, ryczy ze złości, strąca talerze na podłogę i obija nieszczęsnego posłańca. Potem pospiesznie zwołuje radę cywilnych i kościelnych prawników. Prawnicy, nie głupcy, zapewniają króla, że zatwardziały heretyk – w końcu cóż jest lepszym dowodem herezji niż zaprzeczanie temu, że się jej uległo – może zostać natychmiast stracony, bez ponownego procesu czy apelacji. W równej mierze wściekły, jak i zadowolony król nakazuje, by de Molay i de Charnay zginęli przed zachodem słońca.

Wiadomość ta rozchodzi się lotem błyskawicy po wyspie i całym Paryżu. W ciągu godziny łodzie zaczynają dostarczać podpałkę na miejsce egzekucji: Île aux Juifs, Wyspę Żydów, leżącą w górę rzeki od królewskiego pałacu, od dawna miejsce straceń niewiernych.

I oto sześć godzin po dramatycznych wydarzeniach na placu przed katedrą Fournier po raz wtóry przedziera się przez tłum i czyni ręką znak krzyża, tym razem zmierzając na zachodni skraj Île de la Cité, kraniec wyspy należący do króla, by zobaczyć spalenie na stosie Jacques'a de Molay i Geoffroy de Charnay. Przepycha się, po drodze udzielając błogosławieństw, ponieważ chce mieć jak najlepszy punkt widokowy na brzegu. Ocenia ilość drewna transportowanego przez wąski wododział. Dochodzi do wniosku, że tyle podpałki wystarczyłoby do spalenia dziesięciu heretyków, a co dopiero dwóch.

Fournier swoje szacunki opiera na wcale niemałym doświadczeniu widza podobnych wydarzeń. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności cztery lata temu, kiedy król Filip spalił pięćdziesięciu czterech templariuszy, studiował tutaj teologię. Oskarżeni byli

o równie szokujące zbrodnie jak de Molay i de Charnay: plucie na krzyż, zapieranie się Chrystusa, oddawanie czci pogańskim bożkom i rozpustę. Ich spalenie zajęło dwa dni i pochłonęło cały las drzew. Dzisiejsza egzekucja nie powinna trwać dłużej niż godzinę lub dwie, jeśli rozmyślnie będzie się utrzymywać niewielki płomień, by zwiększyć cierpienia palonych.

Zadowolony, że drewna jest więcej, niż to konieczne, młody opat odwraca się niespiesznie i przypatruje innym widzom. Większość z nich to jego zdaniem parszywi i zapchleni wrogowie wiary lub w najlepszym razie jej niezbyt oddani przyjaciele, ale kilka metrów dalej dostrzega gromadkę duchownych. Sądząc po habitach, to dominikanie: kilku nowicjuszy, dwóch braci zakonnych mniej więcej w jego wieku, może nieco młodszych, i jeden starszy, wyraźnie ich przywódca. Ten ostatni mówi – czy raczej wygłasza prelekcję – o herezji i inkwizycji. Nie jest to wielkie zaskoczenie, w końcu to właśnie dominikanie z woli papieża mają wykrywać i zwalczać herezję. Coś jednak w pewności siebie tego człowieka nie daje spokoju Fournierowi.

Podchodzi do nich i wsłuchuje się w słowa starszego mężczyzny wpierw z żywym zainteresowaniem, potem z pewnym krytycyzmem, a w końcu z coraz większą irytacją. Fournier nie jest dominikaninem, ale od przyjazdu do Fontfroide żywo interesuje się inkwizycją. Główny jej ośrodek, Tuluza, znajduje się nieopodal jego opactwa, a duch inkwizycji jest bliski surowemu i poważnemu Fournierowi. W ostatnim roku spędził wiele tygodni w Tuluzie, z podziwem przypatrując się dziełu Bernarda Gui, żarliwego dominikanina, którego maestria w zadawaniu fizycznego bólu, teologiczna biegłość i okrutny terror pozwoliły złamać setki heretyków podczas siedmiu lat sprawowania przez niego funkcji inkwizytora. Fournier zastanawia się, czy Gui jest dzisiaj obecny, ale

ma wątpliwości, czy obowiązki pozwalają mu przyjeżdżać z Tuluzy do Paryża nawet przy tak ważnych okazjach.

Nagle z grupy dominikanów dobiega nazwisko Gui wypowiedziane głośno, zupełnie jakby starszy zakonnik czytał w jego myślach. Mężczyzna mówi po łacinie, dzięki czemu motłoch wokół nie rozumie jego słów. Co innego Fournier. Dominikanin krytykuje Bernarda Gui, mało tego, on z niego wręcz szydzi, szydzi ze swego brata zakonnego i inkwizytora.

– Jest uparty jak osioł – dowodzi mężczyzna z uśmiechem. – A przy okazji również głupi jak osioł.

Fournier rozpycha się na boki, żeby zbliżyć się jeszcze bardziej do dominikanina. Przyciąga to uwagę zakonnika. Kiedy ich spojrzenia się spotykają, Fournier krzyczy do niego po łacinie:

– Czy ośmieliłbyś się mówić to samo o Bernardzie, gdyby tutaj był?

Dominikanin sprawia wrażenie zaskoczonego. Na jego obliczu nie ma jednak skruchy i strachu, których spodziewał się Fournier.

– Jestem pewien, że moje słowa bardzo szybko dojdą do jego uszu – odpowiada zwalistemu młodemu cystersowi. – Kiedy będziesz mu o tym donosił, nie zapomnij wspomnieć imienia tego, który te słowa wypowiedział: mistrz Johannes Eckhart, kierujący katedrą teologii dominikańskiej na Uniwersytecie Paryskim.

Kłania się z nieznacznym uśmiechem, przechylając przy tym głowę na bok (czyżby kpił sobie z Fourniera?), a potem odwraca się plecami do oburzonego opata.

– Bogu nie jest to miłe – mruczy pod nosem Fournier. Zastanawia się, czy nie przedrzeć się przez tych kilku ludzi, którzy stoją pomiędzy nimi, żeby dać staremu nauczkę. Nagle jednak wśród zebranych przetacza się krzyk, niczym fala od łodzi, która kieruje się w stronę Wyspy Żydów, ku stosowi i stertom drewna.

Załoga łodzi, ośmiu mężczyzn, wiosłuje miarowo. Ich pasażerowie to sześciu strażników oraz Jacques de Molay i Geoffroy de Charnay. Jeden ze zbrojnych podnosi nad głowę płonącą pochodnię. Motłoch zaczyna wrzeszczeć.

Stos płonie aż do północy. Dwaj templariusze zostali już dawno spaleni, jednak tłum nie rusza się z miejsc, nie chcąc odchodzić, dopóki ogień nie pochłonie każdego kawałka drewna.

Wreszcie płomienie gasną, a wraz z nimi zakon templariuszy. Jednak w powietrzu unosi się jeszcze, podobnie jak dym i smród palonego mięsa, przedśmiertny krzyk wielkiego mistrza, Jacques'a de Molay:

– Wzywam króla i papieża, by stanęli wraz ze mną przed obliczem Boga!

ROZDZIAŁ 1

SEVIERVILLE, TENNESSEE
CZASY WSPÓŁCZESNE

Usłyszałem kliknięcie w słuchawkach, a następnie dobył się z nich głos pilota TBI.

– Doktorze Brockton, wszystko w porządku tam z tyłu?

– Ciągle trzęsą mi się portki po tym starcie – odpowiedziałem. – Ale nic mi nie jest.

Roześmiał się.

– Postaram się miękko wylądować.

Okrążył smugę dymu, która dobywała się z ruin domu. Pięćdziesiąt metrów dalej znajdowało się coś, co mogłoby uchodzić za pas startowy, gdyby nie to, że było otoczone domami. Pokazałem na wstęgę asfaltu.

– Co to niby ma być? Wygląda jakby przez pomyłkę zbudowali pas startowy w samym centrum osiedla.

– Zbudowali, ale nie przez pomyłkę – wyjaśnił pilot. – To Smoky Mountain Airpark. Osiedle miłośników lotnictwa. Zamiast garażu każdy dom ma hangar na samolot.

Tlący się hangar i na wpół spalony dom, przy którym wylądowaliśmy, otaczała półkolem niewielka flota pojazdów. Doliczyłem się czterech wozów strażackich (z dwóch nadal spryskiwano budynek), trzech samochodów policji hrabstwa Sevier oraz czterech nieoznakowanych aut, które uznałem za należące do TBI.

Okazało się, że tylko częściowo miałem rację, kiedy czterej funkcjonariusze wyszli mi na spotkanie.

– Dobrze pana widzieć, doktorze! – przywitał mnie Steve Morgan, przekrzykując hałas turbin i śmigła. Steve skończył antropologię, ale od dziesięciu lat pracował w TBI – i to on poprosił, żebym dokonał oględzin miejsca zbrodni. – Gdzie jest pana asystentka? Miranda? Myślałem, że jesteście jak papużki nierozłączki.

– Spędza lato we Francji! – odkrzyknąłem. – Wyjechała kilka dni temu na wykopaliska archeologiczne z jakimś Francuzikiem.

Moja mina, bez względu na to, co wyrażała, rozśmieszyła go.

– Panie doktorze, czy zna pan Dave'a Pendergrasta z naszego biura w Sevier?

– Nie znałem, ale teraz już znam. Miło pana poznać – uścisnąłem rękę mężczyzny.

– A to agent specjalny, Craig Drucker z FBI – kontynuował Steve.

Odwrócił się i skinął na człowieka idącego w naszym kierunku ze zgliszcz budynku.

– I agent specjalny Robert Stone z DEA, Agencji do spraw Walki z Narkotykami.

Uśmiechnąłem się.

– Nie trzeba nas sobie przedstawiać – powiedziałem. – Znamy się od wielu lat. Ostatni raz współpracowaliśmy przy okazji tej eksplozji w laboratorium narkotykowym w hrabstwie Scott. Ile to już lat minęło, Rocky? Trzy? Cztery?

– Ha! Raczej sześć lub osiem – poprawił mnie z uśmiechem. – Moja żona rodziła najstarszego syna, kiedy składałeś do kupy te dwa ciała.

Uśmiechnąłem się, przypominając sobie, jak rozpaczliwie chciał się wyrwać do szpitala i jak rozpierała go duma, kiedy następnego dnia odwiedziłem ich na porodówce.

– Dziękuję, że się zgodziłeś nam pomóc – powiedział Rocky. – Przepraszam, że nie mogliśmy ci nic wcześniej wyjawić.

– Nie ma sprawy – zapewniłem go. – Zrobię wszystko za przejażdżkę helikopterem.

Osiedle nie było jedynie marzeniem miłośników lotnictwa, było też, jak wytłumaczył mi agent DEA, marzeniem dilerów narkotykowych.

– Przez ostatni rok – zaczął Rocky – prowadziliśmy śledztwo w sprawie gangu przemytników z Kolumbii. Dostarczali samolotami kokainę na niewielkie lotniska w całych południowo-wschodnich Stanach, za każdym razem zmieniając miejsce zrzutu. To osiedle jest idealne na bardziej stałą bazę. Nie ma tu wieży kontrolnej, panuje mały ruch, nieomal zerowe ryzyko wykrycia. Lądujesz, kiedy masz towar, kołujesz do własnego hangaru, zamykasz drzwi na klucz i rozładowujesz. To mogłoby trwać przez lata.

– Co poszło nie tak? – spytałem, wskazując na tlące się zgliszcza. – Wojna gangów? Nieudany nalot?

– Niestety nie – odparł Rocky. – Jeden z naszych agentów zinfiltrował kartel. To, co z niego zostało, znajduje się w tym, co zostało z hangaru. Wezwaliśmy speca od podpaleń, ale chcielibyśmy, żebyś ty obejrzał zwłoki. Chcemy się dowiedzieć, czy agent zmarł w wyniku pożaru czy przed pożarem i czy to był wypadek czy morderstwo.

– Doktor Garcia jest urzędowym patologiem hrabstwa – zaznaczyłem. – To jego jurysdykcja.

Doktor Edelberto Garcia – Eddie – był głównym patologiem Knoxville, hrabstwa Knox i kilku sąsiednich hrabstw.

– Rozmawialiśmy z nim, zanim zadzwoniliśmy do ciebie. Powiedział, że zgniłe lub spalone zwłoki to twoja działka.

– Jak miło z jego strony – zażartowałem. – Zostawia mi najlepsze kąski.

Wszyscy agenci się uśmiechnęli.

– Najbardziej przerażające jest to – podsumował Rocky – że doktor Brockton wcale nie żartuje. Naprawdę tak uważa.

Rocky miał rację. Naprawdę tak uważałem.

Zmarły agent, który pracował jako zarządca osiedla, nazywał się Maurice Watson, *alias* „Perry Hutchinson". Pół roku wcześniej Hutchinson złożył przemytnikom, za pośrednictwem ich dilerów z Atlanty, ofertę nie do odrzucenia: dom, hangar i klucz do pompy z paliwem w zamian za niewielki procent od ich dochodów.

– Pierwsza dostawa nastąpiła dwa tygodnie temu – powiedział Rocky. – Była niewielka, testowali kanał przerzutu. Wszystko poszło gładko. Planowali większą dostawę w przyszłym tygodniu. Byliśmy na nich przygotowani. Ale ktoś się przestraszył – albo dostał cynk. – Pokręcił smutno głową. – Gotowy na oględziny?

– Jasne. Chodźmy.

Z hangaru zostały tylko osmalone ceglane ściany i zapadłe stalowe kratownice dachu widoczne na tle błękitnego nieba i szarego dymu. Wszedłem przez boczne drzwi i zacząłem brnąć w głębokim błocie – mieszaninie wody, popiołu, sadzy i petrochemikaliów – i ucieszyłem się, że przed dostarczeniem 49-12 na Trupią Farmę włożyłem kalosze.

Po jednej stronie hangaru stała poczerniała furgonetka marki Ford, po drugiej osmalony samolot, Beech-craft Bonanza o ogonie w kształcie litery V. Pomiędzy nimi znajdowała się kosiarka do trawy z brakującą nakładką na wlew paliwa. Na podłodze, obok kosiarki, leżały na wznak zwłoki o nierozpoznawalnych rysach twarzy. Zwęglony mężczyzna w lewej ręce wciąż trzymał kanister na benzynę. Pod wpływem gorąca zginacze w jego ramieniu

skurczyły się, zaginając palce mężczyzny na rączce zbiornika w dosłownie śmiertelnym uścisku.

– Wygląda na wypadek – stwierdził Stone. – Być może nawet był to wypadek.

– Ciekawy zbieg okoliczności – odparłem. – Pożar przypadkiem wybuchł tak blisko tak dużej ilości benzyny.

– Cholernie ciekawy – zgodził się Rocky.

Uklęknąłem przy zwłokach.

– Pewnie nie miał przy sobie odznaki DEA, ale czy sprawdziliście inne dokumenty? Jakie przyjął nazwisko? Hutchinson?

Rocky skinął głową.

– Ma przy sobie prawo jazdy wystawione na Hutchinsona. Możesz pobrać próbkę DNA, żebyśmy mieli pewność? Czy może gorąco...? Czy DNA...?

– Czy DNA się ugotowało? – dokończyłem za niego pytanie. – Prawdopodobnie nie. Mięśnie dobrze izolują kość udową. Większość tkanki nie została naruszona, więc prawdopodobnie udałoby się pobrać dobrą próbkę DNA. Ale identyfikacja za pomocą karty dentystycznej może się okazać szybsza i prostsza. Dasz radę załatwić kartę? – Włożyłem rękawiczki i otworzyłem usta mężczyzny. – Rocky? Wygląda na to, że wasz człowiek w chwili śmierci nie nalewał benzyny do baku. Chyba że wdał się wcześniej w bijatykę w barze.

Odsuwając się nieco, żeby Rocky miał lepszy widok, wskazałem na zęby. Wszystkie siekacze były wyłamane tuż przy korzeniach.

– Cholera – wymamrotał Rocky. – To nie wygląda na obrażenia doznane w wyniku pożaru.

– Nie ma takiej możliwości – potwierdziłem. – Widzisz, jak zęby zostały przekrzywione do tyłu? To się nazywa złamanie zawiasowe

i w praktyce oznacza, że ktoś uderzył go czymś – kijem do baseballu, stalową rurą lub kolbą strzelby – prosto w usta.

Obejrzałem twarz, a potem zacząłem badanie palpacyjne całego ciała, próbując wyczuć kości przez spaloną skórę. Spojrzałem na Rocky'ego.

– Prześwietlę zwłoki w Regionalnym Centrum Medycyny Sądowej – powiedziałem – ale już teraz mogę stwierdzić, że doznał wielu złamań. Przynajmniej pięciu. Ktoś łamał kość po kości, zanim go zabił.

Oczy Stone'a zmieniły się w szparki, a mięśnie żuchwy zaczęły pulsować rytmicznie.

– Niech skurwieli piekło pochłonie – zaklął. – Ile zajmie wykonanie badania?

– Samo badanie pół dnia – wyjaśniłem. – Ale wcześniej będę musiał pozbyć się tkanki. A to zabierze kilka tygodni. Położymy go na Trupiej Farmie i pozwolimy matce naturze zrobić swoje.

Skrzywił się.

– Nie ma innego sposobu? Czegoś bardziej... dystyngowanego?

Pokręciłem głową.

– Mógłbym go rozczłonkować, wrzucić do garnka i ugotować. To szybszy sposób, ale chyba mniej dystyngowany. Poza tym, jeśli dojdzie do procesu, obrona może twierdzić, że uszkodziłem kości, kiedy rozczłonkowywałem zwłoki.

Westchnął.

– Dobrze, rób, co uważasz za stosowne. Tylko zrób wszystko, co w twojej mocy, żebyśmy mogli przyskrzynić tych sukinsynów. – Spojrzał na samochody. – Dzięki Bogu, że tak szybko udało się ugasić pożar. Gdyby paliwo wybuchło, nie byłoby czego po nim zbierać.

– Zaraz, zaraz. – Podniosłem wzrok i spojrzałem na poczerniałą furgonetkę i samolot. – Czy to znaczy, że tu nadal znajduje się paliwo? – Skinął głową. – W baku samochodu i samolotu?

– Zgadza się. W samochodzie prawie sto litrów, a w samolocie ponad trzysta.

– Mamy tu ponad trzysta litrów wysokooktanowego paliwa? Nie powinno nas tu być.

Stone wzruszył ramionami.

– Ogień ugaszono.

– W samolocie mógł zostać jakiś rozżarzony węgielek. Jeden z baków może nie wytrzymać. Dach może się zawalić. Iskra z...

Przerwał mi metaliczny brzęk – dźwięk metalu uderzającego o metal – i w boku samolotu pojawiła się nagle okrągła dziurka.

– Jesteśmy pod obstrzałem! Kryć się! – krzyknął jeden z agentów.

Następna kula trafiła w samolot, tym razem w skrzydło. Zaczęła z niego wypływać cienka strużka jasnoniebieskiego płynu, który powoli zbierał się w małą kałużę.

– Jezu, to paliwo lotnicze – powiedział Stone. – Musimy stąd spieprzać.

Pomógł mi wstać i zaczął mnie ciągnąć do drzwi. Dookoła nas agenci i policjanci wyciągali broń i rozglądali się w popłochu na wszystkie strony. Kolejny pocisk trafił w cegłę i odbił się rykoszetem w prysznicu iskier. Przy przeciwległej ścianie wybuchł pożar. Ogień wędrował za palcem gazu, który przywoływał go do środka hangaru, w kierunku przeciekającego baku.

Oderwałem się od Stone'a i pobiegłem w stronę samolotu. Usłyszałem jego krzyk.

– Wracaj! Uciekaj!

Do czasu kiedy dotarłem do zwęglonych zwłok, ściana ognia ogarnęła drugie skrzydło samolotu. Chwyciłem agenta za stopy –

najbliższą mi część jego ciała – włożyłem je pod ramiona i zacząłem ciągnąć za sobą jak sanie, potykając się i chwiejąc w śliskim błocie. Byłem przy drzwiach, kiedy samolot eksplodował, a pięść ognia uderzyła mnie w plecy i powaliła.

***

Rocky Stone pomógł mi zanieść zwłoki agenta do najdalszego zakątka Trupiej Farmy i położyć go u podnóża dużego dębu. Rozpiąłem suwak worka, wyciągnąłem ciało, przytwierdziłem etykiety identyfikacyjne do lewego ramienia i lewej kostki, a potem przykryłem workiem.

– Złamałeś wiele procedur oraz zasad zdrowego rozsądku, kiedy po niego wróciłeś – zbeształ mnie Stone. – Ale jestem ci niezmiernie wdzięczny. Gdybyś go stamtąd nie wyniósł, nie mielibyśmy podstaw do oskarżenia o morderstwo.

– Szkoda, że ten snajper się wymknął.

– Niestety. Strzelał z odległości dwustu metrów – był na półce skalnej – ale ulotnił się, zanim dotarli tam nasi ludzie.

Stone uklęknął i położył odznakę DEA na worku. Zamknąwszy oczy, wyszeptał kilka słów i wstał.

– Wyniki dostaniemy za dwa tygodnie?

– Mniej więcej. Dłużej, jeśli zrobi się zimno, krócej, jeśli się ociepli. Kiedy robaki i ja go oczyścimy, sfotografuję wszystkie złamania.

Udokumentowałem już większość z nich za pomocą zdjęć rentgenowskich, które wykonałem, używając przenośnego urządzenia na doku załadunkowym Centrum Medycyny Sądowej. Ale jeśli dojdzie do procesu, prokuratorzy będą potrzebowali ostrych zdjęć, które potwierdzą, co widać na zamazanych zdjęciach rentgenowskich.

Normalnie czyszczeniem kości zajęłaby się moja doktorantka, Miranda Lovelady, która prowadziła laboratorium kości i pracowała na Farmie. Wyjechała zaledwie trzy dni wcześniej, ale już odczuwałem jej brak. Brakowało mi zarówno jej pomocy, jak i towarzystwa. Ale teraz cieszyłem się, że ominęła ją przygoda w Sevierville. Byłem o włos od śmierci – dość dosłownie, jako że włosy na tyle mojej głowy zostały nadpalone – i gdybym miał na sobie swój zwykły strój, czyli dżinsy i koszulę z bawełny, a nie kombinezon roboczy, moje ubranie by się zajęło. Dzięki Bogu, że Mirandy tam nie było, pomyślałem.

Wyjechała nagle, w okolicznościach, które były dla mnie dość tajemnicze. Tydzień wcześniej skontaktował się z nią francuski archeolog – Stefan Beauvoir. Prosił, żeby przyjechała pomóc mu w naprędce przygotowywanych wykopaliskach w podziemiach pałacu z czternastego wieku – nieomal prehistorycznego jak na standardy amerykańskie, ale wcale nie tak starego jak na Europę.

Trochę się wahałem, zanim pozwoliłem jej wyjechać. Od pięciu lat pracowała jako moja asystentka i w tym czasie stała się niezastąpiona. Ceniłem i szanowałem inteligencję i wiedzę naukową Mirandy. Ale to nie wszystko. Była dla mnie ważna zarówno na gruncie zawodowym, jak i osobistym. W pewnym sensie była mi bliższa niż ktokolwiek inny na świecie, nawet mój syn. Gdyby nie brać pod uwagę DNA, to Miranda była moją najbliższą rodziną. Wiedziałem, że laboratorium kości i Trupia Farma mogły sobie przez sześć tygodni jako tako poradzić bez Mirandy, ale nie byłem pewny, czy ja sobie poradzę.

– Przepraszam – głos Rocky'ego wydawał się odległy. Nie tyle przerwał tok moich myśli, ile obudził mnie ze snu. – Jeśli skończyliśmy, to chyba już się zwinę. W TBI pomyślą, że porwaliśmy im helikopter.

– Wybacz – odparłem. – Zamyśliłem się. Poczekaj, odprowadzę cię i zamknę bramę.

Odprowadziłem agenta i wróciłem do zwłok. Pochyliłem się nad nimi, żeby wyprostować róg worka i właśnie wtedy zaczął dzwonić mój telefon. Wyjąłem go z kieszeni kombinezonu i spojrzałem na wyświetlacz. Nie rozpoznałem numeru. Rozpoczynał się od numeru kierunkowego 330, którego nie znałem, więc wpatrywałem się w ekran dłużej, niż powinienem. Dopiero po chwili mnie oświeciło. To było połączenie z zagranicy, a 33 to numer kierunkowy Francji. Miranda! Otworzyłem klapkę, ale aparat wymsknął mi się z ręki i zniknął gdzieś pod workiem. Okazało się, że – co za ironia losu – zaklinował się przy lewym uchu zmarłego agenta. Udało mi się go wydobyć, kiedy przestał dzwonić.

– Niech to licho – wymamrotałem.

Próbowałem oddzwonić, ale mechaniczny głos oznajmił, że moja rozmowa nie może zostać zrealizowana. Pewnie dlatego, że był to numer międzynarodowy.

– Niech to licho – powtórzyłem, i wtedy telefon zadzwonił ponownie, wyświetlając ten sam numer co poprzednio.

Tym razem nie upuściłem go.

– Halo? Miranda? Co słychać?

– Ach, przepraszam, to nie Miranda – odezwał się mężczyzna mówiący z francuskim akcentem. – Tu Stefan Beauvoir. Jestem archeologiem, z którym pracuje Miranda. Poprosiła, żebym do pana zatelefonował.

W głowie zaczęły mi się odzywać dzwonki alarmowe.

– O co chodzi? Coś się stało Mirandzie? Proszę mi powiedzieć.

– Lekarz mówi, że to... *merde*... jak to się nazywa? Spalony wyrostek?

– Miranda ma zapalenie wyrostka?

– Tak, zapalenie wyrostka. Kazała mi zadzwonić do pana i poprosić, żeby pan tu przyjechał.

– Do Francji?

– *Oui.* Może pan to zrobić? Przyjechać do Awinionu? – Nie spodobało mi się, jak wymówił tę nazwę. – Zaraz będą ją operować. Bardzo się ucieszy, jeśli pan przyjedzie.

– Nie chce, żeby odwiedził ją ktoś z rodziny?

– Nie mogą. Mama i siostra nie mają paszportów. Więc pomyślała o panu i prosi, żeby pan jak najszybciej przybył.

– Oczywiście. Zrobię, co w mojej mocy. Wylecę jeszcze dziś.

– *Bon*, dobrze. Może pan przylecieć bezpośrednio do Awinionu, ale będzie miał pan więcej połączeń do Lyonu i Marsylii. Z Marsylii to tylko godzina samochodem.

Pobiegłem ścieżką i kiedy znalazłem się przy wyjściu, zacząłem machać jak szalony w kierunku helikoptera TBI, który gotował się do lotu. Stone zdjął słuchawki, wysiadł i podbiegł do mnie.

– Coś się stało?

– Możecie mnie gdzieś podrzucić? Trochę się spieszę.

– Gdzie?

– Do Francji.

Minutę później znowu byliśmy w powietrzu, tym razem siedziałem z przodu.

– Czy ten helikopter ma turbodoładowanie? – spytałem pilota.

W odpowiedzi obrócił helikopter o dziewięćdziesiąt stopni.

– Cholera jasna – usłyszałem, jak z tyłu piszczy Stone.

Lecąc tuż nad rzeką, helikopter zbliżył się do stadionu Neyland.

– Nie wiem, czy da pan radę tu wylądować – powiedziałem, przyglądając się terenowi wokół stadionu. – Na parkingu nie ma gdzie szpilki wcisnąć.

Pilot uśmiechnął się.

– Chyba widzę odpowiednie miejsce.

Pikując nad tablicą wyników, skierowaliśmy się na płytę stadionu.

– Punkt dla nas – zażartował Stone, kiedy wylądowaliśmy w strefie południowo-wschodniej.

Moja sekretarka ledwie zaszczyciła mnie spojrzeniem, kiedy, minąwszy jej biurko, wpadłem do mojego gabinetu.

– Peggy! – zawołałem, rozpinając suwak zatłuszczonego, pokrytego sadzą kombinezonu. – Możesz zarezerwować mi bilet na samolot? – Ściągnąłem buty i kombinezon i rzuciłem w róg.

– Na tę konferencję w Seattle? Zarezerwowałam bilety w zeszłym tygodniu, pamiętasz? Nie ma zwrotów. – Nie przerwała nawet pisania.

– Peggy, przestań stukać w klawiaturę. Posłuchaj. Muszę lecieć do Francji. Do Marsylii. Natychmiast.

Po drugiej stronie drzwi stukanie ucichło.

– Chodzi o Mirandę – ciągnąłem, wkładając ubranie, które miałem zamiar włożyć na spotkanie z rektorem. – Zapalenie wyrostka. Idzie zaraz pod nóż.

Pogrzebałem w szafie i wyciągnąłem swoją torbę podróżną, którą zawsze miałem spakowaną na wszelki wypadek, i zarzuciłem pasek na ramię.

– O mój Boże – westchnęła. – Biedactwo.

Byłem już wtedy na schodach, z niewkasaną w spodnie koszulą oraz butami i skarpetkami w ręku.

– Lecę na lotnisko! – krzyknąłem przez ramię. – Zadzwoń, kiedy zarezerwujesz bilety.

Gdy stalowe drzwi zamknęły się za mną, wydawało mi się, że coś mówi, ale byłem już wtedy w połowie schodów.

Dopiero kiedy helikopter zaczął startować, uświadomiłem sobie, co to było. A uświadomiłem to sobie, gdy zobaczyłem, jak Peggy wbiega na boisko, machając dziko rękami. W jednej dzierżyła laptopa, a w drugiej małą granatową książeczkę – mój paszport.

Dwadzieścia dwie minuty i trzy tysiące trzysta dolarów później, z paszportem w jednej ręce i torbą w drugiej, wszedłem na pokład samolotu United Airlines lecącego na lotnisko Dulles w Waszyngtonie. Z Waszyngtonu samolotem linii Lufthansa miałem polecieć do Frankfurtu, a stamtąd do Marsylii, skąd Beauvoir obiecał mnie odebrać.

Gdy wsiadałem na pokład samolotu na lotnisku Dulles, byłem pewien, że Miranda jest już po operacji, ale nikt nie odbierał moich telefonów i nie otrzymałem żadnej wiadomości. Milczenie było przerażające.

Kiedy zostawiliśmy za sobą Waszyngton i skierowaliśmy się nad Atlantyk, gwizd powietrza na wysokości dziesięciu tysięcy stóp przypomniał mi dzwon kościelny, który usłyszałem kilka godzin wcześniej. Błagam, modliłem się, choć trudno mi było powiedzieć, do kogo czy do czego, błagam, niech nie bije Mirandzie.

ROZDZIAŁ 2

MARSYLIA
CZASY WSPÓŁCZESNE

Urzędnik celny nie spojrzał nawet na mnie, biorąc mój paszport i sięgając po stempel.

– Przyleciał pan w celach turystycznych czy służbowych, *monsieur* Brockton?

Jego ton sugerował, że był mną niezmiernie znudzony, zanim jeszcze udało mi się wydobyć z siebie głos. Zawahałem się, nie wiedząc, jak odpowiedzieć. Turystyka nie wydawała się właściwym określeniem na cel mojej wizyty, biorąc pod uwagę okoliczności podróży, ale jeśli powiedziałbym, że w celach służbowych, mogłoby to wywołać kolejne pytania, a może nawet musiałbym złożyć wniosek o wizę.

– Hm... turystycznych – odpowiedziałem w końcu.

Spojrzał na mnie, marszcząc brwi, jakby nie popierał turystyki ani mojego niewielkiego entuzjazmu. Potem lekko pociągając nosem, przystawił pieczątkę i rzucił paszport na kontuar.

Kiedy wyszedłem przez szklane drzwi terminalu do hali przylotów, zacząłem przyglądać się tłumowi w poszukiwaniu francuskiego archeologa, który szukał amerykańskiego antropologa. Jak może wyglądać francuski archeolog? Kościsty i arogancki, w czarnym berecie, z papierosem bez filtra i cienkim wąsikiem? Martwiąc się o Mirandę, nie pomyślałem, żeby zapytać Stefana, jak go rozpoznam, a on też nie zapytał, jak wyglądam ja.

Kiedy po raz drugi przebiegałem wzrokiem po tłumie, w hałasie obcych słów i egzotycznych akcentów usłyszałem śmiech – znajomy kobiecy śmiech. Spojrzałem w prawo na twarze, którym dopiero co się przyjrzałem i zobaczyłem Mirandę. Stała z rozłożonymi ramionami, szeroko się uśmiechając i kręcąc głową, jakby mówiła: „Nie do wiary! Patrzyłeś na mnie i mnie nie zauważyłeś! Dwa razy!".

Ze zdziwienia opuściłem torbę. Przycisnąłem dłonie do serca, czując ogromną ulgę. Miranda była na lotnisku, cała i zdrowa. Co więcej, wyglądała kwitnąco: silna, z rumieńcami na twarzy,

rozpromieniona. Nie wyglądała na kogoś, kto właśnie opuścił salę operacyjną po zabiegu usunięcia wyrostka.

Miranda podbiegła i zarzuciła mi ramiona na szyję.

– Dziękuję, dziękuję, że wszystko rzuciłeś i tak szybko przyjechałeś. Tak się cieszę, że cię widzę! – Mocno się do mnie przytuliła.

– Uważaj – powiedziałem. – Rozerwą ci się szwy. Dlaczego nie jesteś w szpitalu? Dlaczego wyglądasz tak kwitnąco tuż po operacji?

Znowu się roześmiała, dźwięcznie jak karylion.

– Tyle pytań, tak mało czasu. Nic mi nie jest. Nic mnie nie boli. Nie mam szwów.

Zrobiłem krok do tyłu i spojrzałem na nią, zdezorientowany bardziej niż zwykle. Znowu się roześmiała.

– Padłeś ofiarą niewielkiej mistyfikacji. Ale nie martw się. To wszystko dla dobra sprawy. Będziesz zadowolony, że przyjechałeś.

Rzuciłem jej pytające spojrzenie – pełne wyrzutów – ale tylko pokręciła głową.

– Wszystko ci wyjaśnię, kiedy przyjdzie na to pora. Kiedy znajdziemy się w Awinionie. A tymczasem pozwól, że ci przedstawię Stefana.

Odwróciła się w kierunku tłumu czekających. Drobny, mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna, wyglądający na mola książkowego, zrobił krok do przodu, lekko utykając. Nie miał ani jednej z cech, które sobie wyobraziłem. Wyciągnąłem dłoń, a on słabo ją uścisnął.

– Stefan Beauvoir, Bill Brockton.

Nagle Stefan chwycił mnie za barki i pocałował w oba policzki. Wiedziałem, że całowanie w policzki było francuskim obyczajem, ale myślałem, że dotyczyło tylko par mieszanych. Nie pomyślałem,

że mężczyźni całują na powitanie mężczyzn. Wolałem amerykański uścisk dłoni. Zdecydowanie.

Stefan spojrzał z powątpiewaniem na moją żółtą torbę.

– Gdzie jest reszta pańskiego bagażu?

– To wszystko – odparłem. – Nie miałem czasu się spakować. Poza tym nie myślałem, że zatrzymam się tu na dłużej.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Był to nieznaczny tajemniczy uśmiech, tak enigmatyczny jak uśmiech Mony Lisy, ale bardziej świadomy, jakby bawiło go przedłużanie napięcia.

Miałem szczęście, że moja torba była mała, bo samochód Stefana, fiat punto, został skonstruowany dla karłów. Silnik był także proporcjonalnie niewielki. Kilka kilometrów na północ od lotniska zwolniliśmy, gdy droga stała się kręta, wijąc się między skalnymi wzgórzami. Kiedy w końcu mogliśmy dodać gazu, zostawiliśmy wybrzeże za sobą i pomknęliśmy równinami południowej Prowansji.

Miranda unikała odpowiedzi na moje pytania, obiecując, że wszystko wyjaśni, kiedy będziemy w Awinionie, ale z każdym jej wykrętem irytowałem się coraz bardziej. Nie znosiłem, kiedy ktoś mną manipulował – zostałem tu wezwany pod fałszywym pretekstem – i nie znosiłem nie wiedzieć.

– Nie powinniśmy rozmawiać w samochodzie – włączył się w końcu Stefan, kiedy zadałem kolejne pytanie. – Może mamy robaki.

– Ma na myśli pluskwy – wyjaśniła Miranda.

– Zrozumiałem – warknąłem.

– To zabolało – rzuciła.

– Przepraszam – wymamrotałem. – Jestem zmęczony po podróży, nie potrafię zasnąć w samolocie. A wczoraj ktoś próbował upiec mnie na rożnie. Więc naturalnie jestem nie w sosie.

– Ktoś próbował upiec cię na rożnie – była odrobinę zmartwiona, ale bardziej rozbawiona.

– Na rożnie – powtórzyłem. – Jak to jest po francusku? *Flambé*?

Opowiedziałem im swoją historię i w końcu włożyłem nadpaloną głowę między przednie siedzenia.

Miranda dotknęła moich włosów.

– Rzeczywiście. Straciłeś kolejne ze swoich dziewięciu żyć.

Stefan popatrzył, a potem spojrzał w lusterko wsteczne.

– Czy możliwie jest, że ten kucharz, ten facet, który do pana strzelał, przyleciał za panem do Francji?

Nie przyszło mi to wcześniej do głowy.

– Dlaczego? Czy ktoś nas śledzi?

Odwróciłem się i zobaczyłem za nami kilka samochodów na ruchliwej autostradzie. Skąd mielibyśmy wiedzieć, czy któryś siedzi nam na ogonie?

– Wątpię, żeby facet, który do mnie strzelał, wiedział, kim jestem. I na pewno nie potrafiłby mnie połączyć z wami i Awinionem.

Ale mimo pewnego tonu, z jakim odpowiedziałem, pytanie Stefana zasiało w mojej głowie ziarno niepewności, które zaczęło przeobrażać się w strach.

– Na pewno masz rację – zgodziła się Miranda. – Wiem, że jesteś skonany. I oczywiście masz prawo wiedzieć, co się tu dzieje. Proszę, zaufaj nam i uzbrój się w cierpliwość. Wkrótce wszystko się wyjaśni. Rozluźnij się i napawaj widokami.

Próbowałem. Ale ze Stefanem co rusz rzucającym spojrzenia w lusterko wsteczne nie potrafiłem się zrelaksować.

– Nadal się pan martwi, że ktoś za nami jedzie – powiedziałem w końcu. – Myśli pan, że ktoś pana śledzi?

– *Non* – rzucił Stefan krótko.

– Być może mieliśmy dziś ogon w Awinionie – dodała Miranda. – Ale Stefanowi udało się go zgubić, zanim wyjechaliśmy z miasta.

Archeolog podniósł rękę, żeby ją uciszyć. Im dłużej jechaliśmy, tym cisza stawała się trudniejsza do zniesienia.

Po godzinie od wyjazdu z Marsylii przejechaliśmy na drugi brzeg Rodanu, pięknej rzeki, prawie tak ślicznej jak rzeka Tennessee, a potem Stefan zjechał z autostrady na dwupasmówkę. Kiedy skręcił, oboje spojrzeli na drogę za nami, a potem – na siebie, z wyraźną ulgą. Nikt za nami nie jechał. Droga biegła wzdłuż rzeki przez małe wioski i pola uprawne. Po kilku kilometrach wjechaliśmy na kolejną autostradę, prowadzącą na wschód, i przejechaliśmy przez kolejny most. Na drugim brzegu rzeki zobaczyłem niskie wzgórze otoczone starym murem obronnym, ukoronowane masywnymi kamiennymi wieżami i pokrytymi dachówkami dachami, błyszczącymi w złotym prowansalskim słońcu.

– Urzekające miejsce – zachwyciłem się.

– To Awinion – poinformował mnie Stefan. – Miasto papieży. Niegdyś najbogatsze i najpotężniejsze miasto Europy.

ROZDZIAŁ 3

AWINION

CZASY WSPÓŁCZESNE

Stefan przewlekł fiata punto przez wąską bramę w zabytkowym murze. Wjechaliśmy na starówkę. Kamienne budynki, które mijaliśmy, były stare, zanim jeszcze „Mayflower” z purytanami

na pokładzie wyruszył z Anglii do Ameryki. Ulica, którą jechaliśmy, skręcała w lewo i prowadziła do podziemnego parkingu wykutego głęboko w trzewiach wzgórza. Stefan zaparkował na najwyższym poziomie, niedaleko tunelu dla pieszych. Kiedy po długim spacerze z niego wyszliśmy, oślepiło nas słońce.

Znajdowaliśmy się na dużym placu o szerokości około dwustu metrów i kilka razy dłuższym. Przy placu stał (a w zasadzie nad nim dominował) ogromny pałac, wysokie kamienne ściany konkurowały z jeszcze wyższymi wieżami.

– *Le Palais des Papes* – oznajmił Stefan. – Pałac papieski.

Fasada pałacu miała ponad dwieście metrów długości, kamienne ściany wznosiły się na dwanaście, a może nawet piętnaście metrów; wieże w rogach górowały wysoko nad murami. Ze zwieńczonymi blankami parapetami murów obronnych budynek wyglądał jak twierdza zdolna do odparcia militarnego oblężenia.

– Pałac papieski? Wygląda raczej jak warownia.

– „Warownym grodem jest nasz Bóg" – zażartowała Miranda.

Lekko na lewo od najwyższej, najpotężniejszej wieży pałacu wznosił się bardziej elegancki i mniej warowny budynek. Wieńczyła go monumentalna figura kobiety z tiarą z gwiazd na głowie.

– Kim jest ta pozłacana dama z gwiezdną koroną na głowie?

– Maryja Dziewica oczywiście – odparł Stefan. – To awiniońska katedra. Dom Boży.

– Dlaczego Dom Boży jest o tyle mniejszy od pałacu papieża?

Moje pytanie wywołało uśmiech na ustach Mirandy.

Kiedy patrzyło się na pałac z przeciwległego brzegu rzeki, wydawał się duży, ale także nieco bajkowy – jak Euro Disneyland, a może „Papieżland". Jednak z bliska, górując nad placem, był monumentalny i onieśmielający. Nie wiedziałem dużo na temat

katolicyzmu, ale kojarzyłem go ze świętymi i z witrażami. To jednak nie była inspirująca czy aspiracyjna architektura, to była architektura symbolizująca dominację i podbój.

Do pałacu weszliśmy przez imponującą bramę wraz ze strumieniem innych turystów. W środku swoje kroki skierowaliśmy za dużą gablotę i schylając się pod sznurkiem odgradzającym klatkę schodową, weszliśmy na schody. Prowadziły w dół do ogromnej komnaty, której ciemność zdawała się pochłaniać cienki snop światła z latarki Stefana.

Kierując się światłem, znaleźliśmy się przed żelazną furtką wykonaną z krat grubszych niż moje kciuki i zamkniętą na ciężką kłódkę. Stefan zdjął ze sznurka na szyi kilka kluczy (które przywiodły mi na myśl świętego Piotra z kluczami do Królestwa Niebieskiego), otworzył jednym z nich zamek i naparł ciałem na furtkę. Oporne zawiasy zaprotestowały, ale poddały się. Zaprosił nas gestem do środka i zamknął za nami furtkę. Pochylił się i włączył przełącznik na długim przewodzie, który ciągnął się gdzieś w ciemność. Kilka żarówek przymocowanych prowizorycznie do wilgotnej ściany rzuciło przyćmione światło na zniszczone schody prowadzące w dół prymitywnej klatki schodowej.

Sięgając niezdarnie do tyłu przez kraty furtki, Stefan zamknął ją na kłódkę i poprowadził nas dalej. Kiedy schodziliśmy ostrożnie po stromych, nierównych schodach, miałem wrażenie, że nie tylko zagłębiamy się w trzewia papieskiego pałacu, lecz także cofamy się w czasie: sto lat w dół, dwieście, trzysta, czterysta, pięćset, sześćset.

Schody kończyły się krótkim korytarzem. Na jego końcu kolejna zamknięta na kłódkę furtka broniła dostępu do pomieszczenia wyglądającego jak jaskinia, którego wymiarów z powodu ciemności nie mogłem oszacować. Ta furtka była jeszcze cięższa od poprzedniej i musieliśmy pomóc Stefanowi w jej otwarciu. W pomieszczeniu

niski sufit wspierały potężne kamienne kolumny i gotyckie sklepienia. Jedna żarówka – ostatnia z tych, które oświetlały klatkę schodową – podświetlała niewielki łuk nierównej podłogi i najbliższe nam kolumny. Stefan odwrócił się, żeby spojrzeć mi w twarz, kiedy przyglądałem się komnacie.

– Prawdopodobnie znajduje się zbyt daleko od jadalni, żeby mogła służyć jako winna piwniczka – stwierdziłem. – To była krypta? Loch?

Pokręcił głową i uśmiechnął się wyraźnie zadowolony, że nie zgadłem.

– *La chambre du trésor* – odpowiedział. – Komnata skarbów.

– Komnata była na wpół pełna czy pusta? – zażartowałem, ale moje pytanie potraktował poważnie.

– Wypełniona po brzegi. *Complètement*. Całkowicie. W skarbcu przechowywano złoto, srebro i klejnoty. Warte miliony, a może nawet miliardy.

– Hm... Nigdy nie przyszło mi do głowy obliczanie wartości papieża netto – powiedziałem.

– Ale papieżowi na pewno przyszło – rzucił. – Papieże z Awinionu byli bogatsi i mieli większą władzę niż jakikolwiek król czy cesarz w Europie. Karol Wielki władał połową Europy. Papieże władali całą. *Tout entier*. Absolutnie całą.

– Ale przecież tak naprawdę nie władali Europą – zauważyłem. – Nie tak jak Karol Wielki.

– *Non*? – przekręcił głowę i podniósł brew. – A czym różniły się ich rządy?

– Na przykład papieże nie mieli armii.

– Bzdura – wykpił mnie. – A kim byli krzyżowcy i templariusze, jeśli nie wojownikami papieża? Zostali wysłani na Bliski Wschód,

żeby przyłączyć Ziemię Świętą do jego imperium. *L'impérialisme* czystej wody.

– Cynicznie odczytujesz działania Kościoła – powiedziałem.

– *Mon Dieu*, mój Boże, popatrz tylko na pałac, w którym pracujemy. Największy gotycki pałac Europy. Centrum mamony i władzy.

Przypomniała mi się panorama pałacu widziana od strony Rodanu.

– Dobra – zgodziłem się. – Może i masz rację.

– Do jasnej Anielki, nie zachęcaj go – pisnęła Miranda. – Będzie rozprawiać przez cały dzień.

Ignorując ją, Stefan znowu podjął temat.

– Idź, sprzedaj wszystko, co masz, a pieniądze rozdaj biednym. Czy nie tak nauczał Jezus? A papieże mówili: „Daj pieniądze nam".

– Rozumiem, że tego nie pochwalasz – powiedziałem sucho.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się cynicznie.

– *Au contraire, mon ami*[3]. Pochwalam w całej rozciągłości. I jestem im za to wdzięczny. – Rozłożył ramiona. – Moją karierę zawodową zawdzięczam papieżom. Oni i ich wierna trzoda, pobożne, ciężko pracujące owieczki, stworzyli największe dzieła sztuki i architektury. Byłbym głupi, gdybym tego nie pochwalał.

Miranda miała rację. Kiedy już zaczął, trudno go było powstrzymać, a mój limit cierpliwości był już i tak na wyczerpaniu.

– Myślę, że nie przyprowadziliście mnie tutaj tylko po to, by rozmawiać o wielkości i chciwości średniowiecznych papieży – powiedziałem. – Przejdźmy do sedna sprawy. Co się tu, u diabła, dzieje? O co chodzi z tymi tajemnicami?

– Chodź – powiedział Stefan i ruszył w stronę środka skarbca.

Poszedłem za nim. Wzrok stopniowo przyzwyczajał się do ciemności. Zauważyłem, że między dwoma kolumnami

zawieszono niebieski brezent, który pasował do kamiennych murów jak pięść do nosa. Stefan podniósł przede mną róg płachty i wkroczyłem w jeszcze głębszą ciemność.

Archeolog znowu przycisnął włącznik na przewodzie i pomieszczenie zostało skąpane oślepiającym blaskiem dwóch halogenowych lamp. Musiałem zmrużyć oczy, a kiedy je otworzyłem, zobaczyłem, że część ściany skarbca zawaliła się – powstał półkolisty otwór o wysokości przynajmniej dwóch metrów i szerokości rozłożonych ramion. Kamienie poukładano w rogu komnaty, gruz uprzątnięto, a otwór zabezpieczono drewnianymi stemplami.

– Myślałem, że jesteś archeologiem – zażartowałem. – To wygląda na robotę dla murarza.

Stefan pokazał na prawo. Przy ścianie stał długi stół przykryty białym prześcieradłem. Na prześcieradle leżał kompletny szkielet człowieka, ułożony w porządku anatomicznym.

Kości wyglądały na stare. Były koloru pomiędzy szarością a pomarańczowoczerwonym karmelem, z ciemniejszymi, tłustymi plamami tu i ówdzie. Bez słowa Stefan podał mi parę lateksowych rękawiczek. Włożyłem je i podniosłem czaszkę, od której lubiłem zaczynać badanie.

Kości bez wątpienia należały do mężczyzny. Świadczyły o tym zgrubienie kostne nad oczodołami i duża wypukłość u podstawy czaszki, guzowatość potyliczna zewnętrzna: mała i subtelna u kobiet, silnie zaznaczona u mężczyzn. Otwór nosowy był szeroki, ale sama twarz dość wąska, z wystającymi kośćmi jarzmowymi – kośćmi policzkowymi – które nadawały jej kanciasty, arystokratyczny wygląd.

Trzymając czaszkę do góry nogami w lewej dłoni, przyjrzałem się górnym zębom i podniebieniu. W uzębieniu brakowało dwóch

zębów trzonowych i jednego kła, kilka innych miało dziury. Obecność wszystkich czterech zębów mądrości i całkowite spojenie szwów w górnym podniebieniu potwierdziły, że mężczyzna był dorosły. Odwróciłem czaszkę i przyjrzałem się szwom czaszkowym, zygzakowatym spojeniom na górze czaszki. U młodych dorosłych szwy są ciemne i wystające, prawie jak zęby zepsutego zamka błyskawicznego. U tego mężczyzny natomiast były gładkie i wyblakłe, prawie niewidoczne. Chociaż szwy czaszkowe mogą dać tylko pewne pojęcie na temat wieku, ich gładkość w przypadku tego szkieletu wskazywała, że mężczyzna miał mniej więcej tyle lat co ja (czyli około pięćdziesięciu pięciu lat) lub był ode mnie starszy, może nawet o dziesięć lat. Kręgosłup też zdawał się potwierdzać moje przypuszczenia. Na kręgach zaczęły się pojawiać narośle kostne, czyli osteofity, co jest jedną z oznak starzenia się szkieletu. Kręgosłup tego człowieka (zdałem sobie sprawę z niespodziewanym ironicznym uśmiechem) prawdopodobnie wyglądał jak mój.

Dopiero gdy spojrzałem na żebra, poczułem przypływ adrenaliny, który pojawiał się, kiedy sprawa zaczynała być interesująca. Po prawej stronie klatki piersiowej wszystko było w normie, ale po jej lewej stronie jedenaste i dwunaste żebro – dwa dolne żebra, tak zwane żebra wolne, które są połączone z kręgosłupem, ale nie z mostkiem – wyglądały na nieco przycięte. Podniosłem je i przyjrzałem się ich końcom dalszym, które wyginają się z przodu dolnej części klatki piersiowej, ale nie obejmują jej w całości. Normalnie zakończone są chrząstkami, ale te kości były na to za stare i za czyste. Kiedy porównałem je z odpowiadającymi im żebrami po drugiej stronie, różnica była ogromna. Zakończenia żeber prawych były gładkie i zaokrąglone, zakończenia lewych – płaskie

i poszarpane. Lewe żebra musiały zostać przycięte za pomocą ostrego ostrza.

Spojrzałem na Mirandę i Stefana.

– Jeśli facet nie wpadł na własny miecz, to myślę, że został ugodzony jakimś ostrym narzędziem.

– Poczekaj, to nie wszystko – powiedziała Miranda z błyskiem w oku. – Popatrz na kończyny.

Spojrzałem na prawe ramię. Nie zauważyłem nic dziwnego, aż dotarłem do dalszego końca przedramienia. W okolicy nadgarstka kości promieniowa i łokciowa były wyżłobione na powierzchni środkowej, jakby pomiędzy nie został wbity nóż. Poczułem mrowienie, które wzmogło się, kiedy przyjrzałem się kościom lewego przedramienia i odkryłem podobne wyżłobienia.

– A teraz stopy – powiedziała.

Prawie je przeoczyłem: kolejne wyżłobienia, tym razem pomiędzy kośćmi śródstopia.

W moim umyśle zaczęły zaskakiwać trybiki, ale zaskakiwały powoli – po części przez zmęczenie, po części dlatego, że nie mogłem uwierzyć w to, na co patrzyłem lub co to oznaczało.

– Dobra, o co tu chodzi? Skąd wytrzasnęliście te kości? I dlaczego szkielet, który ma sześćset czy siedemset lat, otacza taka tajemnica?

Miranda spojrzała na Stefana.

– Teraz?

Skinął głową.

– *Oui*. Teraz.

Miranda zrobiła krok do przodu i podniosła połę prześcieradła. Pod stołem stała skrzynka o wymiarach trzydzieści na sześćdziesiąt centymetrów. Choć może trudno było ją nazwać skrzynką, ponieważ wykonana była z kamienia. Była wielkości tysiąca kartonowych pudełek, które trzymaliśmy pod trybunami stadionu

w Knoxville – pudełek, w które sam zapakowałem kości z kolekcji Działu Antropologii.

– Kamienne ossuarium? – Skinęła głową. – Kości były w ossuarium zamurowanym w ścianie? – Znów potwierdziła skinieniem.

– Ściana się zawaliła – wyjaśnił Stefan. – Od wibracji młota pneumatycznego pracującego na zewnątrz. Kiedy robotnicy zobaczyli, że coś jest w środku, wezwano mnie. A ja wezwałem Mirandę.

– Ossuarium przewiązane było tym – dodała moja asystentka, wyjmując przetarty sznurek ze środka skrzynki. Na jednym końcu znajdował się nieregularny krążek miękkiego, szarego metalu – ołowiu – z pieczęcią, na której widniały dwie głowy. Spojrzałem pytająco na Mirandę.

Odpowiedział Stefan.

– Święci Piotr i Paweł. To pieczęć papieska.

– Chcesz powiedzieć, że kości zostały zamurowane przez jednego z papieży? – Skinął. – Dlaczego papież opatrzył pieczęcią szkielet i schował w ścianie? – spytałem. – To był jego rywal? Ktoś, kogo zabił, żeby zdobyć papieską tiarę?

– *Non*. Nie, jeśli ryt jest prawdziwy.

– Ryt?

Wskazał na opartą o ossuarium prostokątną tabliczkę, której wcześniej nie zauważyłem. Było to wieko wykonane z tego samego bladego, miękkiego kamienia co skrzynka. Miranda podniosła ją i położyła na stole.

Na wieku zostały wyrzeźbione dwa obiekty. Obiekty, które sprawiły, że po plecach przeszedł mi dreszcz. Jednym był baranek, a drugim krzyż.

Nagle cała tajemniczość i nerwowość nabrały sensu. To byłoby znalezisko stulecia – nie, to byłoby znalezisko archeologiczne wszech czasów, gdyby okazało się, że to naprawdę kości Baranka Bożego, ukrzyżowanego Chrystusa.

– Teraz – rzekł Stefan – chyba rozumiesz, dlaczego nie chcieliśmy ci nic powiedzieć przez telefon. Za poważna sprawa. Zbyt ryzykowne. A teraz kiedy już wiesz, masz wybór. Czy chcesz zostać i pomóc nam zbadać kości, przekonać się, czy ten ryt jest prawdziwy? Dowiedzieć się, czy to Jezus?

Coś w sposobie, w jaki wypowiedział „pomóc nam", zirytowało mnie. Złożyłem to na karb zmęczenia po podróży, aż dodał coś, od czego krew mi zawrzała.

– Mógłbyś być trzecim autorem naszej publikacji.

Trzecim autorem? To była rola, do której aspirowali tylko studenci pierwszego roku. A wyrażenie „nasza publikacja" sugerowało pewną zaborczość – nie tylko jeśli chodzi o kości, ale też o Mirandę, co mi się oczywiście wcale nie podobało. Otworzyłem usta, żeby odmówić, ale Miranda nie dała mi szansy.

– Zgódź się – zaczęła mnie namawiać. – Proszę. To jedyna taka okazja. Nie ma na świecie nikogo, kto potrafiłby zbadać te kości równie dobrze jak ty.

Wahałem się. Miranda uśmiechnęła się prosząco i klasnęła w dłonie. Mój opór wyparował. Co tam, do diaska, czemu nie? – pomyślałem. Przejechałem taki kawał świata, a sprawa zapowiada się interesująco.

Kolejna myśl przeważyła szalę zwycięstwa na stronę Mirandy. Może to wcale nie był taki zły pomysł, żeby się tu zaszyć, podczas gdy Rocky Stone tropi tych przemytników.

– Muszę za tydzień wrócić do Tennessee – oświadczyłem. – Najpóźniej za dwa.

Miranda rozpromieniła się i ukłoniła się z wdzięcznością. Stefan uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie ma sprawy – powiedział. – Miranda i ja dokończymy pracę po twoim powrocie do Stanów.

Nagle przyłożył palec do ust, a drugą rękę położył na ramieniu Mirandy. Odwrócił się w kierunku schodów, nadsłuchując uważnie. Starałem się usłyszeć, co go tak zaalarmowało. Najpierw nie słyszałem nic, a potem rozpoznałem ciche brzęczenie metalu. Ktoś pociągał za kłódkę? Ktoś próbował otworzyć pierwszą furtkę? Nagle światło zgasło. Miranda głośno wciągnęła powietrze, a Stefan ją uciszył. W ciemności poczułem, że asystentka chwyta mnie za rękę. W końcu po brzęczącej w uszach i trwającej całe wieki ciszy usłyszałem głuche odgłosy kroków.

Czy to może bicie mojego serca?

Miałem nadzieję, że to jednak odgłosy kroków, bo wkrótce dźwięk zamarł.

– Naprawdę myślisz, że ktoś próbował się tu dostać? – spytałem, kiedy wchodziliśmy po nierównych schodach oświetlanych tylko latarką. – Może to jeden ze strażników? Wyłączył światło, bo myślał, że nikogo tu nie ma.

– Jakich strażników? Jest tylko jeden strażnik, który stoi przy bramie głównej. Ma za zadanie wyłapywać turystów bez biletu.

– Kto ma dostęp do tej części pałacu?

– Kilkadziesiąt osób – odpowiedział Stefan wyraźnie zdenerwowany.

Sięgnął przez furtkę i zaczął otwierać kłódkę.

– Konserwatorzy. Przewodnicy. Naukowcy. Ale tu jest ciemno i brudno, więc wszyscy unikają tej części pałacu.

W końcu usłyszałem, że kłódka się otwiera.

– Prawie wszyscy – poprawiłem go. – Kto oprócz nas wie, co jest w skarbcu?

Pokręcił głową, a potem popchnął furtkę.

– Nikt. Tylko nasza trójka. Mój szef – typowy gryzipiórek – wie, że znalazłem jakieś kości, ale nie ma pojęcia, że są tak ważne. I nie interesuje go to.

– Cóż, ktoś się jednak nimi zainteresował – skomentowałem. – Może dowiemy się, kto to jest, z nagrania z monitoringu. A może powinniśmy przenieść kości w bezpieczniejsze miejsce?

Zmarszczył czoło i nie odpowiedział. Zamknął furtkę, a potem zacisnął kłódkę.

Skarbiec opuściliśmy zaledwie kilka minut po tym, jak usłyszeliśmy hałas na górze. Stefan był podenerwowany, a ja byłem wykończony, więc postanowiliśmy zakończyć pracę i wrócić rano.

– Odegram rolę adwokata diabła – powiedziałem, kiedy przechodziliśmy przez piwnice czy może loch. – Jak to może być szkielet Jezusa?

– Cii! – ostrzegł Stefan.

Zniżyłem głos do szeptu.

– Po pierwsze, Jezus zmarł w wieku trzydziestu trzech lat – kontynuowałem. – Ten facet jest o wiele starszy. Widziałaś zmiany zwyrodnieniowe w kręgosłupie, Mirando.

Dotarliśmy do kolejnych schodów.

– Może po prostu przeciążał kręgosłup – odparła. – Cieśla? Wtedy nie było specjalistycznych narzędzi. Musiał dużo podnosić. Pamiętasz ten szkielet z cmentarza niewolników w Memfis? Wiemy, że tamten gość zmarł w wieku 40 lat, ale miał kręgosłup sześćdziesięciolatka.

– Ale nie szwy czaszkowe – zauważyłem. – Były nadal nierówne. U tego mężczyzny są całkowicie spojone. Był starszy ode mnie. Mogę się założyć o moją szlifierkę.

Roześmiała się, ale nie miała już czasu na odpowiedź, bo dotarliśmy na szczyt schodów, wyszliśmy za aksamitny sznur i dołączyliśmy do turystów. Poczułem się jak pracownik Disney World w kostiumie disnejowskiej postaci, który chodzi po Magicznym Królestwie podziemnymi tunelami, a potem wychodzi z ukrytego w krzakach wyjścia, kiedy ma się spotkać z gośćmi parku rozrywki.

Opuściliśmy pałac, przeszliśmy przez plac i wróciliśmy na parking. Oprócz nas nie było na nim nikogo innego, więc podjąłem temat.

– Możecie mnie nazwać niewiernym Tomaszem, ale co ze zmartwychwstaniem? Jeśli to kości Jezusa, to znaczy, że nie zmartwychwstał.

– Ha! – wykrzyknął Stefan. – To by była niezła zagwozdka dla Kościoła. Musiałby nieco zmodyfikować swoją bajeczkę. – Wydawał się cieszyć na tę myśl. – Może papież ukrył kości, żeby się nie tłumaczyć przed wiernymi.

– Dlaczego ich po prostu nie zniszczył? – spytałem. – Dlaczego nie pozbył się dowodów? To byłoby rozsądniejsze.

– Pozbyłby się w ten sposób swojej przewagi nad innymi – kontrargumentował. – Wyobraź sobie, że jesteś papieżem w posiadaniu kości Chrystusa. Co za tajemnica! Wiedza, zakazany owoc, rozumiesz?

Nacisnął przycisk na pilocie i fiat pisnął kilka metrów dalej, mrugając światłami na ciemnym parkingu.

– Nie rozumiem, dlaczego kości Jezusa miałyby być takim problemem – zastanawiała się głośno Miranda. – Można byłoby powiedzieć, że zmartwychwstał, żył kolejne dwadzieścia czy

trzydzieści lat, a potem zmarł śmiercią naturalną. To nadal pozwala na zmartwychwstanie.

– Może – odpowiedziałem, sadowiąc się na mikroskopijnym siedzeniu z tyłu. – Ale jest jeszcze ten kawałek, który mówi, że „wstąpił na niebiosa". Czy to nie jest aby drugie zmartwychwstanie?

– Dzielisz włos na czworo – powiedziała, zatrzaskując drzwi. – Ile kości może tańczyć na główce szpilki? Zameldujmy cię w „Lumani" i chodźmy coś zjeść.

Stefan wynajął na lato mieszkanie nieopodal pałacu papieskiego, a Miranda zatrzymała się w nowoczesnym, pozbawionym charakteru hotelu w jego pobliżu. Wszystkie pokoje w jej hotelu były jednak zajęte, jak w każdym innym hotelu w centrum, z powodu zaczynającego się właśnie i trwającego cały miesiąc festiwalu teatralnego, który przyciągał rzesze turystów. Z tego względu musieliśmy poszukać lokum dla mnie nieco dalej. Na szczęście w małym Awinionie nawet hotele niepołożone w centrum nie znajdowały się od niego daleko.

Zjechaliśmy spiralną rampą podziemnego parkingu i wyjechaliśmy na zewnątrz za mury miasta. Stefan skręcił w ulicę, która okrążała pałac jak fosa. Po prawej stronie mieliśmy kamienne szańce muru obronnego, a po lewej szmaragdowe wody Rodanu. W połowie okrążenia wjechaliśmy z powrotem na teren starówki i zawróciliśmy, tym razem jadąc między wewnętrzną fasadą muru a otynkowanymi domami stłoczonymi przy najwęższym chodniku, jaki kiedykolwiek widziałem. Zatrzymaliśmy się przed dwupiętrowym budynkiem z jednym małym okrągłym okienkiem na parterze – nie większym niż okienko w samolocie – i kilkoma dużymi oknami wyżej. Na lewo od okienka znajdowały się drewniane, zwieńczone łukiem drzwi, pomalowane

na szmaragdowo. Były jednak zamknięte i nie wyglądały, przynajmniej w moich zmęczonych oczach, zbyt gościnnie. Stefan zapukał w nie energicznie, poczekał chwilę, a potem zastukał mocniej. Miranda w tym czasie przeszła w górę ulicy i zatrzymała się przy obrośniętej winoroślami, także szmaragdowej, bramie w murze.

– Tu chyba jest wejście! – krzyknęła. – Jest tabliczka i dzwonek.

Przycisnęła dzwonek. Gdzieś w budynku usłyszałem cichy brzęk.

Na tabliczce, częściowo ukrytej za winoroślami, przymocowano śrubami trzy wycięte ze stali napisy z nazwą hotelu: „Lumani". Winorośl zwisała do połowy wysokości bramy jak nieregularna grzywka. Wąsy przypominały mi kudzu, szybko rosnącą odmianę winorośli z Tennessee, która w pół tygodnia potrafi obrosnąć drzewa, stodoły, a nawet wolno poruszające się krowy. W środku usłyszałem zbliżające się do drzwi kroki, potem chrobotanie klucza w zamku. Przypuszczałem, że zostanę powitany przez ekscentryczną, zrzędliwą francuską staruszkę w szlafroku i kapciach.

Jedno skrzydło bramy po lewej stronie otworzyło się, a zrzędliwa francuska staruszka okazała się uroczą kobietą, pewnie w wieku około pięćdziesięciu lat, z falującymi brązowymi włosami, ciepłymi piwnymi oczami i jeszcze cieplejszym uśmiechem.

– A, *bonjour*. Witam w „Lumani" – powiedziała. – Jestem Elisabeth.

Drobny mężczyzna z błyszczącymi oczami i krótkimi siwymi włosami wyszedł zza rogu i dołączył do niej.

– To mój mąż, Jean.

Ostatnia głoska imienia jej męża wydobyła się z nosa, a nie z ust – i przypomniało mi się, że francuska wymowa była tajemnicą, której nigdy nie będzie mi dane zgłębić.

– Proszę, wejdźcie do środka.

Miranda, Stefan i ja przeszliśmy pod zasłoną z winorośli i podążyliśmy za moimi gospodarzami do iście magicznego miejsca: ogromnego ogrodu z altaną, hamakiem, bulgoczącą fontanną, wysokimi drzewami i ogromnym metalowym mobilem, zawieszonym pomiędzy drzewami.

– Co za cudowne miejsce! – wykrzyknęła Miranda, obracając się powoli, aby wszystkiemu dobrze się przyjrzeć.

Jean zaproponował, że nas oprowadzi, a Elisabeth poszła po napoje – sok pomarańczowy dla mnie i wino dla reszty.

Hotel „Lumani" był jak przytulna, prywatna galeria. Na ścianach wisiały abstrakcyjne obrazy, a ogród i wnętrza wypełnione były małymi i dużymi rzeźbami.

– Cudowne – przyznałem. – Czy to dzieła miejscowych artystów?

– Ja wykonałem rzeźby – powiedział nieśmiało Jean, a potem z dumą dodał: – Obrazy są dziełem Elisabeth.

Elisabeth pojawiła się z tacą z napojami. Poprosiłem o sok pomarańczowy, ale przyniosła mi napój o czerwonym kolorze. Czy to żurawina? Nie przepadałem za nią, ale z grzeczności wypiłem jeden łyk. Ku mojemu zdziwieniu okazało się, że to jednak był sok z pomarańczy, świeżo wyciśnięty, ale bogatszy w smaku niż zwykły sok – jakby nawet owoce w Awinionie mówiły z egzotycznym akcentem.

– Przepyszny – powiedziałem.

– *Merci. Oui*, to specjalny sok – wyjaśniła. – *L'orange sanguine*. Krwiste pomarańcze?

Miranda uśmiechnęła się.

– Czerwone pomarańcze – poprawiła gospodynię, podnosząc brew. – Ale słowo „krwiste" dobrze oddaje ten kolor.

Jean zabrał mnie potem na górę do mojego pokoju. To było orle gniazdo na drugim piętrze z widokiem na ogród. W oddali,

za mniejszym budynkiem, w którym rezydowali Jean i Elisabeth, rozpościerały się pokryte dachówką dachy i iglice kościołów. Jedna z nich, stojąca kilka ulic dalej, nie przypominała żadnej znanej mi budowli: otwarta metalowa rama, z widocznymi w środku dzwonami. Uświadomiłem sobie, że był to szkielet wieży, czyli coś bliskiego mojemu sercu.

Wskazałem na budowlę.

– Ta wieża. Czy jest remontowana?

Podążył wzrokiem za moim palcem.

– A, *non*. – powiedział. – Tak została zaprojektowana. Z powodu mistrala.

– Czego?

– Mistrala. Suchego, porywistego wiatru z północnego zachodu. Wieża jest otwarta, żeby nie stawiać oporu wiatrowi.

Teraz iglica podobała mi się jeszcze bardziej. Szkieletowe piękno zrodziło się z potrzeby.

Kiedy oparłem się na parapecie, podziwiając widoki, zauważyłem, że z dołu macha do mnie Miranda.

– Zazdroszczę ci! – zawołała. – Chciałabym mieć pokój z widokiem na ogród Edenu.

– Możesz mnie odwiedzać – zaproponowałem. – Tylko uważaj na węże. I nie jedz jabłek.

– Słucham? Co?

Nie usłyszałem pytania Mirandy. Mój umysł był wyzbyty wszelkich myśli, ale moje usta były pełne. Błogo pełne.

– Wiem, że datowanie metodą radiowęglową jest całkiem niezłe – powtórzyła – ale jak precyzyjnie może ono określić wiek kości?

– Bardzo precyzyjnie – odpowiedziałem w końcu. – Rany, to jest pyszne.

Rozprawiałem się właśnie z miską gulaszu jagnięcego (już drugą) w „Pace é Salute", korsykańskiej restauracji niedaleko „Lumani", którą polecili nam Jean i Elisabeth. Nazwę można przetłumaczyć jako „Pokój i Zdrowie". Zarówno pokój, jak i zdrowie były bliskie memu sercu, ale nie tak bliskie jak duszona w miodzie jagnięcina z czosnkiem, cytrusami i wytrawnym bulionem.

Pytanie Mirandy wywołało nagle niewyraźne wspomnienie – niewyraźne, ale niedawne – o czymś, co wydarzyło się, kiedy wchodziłem na pokład samolotu z Knoxville do Waszyngtonu. Czy to możliwe, że minęło zaledwie osiemnaście godzin od czasu, kiedy Peggy podbiegła do helikoptera z moim laptopem i paszportem? Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki, którą miałem na sobie przez ostatnich siedem tysięcy kilometrów, i wyciągnąłem list, który włożyła do mojego paszportu. List z napisem PILNE doręczono poranną pocztą.

– Cieszę się, że wspomniałaś o datowaniu radiowęglowym – zwróciłem się do Mirandy. – Zapomniałbym o tym liście aż do następnego prania. Być może na całe lata.

List wysłano z Charlotte w Karolinie Północnej. Wygładziłem kartkę i przeczytałem go ponownie, bo w samolocie tylko szybko go przejrzałem.

– Nie tylko ty interesujesz się datowaniem radiowęglowym. Wzbudza ono też zainteresowanie Instytutu Nauki Biblijnej.

– Instytut Nauki Biblijnej? – Miranda podniosła brwi. – Czy to nie sprzeczność sama w sobie?

– Niekoniecznie – odparłem. – Choć w praktyce nauka często spychana jest na dalszy plan.

– Proszą cię o radę w sprawie datowania izotopowego C-14? Jestem zdziwiona, że nie straszą cię ogniami piekielnymi. Kreacjoniści dają ci od czasu do czasu popalić.

– Zaraz tam popalić – zaoponowałem. – No, może trochę. Rzeczywiście niewielu z moich fanów to fundamentaliści religijni.

Włożyłem okulary do czytania – których, ku własnej irytacji, zmuszony byłem od niedawna używać – i przeczytałem na głos:

– „Szanowny Panie Doktorze, piszę, aby zasięgnąć Pana opinii na temat datowania izotopowego. Nasz Instytut zaczyna prace nad artefaktami z Ziemi Świętej i bardzo chcielibyśmy poznać Pana opinię na temat precyzyjności datowania metodą radiowęglową i jej niezawodności w określaniu wieku obiektów oraz ludzkich i zwierzęcych kości. Pragniemy się też dowiedzieć, czy istnieje możliwość pobrania i sekwencjonowania materiału genetycznego z próbek kości. Chcielibyśmy zatrudnić Pana jako konsultanta przy naszym projekcie, chociaż – jak zapewne Pan się domyśla – mamy dość ograniczony budżet. Proszę o kontakt w celu omówienia tego ekscytującego przedsięwzięcia. Z poważaniem, dr Adam Newman, Dyrektor naukowy, Instytut Nauki Biblijnej".

Złożyłem list i sięgnąłem po kopertę, ale Stefan wyciągnął rękę.

– Pozwolisz?

Podałem mu kartkę. Przeczytał szybko i oddał mi list z pogardliwym spojrzeniem.

– Rób, jak uważasz, ale radzę ci się trzymać od nich z daleka. To szaleńcy. Współpraca z nimi może zniszczyć ci reputację.

Miranda oparła się na łokciach.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Moja koleżanka prowadziła wykopaliska w Qumran – powiedział. – Tam, gdzie znaleziono rękopisy. Komuś z tego tak zwanego instytutu nie spodobał się artykuł, który opublikowała. Podważał jej wnioski, próbował zniszczyć wiarygodność. Nawet jej groził. Bardzo nieprzyjemne.

– Dzięki za ostrzeżenie – powiedziałem, wkładając list z powrotem do marynarki.

– Ale odchodzimy od tematu – przypomniała mi Miranda. – C-14?

– A tak – sięgnąłem po kolejną łyżkę sosu. – Pycha. Jeśli, podkreślam: jeśli, kości z pałacu papieskiego mają dwa tysiące lat, w raporcie z badania znajdzie się coś w rodzaju „dwa tysiące BP plus minus 100". To oznacza: „dwa tysiące lat przed chwilą obecną, z marginesem niepewności stu lat w każdą stronę". Dość szerokim marginesem, innymi słowy. Więc kości pochodzące sprzed dwóch tysięcy lat mogą mieć dwa tysiące sto lub tysiąc dziewięćset lat.

– Właściwie – wtrącił się Stefan – to powinniśmy być w stanie bardziej precyzyjnie określić wiek kości. Jeśli uzyskamy dobrą próbkę, to metodą z wykorzystaniem akceleratora AMS możemy uzyskać informację na temat wieku z dokładnością do czterdziestu lat.

– Rany Julek! – powiedziała Miranda. – Jestem przyzwyczajona do określania czasu, jaki upłynął od śmierci w dniach czy tygodniach, nie mileniach. Jak to możliwe? – To było jedno z ulubionych powiedzonek Mirandy. Oznaczało: „Wyjaśnij, proszę", ale czasami – na przykład jeśli chodziło o hologramy laserowe 3D lub spektakularny zachód słońca – po prostu: „To niesamowite".

Stefan odłożył zapiekaną kanapkę z serem, którą dziobał powoli, i uśmiechnął się uśmiechem człowieka, który uwielbia słuchać własnego głosu.

– To urządzenie, spektrometr, liczy atomy węgla w próbce – wyjaśnił. – I oblicza stosunek trzech różnych izotopów, trzech różnych form węgla. Stosunek ten jest jak podpis... – przerwał, marszcząc czoło, potem podniósł palec, poprawiając się, i podjął: – *Non*, stosunek ten jest jak pieczęć czasu. Jak pieczęć czasu w mailu lub na filmie z kamery monitorującej. Możemy porównać go

do stosunku tych trzech izotopów w atmosferze w dowolnym okresie.

– Może jestem ciemna – nie dawała za wygraną Miranda – ale skąd wiadomo, jaki był stosunek tych izotopów dwa tysiące lat temu?

– Ach – rozpromienił się. – Wiemy to dzięki słojom drzew, z których możemy odczytać informacje na temat stosunku izotopów w powietrzu rok po roku. Przeanalizowaliśmy słoje drzew do dziesięciu tysięcy lat wstecz.

– My? – Miranda podniosła brwi – My, czyli ty i ja? Czy my, czyli ty i inni ludzie?

Stefan zmrużył oczy zirytowany.

– My, społeczność naukowców – powiedział cierpko.

Wytarłem serwetką usta, ukrywając uśmiech.

– Kiedy dowiemy się, które słoje wykazują ten sam stosunek izotopów co kości, *voilà*, będziemy wiedzieć, że mężczyzna zmarł w tym samym roku, w którym wytworzył się słój.

– Podoba mi się to – powiedziała Miranda. – Atomowy stoper. Atomowy łatwopalny stoper. Jest naprawdę tak dokładny i niezawodny?

– *Oui*, jasne. Słyszeliście o tak zwanym całunie turyńskim, w którym rzekomo pochowano Jezusa? – Miranda i ja skinęliśmy głowami. – Pamiętacie, kiedy tkanina została poddana analizie?

– Ja pamiętam – powiedziałem. – Miranda była pewnie wtedy jeszcze w pieluchach. To było ponad dwadzieścia lat temu.

– To był rok 1988 – doprecyzował.

– W 1988 roku nosiłam już długie spodnie – powiedziała Miranda – ale byłam zbyt zajęta poznawaniem literek w *Ulicy Sezamkowej*, żeby oglądać wiadomości z Watykanu.

– No więc – zaczął Stefan, przygotowując się do kolejnego miniwykładu – miliony ludzi wierzą, że całun turyński ma dwa tysiące lat, *oui*?

Boże, pomyślałem, on naprawdę lubi słuchać swojego głosu. Czy irytowało mnie po prostu jego samozadowolenie? Czy może byłem w jakimś sensie o niego zazdrosny? Czy nie podobała mi się jego bliskość z Mirandą? Czy bałem się, że zabiera moje miejsce jako jej mentora? Bez względu na powód, zacząłem żałować, że zgodziłem się im pomóc.

– Ale po raz pierwszy pojawił się – kontynuował – z całą pewnością tutaj, we Francji, w 1357 roku. Pobrano próbki...

– Chwileczkę – przerwała Miranda. – Całun turyński zaczął jako całun francuski? Naprawdę?

– Naprawdę – powiedział zniecierpliwiony. – Po raz pierwszy pojawił się w wiosce Lirey, niedaleko Paryża, w 1357 roku. Ale wierni mówią *non*, całun jest o wiele starszy. Więc w końcu w roku 1988 Watykan pozwolił naukowcom wykonać badania. Niewielki kawałek tkaniny został wycięty z jednego z rogów – wykonał gest cięcia – i jego fragmenty zostały rozesłane do trzech różnych laboratoriów. I *voilà*, wszystkie trzy laboratoria mówią to samo: całun pochodzi z XIV wieku. – Uśmiechnął się szelmowsko i pokazał na mnie. – Z tego samego wieku co Bill!

Miranda zachichotała, a ja się zrobiłem czerwony.

Wstałem od stołu.

– Wiecie co? Jestem bardzo zmęczonym starożytnym reliktem – powiedziałem.

– Daj spokój – Miranda próbowała załagodzić sytuację; wyglądała na skruszoną. – To tylko żart. Nie wychodź.

Machnąłem ręką.

– Nie ma sprawy. Zostańcie, zjedzcie deser. Znajdę drogę powrotną.

To była prawda – nie miałem problemów ze znalezieniem drogi powrotnej. Problemem było znalezienie drogi, która prowadziłaby do przodu.

ROZDZIAŁ 4

Zajrzałem przez ramię Mirandy na ekran jej laptopa.

– Dobra – powiedziałem. – Naciśnij przycisk. Poznajmy werdykt.

Zbliżało się południe, ale ani jeden promień słońca nie docierał do podziemnego pałacowego skarbca. Cały ranek mierzyliśmy kości. To nudne i czasochłonne zajęcie, dlatego tak przez nas pożądane: dobra wymówka, żeby nie podejmować tematu dziwnie zakończonej kolacji.

Miranda wprowadziła do laptopa wyniki kilkudziesięciu pomiarów i uruchomiła ForDisc, stworzony na Uniwersytecie Tennessee program, który porównuje wymiary niezidentyfikowanych kości z naszą bazą danych tysiąca szkieletów, których płeć, rasę i wzrost znamy. Czy ForDisc mógł rzucić światło na rasę i pochodzenie naszego N.N. – czy może J.Ch.?

Miranda przesunęła kursor i kliknęła.

– Rany, ale niespodzianka – powiedziała. – To facet.

Roześmiałem się – biorąc pod uwagę grubość czaszki i wąską miednicę, nie miałem wątpliwości, że szkielet należał do mężczyzny.

– Hm – zamyśliła się. – Zmierzyłeś wzrost bezpośrednio, tak?

– Tak, od głowy do stóp i dodałem co nieco ze względu na brakujące chrząstki.

– I jaki wynik uzyskałeś?

– Około 166 centymetrów.

– Hm – powtórzyła. – ForDisc twierdzi, że facet miał 175 centymetrów wzrostu.

– To dziwne. Naprawdę dziwne.

Czy moje pomiary mogły być aż tak niedokładne? Różnica wynosiła prawie dziesięć centymetrów! Zrobiłem krok do tyłu i spojrzałem raz jeszcze na szkielet. Nagle zdałem sobie sprawę z jego niezwykłych proporcji.

– Zobaczcie, jakie długie ma kończyny i jaki krótki tułów – powiedziałem do Mirandy i Stefana. – Ten facet był jak bocian.

ForDisc szacował wzrost na podstawie długości kości udowej i piszczelowej i zazwyczaj potrafił prawidłowo go określić. Ale wzór, według którego program wykonywał obliczenia, nie sprawdzał się w przypadku ludzi z nietypowo długimi nogami. To takie wyjątki stawiały przed nami wyzwania.

Oprogramowanie miało też inną słabość – wiek danych. ForDisc znał dobrze dziewiętnasto- i dwudziestowieczne szkielety, zwłaszcza szkielety białych Amerykanów, ale starsze kości to była *terra incognita*. Tak jak my, ForDisc nie wiedział, czy nasz mężczyzna pochodził z pierwszego czy czternastego wieku, z Palestyny czy z Paryża.

– Cholercia – mruknęła Miranda. – Potrzebujemy zaktualizowanej wersji ForDisc. Takiej, która daje możliwość podróży w czasie i zajrzenia w kryształową kulę.

Ja też byłem rozczarowany, ale Stefan nie wydawał się przejęty.

– Żaden problem. Pobierzmy próbki do badania radiowęglowego. Najważniejsze jest pytanie, czy kości mają siedemset czy dwa tysiące lat. Wolisz być dentystą czy chirurgiem ortopedą?

Przyniosłem piłę, jeśli chciałbyś pobrać próbkę z kości udowej – zwrócił się do mnie.

– Dentystą – odpowiedziałem bez wahania. – Wyrywanie zębów jest łatwiejsze. Poza tym unikniemy w ten sposób pyłu z kości. Co, jeśli ten facet zmarł na dżumę? Czy w czternastym wieku nie było jej epidemii? – Miranda skinęła. – Nie powinniśmy się martwić? Może powinniśmy założyć maski?

– Tak i nie – powiedziała Miranda. – Sytuacja na tych terenach była bardzo zła. Zainfekowany statek zakotwiczył w porcie w Marsylii w styczniu 1348 roku. Szczury ze statku zdołały dopłynąć do brzegu. Dżuma zaatakowała Awinion dwa tygodnie później. W ciągu kilku miesięcy zmarły dwie trzecie ludności, 20–30 tysięcy ludzi. Ciała gniły na ulicach, zapychały rzekę.

– Okropne – powiedziałem. – To musiało być piekło.

– Wielu ludzi winiło Żydów – kontynuowała. – W całej Europie wypędzano ich z miast. Wioski żydowskie były masakrowane. To było okropne. Ale tutaj ówczesny papież, Klemens VI, wziął Żydów w obronę. Mówił, że to nie ich wina. Dał im nawet schronienie.

– Odważny gość – stwierdziłem. – Mieszczanie mogli się zwrócić przeciwko niemu.

– Pewnie – zgodziła się. – Jak to mówią? Przyjaciel mojego kozła ofiarnego jest moim kozłem ofiarnym? Pałeczki dżumy nie hibernują tak jak niektóre inne bakterie.

– Skąd wiesz? – nie odpuszczałem.

– Przestudiowałam temat w zeszłym tygodniu po drodze do Awinionu. Artykuły na temat dżumy były moją pokładową rozrywką. – Mimo że nadal byłem dotknięty tym, jak potoczyła się nasza konwersacja przy stole, uśmiechnąłem się nieznacznie. – W Londynie – dodała – grupa naukowców próbuje zrekonstruować całą sekwencję jej DNA. Pobierają fragmenty z kości ofiar choroby

z czternastowiecznego cmentarza zadżumionych, ale mają trudności ze złożeniem całego genomu. Wniosek? Dżuma ma krótką żywotność i facet nie może nas zarazić.

– Dobra, przekonałaś mnie. Ale i tak wolę wyrwać ząb niż ciąć kość.

– Wyślijmy do laboratorium ząb trzonowy – zasugerował Stefan.

Trzymając żuchwę lewą dłonią, chwyciłem jeden z zębów mądrości pomiędzy kciuk i palec wskazujący. Lekko nim poruszyłem i poczułem niewielki opór, kiedy ząb zachwiał się w suchym zębodole. Poruszyłem nim nieco mocniej i zacząłem ciągnąć. Uwolniłem go ze szczęki ze słabym chrzęstem.

– Jak myślicie? – spytałem, podnosząc ząb, żeby Miranda i Stefan mogli mu się przyjrzeć. – Pierwszy wiek czy czternasty?

Miranda odpowiedziała pierwsza.

– Myślę, że to on. Przez duże O.

– Jezus? Naprawdę? – Wskazałem na zwyrodnienia w kręgosłupie. – Ale ten facet był stary – przypomniałem jej. – W moim wieku lub nawet starszy.

– Nie starszy – odparła. – Ciężej pracował i nadwerężył kręgosłup.

– Zadziwiasz mnie. Myślałem, że jesteś niedowiarkiem, Mirando.

Wzruszyła ramionami.

– Czasami lubię zaryzykować. Życie staje się dzięki temu bardziej interesujące.

Spojrzałem na Stefana.

– A ty? Jak głosujesz?

Wzruszył ramionami, wyglądał na znudzonego.

– Oczywiście interesujące by było, gdyby Miranda miała rację, ale to mało prawdopodobne. Myślę, że to kości z czternastego wieku.

Powiedział to obojętnym tonem, ale oczy mu błyszczały i zastanawiałem się, czy miał może większą nadzieję, niż przyznawał.

Chwyciłem plastikową torebkę, ale Miranda powstrzymała mnie, zanim wrzuciłem do niej ząb.

– Poczekaj. To nie fair. Nie powiedziałeś, co ty myślisz.

– Rany. Wiesz, że nie lubię takich spekulacji.

Podniosłem ząb i zacząłem mu się przyglądać. Był poszarzały, a linia dziąseł zaczęła się cofać podczas życia mężczyzny. W środku zęba zauważyłem duży ubytek. Czy ten brudny, psujący się ząb mógł należeć do człowieka, którego miliony na całym świecie uważały za Syna Bożego?

– Jestem pewien – powiedziałem w końcu – że ten mężczyzna zmarł pół roku temu, a ta cała szopka ma na celu ukrycie morderstwa.

O mało nie upuściłem zęba, kiedy Miranda uderzyła mnie w ramię. Mocno. Miała tę przypadłość. Nie pierwszy raz skarciła mnie tak, kiedy byłem według niej zbyt zuchwały.

– Nudziarz z ciebie – stwierdziła, ale oczy się jej śmiały, może z powodu mojej głupkowatości, a może dlatego, że znalazła wymówkę, by mnie uderzyć, i w końcu poczułem, że opuściliśmy pole minowe wieczornej konwersacji.

Wrzuciłem ząb do torebki. Stefan zabrał ją i miał już zamknąć, kiedy go powstrzymałem.

– Może powinniśmy wysłać dwa. Laboratorium poprosiło o jeden lub dwa, prawda?

– Jeden powinien wystarczyć, ale możemy wysłać dwa.

Znowu chwyciłem żuchwę i zacząłem wyciągać kolejny ząb trzonowy.

– Chwila – powstrzymał mnie.

Spojrzałem na niego.

– Nie trzonowy.

– Dlaczego?

– Bez powodu. Zabobon szalonego Francuza. Tym razem wyrwij... kieł.

– OK, to znaczy *oui, monsieur*, to ty jesteś szefem.

Zabrałem się do wyrywania kła. Trzymał się mocno. To kształt zęba sprawiał, że trudniej go było wyciągnąć. Musiałem użyć szczypców. Ząb wyszedł, ale korzeń złamał się w szczęce, w wyniku czego kieł miał dziwną, płaską podstawę. Postawiłem ząb pionowo na stole dla zabawy, a potem włożyłem do torebki, gdzie z cichym trzaskiem wylądował obok zęba trzonowego.

– Gdzie jest to laboratorium? – spytałem. – W Paryżu?

– *Non, mon ami.* Nie, mój przyjacielu. Zgadnij.

– W Oksfordzie? To tam testowali całun turyński, prawda?

– Pudło. Nie zgadniesz. Zęby wysyłamy do Miami.

– Na Florydę? Dlaczego?

– Bo tam znajduje się największe laboratorium radiowęglowe. Nazywa się Beta Analytic. Mają biura w Europie, Azji i Australii – ale to tylko biura. Jedyne laboratorium jest w Miami. Są tam dwa spektrometry AMS i pięćdziesiąt dwa scyntylatory cieczowe.

– Co to jest scyntylator cieczowy? – Zanim odpowiedział, machnąłem ręką. – Nieważne, nie muszę wiedzieć. Ile to potrwa? Tydzień? Miesiąc?

– *Pas du tout*, wcale nie! Jeden lub dwa dni od otrzymania próbki. W zeszłym roku wysłałem im kość kozy z wykopaliska w Turcji z pierwszego wieku. Cztery dni później miałem wyniki.

– Sprawdzenie prac studentów z jednej grupy zajmuje mi więcej czasu – powiedziałem. – Badanie musi być kosztowne.

– Nie jest źle. Będzie kosztować osiemset euro, czyli tysiąc dwieście dolarów. To niemało, ale jeśli okaże się, że to kości Chrystusa, to niewielka cena za tę wiedzę, *n'est-ce pas?*[4]

– Jezu! – wykrzyknęła Miranda, a potem roześmiała się z tej niezamierzonej dwuznaczności. – Tylko pomyślcie. Jeśli Maryja na toście może kosztować trzydzieści tysięcy dolców...

– Co proszę? – poczułem, że się gubię. – Maryja? Tost? O czym ty mówisz?

– O świętej kanapce.

Byłem jeszcze bardziej zdezorientowany.

– Czy dla ciebie świat poza Trupią Farmą nie istnieje? – Przewróciła radośnie oczami. Jedną z jej ulubionych rozrywek było doprowadzanie mnie do szewskiej pasji. – Jakaś kobieta na Florydzie ugryzła zapiekaną kanapkę z serem i zaważyła, że na pieczywie wypalony został wizerunek Maryi. Kobieta zamknęła chleb w pojemniku i trzymała na stoliku nocnym przez dziesięć lat. Potem sprzedała go na eBayu. Jakieś kasyno online kupiło go za trzydzieści tysięcy dolców.

– Co za dziwaczna historia – powiedziałem.

Od razu nasunęło mi się kilka pytań. Czy był to chleb razowy? Dlaczego schowała go do pojemnika, a nie do torebki śniadaniowej? Czy Maryja nie pokryła się pleśnią? Doszedłem jednak do wniosku, że nie ma co się zagłębiać w ten temat.

– Jestem porażony i nie wiem, co powiedzieć.

– Chwała Panu i podaj ketchup – zażartowała. – W każdym razie ktoś zapłacił trzydzieści kawałków za Maryję na kromce chleba. Ile w takim razie można byłoby dostać za kości Jezusa? Nie planujesz ich sprzedać na eBayu, co, Stefan?

– *Non*, nigdy – uśmiechnął się krzywo. – Ludzi, którzy kupują na eBayu być może stać na świętą kanapkę, ale nie na kości Boga.

Szpital w Awinionie, kompleks betonowo-szklanych budynków, leżał kilka kilometrów od muru obronnego otaczającego miasto. Kontrast pomiędzy średniowiecznym miastem i współczesnymi przedmieściami był uderzający, zwłaszcza że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zafundowano mi także wycieczkę w czasie. Oczywiście mocne uderzenia tarana nowoczesności przebijały się przez szańce miasta. Oprócz zabytkowych budynków w Awinionie były samochody, komputery, a nawet kilka segwayów. Ale były to trywialne, ulotne artefakty. Wydawały się jedynie przesuwać po powierzchni miasta jak owady po stawie bez penetrowania głębi czy wprowadzania zmian w średniowiecznej esencji miasta. Poza murami starówki Awinion nie różnił się aż tak bardzo od Knoxville, a szpital mógłby znaleźć się na każdym przedmieściu w Stanach Zjednoczonych, i nie wyglądałby tam nie na miejscu.

Ale głębszy i bardziej interesujący kontrast czekał nas w szpitalu, zwłaszcza w Clinique Radiologique, gdzie przynieśliśmy czaszkę, żeby wykonać tomografię komputerową: stare kości i technologia XXI wieku.

– Wiesz, że nie istnieją żadne naukowe przesłanki do wykonania tomografii? – spytała, nie po raz pierwszy, Miranda.

– Istnieją – powtórzyłem.

– Nie istnieją. Przyznaj, że tracimy czas i promienie rentgenowskie dla zabawy.

– O ty człowieku małej ciekawości – odpowiedziałem. – O ty szyderco, nikczemny błaźnie. Zebraliśmy się tutaj w duchu badania naukowego.

Trzymałem czaszkę w pudełku nad głową, jakbym był księdzem, a czaszka relikwią – którą przecież mogła się okazać.

– Poza tym, nie chcesz się dowiedzieć, jak wyglądał?

– Pewnie, że chcę. To będzie świetna zabawa.

Pokręciłem głową, zirytowany i rozbawiony. Była uparta. I miała rację oczywiście. Czy istniała lepsza zabawa niż stworzenie rekonstrukcji twarzy kogoś, kto mógł – prawie z pewnością nie był, ale mógł być – Jezusem? Twarz tę miał dla nas na podstawie zdjęcia 3D „wyrzeźbić" w wirtualnej glinie policyjny rysownik.

Stefan przekonał znajomą z oddziału radiologii szpitala, żeby przeprowadziła tomografię. Zaparkowaliśmy na doku załadunkowym obiektu za dwoma niskimi wieżami i przeszliśmy labiryntem korytarzy dla obsługi. Po niezliczonych zakrętach, które sprawiły, iż żałowałem, że nie zostawiłem za nami szlaku z okruszków (szpital był prawie takim samym labiryntem jak pałac, choć lepiej oświetlonym), dotarliśmy do korytarza dostępnego dla pacjentów i odwiedzających i poszliśmy za napisem, który nawet ja byłem w stanie przetłumaczyć z francuskiego: RADIOLOGIE.

Znajoma Stefana okazała się atrakcyjną młodą kobietą o imieniu Giselle, której identyfikator wskazywał na to, że była MANIPULATRICE ERM, co najwyraźniej oznaczało, że była technikiem radiologicznym. Zaprowadziła nas do sali z dużym urządzeniem w kształcie donata i zwróciła się do mnie.

– *Monsieur, s'il vous plaît.*

„Proszę, proszę pana". Mój francuski poprawiał się z minuty na minutę, pomyślałem. Ale musiałem skorygować swoją opinię, kiedy dodała:

– *Mettez-le ici*[5].

Widząc moje zmieszanie, pokazała na pudełko, które trzymałem pod ramieniem, a potem na stół tomografu. Skinąłem. Wyjąłem czaszkę i ostrożnie ułożyłem ją na poduszce zaoferowanej przez Giselle, a potem owinąłem ręcznikiem podstawę czaszki, żeby była stabilna. Sprawdziłem, czy żuchwa została prawidłowo wystawiona

w punktach zawiasów, i kiwnąłem do Giselle. Zaprowadziła nas do konsoli. Patrzyłem przez grube okno z szybą z ołowiem – mniej eleganckie, ale dające większą ochronę niż ołowiane witraże kaplic w Awinionie – jak stół tomografu wysuwa się i wsuwa z głowicy urządzenia. Warstwa po warstwie promienie rentgenowskie przeszywały kości, a komputer rejestrował ich różne gęstości. Linia za linią szczegółowy obraz czaszki materializował się na ekranie. Kiedy było po wszystkim, Giselle zaczęła powoli obracać obraz i przyjrzała mu się ze wszystkich stron, upewniając się, że cała czaszka została dokładnie odwzorowana. Szczegółowość zdjęcia była zadziwiająca, podobnie jak łatwość, z jaką *manipulatrice* manipulowała obrazem: usunęła na przykład wierzch czaszki, żeby odsłonić podstawę jej sklepienia, i otworzyła małe pieczary przednich zatok czołowych. Kiedy poznawaliśmy w ten sposób ukryte, wewnętrzne tajemnice czaszki, zacząłem się zastanawiać jak Miranda: „Jak to możliwe?".

Joe Mullins znajdował się prawie pięć tysięcy kilometrów na zachód, ale już dziesięć minut po zeskanowaniu czaszki przez Giselle w Awinionie patrzył na nią w Alexandrii w stanie Wirginia.

Joe był rysownikiem policyjnym Narodowego Centrum Dzieci Zaginionych i Wykorzystywanych, organizacji o długiej nazwie, którą miłosiernie skracał do Centrum Dzieci. Po skończeniu akademii sztuk pięknych na wydziale malarstwa i rysunku Joe skierował się w dość niezwykłe rejony zawodu. Zamienił swoje pędzle oraz palety na komputer i sondy 3D do digitalizacji. Porzucił puste płótna, a wziął się do niezidentyfikowanych czaszek, na podstawie których rzeźbił twarze z wirtualnej gliny. Joe pomagał w ten sposób policji i zwykłym obywatelom w identyfikacji ofiar przestępstw.

Pracowałem z Joem przy sprawie skatowanych na śmierć chłopców ze szkoły na Florydzie, ale sprawa awiniońska różniła się od tamtego przypadku. Przede wszystkim już znaliśmy tożsamość, lub przynajmniej rzekomą tożsamość: Jezus z Nazaretu. Ale czy była prawdziwa? ForDisc nie był w stanie rzucić na szkielet więcej światła, ale być może rekonstrukcja twarzy przeprowadzona przez Joego pomoże nam stwierdzić, czy nasz człowiek był żyjącym w pierwszym wieku naszej ery Żydem z Palestyny.

Joe nie patrzył oczywiście na prawdziwą czaszkę. Po tomografii Giselle i Miranda przesłały ogromny plik z obrazem 3D na Dropboxa. Joe pobrał plik i, jak mówią Francuzi, *voilà.*

Sprawa nie wiązała się z zaginionym lub wykorzystywanym dzieckiem, więc Joe nie mógł się nią zająć w swoich normalnych godzinach pracy. Ale był gotów zrobić to w wolnym czasie. Kiedy wysłałem mail z zapytaniem, czy miałby ochotę nam pomóc – i to szybko – obiecał, że jeśli wyślemy zdjęcie do piątku po południu, to skończy do poniedziałku.

Mój telefon zadzwonił.

– Hej, mam go na ekranie – to był Joe. – Co możesz mi powiedzieć o tym facecie?

– Niewiele, Joe. – Nie chciałem mącić mu w głowie, zdradzając, co znaleźliśmy na wieku ossuarium. – Dorosły mężczyzna. Być może po pięćdziesiątce lub sześćdziesiątce. Może być z Europy albo Bliskiego Wschodu.

– Rany, no to dopiero ograniczyłeś krąg podejrzanych.

– Nie wspomniałem o Afryce ani Azji, ani rdzennych Amerykanach – uniosłem się. – To już coś.

– Niech ci będzie. Małe coś.

– Brzmisz jak moja asystentka Miranda. Strasznie przemądrzała.

Roześmiał się.

– Ta Miranda wydaje się fajna. Szuka może faceta?

Rany, pomyślałem.

– Dam ci jej numer – zaoferowałem.

ROZDZIAŁ 5

– Mamy poszukać wędek – zażartowałem – i zobaczyć, co uda nam się złowić z tego eleganckiego molo?

Miranda, Stefan i ja staliśmy na zabytkowym kamiennym moście, który kończył się w połowie szerokości Rodanu. Po opuszczeniu szpitala Stefan skierował się do „Lumani", ale kiedy przejeżdżaliśmy pod mostem, zachwyciłem się czterema uroczymi przęsłami. W odpowiedzi Stefan zjechał na pobocze, zatrzymał samochód, zaparkował i poprowadził nas przez wieżę na most, czy raczej to, co z niego zostało.

– Żadnego wędkowania – odpowiedział na moje pytanie. – Nie chciałbyś jeść niczego pochodzącego z Rodanu.

Spojrzałem na szmaragdową wodę.

– Wygląda na czystą – zdziwiłem się i oparłem o metalową balustradę, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Uważaj – ostrzegł. – To stara balustrada. Widzisz, tam brakuje kawałka. – Pokazał na lukę odgrodzoną pomarańczową taśmą. – W rzece pełno jest chemikaliów przemysłowych – kontynuował. – Okropne toksyny i związki rakotwórcze. Nie tylko w wodzie. Osad na dnie rzeki też jest nimi przesiąknięty.

– Dobra, przekonałeś mnie – powiedziałem. – Nie będę wędkował, pływał i jadł błota. To i tak jest piękna rzeka.

Skrzywił się.

Kilka kroków dalej Miranda zaczęła nucić po francusku piosenkę: *Sur le pont d'Avignon, l'on y danse, l'on y danse*[6]. Za chwilę dołączył do niej Stefan, zaczynając wers później, tak że śpiewali w kanonie. Miranda i ja nigdy nie śpiewaliśmy razem, a tym bardziej kanonów, uświadomiłem sobie z ukłuciem zazdrości. W połowie zwrotki Miranda pogubiła się i w rezultacie dokończyła ze Stefanem ostatnie dwa wersy.

– Cholera – zaśmiała się. – To znaczy *merde*. Nie umiem śpiewać w kanonie. Brakuje mi muzycznej pewności siebie.

– Co to za piosenka? – spytałem. – Skąd ją znasz?

– Mówi o tańczeniu na tym moście, *pont d'Avignon*. Mama mi ją śpiewała jako kołysankę. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

– Ma wiele głupich zwrotek – dodał Stefan. – Ty tańczysz, ja tańczę, wszyscy tańczymy. Dziewczęta tańczą, chłopcy tańczą. Lalki tańczą, żołnierze tańczą. Żaby. Goryle.

– Żaby i goryle? Moja mama nigdy o nich nie wspominała – powiedziała Miranda. – Śpiewała tylko w kółko pierwszą zwrotkę. Nic dziwnego, że mnie to usypiało. To było takie nudne! Mówiąc szczerze, uciełabym sobie teraz drzemkę. – Ziewnęła teatralnie.

Pośrodku mostu stał mały, stary i zniszczony kamienny budynek, który częściowo zagradzał drogę. Tył budynku wystawał nad wodę, wspierany przez jedną z podpór mostu.

– Fajna chatka do wędkowania – zauważyłem.

– Kaplica świętego Bénézeta – powiedział Stefan.

– Świętego kogo?

– Bénézeta, inaczej Benedykta – wyjaśniła Miranda. – Dzieciaka, który zbudował ten most.

– Ten most?

Skinęła.

– Zbudował go dzieciak?

– Tak. Może nastolatek. Trudno powiedzieć. Według tradycji „młody pastuch". Czytałam o tej historii po tym, jak Stefan mnie tu przyprowadził.

Nagle most stał się mniej ekscytujący. Podążaliśmy trasą, którą oni pokonali razem już wcześniej.

Ale Miranda kontynuowała:

– Dzieciak pilnuje trzody i nagle doznaje wizji. Anioł zstępuje z nieba i mówi, że Bóg każe chłopcu wybudować tutaj most. Więc Benek przekazuje tę wiadomość biskupowi Awinionu. Biskup na to: „Bo ci uwierzę, siuśmajtku...".

– Zaczekaj – przerwałem. – Naprawdę biskup powiedział: „Bo ci uwierzę, siuśmajtku..."?

Spojrzała na mnie.

– Myślisz, że biskup powiedział: „Raczysz sobie ze mię żartować, młodzieńcze?".

– Dobra, panno mądralińska. „Bo ci uwierzę, siuśmajtku..." jest bardziej prawdopodobne.

– W każdym razie – podjęła – biskup powiedział... Uwaga, parafrazuję... „Dobra, młody, jeśli chcesz, bym uwierzył, że przysłał cię Bóg, musisz to udowodnić. Widzisz ten ogromny głaz? Trzydziestu mężczyzn nie może go unieść. Jeśli tobie się uda, uwierzę ci, jeśli nie, wrócisz na swoje pastwisko i przestaniesz mi zawracać głowę". Więc dzieciak...

– Młody Benedykt?

– Nasz Benek. Benek podchodzi do głazu i podnosi go małym palcem...

– Jednym małym palcem?

Przewróciła oczami z irytacji.

– Może użył obu. Chodzi o to, panie czepialski, że Benek podniósł ogromny kamień, wrzucił go do rzeki i budowa mostu została

rozpoczęta. Siedem lat później, gdy budowa nadal trwała, Benedykt zmarł w wieku około dwudziestu pięciu lat.

– Z przepracowania?

Wzruszyła ramionami.

– Z przepracowania. Niedożywienia. Choroby świętych. Kto wie? Zapisy historyczne nie mówią zbyt wiele na temat przyczyn śmierci.

– To dlatego most sięga tylko do połowy rzeki?

– Nie. Kiedy Benedykt zmarł, prace były na tyle zaawansowane, że most udało się dokończyć bez niego. Ale może budowniczowie nie mieli tak cudownych zdolności jak on, bo po czterystu czy pięciuset latach większość przęseł się zawaliła. W każdym razie ciało Benedykta spoczęło w krypcie w tej uroczej kaplicy, którą zbudowano na jego cześć.

– Wciąż tu jest?

– Jasne. Rozbijesz sobie za chwilę o nią nos.

– Nie kaplica, ciało. Jest nadal w kaplicy?

– *Non* – odpowiedział Stefan, który nie odzywał się przez (jak na niego) bardzo długi czas. – Podczas rewolucji francuskiej, żeby ochronić zwłoki, przeniesiono je do klasztoru leżącego poza miastem.

Nie mogłem powstrzymać się przed zażartowaniem, chociaż wiedziałem, że wywoła to kolejny miniwykład.

– Nawet zmarłych gilotynowano w czasie rewolucji?

– Rewolucjoniści uważali religię za przejaw tyranii – zaczął, i moje obawy się potwierdziły. – W całej Francji burzyli kościoły, niszczyli pomniki religijne i inne symbole opresji.

Chroń nas, Boże, przed opresją – pomodliłem się – i nudziarzami.

– Nie odbiegajmy od tematu – przerwała mu Miranda. – Na pewno zainteresuje cię pewien fakt dotyczący Benedykta. Jest jednym z nienaruszonych.

– Słucham?

– Był nienaruszony – zatrzymała się i pokazała na kamienną kaplicę, której drzwi wychodziły na most. – Zwłoki Benedykta, spoczywające tam przez setki lat, nie uległy rozkładowi. Jeden z papieży w siedemnastym wieku ogłosił go z tego powodu jednym z nienaruszonych.

– Nienaruszony – powiedziałem powoli. – Brzmi, jakby był członkiem grupy superbohaterów walczących z korupcją i łapówkarstwem. „Na święty fundusz hedgingowy, Mirando, ktoś na giełdzie nielegalnie obraca papierami wartościowymi! To robota dla Nienaruszonych".

Jęknęła zgodnie z moimi przewidywaniami. Ale miała rację, zaciekawiło mnie to, że ciało świętego Benedykta nie uległo procesowi rozkładu. Katolicy uważali to za znak świętości, ale ja patrzyłem na to przez pryzmat nauki. Kilka lat wcześniej badałem zwłoki zamordowanej młodej kobiety w ciąży, które przez trzydzieści lat spoczywały ukryte w jaskini. Było tam zimno i wilgotno. Dzięki temu tkanka miękka zmieniła się w wyniku saponifikacji w masy tłuszczowo-woskowe. Przeobrażenie było tak kompletne, że kobieta nieomal mogłaby posłużyć za eksponat w muzeum figur woskowych. W kostnicy popatrzyłem na jej piękne rysy, a potem spryskałem zwłoki gorącą wodą, obserwując ze zdziwieniem, jak jej uroda i na wpół uformowane dziecko rozpuszczają się jak słodki sen w sierpniowym upale.

Pomyślałem o niej – tej uroczej młodej kobiecie, która przez dziesięciolecia była „nienaruszona" – stojąc na zabytkowym moście przy kaplicy, gdzie pastuszek odgrywający rolę inżyniera przez wieki leżał wystawiony na widok publiczny.

Według Stefana przeprowadzka do zakonu nie posłużyła Benedyktowi. Zakonnice, którym powierzono jego ciało, kilka lat

po rewolucji otworzyły trumnę świętego, aby wierni mogli lepiej oddawać cześć jego zakonserwowanym szczątkom. Można sobie jedynie wyobrazić ich rozczarowanie, kiedy odkryły, że cud się zdewaluował, a śmiertelna powłoka świętego niezauważenie dla ludzi ulotniła się bez wtóru anielskich trąb.

Za to wydawało się, że my przyciągamy uwagę. Kiedy raz jeszcze oparłem się nieostrożnie na balustradzie mostu Świętego Benedykta, obserwując długą, wąską łódź przepływającą pod ostatnim z przęseł, Miranda położyła mi dłoń na ramieniu.

– Nie patrz teraz – wycedziła. – Ale ktoś nas obserwuje.

– Gdzie?

Starając się przybrać wygląd turysty, podniosłem wzrok i pokazałem ręką na twierdzę na brzegu rzeki, jakbym wskazywał ją Mirandzie. Spojrzała w tamtą stronę z uśmiechem i zaczęła mówić na tyle głośno, żebyśmy obaj ze Stefanem ją słyszeli.

– W dole rzeki. Jakieś sto metrów stąd. Przy parkingu. Stoi tam taki czerwono-niebieski znak. Facet w kapeluszu za znakiem, z lornetką przy oczach. Nie patrzcie jeszcze.

Obróciłem się powoli i tylko przelotnie spojrzałem na opisanego przez Mirandę mężczyznę, a następnie przeniosłem wzrok na katedrę i pałac papieski.

– Masz rację – potwierdziłem. – Ma największą lornetkę świata. I skierował ją wprost na nas.

– *Merde* – zaklął pod nosem chwilę później Stefan. – Teraz wyjął aparat. Z wielkim teleobiektywem. – Podniósł rękę, podwinął rękaw i sprawdził godzinę. – *Allons-y*. Chodźmy. Przejdźcie na drugą stronę mostu, żeby nas nie widział. Potem damy nogę.

Wróciliśmy, trzymając się drugiej strony mostu. Tym razem nie było śpiewania ani tańczenia. Kiedy wyszliśmy z wieży i pobiegliśmy do samochodu, spytałem:

– Czy któreś z was mu się przyjrzało?

– *Non*.

– Niestety nie – odpowiedziała Miranda. – Biały mężczyzna w płóciennym kapeluszu i z czarną lornetką. To zawęża krąg podejrzanych do jakiegoś pierdyliona ludzi.

Przypomniało mi się, jak nerwowo zachowywał się Stefan w czasie podróży z Marsylii do Awinionu i wówczas, gdy usłyszeliśmy hałasy w skarbcu. Postanowiłem wtedy zignorować jego paranoję czy może jego zbyt wysokie mniemanie o własnej ważności, ale teraz musiałem przemyśleć swoją decyzję.

– Czy ktoś śledził was wcześniej?

– *Oui* – potwierdził. – Nic tak oczywistego jak lornetka i aparat, ale myślę, że tak.

– Kiedy to się zaczęło?

Wzruszył ramionami.

– Kilka dni temu.

– Może dzień przed twoim przyjazdem – dodała Miranda. – Pamiętasz, Stefan? Ktoś zadzwonił, kiedy jedliśmy lunch, ale od razu się rozłączył.

– Ach, *oui*. A potem wydawało ci się, że ktoś za nami idzie do Palais...

– Ale kiedy się odwróciliśmy, dał nura w jakąś uliczkę i tyle go widzieliśmy – dodała. – Stałam się bardzo podejrzliwa. Facet w kawiarni dziś rano – uśmiechnął się, bo mu się podobałam, czy może tylko udawał, że chce poflirtować, by mi się dobrze przyjrzeć? Kobieta w lobby hotelowym – czy naprawdę czytała gazetę? Teraz mam taką paranoję, że nawet ty, doktorku, wydajesz mi się podejrzany, wiesz?

Wiedziałem i postanowiłem zadzwonić do Tennessee, gdy tylko będę sam.

– Stone, słucham.

– Rocky, tu Bill Brockton.

Oparłem się o drzwi budynku w wąskiej uliczce, która znajdowała się tuż za rogiem od hotelu Mirandy. Moja doktorantka wróciła do pokoju poczytać przez godzinę maile, a Stefan poszedł do sklepu z elektroniką po detektor ruchu i alarm do skarbca. Miałem wolne aż do siódmej, kiedy to umówiłem się z Mirandą na kolację.

– Myślałem, że jesteś we Francji – powiedział Stone. – Wymyśliłeś tę opowiastkę, żeby przelecieć się helikopterem?

– Nie, jestem we Francji, Rocky. Muszę się dowiedzieć, czy istnieje możliwość – choćby niewielka – że jeden z twoich przemytników wybrał się tu za mną.

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

– Mówisz poważnie?

– Niestety – potwierdziłem. – Wiem, że to mało prawdopodobne, ale muszę wiedzieć. Ktoś nas obserwuje – mnie, Mirandę i tego francuskiego archeologa, z którym współpracujemy.

– Jesteś pewien? Co się dokładnie stało?

– Zauważyliśmy, że ktoś podglądał nas przez lornetkę. Potem zmienił lornetkę na aparat z teleobiektywem.

– A może to po prostu turysta, który podziwiał widoki?

– Nie sądzę, Rocky. Ogromna lorneta, a potem obiektyw szerokokątny? Co byś pomyślał, gdyby ktoś skierował je w twoją stronę?

– Pomyślałbym: „Cholera jasna".

– Zatem uważasz, że ktoś mógł za mną przyjechać do Francji?

– Wątpię – odparł, ale wyczułem w jego głosie wahanie. Westchnął. – Nie mogę jednak tego całkowicie wykluczyć. Gdzieś mamy przeciek. Nie wiem, gdzie, ale kolejna operacja spaliła

na panewce. Może wiedzą, że cię wezwaliśmy. Jeśli tak jest, wiedzą też, że będziesz ważnym świadkiem na procesie. Przykro mi. Miałem do ciebie zadzwonić, jesteś na mojej liście, ale staram się najpierw ostrzec kilku moich ludzi w terenie, zanim będzie za późno.

– Rozumiem – powiedziałem. – Wracaj do pracy. Powodzenia, Rocky.

– Dzięki. Zadzwonię, jak tylko czegoś się dowiem. A tymczasem uważaj na siebie.

Zakończyłem rozmowę i nagle poczułem, że upadam do tyłu. Krzyknąłem i w odpowiedzi usłyszałem pisk. Wylądowałem na czyichś kończynach. Chwilę później pomagałem wstać rozzłoszczonej Francuzce – po tym, jak otworzyła drzwi, o które się opierałem. Zażenowany własną niezdarnością – i niemożnością powiedzenia niczego poza *pardon, pardon* w ramach przeprosin – oddaliłem się chyłkiem i skręciłem za róg.

– To nie jest paranoja – pocieszałem się – jeśli naprawdę chcą cię dopaść.

ROZDZIAŁ 6

– Dobra, możesz już otworzyć oczy – powiedziałem.

Zrobiła to i po chwili zapiszczała.

– Mega! Elegancki hotel noszący moje imię!

– Zjemy tu kolację.

– Super! To... miłe, szefie.

Staliśmy z Mirandą przed hotelem „La Mirande", eleganckim pudełeczkiem na klejnoty, wciśniętym między budynki przy ślepej uliczce za pałacem papieskim. Na „La Mirande" natknąłem się

czterdzieści minut wcześniej, chwilę po tym, jak pożegnałem nieco poobijaną, wzburzoną Francuzkę.

Nigdy nie gościłem w tak eleganckim hotelu i na pewno nigdy nie miałem gościć – ceny pokoju za noc zaczynały się od sześciuset euro – ale jak mógłbym nie zabrać Mirandy do renomowanej restauracji w hotelu o jej imieniu? Poza tym Stefan był zajęty kupowaniem detektora ruchu i alarmu. Spokojna kolacja była okazją do porozmawiania z Mirandą w cztery oczy. I poznania historii jej znajomości z pretensjonalnym nudziarzem, który wkrótce mógł zostać najsłynniejszym archeologiem świata.

Z kieszeni wyciągnąłem błyszczącą broszurę.

– Tutaj jest notka na temat hotelu.

Spojrzała i roześmiała się.

– To istna architektoniczna erotyka, moja ulubiona. Posłuchaj: „Dzięki niepowtarzalnej ponadczasowej osiemnastowiecznej stylistyce wystroju hotel zapewnia autentyczne doświadczenie i niezapomniane doznania... Za swoją olśniewającą fasadą »La Mirande« emanuje słodkim stylem życia przeszłości".

Spojrzała na fasadę, elegancką neoklasyczną kompozycję z kamienia w kolorze masła, na okna z maszkaronami i aniołami, bogami i boginiami, które wyglądały jak lukrowane kamienne wypieki.

– Rzeczywiście wspaniała fasada – zgodziła się. – Fasada – dodała – pochodzi z siedemnastego wieku, ale budynek powstał w czternastym, kiedy kardynał, bratanek papieża Klemensa V, pobudował tutaj pałac. – Hotel jej się wyraźnie spodobał, co mnie bardzo ucieszyło. – Chodźmy do środka i pokażmy im, jakimi jesteśmy wytwornymi kosmopolitami.

Jeśli fasadę hotelu można było nazwać olśniewającą, to bogactwo jego wnętrza przyprawiało o zawrót głowy. Wszędzie iskrzyły się

kryształowe żyrandole i kinkiety; obrazy, rzeźby i kwiaty prezentowały się na tle pozłacanych tapet, brokatowych zasłon, zdobionych boazerii, ogromnych kanap i foteli. Na wewnętrznym dziedzińcu rozstawiono stoły, na których paliły się świece; podobnie jak w ogródku, z którego roztaczały się spektakularne widoki na podświetlone mury pałacu papieży. Miranda biegała z miejsca na miejsce, od rzeźby do rzeźby z twarzą promieniejącą radością.

– To zachwycające miejsce! – krzyknęła. – Pewnie na kolację wydamy równowartość moich rocznych zarobków, ale co tam... Tu jest przecudownie.

Roześmiała się, fontanna radości.

– Wiem, że pieniądze szczęścia nie dają, ale, cholera jasna, mogą otworzyć drzwi do miejsc, które dają prawdziwą radość.

Zjedliśmy w jednym z takich miejsc w rogu hotelowego ogrodu przy oświetlonym świecami stole zasłanym lnianym obrusem. Kolorowe światełka mrugały na drzewach wokół nas, nad nami widoczne były urocze okna papieskiej kaplicy, a po obu stronach – wieże pałacu.

Byliśmy w połowie kolacji – piersi z kaczki dla mnie i „złapanego na wędkę" okonia dla niej – zanim zebrałem się na odwagę i zarzuciłem własną przynętę, chcąc wydobyć z Mirandy jakieś informacje o Stefanie. Zdałem sobie sprawę, że kiedy nie byłem zajęty najeżaniem się z powodu jego pretensjonalności, byłem na niego zły ze zgoła innej przyczyny. Widziałem, jak na nią patrzył, słyszałem, jak ona mówiła do niego. Znali się bardziej niż zwykli koledzy z pracy, była to znajomość, która mogła teraz lub w przeszłości oznaczać dużo większą dozę intymności. To nie moja sprawa, skarciłem się, ale to nie powstrzymało mnie od zadania pytania.

– Stefan to ciekawy facet – powiedziałem od niechcenia. – Przypomnij mi, jak go poznałaś.

Jej świdrujący wzrok zdradził, że nie dała się zwieść. Wiedziała, że chcę ją pociągnąć za język, ale i tak odpowiedziała.

– Pamiętasz, kiedy byłam na wykopaliskach w Gwatemali po moim pierwszym roku na studiach doktoranckich? – Skinąłem głową. – Był szefem ekipy. Pracowałam pod nim. – Podniosłem brwi, słysząc to wyrażenie.

Spodziewałem się, że przewróci oczami i odpowie mi sarkastycznie. Zamiast tego zaczerwieniła się i spojrzała na rybę w sosie maślanym i wodorostach.

– Przepraszam, Mirando. Nie chciałem cię zawstydzić. To miał być żart.

Podniosła wzrok. Spojrzała nieco prowokująco, ale również jakby bała się zostać zraniona.

– Nie ma sprawy. Należy mi się za to, że nie zareagowałam na to, jak Stefan cię potraktował. W Gwatemali nawiązaliśmy romans. To był błąd. Byłam dzieckiem, a on był moim szefem. Do tego żonatym, choć powiedział, że tak naprawdę to nie ma znaczenia, bo Francuzi mają inne podejście do niewierności. „Popieramy romanse pozamałżeńskie" – powiedział. Dokładny cytat. On popierał, ale okazało się, że nie jego żona.

– Skąd wiesz?

– Bo przyleciała do Gwatemali. Zrobiła mu niespodziankę na urodziny. Wielką niespodziankę. Kiedy znalazła mnie w jego namiocie, rzuciła się na mnie z pazurami.

– Ach. To rzeczywiście oznacza pewien stopień dezaprobaty.

– Złapała najbliższy samolot do domu i szybko się rozwiodła ze Stefanem. – Miranda wypiła duży łyk czerwonego wina. –

Głupio mi, że nadal mi z tego powodu głupio. Minęło pięć lat. Nie powinnam się przejmować.

– Kto tak mówi?

– Ja. Mój wewnętrzny krytyk. Moje przyjaciółki, które wdają się w romanse bez zbędnych ceregieli i zachowują się tak, jakby pójście z kimś do łóżka było tym samym co pójście z kimś do parku na spacer albo zabranie się tą samą taksówką. Ja po prostu nigdy chyba nie byłam tak nonszalancka, jeśli chodzi o seks.

Obróciła nóżkę kieliszka między palcami, wino zawirowało w środku, a następnie wróciło na miejsce.

– Czuję się też winna rozpadu małżeństwa Stefana. Gdyby nie ja, to być może byłby jeszcze żonaty.

– Być może. Ale może nieszczęśliwie. Teraz wydaje się dość szczęśliwym facetem. Nadętym, ale szczęśliwym dupkiem – powiedziałem a ona się uśmiechnęła. – Tak czy inaczej, gdyby żona nie przyłapała go z tobą, to złapałaby go z kimś innym, nie sądzisz?

– Bez wątpienia. Chciałabym wierzyć, że jestem wyjątkowa, ale prawdopodobnie nie byłam jedynymi... zajęciami pozalekcyjnymi Stefana.

– Pewnie miał niezłą nawijkę. „Ach, *chérie*, jestem Francuzem. Muszę, jak to się mówi, *chercher la femme*, muszę szukać kobiety. Nie? *Oui!*".

Roześmiała się, a ja byłem podwójnie zadowolony – że się śmiała i że śmiała się ze Stefana.

– Ale wiesz co, Mirando? – Zajrzałem jej prosto w oczy, patrzyła na mnie wesoło. – Nawet jeśli Stefan jest dupkiem i kobieciarzem, to nie znaczy, że się mylisz co do swojej wyjątkowości. Jesteś wyjątkowa. Jesteś piękna, jesteś mądra, jesteś silna, dzielna i olśniewająca. Jesteś wspaniała.

Uniosła kieliszek w moim kierunku.

– Wypiję za to – powiedziała z uśmiechem, ale wyglądała na zadumaną.

Kiedy odstawiła wino, jej palce zatrzymały się na nóżce, a ja poczułem ogromną chęć sięgnięcia przez stół i uściśnięcia jej ręki. Czy byłby to gest przyjaźni i empatii czy coś bardziej skomplikowanego, coś przypominającego zaloty Stefana?

Zawahałem się, a ona puściła kieliszek i zabrała rękę ze stołu.

Wycofałem się na bezpieczniejszy, bardziej neutralny grunt.

– Zanim pojechałaś do Gwatemali, jak spędzałaś wakacje? Inne wyjazdy za granicę?

– Żartujesz? Harowałam jak dziki osioł. Pracowałam w każde wakacje od czasu, kiedy skończyłam dwanaście lat. Opieka nad dziećmi. Koszenie trawy. Uczyłam pływania przez kilka lat. A trzy sezony pracowałam jako ratownik.

– Na basenie? W ośrodku rekreacyjnym?

– Nie, to dla słabeuszy. Na Daytona.

– Na plaży w Daytona? Byłaś ratownikiem nad oceanem? – Skinęła głową. – Czy kiedykolwiek uratowałaś komuś życie?

Uśmiechnęła się przelotnie.

– Tak. Uratowałam kiedyś komuś życie. – Odwróciła wzrok, zaglądając w przeszłość, a potem spojrzała na mnie ponownie. – Ale też jedno straciłam.

Czekałem, nieruchomo, mając nadzieję, że zacznie mówić.

– To było moje drugie lato. Dziewczynka, jedenasto-, może dwunastoletnia. Nadal miała ciało dziecka i jego niewinność, i żywiołowość. Nie osiągnęła jeszcze wieku, kiedy dziewczęta wchodzą w okres dojrzewania, w którym wszystko staje się dla nich skomplikowane. Tak czy inaczej, tego dnia pływała, leżąc na desce do surfingu.

Poczułem, że żołądek mi się zaciska.

– Fale były doskonałe, niewielkie, niezbyt gwałtowne. Dziewczynka świetnie się bawiła, rzucała się na nie z całkowitym oddaniem. Wyłaniała się z piany w kostiumie pełnym piasku i z tym ogromnym uśmiechem na twarzy. Aż miło było na nią patrzeć. Ale wtedy nadeszła ta ogromna fala, dwukrotnie większa od innych.

– O nie! Co się stało?

– Widzę to tak wyraźnie. Szczyt fali dopiero zaczyna się zwijać, gdy dociera do dziewczynki. Fala unosi ją do góry, a potem gwałtownie opada. Woda po prostu eksplodowała pod nią.

– Boże, jakie to straszne.

– Widzę, jak dziewczynka opada, koziołkuje, a potem spada na główkę jak słup wbity przez kafar. Kiedy dotarłam do niej, unosiła się twarzą w dół. Byłam pewna, że nie żyje, albo co gorsze, że została sparaliżowana.

Zrobiło mi się słabo.

– Ale nie. O dziwo, przeżyła. Jej czoło wyglądało, jakby ktoś zrobił z niego szlifierkę, ale gdy pozbyłam się wody z płuc, odzyskała przytomność i okazało się, że nic jej nie jest. Trochę pokasłała i popłakała, ale była cała i zdrowa.

W blasku świec w kącikach oczu Mirandy zabłyszczały diamentowe krople, a następnie spłynęły jej po policzkach. Wytarła je serwetką, a potem wysmarkała głośno nos. Roześmiała się.

– Miranda Lovelady: możesz ją ładnie ubrać, ale nie zrobisz z niej damy.

Czułem się, jakbym jechał na rollercoasterze.

– Dlaczego nigdy wcześniej nie opowiedziałaś mi tej historii?

– Nigdy nie rozmawialiśmy o pływaniu.

– To było ponad dziesięć lat temu?

Skinęła głową.

– Co się stało z dziewczynką? Kontaktowałaś się z nią?

Pokręciła głową.

– Nie. Nie wiedziałam, jak ją znaleźć. Jak tylko odzyskała przytomność, rodzice odepchnęli mnie, chwycili ją i pobiegli pewnie prosto do szpitala. Nie zapytali, jak się nazywam, ani nie podziękowali. Byli pewnie zbyt przestraszeni, żeby pozwolić sobie na uprzejmości. – Wzruszyła ramionami. – To nie ma znaczenia. I tak jestem tą osobą, która ją uratowała. Śmieszne. Lubię sobie wyobrażać, że jestem bohaterką dla tej dziewczynki, że ona myśli o mnie jak o jakimś aniele stróżu, który nad nią czuwa. Wszystkie dziewczyny powinny mieć takiego anioła. – Powiedziała to ze smutkiem, a ja zastanawiałem się, czy Miranda żałuje, że nikt nie czuwał nad nią.

– Jesteś moją bohaterką, Mirando. Jestem z ciebie dumny.

– Dzięki. Czasami sama siebie napawam dumą. Wtedy postąpiłam właściwie. – Ponownie odwróciła wzrok. – Nie tak jak w następnym roku. To był dorosły facet. Porwał go prąd. Kiedy go zauważyłam, był już za linią do surfowania. Nie wiedział, co robić, i wpadł w panikę: machał rękami, próbował wrócić do brzegu. To go zgubiło. Nie można pokonać prądu, płynąc pod prąd. Trzeba obrócić się i płynąć równolegle do brzegu, aż prąd odpuści. – Przerwała, wzięła głęboki oddech, a potem drugi. – Jego błędem było podjęcie walki z prądem. Moim błędem było wahanie. – Pokręciła głową, wciąż zła na siebie. – To był postawny facet, wyższy od ciebie i krępy. Zauważyłam go, jak tylko wpadł w kłopoty. Zawahałam się. Siedziałam bez ruchu, bo bałam się, że mnie ze sobą ściągnie pod wodę. Wreszcie złapałem pływak ratowniczy i zaczęłam biec, ale wtedy było już za późno. Utonął, kiedy byłam w połowie drogi. Jego ciało, minus oczy, usta i palce u rąk i nóg, zostało wyrzucone na brzeg dwa dni później dwa

kilometry na wschód od plaży. – Dopiła wino. – Ogromnie się tego wstydzę. Nie jestem pewna, czy dotarłabym na czas, nawet gdybym od razu pobiegła mu na ratunek. Ale nigdy się nie dowiem, ponieważ w najważniejszym momencie zawahałam się. Boże, tak żałuję, że nie mogę cofnąć czasu.

– Ja też tak mam – powiedziałem. – Miałem kilka wstydliwych momentów w życiu. Kto nie ma? Ale obserwując cię z boku, widzę, że zawsze postępujesz właściwie. – Spojrzała na mnie. – Dawno, dawno temu, kiedy wyraziłem żal, że nie mogę dostać jeszcze jednej szansy na naprawienie błędu, ktoś starszy i mądrzejszy powiedział mi, że życie jest rzeką. Życie to nie Daytona, gdzie przez cały czas utrzymuje się ta sama woda. Życie to rwąca rzeka. Śmierć tego faceta? To wydarzyło się w górze rzeki. Płynięcie z powrotem do tego miejsca byłoby jak pływanie pod prąd. Pamiętaj o tej dziewczynce, którą uratowałaś. Od wielu lat jesteś jej aniołem stróżem. Pozwól jej ci się odwdzięczyć. Założę się, że pożyczyłaby ci trochę tej niewinności i entuzjazmu, gdybyś ją poprosiła.

Odwróciła wzrok, analizując chyba to, co powiedziałem. Wyobraziłem sobie, że pewnie szuka w moich słowach śladu nieszczerości czy protekcjonalności. Nie znalazła – bo ich tam nie było – i uśmiechnęła się. Tym razem jeśli w jej uśmiechu był smutek lub wzruszenie, nie dostrzegłem ich. A patrzyłem naprawdę z bliska.

Świece dopaliły się i kiedy zaczęliśmy się zbierać, zrobiło się chłodno. Żałowałem, że nie miałem na sobie marynarki, którą mógłbym zarzucić na jej ramiona. Myślałem, żeby ją objąć ramieniem, ale w powietrzu wokół nas było coś delikatnego, coś... uświęconego, i nie chciałem tego zepsuć.

Dziękuję, powiedziałem cicho do wszechświata albo do Boga, albo do rzeki życia. Dziękuję.

***

Następnego dnia rano Stefan – niewyspany i rozdrażniony – wciąż zmagał się z instalacją detektora ruchu. Zaoferowałem mu pomoc, choć moja propozycja ani nie była szczera, ani nie okazałaby się szczególnie przydatna ze względu na mój antytalent techniczny. Na szczęście Stefan ją odrzucił i wygonił nas ze skarbca, co oznaczało, że znowu miałem Mirandę tylko dla siebie. Kiedy wyszliśmy z pałacu na plac, nieomal poczułem, że wolność uderza mi do głowy – jak podstarzałemu uczniakowi na wagarach.

– Co robimy, panno Mirando?

– Zabawmy się w turystów – zaproponowała.

Pospieszyliśmy do „Lumani". Chcieliśmy z niej zabrać przewodnik, a opuściliśmy ją nie tylko z przewodnikiem, ale także w samochodzie. Moi gospodarze szczodrze zgodzili się pożyczyć nam swoje auto. Ukryci w starutkim peugeocie i uzbrojeni w sfatygowany anglojęzyczny przewodnik po Prowansji wyruszyliśmy na naszą wycieczkę. Na początku ostrożnie, bo minęły lata, odkąd siedziałem za kierownicą samochodu z ręczną skrzynią biegów, wyjechałem na ulice Awinionu i przejechałem wzdłuż zabytkowego muru najeżonego wieżami strażniczymi. Często spoglądałem w lusterko wsteczne, aby sprawdzić, czy ktoś nas nie śledzi. Nie mieliśmy ogona, chyba że jadąca za nami jedenastolatka na rowerze była zawodowym zabójcą.

Zaczęliśmy od miasteczka na drugim brzegu rzeki, Villeneuve-les-Avignon. Miranda przetłumaczyła *villeneuve* jako „nowe miasto". Dawno temu miasto pewnie było nowe, ale musiało to być z tysiąc lat temu. W czternastym wieku Villeneuve, które nie było tak ciasno zabudowane jak Awinion, stało się zamożnym przedmieściem papieskiego miasta. Piętnastu kardynałów

pobudowało w nim swoje pałace, choć żaden z nich się nie zachował. Przetrwały za to dwie monumentalne budowle: czterdziestometrowa wieża, która kiedyś broniła dostępu do zachodniego krańca mostu Świętego Benedykta (gdy most łączył jeszcze oba brzegi rzeki), i ogromna, stojąca na wzgórzu twierdza. Zarówno wieża, jak i twierdza zostały zbudowane, aby wysłać zarozumiałym mieszkańcom Awinionu jasny komunikat: papież może i trzyma klucze do nieba, ale ziemskie wojska króla w ciągu godziny mogą wyłamać bramy miasta, jeśli papieżowi kiedykolwiek przyszłoby do głowy połaszczenie się na suwerenność.

Po opuszczeniu Villeneuve wąskimi wiejskimi drogami ruszyliśmy na północ. Miranda pilotowała z przewodnikiem i dużą mapą Michelin na kolanach. Kiedy opony śpiewały na asfalcie, moje serce nuciło razem z nimi. Czułem się bardziej radosny i wolny niż kiedykolwiek od momentu przyjazdu do Francji. Prawie dwadzieścia kilometrów od Awinionu Miranda wskazała na zrujnowaną twierdzę na wzgórzu.

– Châteauneuf-du-Pape – oznajmiła. – To znaczy „nowy zamek papieża".

– Wszystkie te starożytne miejsca mają nowocześnie brzmiące nazwy – powiedziałem. – Za pięćset lat ludzie będą mówić pewnie to samo o Nowym Jorku.

Przejechałem przez wieś i zaparkowałem przy ruinach. Według przewodnika zamek wzniesiono na początku XIV wieku. Przetrwał sześć wieków niszczącego działania czasu i wojen. Niestety nie przetrwał działań Hitlera. W czasie drugiej wojny światowej niemieccy żołnierze podłożyli dynamit i wysadzili go. Zachowała się tylko wieża i odcinek muru w kształcie litery L.

Obchodząc ruiny, mieliśmy dobry widok na szeroką równinę poniżej. Jak okiem sięgnąć rozciągały się schludne rzędy winorośli w wyłożonych kamieniami winnicach.

– „Kamienie kumulują ciepło słońca – przeczytała Miranda – aby winorośle nie marzły w nocy".

Zarówno zamek, jak i winnice były spuścizną papieża Jana XXII, drugiego papieża Awinionu.

– Był dobrze znany ze swojej miłości do wina – ciągnęła – a także ze swojej kwaśnej dyspozycji. – Roześmiała się. – Po tym, jak wypił, wino zmieniało się w ocet.

W drodze powrotnej do samochodu zauważyłem wykute w zboczu wzgórza kamienne schody, które prowadziły w dół do drzwi w fundamentach twierdzy. Trąciłem Mirandę i skinąłem głową w stronę drzwi.

– Piwniczka na wina papieża Jana?

– Wygląda bardziej jak loch.

Miała rację. Stopnie były wąskie, strome i rozpadały się. Niskie drzwi wpuszczono w gruby mur.

– Na świętych heretyków i Batmana – mruknęła. – To miejsce przyprawia mnie o ciarki. Chodźmy stąd.

Kiedy jechaliśmy z powrotem przez miasteczko, Miranda oznajmiła, że umiera z głodu.

– Zjemy gdzieś lunch? – spytała.

– Oczywiście. Wytrzymasz do Awinionu?

– Wytrzymam do tego małego bistro, które minęliśmy dwie sekundy temu. Patrz, jest miejsce parkingowe. Po prawej stronie. Tutaj, tutaj, tutaj.

Zatrzymałem samochód, zapominając wcisnąć sprzęgło, i silnik zgasł.

– Pięknie, doktorku.

– Dzięki. Czy ktoś ci powiedział, że jesteś apodyktyczna?

– Nikt, kto ceni swoje życie i zdrowie – odparowała, a ja się roześmiałem.

Bistro „La Maisouneta" („w dialekcie prowansalskim chyba: mały domek", wyjaśniła Miranda) było w takim stopniu skromne i przytulne, co restauracja „La Mirande" – elegancka i droga. Klienci wyglądali na miejscowych, a nie turystów: rozczochrana młoda para z małym dzieckiem raczkującym pod stołami, krępa starsza kobieta z włosami w papilotach, mężczyzna w średnim wieku w poplamionym farbą kombinezonie. Menu było wypisane na tablicy za ladą, ale większość dań była już niedostępna, jak poinformowała Mirandę gospodyni. Było już dość późno jak na lunch i „wyszło" wszystko oprócz sałatki i czegoś o nazwie *reblochon*, tradycyjnej potrawy regionalnej z roztopionego białego sera i ziemniaków.

– Białe na białym – mruknąłem. – Brzmi bardzo apetycznie.

W rzeczywistości potrawa okazała się przepyszna. Zapieczony ser miał złoty kolor i został przyozdobiony chrupiącymi kawałkami słonej szynki. Zapiekanka nieomal dorównywała uczcie z gulaszu jagnięcego.

Ale może to wcale nie jedzenie było tak wyjątkowe. Może chodziło o to, że natknęliśmy się na tę restaurację na stromej, brukowanej uliczce w zabytkowym mieście, a teraz siedziałem naprzeciwko Mirandy przy stole z poplamionym obrusem w szachownicę. Dziewczyna mówiła coś, ale nie miałem pojęcia, co. Przyglądałem się jej poruszającym się ustom i myślałem, jaką cudowną jest kobietą. Żałowałem, że była moją podwładną, a ja nie miałem dwudziestu lat mniej. Nagle zamilkła, spojrzała na mnie i pomachała rękami jak sygnalista chorągiewkami.

– Przepraszam. Co?

– Wiedziałam – westchnęła. – Wyglądałeś, jakbyś odleciał w kosmos. Gdzie byłeś?

To wzbudziło we mnie nadzieję. I strach. Czy mam jej powiedzieć? Czy się domyśliła? Ale pokręciła tylko głową.

– Nieważne. Jak mówiłam, Rzymianie ukrzyżowali tysiące ludzi, ale znaleziono tylko jedne szczątki ukrzyżowanego człowieka. Odkryte w ossuarium w Jerozolimie w 1968 roku. Fuks. W jednej ze stóp nadal tkwił gwóźdź. Wbił się w sęk i zakrzywił tak, że kiedy ciało zostało zdjęte, gwóźdź wyrwał kawałek drewna.

Trawiłem tę informację, żując posypane serem ziemniaki.

– Od kiedy to zainteresowałaś się krzyżowaniem?

– Od wtedy, kiedy Stefan pokazał mi kości. – Żałowałem swojego pytania. Nie chciałem, żeby Stefan pojawił się przy naszym stoliku, nawet w przenośni. Na szczęście zasłużył tylko na wzmiankę. – Przybicie do krzyża było dość rzadkie – ciągnęła. – Sznur był bardziej powszechny.

– Sznur?

– Tak. Wystarczy przywiązać nadgarstki do poprzecznej belki. – Rozłożyła szeroko ramiona, ręce podniosła nieco powyżej barków. Przechyliła głowę w bok i lekko w dół, choć nie na tyle, aby ukryć figlarny uśmiech na twarzy. – To uduszenie jest przyczyną śmierci wiszącego na krzyżu przez wiele godzin, prawda?

Skinąłem głową. Mnie też nieco brakowało powietrza. Miranda przybrała nawet odpowiedni wyraz twarzy. Bardzo do niej pasował. Weź się w garść, Brockton, skarciłem się w duchu.

– Tak... Uch – próbowałem ułożyć zdanie. – Czy uważasz, że wyżłobienia w naszych kościach to fałszerstwo? Wykonane przez średniowiecznego fałszerza relikwii, który nie wiedział, że gwoździe były rzadko stosowane?

Wzruszyła ramionami.

– Być może. Ale znowu, jaki pożytek z fałszywych relikwii, jeśli nikt nie wie o ich istnieniu? Istota relikwii – cyniczna ich istota – to przyciągnięcie pielgrzymów. Niewielu pielgrzymów odwiedzało skarbiec papieża. Poza tym potrzebowaliby aparatu rentgenowskiego, żeby je zobaczyć. To nie ma sensu. – Właśnie wtedy dostała wiadomość tekstową. Kiedy ją przeczytała, zmarszczyła brwi. – Cholera. Stefan mówi, że mnie potrzebuje do przetestowania czujników ruchu.

Stłumiłem westchnienie. Jednak przepchnął się jakoś do naszego stolika.

Naszą wycieczkę planowaliśmy zakończyć trzydzieści pięć kilometrów na północ w mieście Orange, którego ogromny rzymski amfiteatr miał już tysiąc lat, kiedy wmurowywano kamień węgielny pod pałac papieski. Ale Miranda czuła się zobowiązana pomóc Stefanowi. A prawda była taka, że ja też nie chciałem się bawić w turystę. Cieszyłem się, że mam Mirandę tylko dla siebie, ale tak naprawdę tylko zabijałem w ten sposób czas, czekając na wiadomość od Joego Mullinsa. Czekałem, aby zobaczyć twarz człowieka, którego kości zostały zamurowane w ścianie siedemset lat wcześniej.

Czy będzie to oblicze średniowiecznej ofiary morderstwa czy twarz Jezusa z Nazaretu?

ROZDZIAŁ 7

CHÂTEAUNEUF-DU-PAPE
ROK 1327

Cienka warstewka potu pokrywa czoło i mięsistą górną wargę Jacques'a Fourniera – od tygodnia: kardynała Jacques'a Fourniera – kiedy jest wprowadzany do komnat papieża. Podróż z Awinionu do tego wiejskiego zamku zajęła mu cały upalny dzień, jednak papieskie wezwanie jest oznaką wielkiej przychylności, a prywatna audiencja – rzadkim przywilejem, zwłaszcza dla młodego, świeżo mianowanego kardynała.

Papież Jan XXII siedzi zgarbiony na drewnianym tronie przy oknie z widokiem na szeroką dolinę z winnicami, które stanowią papieską własność. Jego zasuszona, skwaśniała twarz poorana jest zmarszczkami, a pokryte plamami wątrobowymi dłonie zaciśnięte na poręczach tronu są niepokojąco podobne do rzeźbionych pazurów, które stanowią cztery jego nogi. Pazurzasta dłoń papieża przesuwa się kilka centymetrów do przodu i Fournier klęka – wcale niełatwe zadanie dla człowieka o jego tuszy – by pocałować pierścień rybaka, znajdujący się na kościstym środkowym palcu starca. Pomimo swojej pogardy wobec ziemskich zbytków młody kardynał nie może oderwać oczu od ogromnego złotego sygnetu. Monogram Jana XXII jest prosty, acz wspaniały, a wytłaczany obrazek, przedstawiający świętego Piotra stojącego w łodzi i ciągnącego sieć, symbolizuje ciężkie, skromne dzieło łowienia ludzkich dusz.

– Wstań, mój synu – chrypi papież – ponieważ masz zadanie do wykonania.

Fournier podnosi się z trudem, sapiąc z wysiłku, po czym przechyla głowę, słuchając.

– Zapał, z jakim dążysz do zachowania czystości wiary, jest godny naśladowania. Dzięki tobie pozbyliśmy się katarów z Montaillou. Jesteśmy ci za to dogłębnie wdzięczni.

– Wasza Świątobliwość przecenia moje zasługi – mamrocze Fournier. – Modlę się, byśmy więcej nie zobaczyli tych heretyków. Jednak musimy zachować czujność.

– Otóż to, Jacques, otóż to. I nie tyczy się to wyłącznie katarów. Ojciec kłamstwa wszędzie sieje nasiona zła. To dlatego wynieśliśmy cię do godności kardynała i sprowadziliśmy na papieski dwór. Musimy strzec świętego Kościoła Chrystusa przed tymi, którzy mogą go zniszczyć od środka.

– To dla mnie zaszczytny obowiązek, Ojcze Święty.

Papież składa dłonie na podołku swej jedwabnej szaty i kręci złotym pierścieniem.

– Jak blisko zaznajomiony jesteś z problemem franciszkanów?

Fournier przechyla głowę i splata pulchne palce.

– Wiem, że jeden z odłamów, spirytuałowie, utrzymuje, że nasz Pan i jego wyznawcy żyli w ubóstwie – mówi. – I że powinniśmy brać z nich przykład.

– Tak się składa, że to ja zapewniam im dach nad głową – warczy papież. – I ja zapewniam im jadło i napitek. A oni potępiają mnie za posiadanie rzeczy, dzięki którym mogą żyć w tak drogiej im czystości. – Charczy ze złością, rozsiewając kropelki śliny w ukośnych popołudniowych promieniach słońca.

Fournier ze smutkiem kręci głową.

– Są niezmiernie niesprawiedliwi wobec Waszej Świątobliwości. A teraz jeszcze to... Chociaż może nie powinienem o tym mówić...

– O czym? – Wiekowa głowa gwałtownie się unosi, a oczy wypełnia błysk zainteresowania.

– Istnieją pewne relacje, Ojcze Święty.

– Jakie relacje?

– Generał franciszkanów, Michał z Ceseny, staje się coraz zuchwalszy. Otwarcie nazywa Waszą Świątobliwość hipokrytą,

hedonistą i heretykiem. – Papież wpija palce w poręcze tronu. – Proszę wybaczyć mi zuchwałość – ciągnie dalej Fournier – ale Michał ponoć spiskuje z Ludwikiem V Bawarskim w celu zniszczenia Waszej Świątobliwości. Chcą umieścić na tronie papieskim franciszkanina. Zapewne samego Michała.

– Diabelskie nasienie – piekli się starzec. – Pomioty szatana. Trzeba zmusić ich do posłuszeństwa.

– Ludwika będzie trudno powstrzymać, ale może Wasza Świątobliwość rozważy zawezwanie Michała do Awinionu na... przesłuchanie?

Papież wbija spojrzenie swych błyszczących oczu w Fourniera. Kardynał kłania się z szacunkiem. – Naturalnie jestem gotów służyć pomocą.

Papież kiwa głową.

– Sprowadź ich tutaj. – Sięga do kieszeni sutanny i szuka w niej czegoś bez skutku. – Pod nami znajdują się cele – chrypi. – Tak jak i w pałacu biskupim w Awinionie. – W końcu udaje mu się wyjąć z kieszeni klucze. Podaje je Fournierowi.

To chyba nie są klucze do nieba, myśli kardynał, chociaż papieskie lochy to również niezły początek. Bierze klucze i zbiera się do wyjścia. W drodze do drzwi zatrzymuje się jednak i odwraca.

– Wasza Świątobliwość wybaczy... Sumienie nie da mi spokoju, jeśli nie wspomnę o czymś jeszcze. Doszły mnie również niepokojące wieści od arcybiskupa Kolonii.

– Czyżby Michał i franciszkanie także w Kolonii wywołali niepokój?

– Nie, Ojcze Święty, nie Michał, ktoś inny. Ktoś dalece bardziej subtelny i być może dalece bardziej złowrogi. Ten człowiek nie krytykuje Waszej Świątobliwości. On ośmiela się krytykować samego Boga.

ROZDZIAŁ 8

AWINION
CZASY WSPÓŁCZESNE

– Mam pomysł – powiedziała Elisabeth, stawiając szklankę mojego porannego soku z czerwonych pomarańczy na stole w ogrodzie „Lumani". – Dotyczy twojego – jak wy go nazywacie – *ęę*?

– Chyba nie rozumiem – odparłem. – Mojego czego?

– Twojego *ęę*. Szczątków bez nazwiska. Twoich tajemniczych kości.

– A... mojego N.N. – uśmiechnąłem się, ale byłem zaskoczony i zmartwiony. Skąd wiedziała o kościach? Nie pisnąłem słówka przed Elisabeth i Jeanem ze względu na obawy Stefana i moją nową paranoję. – Powiedział ci o nich Stefan czy Miranda?

– *Non, pas du tout.* Ależ nie. Łatwo to wydedukować. Wygooglowałam cię. Wszystkich gości wyszukuję na Google'u. Zazwyczaj nie znajduję nic ciekawego, ale ty jesteś sławnym detektywem kości!

– Nie takim znowu sławnym.

– Jesteś zbyt skromny. Zatem detektyw kości przyjeżdża aż do Awinionu. *Pourquoi?* Dlaczego? Bo ktoś odkrył tajemnicze kości, *oui?* Ty i twoi przyjaciele przyjechaliście tu z identyfikatorami z Palais des Papes. Więc doszłam do wniosku, że pracujecie w pałacu i to tam znaleziono tajemnicze kości. Widzisz? To proste.

Roześmiałem się.

– Elisabeth, jesteś lepszym detektywem niż wielu znanych mi policjantów. – Spodobało jej się to, ale jeszcze nie skończyła,

bo podniosła palec wskazujący i pokiwała nim.

– Zatem tajemnicze kości w pałacu. *Oui? Oui* – skinęła, zadowolona z odpowiedzi na własne pytanie. – Czyje kości? Kogoś z czasów papiestwa. Kogoś ważnego. Kogoś, kogo śmierć papież musi ukryć, *oui? Oui*.

– Jesteś hotelarką i artystką czy policjantką pracującą pod przykrywką?

Roześmiała się.

– Artyści mają bogatą wyobraźnię.

– I możesz sobie wyobrazić, kim jest nasz N.N.?

Po raz pierwszy wyglądała na zmieszaną.

– Może tak, może nie. Awinion kryje tajemnicę z czasów papiestwa. Przybył tu ważny człowiek, który miał potężnych wrogów. A potem zniknął.

Byłem zaintrygowany.

– Kim był ten ważny człowiek?

Uśmiechnęła się, zadowolona, że połknąłem haczyk, a potem zrobiła głęboki wdech i zaczęła swoją opowieść.

– Na początku czternastego wieku w Niemczech działał bardzo znany i wpływowy kaznodzieja, dominikanin Eckhart. Słyszałeś o nim? Mistrz Eckhart? – przekrzywiła głowę i podniosła brwi.

– Znam to imię, ale nic nie wiem o Eckharcie – przyznałem. – Opowiedz mi o nim.

– Był genialny. Mój kuzyn jest dominikaninem i wspomniał mi o nim. Eckhart był wielkim... *théologien*?

– Teologiem. To samo słowo.

– Aha, *bon*. Eckhart studiował w Kolonii z Albertem Wielkim i z Tomaszem z Akwinu, dwoma najznakomitszymi postaciami tego okresu. Potem nauczał teologii w Paryżu. Ale... – podniosła palec, aby podkreślić swoje słowa – był też znakomitym kaznodzieją. Był

uwielbiany przez tłumy. Dominikanie byli najlepszymi kaznodziejami. Głosili dobrą nowinę.

– Ewangelię – powiedziałem, skinąwszy głową. – I co się stało? Powiedziałaś, że miał potężnych wrogów.

– Tak. Jednym z nich był arcybiskup Kolonii. Był zazdrosny, bo sam nie cieszył się taką popularnością jak Eckhart. Oskarżył więc mistrza Eckharta o herezję. Ale Eckhart nie dał za wygraną. Odwołał się do sądu papieża Jana XXII. W 1327 roku – Eckhart miał wtedy sześćdziesiąt sześć lat – przeszedł na piechotę osiemset kilometrów z Kolonii do Awinionu, aby przedstawić swoją obronę.

– W wieku sześćdziesięciu sześciu lat przeszedł osiemset kilometrów? To kawał drogi.

– Był silnym mężczyzną. Ale jego wrogowie byli silniejsi. Człowiekiem, który prowadził przeciwko niemu proces, był *le Cardinal Blanc* – biały kardynał.

– Zaraz... – poczułem się głupio, że o to pytam – czy nie wszyscy kardynałowie w tych czasach byli biali?

Zmarszczyła czoło, a potem się roześmiała.

– Ach, *non*, nie chodzi o kolor skóry. Chodzi o szaty. Zawsze nosił biały habit cystersów. Nawet kiedy został kardynałem. A potem papieżem.

– Chwila. Biały kardynał został papieżem. Którym?

– Benedyktem XII – wyjaśniła. – Zanim został papieżem, nazywał się Fournier. Jacques Fournier. Przywiódł go tutaj Jan XXII jako *police théologique*.

– Miał karać heretyków? Jak inkwizycja?

– *Exactement*. Właśnie. Uwielbiał to. Chronił interesy Ojca Świętego. Kiedy Jan XXII zmarł, *voilà*, *le Cardinal Blanc* został nowym papieżem, Benedyktem XII. To on zbudował pałac papieski.

Wcześniej papież urzędował w domu biskupim. Zburzył go i zbudował twierdzę.

– Jako kardynał był wrogiem Eckharta? – Skinęła smutno. – Kardynał, który był strażnikiem papieża? – Kolejne skinięcie. – To rzeczywiście potężny wróg. – Skinęła po raz trzeci.

– Rozumiesz? Eckhart przybył do Awinionu w 1327, żeby przedstawić swoją obronę. Nikt go już później nie widział.

– Nie wiem, czy nasze kości to szczątki Eckharta – wyszeptałem. – Ale z pewnością był intrygującą postacią.

Miranda skinęła głową, nie podnosząc wzroku znad ekranu laptopa. Siedzieliśmy w bibliotece w Awinionie, mieszczącej się w dawnym pałacu kardynalskim pod pozłacanym kasetonowym sufitem głównej czytelni, która kiedyś była salą audiencyjną. Kiedy wspomniałem o teorii Elisabeth na temat mistrza Eckharta, Miranda podjęła trop i pobiegła prosto do biblioteki.

Przeglądałem angielską książkę o życiu i naukach Eckharta, którą przyniósł mi pomocny bibliotekarz Philippe. Tymczasem Miranda przeglądała strony internetowe, szukając jakiejś wzmianki o śmierci lub grobie Eckharta.

– Data jego śmierci jest nieznana – wymamrotała. – Podobnie jak miejsce pochówku. Tak jak powiedziała Elisabeth, przybył tu w 1327 lub 1328 roku, aby bronić się przed zarzutami o herezję. Potem jakby zapadł się pod ziemię. Nikt o nim nie wspomina aż do marca 1329 roku, kiedy to Jan XXII wydał bullę papieską potępiającą niektóre z nauk Eckharta. Według bulli Eckhart odwołał przed śmiercią wszystkie swoje tezy.

– Ciekawe.

– Wiemy zatem, że nie żył w marcu 1329 roku.

Wróciłem do mojej książki. Im więcej czytałem, tym bardziej podobał mi się ten Eckhart. Nie rozumiałem wszystkiego z tego,

co mówił, ale wydawał się mądry i szczery, a swoje nauki głosił w wielką żarliwością. Krytykował tych, którzy prosili Boga o szczególne względy lub którzy modlili się słowami „bądź wola Twoja", a potem narzekali, że coś nie potoczyło się po ich myśli. I miał poczucie humoru – nie była to cecha, którą utożsamiałem z zakonnikami i teologami. „Pan opowiedział mi żart – pisał Eckhart – a jego uśmiechnięte oblicze zrobiło na mnie większe wrażenie niż jakiekolwiek pismo, które kiedykolwiek przeczytam". Był też nieco zuchwały.

– Posłuchaj – powiedziałem – Pisze tak: „Bóg nie jest dobry, bo to oznacza, że mógłby być lepszy". Nic dziwnego że „policja teologiczna" miała go na oku. Stawiał Boga w nie najlepszym świetle.

Miranda zamyśliła się.

– Może – zgodziła się. – A może po prostu bawił się słowami? Dobry, lepszy, najlepszy? Bóg nie jest dobry, bo dobry to w sumie taki sobie. Może miał na myśli to, że Bóg może być tylko najlepszy?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. To dlatego zajmuję się kośćmi, a nie filozofią.

Najbardziej uderzające było to, że nauki Eckharta brzmiały bardzo świeżo, bardzo współcześnie.

– Posłuchaj – odezwałem się znowu. – Napisał tak: „Jeśli twoja modlitwa będzie się składać jedynie ze słowa 'dziękuję', to wystarczy". Podoba mi się to. Albo tak: „Im więcej mamy, tym mniej mamy". I to: „Cena braku działania jest o wiele większa niż koszt popełnienia błędu".

Skrzywiła się.

– To zabolało. Szkoda, że nie nauczyli mnie tego na szkoleniu dla ratowników. Może ruszyłabym tyłek wcześniej i uratowała tego gościa.

Plułem sobie w brodę, że wywołałem drażliwy temat.

– Przepraszam. Odwołuję to. Posłuchaj za to tego: „Zachowuj się zawsze tak, jak zachowywałbyś się, będąc pewnym siebie". Dobra rada, co? Bądź najlepszą wersją siebie? Brzmi jak rada doktora Phila.

Prychnęła.

– Co ty wiesz o doktorze Philu? Czytałeś jakąś jego książkę lub oglądałeś jego program?

Przyłapała mnie.

– Dobra, brzmi to jak coś, co według mojego wyobrażenia mógłby powiedzieć guru poradników New Age. – Przewróciłem kartkę. – Podobnie jak to, tylko tutaj zostało to wyrażone nieco mądrzej: „[...] w wieczności nie ma ani wczoraj, ani jutra, jest tylko obecne teraz. Jest w niej obecne to, co było tysiąc lat temu i co będzie za tysiąc lat [...]". Wyobrażasz sobie, że coś takiego siedemset lat temu głosił katolicki mnich? To wypowiedź w prawdziwym duchu zen i New Age.

Uśmiechnęła się.

– Bardzo w duchu zen. Bardzo w duchu Tollego.

– Czego?

– Nie czego, a kogo. Tollego. Eckhart Tolle, kolejny guru poradników. Sprzedał miliony książek. I... Chwila... – Wpisała coś na klawiaturze. – Ciekawe. Według tej biografii Eckhart Tolle urodził się jako Ulrich Tolle. Zmienił imię na Eckhart „na cześć mądrego średniowiecznego filozofa i teologa". Tego średniowiecznego filozofa i teologa. Tolle jest bardzo znany. – Przejechała w dół ekranu. – Jego bestsellerowa książka *Potęga teraźniejszości* traktuje o życiu w teraźniejszości. Jak to nasz średniowieczny zakonnik opisał? Wieczne teraz? Oto jak to ujął współczesny guru: „Nic nigdy nie zdarzyło się w przeszłości; wszystko zdarzyło się Teraz. Nic nigdy

nie zdarzy się w przyszłości; wszystko zdarzać się będzie Teraz". Ta sama myśl tylko wyrażona nieco innymi słowami.

– Hm – zamyśliłem się. – Dlaczego współczesny guru opływa w bogactwa i sławę, a średniowieczny zakonnik zostaje oskarżony o herezję i znika, być może zamordowany?

Wzruszyła ramionami.

– Takie czasy. Pewnie masy nie były jeszcze gotowe na teraz aż do... teraz.

Uśmiechnąłem się.

– Zgrabnie to ujęłaś, ale to nie do końca prawda – powiedziałem. – Mistrz Eckhart był bardzo popularnym kaznodzieją. Zbyt popularnym. Zniszczyli go jego zazdrośni rywale. – Pokręciłem głową. – Dlaczego tyle knowań i zabójstw dokonano w imię Boga?

– Halo! – przywołała mnie. – Jest tam kto? Wiesz dlaczego? – Nie wiedziałem, ale przypuszczałem, że mi powie. – Ludzie i ich bogowie są jak ludzie i ich psy.

– Ha? – tym razem nie nadążałem za tokiem rozumowania Mirandy.

– Wiesz, że psy i ich właściciele są do siebie podobni? Małe staruszki z pekińczykami? Grubasy z buldogami? Tak samo jest z teologią. Ktoś, kto ma wielkie serce, jak twój mistrz, wierzy w Boga dobrotliwego. Okrutny i mściwy dupek wyobraża sobie Boga srogiego i mściwego. Rozumiesz? Na końcu smyczy znajduje się lustro.

Obraz ten – obraz Boga na smyczy, Boga jako narcystycznego odzwierciedlenia człowieka – był szokująco obrazoburczy. Ale w sumie miała rację. Miranda prawie zawsze miała rację.

Była już nieomal północ w niedzielę. Powinienem był spać, ale po dwóch godzinach przewracania się w łóżku z boku na bok dałem za wygraną, wstałem i ubrałem się.

Na zewnątrz nad dachami wył ostry wiatr. Jak nazwał go Jean? Mistral. Mistral wył, a dzwony w szkieletowej iglicy kościoła karmelitów dzwoniły przy każdym podmuchu. Była pełnia Księżyca i gałęzie rzucały cienie, które tańczyły na moim łóżku, wywołując mnie na zewnątrz. Zszedłem na palcach po schodach, otworzyłem drewnianą bramę – podmuch nieomal wyrwał mi ją z ręki – i wyszedłem na wiatr.

Awinion to labirynt wąskich uliczek, ale labirynt niewielki – według mapy miał niecałe dwa kilometry długości – więc nawet gdybym się zgubił, nie zgubiłbym się na długo. Poza tym willa „Lumani" znajdowała się naprzeciwko kamiennego muru obronnego otaczającego miasto, zatem żeby odnaleźć drogę do domu, wystarczyło pójść wzdłuż muru. Jeśli przez to nadłożyłbym drogi, to co z tego? Stare miasto było urokliwe, a trochę ruchu dobrze mi zrobi.

Po wyjściu z „Lumani" skręciłem w lewo i poszedłem na zachód w kierunku kamiennego wzgórza, na którym wznosiły się pałac papieski i katedra. Ulice były o tej porze wyludnione, a lokale zamknięte na trzy spusty. Ciszę zakłócał jedynie wiatr: spiętrzająca się fala mistrala, rozbijająca się o dachy budynków i platany.

Nie uszedłem daleko – niecały kilometr, dziesięć minut niespiesznego spaceru – kiedy ulica, którą szedłem, zakończyła się nagle kamienną ścianą, wyższą niż zabytkowy mur obronny. Z tablicy informacyjnej dowiedziałem się, że to niedziałające już więzienie Świętej Anny. Światło księżyca spływało po murze jak woda spływająca z klifu. Jego powierzchnia była nierówna za sprawą wgłębień, którym chciałem się bliżej przyjrzeć. Od poziomu mojego pasa aż do wysokości trzech metrów w ścianie wykuto prostokątne wnęki – było ich pewnie ze sto – w których znajdowały się różne przedmioty: zdjęcia, figurki, krzyże,

świecidełka, talizmany. Zacząłem się zastanawiać, o co w tym chodzi, i nagle mnie oświeciło. To rodziny i przyjaciele więźniów wkładali pamiątki do wnęk.

Poszedłem dalej i wkrótce natknąłem się na kamienną kaplicę wciśniętą między mury więzienia. Tablica poinformowała mnie, że to kaplica *Pénitents Noirs*. *Pénitents Noirs*, czyli czarni pokutnicy – to bractwo religijne, którego patronem był Jan Chrzciciel. Bractwo powstało w szesnastym wieku, aby nieść pomoc więźniom. Kaplica była mała i prosta, jedyne zdobienie stanowił duży relief nad drzwiami. Przedstawiał anioły, chmury i promienie słońca lub promienie niebiańskiej chwały, pośrodku dwa anioły trzymały między sobą coś w rodzaju tacy. W bladym blasku księżyca i przy wtórze wyjącego mistrala zobaczyłem, że anioły serwowały uciętą głowę Jana Chrzciciela: makabryczne przypomnienie, że męczennicy – i ich szczątki – zajmowali ważne miejsce w wierze średniowiecznych katolików.

Przedzierając się przez labirynt uliczek, miałem nadzieję, że kieruję się w stronę pałacu papieskiego. I rzeczywiście – wkrótce nad dachem domu zobaczyłem masywną piętnastopiętrową wieżę. Parapety na szczycie były lekko wysunięte, światło księżyca spływało w dół przez wąskie szpary w występach, malując na kamiennych ścianach świetlne paski. Szpary te, zdałem sobie sprawę, kiedy dotarłem do podstawy wieży i spojrzałem w górę, służyły do lania gorącego oleju na atakujących – a w tej chwili na mnie. Tyle jeśli chodzi o nadstawianie drugiego policzka.

Wzmocnione przyporami fundamenty wydawały się wyrastać ze skały jak kamienne korzenie. Wykuta w skale dróżka wykładana kocimi łbami prowadziła dookoła podstawy pałacu. Przeszedłem przez wąskie przejście, a następnie pod grubym łukiem łęku oporowego i wyszedłem na plac przed pałacem.

Znalazłem się w południowo-wschodnim rogu placu, daleko od głównego wejścia, po przeciwnej stronie od katedry. W świetle księżyca mury lśniły w srebrnobiałej poświacie, a głębokie cienie podkreślały łuki i występy w ścianach. Kiedy przyglądałem się detalom, moją uwagę przyciągnął snop światła. Małe, drewniane drzwi w rogu pałacu otworzyły się i wyszedł z nich ubrany na czarno mężczyzna. Zamknął za sobą drzwi na klucz. Zaczął przecinać plac, a jego lekko utykający chód wydał mi się znajomy.

– Stefan? – Byłem tylko niecałe dziesięć metrów od niego, ale moje słowa pochłonął wiatr. Krzyknąłem więc ponownie, głośniej.

– Stefan!

Odwrócił się. Rozejrzał się niepewnie po placu, gotowy do ucieczki.

– Stefan, tu Bill Brockton! – krzyknąłem, machając rękami. Ruszył w moją stronę. Spotkaliśmy się w pół drogi.

– *Mon Dieu*, Bill, *quelle surprise*[7]. Co ty tu robisz w środku nocy?

– Nie mogłem zasnąć – wytłumaczyłem się. – To chyba przez ten wiatr. Nie daje spokoju ani dachom, ani mnie. Postanowiłem więc wybrać się na spacer, zobaczyć miasto w świetle księżyca. A co ty tu robisz o tej porze?

Przewrócił oczami.

– Szur – powiedział.

– Słucham? Co to jest szur?

– Gryzoń. Duża mysz.

– Szczur? – zgadłem.

Wyglądał na zniecierpliwionego.

– *Oui*, sz-cz-ur.

Wymówił to „cz”, jakby na mnie pluł.

– Nareszcie detektor ruchu działa poprawnie – kontynuował. – Podłączyłem go do mojego komputera i kilka minut temu coś

uruchomiło alarm. Więc szybko tu przyszedłem. Ale to był tylko duży szczur, który jadł kanapkę zostawioną w rogu skarbca. *Quelle peste!*[8]

– Lepszy szczur niż złodziej – pocieszyłem go. – I przynajmniej wiesz, że alarm działa.

– *Bien sûr!* Oczywiście. Ale ze zdenerwowania trudno mi będzie teraz zasnąć.

– Możesz ze mną pospacerować, jeśli chcesz.

Wydawał się zaskoczony moją propozycją.

– *Oui, pourquoi pas?* Czemu nie. Miasto papieży o północy. Będę twoim przewodnikiem.

Cholera, pomyślałem. Trzeba się było ugryźć w język.

Stefan pokazał na fasadę pałacu. Wycieczka się zaczynała.

– Ta część, najbliższa nam – oznajmił – to nowy pałac zbudowany przez Klemensa VI w latach 1342–1352.

– To był ten papież, który dał schronienie Żydom w czasie epidemii dżumy?

– *Exactement.* Zgadza się.

– Pracuś.

– *Oui.* Widzisz te duże okna na końcu budynku? To sala audiencyjna. Powyżej prywatna kaplica papieża. Kaplica! Jest większa niż katedra! Wiesz, co Klemens powiedział na temat bycia papieżem? – Pokręciłem głową, wiedząc, że tego oczekiwał. – Klemens powiedział, że żaden z jego poprzedników nie wiedział, jak zasiadać na Tronie Piotrowym.

– Co miał na myśli?

– Że żaden z nich nie wiedział, jak organizować imprezy. Nazywano go Klemensem Wielkim. Kiedy został papieżem, wydał ucztę na trzy tysiące osób. Zaserwowano na niej tysiąc jagniąt, dziewięćset kóz, sto krów, sto cieląt i sześćdziesiąt wieprzy.

– Boże. To oznacza pięć do dziesięciu kilogramów mięsa na każdego gościa?

– To nie wszystko. Dziesięć tysięcy kurczaków, tysiąc czterysta gęsi, trzysta ryb...

– Tylko trzysta?

Rozłożył ręce.

– To były szczupaki, bardzo duże ryby – a potem wzruszył ramionami. – Ale katolicy jedli dużo ryb, może to nie był rarytas. – Podniósł palec. – Plus pięćdziesiąt tysięcy serów. A na deser? Pięćdziesiąt tysięcy ciast.

– To niemożliwe. Ktoś musiał przesadzić.

– *Non, non, pas du tout*. Mamy księgi z rachunkami. Zapisano wszystko, co zakupił i ile to kosztowało.

– Ile?

– Więcej niż zarobię przez całe życie. Ale to była mądra inwestycja. Dzięki temu przypodobał się wielu osobom, które się liczyły – królom, królowym i książętom. I oczywiście swoim kardynałom i biskupom, którzy przysyłali mu pieniądze zebrane w kościołach. – Odwrócił się od pałacu i pokazał na budowlę stojącą po drugiej stronie placu. – Wiesz, co to za budynek? – Pokręciłem głową. – Jest tak samo ważny jak pałac.

– Co to?

– Mennica papieska.

– Mennica?

Potwierdził skinieniem.

– Papieże bili własne monety. W mennicy bito złote floreny, które trzymali w pałacowym skarbcu.

– Papieże mieli własną mennicę? Czy to się nie kłóci z nauką Jezusa? Przecież wygonił on bankierów ze świątyni.

– Jeśli szukasz sprzeczności, znajdziesz ich miliony. Papieże mieli armie, kochanki, dzieci. Truli swoich rywali i żyli jak królowie i cesarze, a nawet w większym luksusie.

– I nikt nie oponował?

– Zdarzali się odważni – powiedział. – Niektórzy mnisi z zakonu założonego przez świętego Franciszka z Asyżu byli bardzo krytyczni. Twierdzili, że zakonnicy, księża i papieże powinni żyć w ubóstwie jak Jezus. Papieżowi Janowi XXII to się nie podobało. Potępił najbardziej wygadanych. Wielu franciszkanów – zakonników, a nawet zakonnic – spalono na stosie.

Dotarliśmy do drugiego końca placu, gdzie mieściła się katedra. Tutaj plac był poniżej poziomu pałacu i katedry. Ogromne schody prowadziły do szerokiego tarasu przed kościołem. Na nim stał ogromny krucyfiks w otoczeniu figurek aniołów i kwiatów. Wysoko na dzwonnicy katedry monumentalny, pozłacany posąg Maryi patrzył z góry na ukrzyżowanego syna ze skierowanymi w dół ramionami, jakby kobieta prosiła o zmiłowanie dla niego.

Stefan pokazał na lewo, na północny kraniec placu, gdzie stał elegancki duży budynek.

– *À propos* bogactwa, to jeden z *livrées*.

– Jeden z czego?

– *Livrées*. Jeden z pałaców kardynałów.

Budynek był ogromny – dwa razy większy od Białego Domu, może nawet trzy razy.

– Tutaj i na drugim brzegu rzeki w Villeneuve wzniesiono ponad dwadzieścia pałaców kardynałów. Ostały się tylko dwa, w Awinionie. W tym, w Petit Palais, czyli małym pałacu, znajduje się teraz muzeum. W środku można podziwiać piękne średniowieczne obrazy. Drugi to *bibliothèque*, biblioteka publiczna. Byłeś tam, *oui*? – Skinąłem. – Chodźmy, mamy jeszcze dwa punkty

programu na tej wycieczce po skąpanym w blasku księżyca mieście papieży.

Przeszliśmy na drugą stronę placu, a potem przez kolejny plac. Po kilku zakrętach Stefan zatrzymał się na wąskiej uliczce i pokazał na wejście do starego budynku. Przeczytałem znak nad drzwiami: THÉÂTRE DES HALLES i odwróciłem się do niego zdziwiony.

– Teatr?

– *Non, non*. No tak, zgoda, teraz to teatr. Ale przeczytaj drugą tablicę. Tę małą, wiszącą obok drzwi.

Na ścianie zobaczyłem tablicę informacyjną, taką samą, jaka wsiała na ścianie więzienia. Pod francuskim napisem było angielskie tłumaczenie: „W tym miejscu w XIV wieku stał kościół, w którym Petrarka po raz pierwszy ujrzał swoją Laurę". Stefan przyglądał mi się.

– Wiesz, kto to Petrarka?

Wyczułem, że czeka mnie kolejny wykład.

– Słynny poeta i filozof, jeśli pamięć mnie nie myli. – Stefan potwierdził skinieniem głowy. – Myślałem, że był Włochem, a nie Francuzem.

– *Oui, tous les deux*. Był i Włochem, i Francuzem. Jego rodzina pochodziła z Włoch, ale przeprowadziła się do Francji. Przez wiele lat Petrarka mieszkał w Awinionie.

– To musiało być dla poety ekscytujące miasto.

– I tak, i nie – odparł. – To tutaj znalazł swoją muzę, Laurę. – Pokazał na tablicę, jakby to była Laura. – Ale Awinion? Petrarka nienawidził tego miasta. Nazywał je ściekiem, Babilonem. A papiestwo wielką nierządnicą.

– Mocne słowa.

– Niektóre z jego słów były jeszcze mocniejsze. Napisał na przykład, że „dziwki roją się na papieskich łożach". Oskarżał

papieża i jego świtę o gwałty, kazirodztwo, orgie.

– Więc dlaczego mieszkał w tak okropnym miejscu? Nie chciał zostawić Laury?

Stefan uśmiechnął się.

– Być może. Ale także dlatego, że ssał pierś tej wielkiej nierządnicy.

– Słucham?

– Był prywatnym kapelanem jednego z włoskich kardynałów. Był na garnuszku papieża, gdy pisał wiersze miłosne i atakował papiestwo. – Stefan spojrzał na zegarek – Chodźmy.

Po kilku zakrętach wkroczyliśmy w kolejną wąską uliczkę, rue Saint-Agricol. Stefan zatrzymał się pomiędzy dwoma małymi sklepikami. Wąskie przejście o łukowatym sklepieniu, nieomal tunel, prowadziło pod wyższymi kondygnacjami budynku i wychodziło na małe podwórko. Na podwórku stało kilka dużych parasoli i kawiarnianych stolików. Spojrzałem na niego zdziwiony. Po co mnie tu przyprowadził?

– To ostatni punkt naszej nocnej wycieczki.

Poprowadził mnie w głąb podwórka. Zobaczyłem zrujnowaną fasadę starego kamiennego budynku o wysokości około dwunastu metrów. Łuki w ścianie nosiły ślady niegdysiejszej glorii: zarysy wysokich gotyckich okien, z których witraże i kamienne maswerki zniknęły wieki temu.

– Ten budynek to była kiedyś kaplica templariuszy. Słyszałeś o templariuszach?

– Trochę. Nie więcej niż to, co powiedziałeś w dniu, kiedy przyjechałem do Awinionu. Templariusze byli strażnikami szlaków pielgrzymkowych do Ziemi Świętej w czasach krucjat, tak? – Skinął. – I walczyli z muzułmanami. – To także potwierdził skinięciem. – I sprawili, że kilka lat temu Dan Brown został milionerem.

Zmarszczył czoło.

– Dan Brown?

– Napisał *Kod da Vinci.*

– A, *oui*. – Prychnął. – To ta książka, w której Jezus i Maria Magdalena mieli dzieci, a templariusze ochraniali ich potomków. Stek bzdur. Templariuszy zniszczyli siedemset lat temu król i papież. Filip IV Piękny był u nich zadłużony po uszy. Zamiast zwrócić dług, oskarżył ich o herezję, uwięził i zarekwirował pieniądze i budynki. Pomógł mu w tym papież Klemens.

– Klemens? Wielki? Nie chce mi się wierzyć. Zaczynałem go lubić.

– *Non, non*, nie ten Klemens. Poprzedni – Klemens V. Klemens V był pierwszym papieżem Francuzem, pierwszym papieżem w Awinionie. Był marionetką Filipa. Król zmusił Klemensa do rozwiązania zakonu i ekskomunikowania templariuszy, choć nie zrobili nic złego. Wstyd i hańba.

– Szkoda – powiedziałem. – Klemens Wielki wydaje się lepszy niż Klemens Marionetka. Nic dziwnego, że dostał ładniejszy przydomek.

Stefan podszedł do ciężkich, drewnianych drzwi kaplicy i nacisnął klamkę.

– Stefan! Co ty wyprawiasz?

– Nie martw się – uspokoił mnie. – Mam klucz. Właściciel jest moim znajomym.

Otworzył drzwi i wszedł do środka.

– Chodź, nie chcesz się rozejrzeć?

Wszedłem za nim, spodziewając się, że ujrzę pusty, zrujnowany szkielet budynku. Ale okazało się, że trzy okna z witrażami w przeciwległej ścianie pozostały nietknięte. Wpadało przez nie światło księżyca, rozjaśniając niezwykłe wnętrze. W wysokim pomieszczeniu zobaczyłem rzędy foteli. Siedzenia skierowane były

w stronę czegoś, co kiedyś było ołtarzem, a teraz niewielką sceną. Nad sceną, bezpośrednio nad naszymi głowami, błyszczały metalowe kratownice, do których przymocowano reflektory.

Stefan roześmiał się, widząc moje zaskoczenie.

– Nie tego się spodziewałeś? To jest teraz teatr i centrum konferencyjne. Wszystko gotowe na festiwal. Festiwal Teatralny w Awinionie rozpoczyna się za dwa tygodnie. Mamy w mieście pięćdziesiąt, a może i więcej teatrów. W ramach trzytygodniowego festiwalu zostanie wystawionych tysiąc przedstawień. Spektakle przez cały dzień, wieczór, a nawet w nocy. Jednego roku na dziedzińcu pałacu papieskiego oglądałem balet, który zaczął się o zachodzie słońca, a skończył, kiedy słońce wschodziło następnego ranka. Szaleństwo. Bardzo wyczerpujące. Ale też *magnifique*, wspaniałe.

Pokazał na scenę.

– Ktoś powinien napisać sztukę na te deski – kontynuował. – Coś o religii, pieniądzach i władzy. Śmiertelna kombinacja, nie sądzisz?

– Na pewno dla templariuszy – zgodziłem się.

Wyszliśmy z kaplicy. Zamknął drzwi na klucz i wróciliśmy przez wąskie przejście na rue Saint-Agricol. Wytłumaczył mi, jak wrócić do „Lumani", i stanął przy łukowatym wejściu na podwórko. Kiedy obejrzałem się za siebie, skręcając za róg, wciąż tam stał. Pomachał mi ręką na pożegnanie.

Kiedy dotarłem do hotelu i wszedłem do łóżka, wreszcie byłem gotowy na sen. Pomyślałem o opowieści Stefana o templariuszach, o niebezpieczeństwie płynącym z mieszania religii, pieniędzy i władzy, o długiej historii dramatu w Awinionie. Współczesny festiwal teatralny z pewnością nie dorównywał prawdziwym tragediom i walkom o władzę, w jakich setki lat temu brali udział papieże, chłopi, królowie, kardynałowie, malarze i poeci. I człowiek,

który został ukrzyżowany siedemset lat temu. Czy może dwa tysiące?

Cały świat to scena – pomyślałem sennie. Cały Awinion to scena.

W głowie rozbrzmiała mi melodia kołysanki Mirandy. *Sur le pont d'Avignon*. Jak to szło? Nie mogłem sobie przypomnieć słów, więc zastąpiłem je własnymi, jedynymi, które mogłem dopasować do melodii przygrywającej mi do snu.

Awinion, Awinion. Wszystkie drogi prowadzą do Awinionu. Awinion, Awinion...

ROZDZIAŁ 9

AWINION
ROK 1328

Awinion, Awinion... Dlaczegóż to właściwie przybył do tego Awinionu?

Dla staruszka, który jęczy łamany kołem, wszystkie drogi wiodły nieubłaganie do Awinionu i do tej chwili cierpienia. Jednak dlaczego tak się stało? Dlatego, odpowiada sam sobie, że taka była wola Boga. Nie ma innej chwili niż ta chwila, innej rzeczywistości niż ten ból, innej woli poza wolą Boga. Jęczy, gdy dźwignia znów się przesuwa, naprężone liny trzeszczą z powodu zwiększonego nacisku, a koło zębate się obraca. Jest torturowany już od godziny i każdy cichy, metaliczny odgłos zębatki, kiedy strażnik więzienny unosi dźwignię, która obraca mechanizm, sprawia, że jest pewien, iż tym razem jego kończyny zostaną wyrwane ze stawów.

Obok strażnika stoi zwalista postać w białym habicie. Pochyla się nad staruszkiem. Jego ubiór zakończony jest stożkowatym białym kapturem; pod nim płoną oczy jak węgielki.

– Zadam ci to pytanie raz jeszcze. Mów prawdę. Gdzie poznałeś te błędne nauki?

– Jakie błędne nauki? – stęka staruszek. – Powiedz mi, Fournier.

Postać w kapturze sapie z wściekłością.

– Żadnych nazwisk. Tutaj jesteśmy tylko ty, heretyk, i ja, inkwizytor.

– Żądasz prawdy? Oto ona: jesteś Jacques Fournier, syn szewca, który został kardynałem. Zżera cię strach, inaczej nie skrywałbyś się pod tym kapturem. Czy jednak kaptur zmieni twój głos, pozbawi cię lęku i słabości? Czy twój ukochany biały habit jest w stanie ukryć zwały tłuszczu spowodowane obżarstwem? Czy te liny rozerwą imię Eckhart tak samo jak moje ciało?

– Bezczelność cię nie ocali. Bezczelność w stosunku do tego świętego urzędu jedynie potwierdza, że jesteś heretykiem. Głosiłeś, że Bóg nie jest inteligentnym bytem? Kto cię nauczył tej herezji?

– Bóg mnie tego nauczył, Fournier. Bóg nie jest bytem, Bóg jest czymś więcej. Bóg jest wszystkim.

– Nie jesteś w stanie pojąć Boga.

– Oczywiście, że nie. Gdybym mógł go pojąć, nie byłby prawdziwym Bogiem. Bóg znajduje się tak dalece powyżej mojej inteligencji, jak ty poniżej.

Inkwizytor odsuwa strażnika i sam chwyta za dźwignię. Naciska na nią całym, jakże ogromnym, ciężarem swego ciała. Fournier wyobrażał sobie tę scenę tysiące razy przez ostatnich czternaście lat, od dnia, kiedy widział spalenie dwóch templariuszy na Wyspie Żydów. Od dnia, gdy Eckhart ośmielił się skrytykować inkwizytora, sprawiając, że młody Fournier zagotował się ze złości. Zębatka

szczęka raz, potem drugi, kiedy starszy i cięższy Fournier napiera na dźwignię i obraca kołem. Staruszek dociera do kresu wytrzymałości. Jego ścięgna rozrywają się. Krzyczy i traci przytomność.

Kiedy ją odzyskuje, leży bezwładny na zimnej kamiennej posadzce celi o niskim sklepieniu, wciśniętej w fundamenty budynku, który jest ogromny z zewnątrz, a okazały w środku.

Dwa piętra wyżej inkwizytor siedzi na rzeźbionym krześle w marmurowej sali audiencyjnej. Na szyi ma teraz czerwony szal, a zamiast kaptura inkwizytora czerwony kapelusz o szerokim rondzie, oznakę piastowanej godności kardynała, księcia Kościoła. Naprzeciwko niego na tronie garbi się Jego Świątobliwość papież Jan XXII.

– Jesteś tego pewien, Jacques? – chrypi.

– Najzupełniej pewien, Ojcze Święty. Przesłuchiwałem go kilka razy.

– Masz na myśli...

– Tak, Wasza Świątobliwość. Dzisiaj o mało go nie rozerwałem, a mimo to uparcie obstawał przy swoich herezjach. Wasza Świątobliwość czytał jego obronę. Oskarża swoich krytyków o „ignorancję i głupotę". Jest arogancki i pyszny niczym Lucyfer.

Papież wzdycha charcząco.

– Mieliśmy nadzieję, że uda ci się sprowadzić go na właściwą drogę. Odniosłeś niezwykły sukces, wykorzeniając heretyckich katarów w Montaillou.

– Katarzy byli głupcami, Ojcze Święty. Pasterzami i kramarzami. Weźmy na przykład tę Beatrice. Nie uważała za grzech nawiązania stosunków cielesnych z księdzem, ponieważ przynosiły obojgu przyjemność, a jej mąż nie miał nic przeciwko temu. Wszyscy oni byli idiotami.

Papież ze zniecierpliwieniem macha ręką.

– Tak, tak. Czytałem zapis jej zeznań. Jej i setek innych. Byłeś nad wyraz dokładny w swojej pogoni za herezją. I drobiazgowy w prowadzeniu zapisków.

Fourniera ogarnia gniew. Czyżby papież z niego szydził? Starzec wzdycha, po czym ciągnie dalej:

– Zatem, mając na względzie twoje wcześniejsze sukcesy z heretykami, mieliśmy nadzieję, że zmusisz Eckharta do posłuszeństwa.

– Eckhart nie jest byle kmiotkiem – odpowiada kardynał. – Wiele łączy go z Tomaszem z Akwinu. Ma dowcip i niebezpieczny umysł. I czerpie radość z wywodzenia w pole mniej bystrych od siebie.

– Czy ciebie też wywiódł w pole?

Pulchny kardynał uśmiecha się niewesoło do wysuszonego papieża.

– Trudno to robić, kiedy jest się łamanym kołem.

– Czy twoim zdaniem w ogóle kiedykolwiek przyzna się do błądzenia i nam się podporządkuje?

– Nigdy, Wasza Świątobliwość. Jest stary, arogancki i uparty jak osioł.

– Szkoda. W takim razie musimy powstrzymać go przed dalszym sprowadzaniem na manowce innych. Dobrze by jednak było, gdyby przed śmiercią okazał skruchę.

Fournier uśmiecha się tym razem szeroko, szczerze i bardziej złowieszczo.

– Nie ustaję w modlitwach, by umarł w stanie łaski, Ojcze Święty.

ROZDZIAŁ 10

SIENA
ROK 1328

Simone Martini pochyla się do przodu i ze zmarszczonymi brwiami wpatruje się w oczy Jezusa. Twarz Zbawiciela znajduje się teraz niecałe pół metra od niego i Simone nie jest pewien, czy mu się podoba. Czy to naprawdę mają być oczy Syna Bożego? Jeśli tak, powinny być większe, bardziej... boskie.

– Nieźle – odzywa się nagle czyjś głos. Jest to tak niespodziewane i przerażające, że Simone prostuje się raptownie i uderza głową o belkę, o mało nie spadając z rusztowania. Gdyby upadł z wysokości siedmiu i pół metra na kamienną posadzkę, z pewnością jego czaszka roztrzaskałaby się niczym dojrzały melon. Jego zaskoczenie i oszołomienie szybko przeradzają się w ból i złość. Kto się ośmiela przeszkadzać mu w tak ważnej chwili, gdy odnawia ten fresk? Czy nie zostawił wyraźnych instrukcji, że nie życzy sobie, by mu przeszkadzano? Farbę trzeba nałożyć przed wyschnięciem tynku, w przeciwnym razie nie zwiąże się prawidłowo i fresk nie będzie się do niczego nadawał. Bogiem a prawdą, Simone był bliski odłożenia pędzla, zadowolony z wyglądu oczu Zbawiciela. Mimo to wtargnięcie tu intruza doprowadza go do wściekłości. Jego żądanie zostało zignorowane, a guz na głowie boli jak diabli. Pocierając głowę, patrzy w dół, by zobaczyć, który z jego uczniów zasłużył na burę.

To jednak nie uczeń. Simone nie widzi twarzy mężczyzny – kaptur peleryny skrywa ją w cieniu – ale zna sylwetki wszystkich swoich sześciu uczniów. Ten przygarbiony, przysadzisty człowiek nie jest jednym z nich.

– Twarz jest całkiem dobra – dodaje nieznajomy. – Ale ręce są zbyt małe, a palce o wiele za krótkie.

Simone nie wierzy własnym uszom. Kim jest ten gbur i jak śmie krytykować dzieło najbardziej szanowanego malarza Sieny?

– Jeśli przedstawiasz Chrystusa udzielającego błogosławieństwa, prawa ręka musi bardziej rzucać się w oczy, a pierwsze dwa palce muszą być długie i cienkie.

Bezczelność, myśli Simone. Przekraczająca wszelkie granice bezczelność! Trzęsąc się z gniewu, schodzi z rusztowania i zaciska pięść.

Niski mężczyzna odchyla kaptur i Simone wciąga gwałtownie powietrze.

– Mistrz Giotto!

Giotto di Bondone, najznakomitszy artysta w Toskanii, a co za tym idzie – na całym świecie, podskakuje, parodiując przysiad wojownika. Potem wybucha śmiechem i bierze Simonego w ramiona. Następnie puszcza go, odsuwa się do tyłu i raz jeszcze przygląda się ogromnemu freskowi, który pokrywa całą ścianę Palazzo Pubblico, siedziby władz Sieny. Namalowany przez Simonego w 1315 roku fresk przedstawia Maryję Dziewicę w otoczeniu świętych. Nad nią, na górze obrazu, widać Jezusa unoszącego prawą rękę w błogosławieństwie.

Kilka tygodni temu, podczas burzy, deszcz, który dostał się przez dziurę w dachu, zniszczył część malowidła. Na policzkach Chrystusa pojawiły się smugi przypominające ślady łez. Ta zmiana mogła zostać obwołana cudem („Patrzcie! Zbawiciel płacze!"). Odrzucono jednak tę możliwość, uznając, że to wina wody i że trzeba postawić wielkie rusztowanie, i zafundować freskowi małą renowację.

Stary mistrz rozkłada ręce, jakby obejmując cały fresk.

– Nieźle – mówi raz jeszcze. Tym razem w jego głosie jest dużo serdeczności i szczerego podziwu. – Całkiem nieźle jak na tynkarza, który zawsze był taki powolny.

Tym razem to Simone wybucha śmiechem.

– Nie byłem powolny, tylko przepracowany. Byłeś zbyt skąpy, żeby zatrudnić wystarczającą liczbę pomocników.

– Skąpy? Skąpy? Żarty się ciebie trzymają? Wiesz, ile mi zapłacono za freski w Padwie? Nic. A nawet mniej niż nic. Trzy lata harowałem jak osioł w tej kaplicy, a ten drań Scrovegni wypłacił mi jakieś nędzne grosze. Wiesz, co musiałem robić, żeby jakoś związać koniec z końcem? Wstyd mi się do tego przyznać, Simone. Kopiowałem obrazy Duccia i podpisywałem je jego imieniem. Fałszowałem jego dzieła, ponieważ Duccio sprzedawał się wówczas lepiej niż ja. A to jeszcze nie wszystko. Pewnego razu, kiedy potrzebowałem pieniędzy, żeby dokupić pigmentów, powkładałem świńskie kości do pozłacanych pudełek i sprzedawałem je jako relikwie świętych. – Simone jest w szoku. Otwiera usta, by o coś zapytać, ale Giotto nie daje mu dojść do słowa. – Nie chcę o tym mówić. To zbyt upokarzające. – Krzywi się z niesmakiem. – A przecież rodzina Scrovegnich bogactwem dorównuje królom. Wiesz, w jaki sposób się wzbogacili, prawda?

Simone wzrusza ramionami. Oczywiście doszły do niego plotki, rozpuszczane przez uczniów, którzy mieszali tynk lub pigmenty, ale nie jest pewien, ile właściwie wie. Poza tym nie chce pozbawiać mistrza Giotta przyjemności opowiedzenia tej historii.

– Lichwa – syczy stary malarz. – Pożyczanie pieniędzy na zabójczy procent. Ta rodzina jest gorsza od Żydów. Czytałeś *Boską komedię* Dantego? – Simone kręci głową. – Dante umieścił ojca Scrovegniego w siódmym kręgu pośród lichwiarzy. Ja umieściłbym jego syna w ósmym kręgu, przeznaczonym dla oszustów. Cała ta rodzina to lichwiarze, kłamcy i złodzieje.

Giotto spluwa – na podłogę pałacu, najpiękniejszego budynku w Sienie! – po czym ponownie spogląda na fresk i uśmiecha się

promiennie.

– Ten fresk jest cudowny, Simone. I ogromny – prawie tak duży jak mój *Sąd Ostateczny* w kaplicy Scrovegnich. – Odwraca się do Simonego i lustruje swego byłego ucznia od stóp do głów. – Właściwie ile ty masz lat?

– Czterdzieści cztery, mistrzu Giotto.

– Zdumiewające. Byłeś młokosem, kiedy mieszałeś dla mnie tynk w kaplicy Scrovegnich.

– To było dwadzieścia pięć lat temu.

– Zdumiewające – powtarza. – Pomyśl tylko, Simone, skoro tworzysz tak wielkie i znakomite dzieła w wieku czterdziestu czterech lat, co będziesz robił, mając sześćdziesiąt dwa, czyli tyle, ile ja?

– Będę podziwiał dzieła, które stworzysz, mistrzu, w wieku lat osiemdziesięciu – odpowiada Simone – i będę rozpaczał, że nigdy ci nie dorównam.

– Bzdura. – Giotto potrząsa głową i przewraca oczami, ale jego uśmiech sugeruje, że docenił komplement. – Słyszałem, że wżeniłeś się w rodzinę malarzy. Poślubiłeś podobno córkę Memma, jak jej na imię?

– Giovanna.

– A, tak. Pamiętam ją jako ładną, małą dziewczynkę. Doczekaliście się już potomstwa, trzódki małych Martinich?

– Jeszcze nie – odpowiada Simone, niezadowolony, że Giotto porusza temat, który napawa wielkim smutkiem zarówno jego, jak i Giovannę.

– Taki przystojny mężczyzna jak ty, Simone, powinien mieć gromadkę dzieci. Popatrz na mnie – ja jestem najszpetniejszy w całej Florencji, a spłodziłem szóstkę. Chcesz poznać mój sekret?

Simone kiwa grzecznie głową, choć wiele go to kosztuje.

– Ciemność.

– Ciemność? Co masz na myśli, mistrzu?

– W ciemności, Simone, jestem równie przystojny jak każdy inny mężczyzna! – Stary malarz śmieje się z własnego dowcipu. – A teraz wyczyść swe pędzle i chodź ze mną. Czeka nas kolacja z twoim teściem. Właśnie obejrzałem jego freski w San Gimignano i chcę się dowiedzieć, jak mu się to udało.

– Co mu się udało, mistrzu?

– Jak udało mu się wyciągnąć pieniądze na freski przedstawiające kobiety i mężczyzn – nagich jak Pan Bóg ich stworzył! – kąpiących się razem i razem leżących w łóżku! A wszystko to na ścianach pałacu będącego siedzibą władz! Ileż można malować męczenników i dziewice? Przenieśmy się do San Gimignano albo jeszcze lepiej, do Awinionu – to tam są teraz grube pieniądze – i zapoczątkujmy nową modę w malarstwie. Kurtyzany, konkubiny i krzepkie wiejskie dziewki. Pomóż mi zdobyć te zlecenia, mój chłopcze, a będę ci płacił dziesięć razy więcej, niż płaciłem ci, gdy mieszałeś dla mnie tynk.

Simone wybucha śmiechem.

– Z taką stawką, mistrzu, i tak umarłbym z głodu.

ROZDZIAŁ 11

AWINION
CZASY WSPÓŁCZESNE

Nie spałem już od piątej nad ranem, choć chodziłem ze Stefanem po ulicach Awinionu do pierwszej, i teraz co pięć minut obsesyjnie sprawdzałem maile. Miałem nadzieję, że Joe wyśle mi zdjęcia rekonstrukcji twarzy. W Awinionie była ósma rano, co oznaczało drugą w nocy dla Joego. Nie mogłem sobie wyobrazić, że nadal pracuje.

Postanowiłem zejść na dół po croissanta, kiedy mój komputer zaświergotał, aby oznajmić nadejście wiadomości. Serce zaczęło mi bić jak szalone, kiedy okazało się, że to wiadomość od Joego. Otworzyłem ją pospiesznie, ale nie było żadnego tekstu; jedynie mała ikona wskazywała, że załączony został plik graficzny. Kliknąłem na załącznik i czekałem niecierpliwie, aż plik się załaduje. Na ekranie pojawiła się twarz wyrzeźbiona w glinie. Joe się spisał. Zrekonstruował twarz na podstawie czaszki z pałacu papieskiego.

Kiedy przyglądałem się jej rysom, miałem dziwne wrażenie, że znam tego człowieka, że widziałem go wcześniej. Czy to dlatego, że widziałem prace Joego? Rekonstrukcje twarzy, zwłaszcza te wykonywane przez tego samego rysownika, są do siebie podobne: „biały mężczyzna numer 7", „czarny mężczyzna numer 4". Czy to dlatego jego twarz wyglądała znajomo? Odwróciłem się, wyjrzałem przez okno, żeby oczyścić umysł, a potem spojrzałem na ekran jeszcze raz.

Znowu doznałem tego samego wrażenia. Kim był ten facet i dlaczego wydawało mi się, że go znam? Przyczyną nie było to, że wyglądał jak setki innych białych mężczyzn, których portrety pamięciowe lub zrekonstruowane twarze dane mi było obejrzeć. Ta twarz się wyróżniała: długa i wąska, z wysokimi kośćmi policzkowymi i lekko zakrzywionym nosem, może złamanym w czasie bijatyki. Zauważyłem te charakterystyczne cechy, kiedy badałem czaszkę, ale na rysunku Joego były bardziej wyraźne.

Nagle synapsa w moim pozbawionym snu mózgu rozbłysła. Pod wpływem chwili wysłałem wiadomość do Joego.

dostałem. świetnie. dzięki. jesteś tam jeszcze?

tak – odpowiedział kilka sekund później.

możesz wprowadzić kilka drobnych zmian?

Pauza.

jakich zmian?

możesz dodać długie włosy? wąsy i brodę? i może wygładź trochę zmarszczki. odmłódź go o jakieś 10 lat.

Kiedy czekałem na odpowiedź, zacząłem się bać, że się wycofa.

mam go potraktować regainem i botoksem?

tak

nie ma sprawy

Westchnąłem z ulgą, a potem wysłałem kolejną wiadomość.

nie chciałbym cię poganiać, ale ile to potrwa?

zależy. chcesz szybko czy dobrze?

Uśmiechnąłem się.

zacznijmy od szybko – odpisałem. – *jeśli będę potrzebował dobrze, będę cię błagał jutro.*

prawidłowa odpowiedź, bo gonię w piętkę, jeśli chodzi o czas. dostałem nową sprawę i muszę się nią teraz zająć. daj mi 20 minut. wprowadzę zmiany i wyślę ci plik, jak tylko będzie gotowy.

Dwadzieścia minut wydawało się wiecznością, więc zszedłem na dół, żeby coś zjeść. Z nerwów pochłonąłem trzy croissanty i kilkanaście truskawek. Kiedy dotarłem do szczytu schodów i otworzyłem drzwi pokoju, usłyszałem sygnał nowej wiadomości.

i jak? – spytał nad poprawionym zdjęciem.

Jak? To było niesamowite.

Jeśli rekonstrukcja twarzy wykonana przez Joego była dokładna, to kości z Awinionu należały do mężczyzny bliźniaczo podobnego do człowieka, którego wizerunek można zobaczyć na całunie turyńskim.

ROZDZIAŁ 12

TURYN
CZASY WSPÓŁCZESNE

– A czego się spodziewałeś? – wyszeptała. – Że odsłonią zasłonę, ściągną go ze ściany i pozwolą ci położyć go na podłodze?

Klęczeliśmy i sprzeczaliśmy się z Mirandą w rogu Duomo di Torino, katedry turyńskiej, dokąd wybraliśmy się po ujrzeniu twarzy wyrzeźbionej przez Joego Mullinsa. Miranda próbowała mnie zniechęcić do tej wyprawy, która oznaczała siedem godzin jazdy samochodem, twierdząc, że tylko bezpośredni nakaz papieża mógłby zapewnić nam dostęp do całunu. Ale ja nie dałem się odwieść od tego pomysłu. Wmówiłem sobie, że jeśli pokażę zdjęcie rekonstrukcji tej twarzy komuś ważnemu – wyższemu rangą duchownemu? biskupowi? arcybiskupowi? – będzie tak zachwycony

podobieństwem, że bez zwłoki pozwoli nam porównać oblicze z całunu z naszym obrazem.

Był jeszcze jeden powód mojego uporu, o którym nie wspomniałem Mirandzie. Rocky Stone zadzwonił do mnie wkrótce po tym, jak otrzymałem plik od naszego rysownika.

– Mam dobrą i złą wiadomość – oznajmił. – Dobra jest taka, że wiemy, kim był snajper w Sevierville. To Kolumbijczyk, Cesar Morales. Zła jest taka, że Morales wysiadł z samolotu w Amsterdamie godzinę temu.

Stone uważał, że gangster przyjechał do Europy, aby wynegocjować dostawę narkotyków.

– Ale nie mogę zagwarantować, że nie szuka ciebie – dodał. – Skontaktowałem się z Interpolem – kontynuował – więc policja w Holandii i Francji depcze mu po piętach. Ale bądź ostrożny. Zaszyj się gdzieś. Wyjedź z miasta na kilka dni, jeśli możesz. – To, co następnie powiedział, zdziwiło mnie i poruszyło. – Zaraz wsiadam do samolotu do Amsterdamu – dodał. – Będę tam jutro rano... Nie spocznę, póki go nie znajdę.

Godzinę później ponownie pożyczyłem samochód od Jeana i Elisabeth – tym razem sędziwy peugeot miał zabrać nas na dużo dłuższą przejażdżkę – i pomknęliśmy z Mirandą przez płaski „brzuch" Francji do podnóża Alp, a potem na wschód, krętymi górskimi drogami i granitowymi tunelami – aż w końcu dotarliśmy do doliny Padu i do szarego Turynu.

Katedra stała skromnie na krawędzi placu wyłożonego płytami, sąsiadując z ruinami starożytnej bramy rzymskiej i murami obronnymi miasta. Nie zauważyłbym jej w ogóle, gdyby nie wysoka dzwonnica. Byłem zdziwiony, że taki mały, nijaki budynek mieści najsłynniejszą relikwię chrześcijaństwa. Zwróciłem się do Mirandy i zażartowałem:

– Przypomniało mi się, co powiedziała moja przyjaciółka Sybil, kiedy zobaczyła Wielki Kanion: „Myślałam, że jest większy".

– Mnie też kilka razy naszła taka refleksja – odparła Miranda z uśmieszkiem, kiedy wchodziliśmy do kościoła.

Wnętrze katedry także było skromne i proste: drewniane ławy, niezdobione kolumny, białe ściany, kamienna podłoga wykładana oktagonami białych i szarych płytek, połączonych małymi czerwonymi kwadracikami.

Sam całun mieścił się w bocznej kaplicy z przodu nawy głównej, po lewej stronie budowli. Przed relikwią znajdował się ponaddwumetrowy klęcznik, a pomiędzy nim a całunem – szyba, od podłogi do sufitu. Całun wisiał nad długim, białym ołtarzem ozdobionym cierniami nawiązującymi do korony cierniowej, którą założono na głowę Jezusowi przed ukrzyżowaniem. Czarna zasłona szerokości kaplicy zasłaniała jednak relikwię. Reprodukcja oblicza z całunu – plakat z szarym negatywem, który był bardziej spektakularny niż rzeczywiste czerwonobrązowe odbicie – zawieszona została nad ołtarzem. Była ona nagrodą pocieszenia dla pielgrzymów rozczarowanych zasłoną.

Wciąż na klęczkach, rozwinąłem dwa wydruki, które ze sobą przywiozłem. Jeden był pozytywem wizerunku stworzonego przez Joego, a drugi jego negatywem, który stworzyła Miranda za pomocą Photoshopa. Podobieństwo pomiędzy obrazami, które miałem w ręku, i plakatem za szybą było uderzające, zwłaszcza kiedy porównałem negatyw z turyńską reprodukcją.

Niestety, moje wydruki nie zrobiły wrażenia na nikim ważnym – z tego prostego powodu, że w okolicy nie było nikogo ważnego. Oprócz postawnej kobiety, która klęczała obok mnie i rzucała nam piorunujące spojrzenia, kiedy szeptaliśmy, jedyną osobą obecną w katedrze była starowinka sprzedająca zakładki do książek,

pocztówki, plakaty, książki i inne pamiątki z całunem w maleńkim sklepiku za nawą główną.

– Zaraz będą zamykać – wyszeptałem. – Może rano będziemy mieć więcej szczęścia.

– Ciii – uciszyła mnie zirytowana kobieta. Była Niemką. Nie wywnioskowałem tego po akcencie jej „ciii", ale z modlitewnika, przed którym uklękła. Zainspirowaną całunem modlitwę przetłumaczono na siedem języków i zawieszono przed klęcznikiem dla wygody wiernych. Pomiędzy rzucanymi nam spojrzeniami kobieta klepała niemiecką modlitwę, mrucząc gardłowo.

– Dostają mnóstwo tego typu próśb. Ludzie chcą zobaczyć całun, dotknąć go, pobrać próbkę tkaniny – szeptała dalej Miranda. Mówiła tak cicho, że ledwo ją było słychać, z ustami tak blisko mojego ucha, że intymność rozmowy zarówno mnie niepokoiła, jak i podniecała.

– Myślisz, że twoja prośba jest wyjątkowa. Tak jak wszyscy inni – rodzice umierającego dziecka, zakonnica, która miała wizję, fizyk, który wymyślił nowy sposób na sprawdzenie autentyczności całunu. Wszyscy myślą, że są wyjątkowi. I każdy jest. Więc ksiądz czy biskup, czy kto tam tu rządzi, musi traktować wszystkich na równi.

– Wiem – wyszeptałem. – Ale myślałem, że warto spróbować. Może... – wzruszyłem ramionami.

– Wiem, co myślałeś. Myślałeś, że uda ci się ich przekonać, że twoja sprawa jest superwyjątkowa. Wyjątkowo wyjątkowa.

Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu – znała mnie tak dobrze.

Ciii!

– Dobra – zgodziłem się. – Moja wyjątkowość i dwa euro wystarczą na cappuccino.

– Raczej cztery – poprawiła mnie.

– Cztery euro? Sześć dolarów za coś, czego nawet nie lubię?

– To twoja wina. Nigdy nie jest za późno, aby dorosnąć, rozszerzyć horyzonty.

– Dobra, pokaż mi całun, a ja wypiję całe cappuccino, jakie przede mną postawisz.

– Serio?

– Serio.

– Słowo honoru doktora habilitowanego?

– Słowo honoru.

– Przygotuj się na dużą dawkę kofeiny – powiedziała z błyskiem w oku.

– Ciii! – poniosło się wściekłym echem. Niemka wstała i podążyła ku wyjściu, a oskarżycielskie stukanie jej obcasów rozbrzmiewało jak rykoszetujące strzały.

Na podłodze korytarza hotelu „Diplomatic", w którym się zatrzymaliśmy, leżał całun turyński w całej swojej rozciągłości. Końcówki palców nóg postaci nieomal dotykały windy, drugi koniec sięgał aż do okna z widokiem na hałaśliwą turyńską ulicę. To, co leżało na podłodze, to nie była oczywiście święta relikwia, ale naturalnych rozmiarów zdjęcie całunu w wysokiej rozdzielczości. Miało długość czterystu trzydziestu pięciu centymetrów plus piętnaście centymetrów ramki na obu końcach.

Wydruk przybył w tubie. Aby go wyprostować, na krótko zrolowaliśmy go w drugą stronę, co trochę pomogło, choć i tak musieliśmy przycisnąć końce butami.

Na czworakach przyglądałem się twarzy. Spojrzałem na Mirandę.

– No powiedz. Skąd to wytrzasnęłaś? Nie pojawił się przecież cudownie w recepcji.

– Może – zaświergotała. – OK, z niewielką pomocą holyshroudguild.org.

– Strony internetowej?

Skinęła.

– To strona ze sklepikiem online. Wszystko to dzięki cudowi Google, AmEx i FedEx. Zamówiłam całun wczoraj rano, tuż przed wyjazdem z Awinionu. Plik ze zdjęciem – ogromny plik – wysłałam do pracowni reprograficznej w Turynie i kazałam im tutaj dostarczyć wydruk.

– Odwołuję swoje słowa – powiedziałem. – To był rzeczywiście cud. Ile teraz kosztuje naturalnej wielkości, w wysokiej rozdzielczości, dostarczony ekspresem całun turyński?

– Tygodniowe zarobki – wyjawiła. Zagwizdałem, ale przerwała mi. – Nie twoje, a moje. Jak na cuda był tani jak barszcz.

Spojrzałem znowu na obraz. Ciało najwyraźniej położono na całunie na wznak ze stopami sięgającymi krańca tkaniny i ponad dwoma metrami materiału pozostawionymi za głową. Ta część całunu została następnie złożona na twarz, tors i nogi. Dwie sylwetki – jedna widoczna z przodu, a druga z tyłu – łączyły się nad głową, co wyglądało jak bliźniaki syjamskie połączone głowami. Na zdjęciu tkanina miała kolor brudnej kości słoniowej. Widoczny na niej wizerunek był niewyraźny, czerwonobrązowy z jaśniejszymi plamami tu i ówdzie, które to plamy odzwierciedlały miejsca ran od biczowania, ukrzyżowania i korony cierniowej.

Kolor i brak ostrości obrazu zdziwiły mnie. Większość artykułów w sieci na temat całunu przedstawiała wyglądającą jak widmo czarno-białą twarz, jak ten duży plakat zawieszony w katedrze. Były to negatywy fotograficzne: dramatyczne obrazy o dużym kontraście, w których tło wydawało się szare, oczodoły były ciemnoszare, a powieki jaśniejsze; najjaśniejsze były kości policzkowe, brwi, nos,

wąsy i broda. Wydruk, który oglądaliśmy z Mirandą, to był pozytyw, który wiernie oddawał obraz z całunu. W naszej wersji najwyższe punkty były najciemniejsze, jakby wilgotna szmatka przyciśnięta została do twarzy, a ciało pokryte czerwonobrązowym proszkiem.

Kiedy przyglądałem się twarzy mężczyzny, moją uwagę przyciągnęły jego włosy.

– Hm – zamyśliłem się.

– Co?

– Czegoś tu nie rozumiem. On leży na plecach, tak?

– Tak mówią. I na to wygląda.

– Więc dlaczego jego włosy opadają, jakby stał?

– Rzeczywiście – zgodziła się Miranda. – Dobre pytanie.

– I jeszcze jedno – kontynuowałem. – O co chodzi z tymi czerwonymi plamami na całym ciele, na nadgarstkach, stopach, w boku, na plecach i czole?

– Puk puk, jest tam kto? To rany Chrystusa, głuptasie. Od gwoździ, biczowania, korony cierniowej, przebitego boku. Pamiętasz?

– Puk puk, jest tam kto? – odparłem. – Pamiętam. Ale nie powinno być na nich krwi. Nie krwawiłby po śmierci. Poza tym jest zbyt idealny.

– Jak to? To przecież masakra.

– Właśnie. Zbyt idealna masakra. – Popatrzyła na mnie, jakbym zwariował. – Popatrz na tę strużkę krwi na czole.

Po czole od linii włosów do środkowego końca łuku brwiowego spływała czerwona strużka o długości około ośmiu centymetrów i szerokości ponad centymetra. Po drodze rozszerzała się w trzech miejscach, jakby została wsączona w zmarszczki na czole.

Miranda uklęknęła i przyjrzała się jej.

– Od korony cierniowej? Co z nią nie tak?

– Według Biblii korona cierniowa została założona na głowę Jezusa przed ukrzyżowaniem. Zanim poniósł krzyż. Zanim zawisł na krzyżu na wiele godzin. Przez cały ten czas, podczas tej całej traumy, ta strużka krwi nie została zamazana potem? Nie została wytarta, kiedy uczniowie zdjęli ciało z krzyża i zanieśli do grobu? Natarto go wonnymi olejkami i owinięto tym eleganckim kawałkiem płótna, tak? Dlaczego więc nikt nie wytarł krwi z twarzy?

– Masz rację – zgodziła się.

– Popatrz na tę stopę – kontynuowałem. – Podeszwa odbiła się, jakby leżała płasko na materiale, jakby kolano było zgięte, tak jak to widać na każdym krucyfiksie. Pomyśl o zwłokach na Trupiej Farmie. Czy kolana zginają się tak artystycznie? Nie, stopy zawsze rozchodzą się na zewnątrz.

Miranda skinęła powoli.

– Trudno mi to przyznać, ale możesz mieć rację. – Uśmiechnąłem się. – Jeśli przyjrzeć się całunowi z punktu widzenia medycyny sądowej, to wszystko wydaje się zaaranżowane. Jakby ktoś odhaczał punkty na liście: korona cierniowa – jest, rana w boku – jest, otwory po gwoździach – są, ślady biczowania – są. – Miranda była w swoim żywiole, ale nagle złapała mnie za ramię i westchnęła. – O mój Boże.

– Co?

– Właśnie coś mi przyszło do głowy. Genialna, przerażająca myśl. Miliony ludzi wierzą, że całun to święta relikwia, tak? A jeśli jest odwrotnie?

– Odwrotnie do świętej relikwii? O czym ty mówisz?

Odetchnęła głęboko, zanim wyjaśniła.

– Załóżmy, że wyniki badań z 1988 roku były prawidłowe i że całun ma tylko siedemset lat. W takim razie to podróbka, tak? – Skinąłem. – Ale co, jeśli rzeczywiście pochodzi z czternastego wieku, ale nie jest fałszerstwem?

– Słucham? – patrzyłem na nią zdezorientowany.

– Co, jeśli pochodzi ze średniowiecza, ale jest prawdziwy? Co, jeśli te wszystkie plamy krwi i rany są prawdziwe? – pokazała na obraz, przesuwając dłoń, jakby wykonywała skan. – Co, jeśli ten kawałek materiału dokumentuje prawdziwą traumę, ale z czternastego wieku? Nie biczowanie i ukrzyżowanie Chrystusa, ale biczowanie i ukrzyżowanie jakiegoś mężczyzny z Awinionu, zabitego, żeby stworzyć... to! – Jej ręka przestała skanować, palec pokazywał oskarżycielsko na twarz. – To mógł być pierwszy na świecie „film ostatniego tchnienia". Obraz stworzony w celu udokumentowania morderstwa.

To była zdumiewająca koncepcja. Czy Miranda mogła mieć rację? Czy całun mógł ukazywać morderstwo z czternastego wieku? Czy kości z Awinionu – naszego N.N. – były kośćmi ofiary?

Spojrzałem na obraz z tej perspektywy. Oblicze na całunie wyglądało jak twarz naszego N.N., z tym że wzrost się nie zgadzał. Miałem w walizce miarkę, ale na początek położyłem się na podłodze obok całunu.

– Kto jest wyższy?

– On. O jakieś pięć centymetrów. Ile masz wzrostu?

– Metr siedemdziesiąt osiem.

– Więc on ma metr osiemdziesiąt trzy – powiedziała. – Jest bardzo wysoki, zarówno na pierwszy, jak i czternasty wiek. Większość facetów w tych czasach miała nieco ponad 150 centymetrów.

Moja asystentka miała rację. W dwudziestym wieku średni wzrost mężczyzn zwiększył się o piętnaście centymetrów –

w krajach rozwiniętych, ale nie w krajach rozwijających się – dzięki lepszej diecie i opiece zdrowotnej.

– Tak, karakany – zgodziłem się. – Widziałem zbroje, w których nie zmieściłby się mój dwunastoletni wnuczek.

Posmutniałem, kiedy uświadomiłem sobie implikacje.

– Cholera. To nie jest nasz N.N., Mirando. Nie może być.

– Niestety – potwierdziła moje obawy. – Ten facet jest o pół głowy wyższy niż nasz. Przykro mi. Wiem, że rekonstrukcja twarzy rozbudziła twoje nadzieje. Myślałeś, że wszystkie kawałki układanki do siebie pasują.

– Cóż – powiedziałem lekkim tonem. – To była interesująca możliwość. Ale mamy jeszcze twoją teorię. Czy nie byłaby to niezwykła ironia losu, gdyby ktoś został zabity, żeby mogła powstać święta relikwia? W każdym razie wciąż mamy zagadkę średniowiecznej zbrodni w Awinionie, prawda? – skinąłem na całun. – Być może mamy do czynienia z dwoma średniowiecznymi zbrodniami. Dwa razy więcej ciał, dwa razy więcej zabawy.

Nie uznała chyba mojej mowy za przekonującą, podobnie zresztą jak ja.

Włożyłem buty, zwinąłem całun i wsunąłem go pod ramię.

– Jestem skonany – powiedziałem, kierując się do swojego pokoju na końcu korytarza – tam, gdzie przed chwilą leżały stopy na całunie.

– Przepraszam, że cię wyciągnąłem na szukanie wiatru w polu. – Wszedłem do pokoju.

– Bill? – Zatrzymałem się, wyjrzałem na korytarz i zobaczyłem, że Miranda się do mnie uśmiecha. – Tak na marginesie. Uwielbiam szukać wiatru w polu. Dobranoc.

Miałem sen. W moim śnie wróciłem do kaplicy w katedrze, żeby po raz ostatni spróbować zobaczyć całun.

Kiedy szedłem nawą główną, zauważyłem mężczyznę ubranego w szaty wyższego rangą duchownego – biskupa lub kardynała, może nawet papieża – stojącego za szybą w kaplicy. Czarna kurtyna zasłaniająca całun została odsłonięta i pospieszyłem do przodu, żeby w końcu zobaczyć relikwię. Ale nad ołtarzem była tylko pusta ściana.

Zdziwiony popatrzyłem na księdza. Za nim, w cieniu, stał inny mężczyzna, który trzymał w ręku małe zawiniątko. Rozpoznałem je. To był całun zwinięty jak prześcieradło. Mężczyzna podał coś księdzu. Był to gruby plik banknotów. Ksiądz ukłonił się, a mężczyzna wyszedł przez ciemne drzwi z tyłu kaplicy. Wtedy ksiądz się odwrócił i mnie zauważył. Pokazał na mnie palcem i chwycił złoty sznur zwisający z sufitu. Pociągnął za niego i ciężka, czarna zasłona zsunęła się w dół, zasłaniając przede mną nie tylko pustą ścianę i ołtarz, lecz także całą kaplicę.

ROZDZIAŁ 13

Obudziłem się o świcie, zaniepokojony snem, i wybrałem się do katedry, gdzie raz jeszcze zobaczyłem irytującą zasłonę, która broniła dostępu do całunu. Czy to możliwe, że mój sen był proroczy? Że na ścianie nic nie było? Czy całun mógł być gdzie indziej? Ukryty w lochach Watykanu? Wypożyczony jakiemuś religijnemu miliarderowi, który zapłacił fortunę, żeby cieszyć się relikwią w długich okresach, kiedy całun nie jest wystawiony na widok publiczny?

Pochyliłem się do przodu, obejrzałem szybę oddzielającą mnie od obiektu, który miałem nadzieję zobaczyć. Trudno było określić jej grubość, ale założyłem, że były to ponad dwa centymetry, może nawet więcej. Była też pewnie kuloodporna, a na pewno odporna na Brocktona.

Z pewnością istnieje tylne wejście do kaplicy – pomyślałem. Wejście, z którego co dziesięć lat korzysta papież, zanim odsłoni magiczną kurtynę. Albo sprzątaczka, która odkurza tam raz w miesiącu. Czy mógłbym przekupić sprzątaczkę? Otworzyć drzwi kartą kredytową lub spinaczem? Nagle się roześmiałem – naprawdę fantazjowałem na temat włamania się do pilnie strzeżonej kaplicy, aby przyjrzeć się czemuś, co było prawdopodobnie fałszywą relikwią? Spojrzałem jeszcze raz smutno na zasłonę, a potem wyszedłem na poszukiwanie kawiarenki.

Barmanka była piękną brunetką o piwnych oczach i znikomej znajomości angielskiego. Po kilku próbach zakupienia herbaty wypowiedziałem słowa *caffè crema*, co według mnie oznaczało po włosku kawę ze śmietanką. Uśmiechnęła się i skinęła, a ja pogratulowałem sobie zdolności lingwistycznych.

Dwie minuty później musiałem zrewidować swoją opinię na temat mojej biegłości we włoskim, kiedy kobieta postawiła przede mną naczynie wielkości naparstka z czymś, co wyglądało – i smakowało – jak lody kawowe. Była ósma rano, zbyt wcześnie na lody. Popatrzyła na mnie i zauważyła moje zmieszanie. Przekrzywiła głowę pytająco. Spróbowałem tego specjału jeszcze raz. Rozpromieniła się, kiedy wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się, wypowiadając jedyne znane mi włoskie słowo: *Magnifico!* Wspaniałe!

Nagle zakurzona szuflada w mojej pamięci otworzyła się. *Magnifico* – jedna z moich ulubionych doktorantek często używała

tego słowa.

– Emily Craig! – powiedziałem mimowolnie.

Wiele lat wcześniej Emily napisała artykuł, który miał coś wspólnego z całunem turyńskim, chociaż nie mogłem sobie przypomnieć szczegółów. Emily była teraz antropologiem sądowym w Kentucky i pozostawaliśmy w kontakcie. Czy miałem w telefonie numer Emily? Tak! Zadzwoniłem do niej.

Odebrała po szóstym sygnale – spodziewałem się już, że odezwie się poczta głosowa.

– Halo?

– Emily? Tu Bill Brockton.

– Kto?

Może nasze stosunki nie były aż tak zażyłe.

– Bill Brockton.

– Bill jaki? A... Doktor Bill Brockton? Dobra. Tak. Chwileczkę.

Mówiła wolno i nieco bełkotliwie. Czy była pijana? O ósmej rano?

– Dzwonię w złym momencie?

– Mówiąc szczerze, to tak. Nie wiem, która jest godzina tam, gdzie jesteś, ale tu jest druga w nocy.

– Cholera, przepraszam. Tutaj jest ósma rano – tutaj, czyli we Włoszech. Jestem tak pochłonięty sprawą, nad którą pracuję, że nie pomyślałem nawet o różnicy czasu. Wracaj do łóżka. Zadzwonię później.

– Cholera, już jestem obudzona – powiedziała. – Zaintrygowałeś mnie. Jeśli teraz się rozłączysz, nie będę spała całą noc, zastanawiając się, po co dzwoniłeś. Mów.

– Jeśli dobrze pamiętam, nie tak dawno napisałaś artykuł na temat całunu turyńskiego?

– Nie tak dawno? – roześmiała się. – To było piętnaście lat temu. Może więcej. Byłam jeszcze na studiach doktoranckich, czyli musiał to być rok 1994 albo 1995. Artykuł ukazał się w „Journal of Imaging Science and Technology". Pewnie nie czytasz go regularnie.

– Możesz mi streścić ten artykuł?

– Jasne. – Zrobiła pauzę. – Chwila. Jesteś we Włoszech?

– Tak.

– Gdzie?

– Zgadnij.

– W Turynie? Mój Boże, oglądasz całun?

– Ha, chciałbym. Zdecydowanie nie oglądam całunu. Nikt go nie ogląda. Odsłonią go dopiero w 2025 roku. Ale przyglądam się naturalnej wielkości zdjęciu w wysokiej rozdzielczości.

– Bez obrazy, ale czy nie byłoby taniej i łatwiej przysłać je do Knoxville?

– To długa historia – odpowiedziałem. – Byłoby. Ale przebywałem akurat we Francji, a Włochy są o rzut kamieniem. Nieomal. W każdym razie, czy ten artykuł wiązał się z twoim pierwszym zawodem rysownika medycznego? Czy może coś mi się pokićkało?

– Wszystko się zgadza. Zaczęło się od wykładu Randy'ego Bresee'a...

– Tego od tkanin?

– Tak. Zapisałam się na jego kurs na temat kryminalistycznego badania tkanin. Pewnego dnia pokazał nam slajdy z całunem turyńskim. Nazwał go „największą nierozwiązaną zagadką tkanin wszech czasów".

– Jak to?

– Chodziło mu o to, że nie wiadomo, jak podobizna znalazła się na materiale. Część tajemnicy całunu tkwi w tym, że podobno nie

można odtworzyć takiego obrazu na tkaninie żadną znaną nam techniką. „Niestworzony przez człowieka" – twierdzi Kościół.

– Co jest w nim tak niezwykłego oprócz tematu?

– Obraz jest bardzo niewyraźny, bardzo delikatny. Znajduje się tylko na powierzchni tkaniny, nie wsiąknął głębiej. Jakby go prawie wcale nie było. Nie ma śladów po pędzlu, nie ma zasp.

– Czego?

– Jeśli nawet bardzo cienką warstwę pigmentu naniesie się na tkaninę za pomocą pędzla, to pigment zbiera się po bokach włókien – wyjaśniła. – Jak zaspy śniegu zbierające się przy płocie. Trudno tego uniknąć. Dodatkowo obraz niemal na ciebie wyskakuje, kiedy patrzy się na negatyw. Jest bardziej rzeczywisty niż pozytyw, ale też bardziej przerażający. Całun rzeczywiście kryje w sobie ciekawe zagadki.

– Zwłaszcza dla artysty, który zmienił się w detektywa tak jak ty.

– Właśnie. W każdym razie kiedy siedziałam tego dnia na zajęciach, oglądając slajdy i słuchając o tajemnicy całunu, przeszły mnie ciarki i zrobiło mi się słabo, bo doznałam olśnienia. Po zajęciach podeszłam do Randy'ego i pochwaliłam, się, że wiem, jak powstał całun. Roześmiał się i powiedział: „Akurat". Poszłam do domu i zaprosiłam do siebie moją koleżankę Tyler, która została moją modelką, i zrobiłam to.

– Co zrobiłaś?

– Wykonałam podobiznę Tyler na tkaninie ze wszystkimi cechami charakterystycznymi całunu. Na płóciennej chuście. Nie było śladów pędzla, pigment nie wsiąknął we włókna, a kiedy zrobiłam zdjęcie i spojrzałam na negatyw, był tak samo trójwymiarowy i miał takie same „widmowe" właściwości jak negatyw całunu.

– Niesamowite – powiedziałem. – Siedząc na wykładzie, rozwiązałaś sześćsetpięćdziesięcioletnią zagadkę? Jak to się stało –

i dlaczego w tym czasie nie zwróciłem na to większej uwagi?

Nieomal usłyszałem, jak wzruszyła ramionami.

– To nie była sprawa morderstwa. A ja byłam nic nie znaczącą studentką.

– Nie rozumiem jednego, Emily. Wczoraj wieczorem przejrzałem dostępne w Internecie materiały na temat całunu, i we wszystkich, nawet tych najnowszych, nadal znajduje się informacja, że nie można odtworzyć tego obrazu. Wysłałaś komuś ten artykuł?

– Ha! Wysłałam artykuł, do kogo tylko mogłam. Zademonstrowałam nawet tę technikę przed kamerami History Channel, którego ekipa kręciła dokument o całunie. Całunowcy – tak nazywam tych, którzy niezachwianie wierzą w jego autentyczność – byli bardzo wrogo nastawieni. Dostawałam pogróżki, dowiedziałam się, że czeka mnie wieczne potępienie, że się będę smażyć w piekle. Tak, opisałam moje odkrycie ludziom, którzy twierdzą, że nie można odtworzyć obrazu. I nie byli mi za to wdzięczni.

– Jak to zrobiłaś? Opowiedz mi o tej technice.

– To bardzo proste. Nanoszenie proszku. Ilustratorzy medyczni przez cały czas stosują tę technikę. Ja też z niej korzystałam. Tworzy się obraz na jednej powierzchni, używając węgla, czerwonej ochry lub...

– Ochry?

– To pigment. *Ferrous oxide*. Tak naprawdę rdza. Ochrę można znaleźć w glinie na całym świecie, w różnych odcieniach. Czerwona ochra – najlepsza czerwona ochra – pochodzi z południowej Francji.

Zjeżyły mi się włosy na karku.

– Z południowej Francji?

– Tak, z okolic Prowansji, zapomniałam, skąd dokładnie. Używano jej do tworzenia malowideł skalnych w jaskiniach we Francji

i Hiszpanii – piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści tysięcy lat temu. Też używali techniki nanoszenia proszku. Te malowidła to nie są tak naprawdę malowidła, tylko rysunki. Szkicowali zarysy koni, byków czy czego tam nadpalonym patykiem, a potem wcierali czerwoną ochrę, żeby nadać im kolor.

Byłem podekscytowany, kiedy wybierałem numer Emily, ale teraz znalazłem się na granicy euforii. Ręce mi się trzęsły, kiedy jedną trzymałem telefon przy uchu, a drugą robiłem notatki.

– Tak wykonałaś podobiznę Tyler? Wtarłaś proszek w chustkę?

– Ach, nie. To było bardziej skomplikowane. Musiałam to zrobić tak, żeby uniknąć zasp. Dodałam jeszcze jeden etap. Użyłam miękkiego pędzelka zanurzonego w suchym proszku z czerwonej ochry, żeby punktowo narysować podobiznę Tyler na kawałku papieru gazetowego. Nie rysowałam, tylko cieniowałam proszkiem: mocniej w wysokich punktach, takich jak mostek nosa, łuk brwiowy i tak dalej, subtelniej w niskich. Robiłam to delikatnie z różnych kierunków, żeby nie pozostawić śladów pociągnięć pędzlem. Kiedy miałam gęsty, gładki obraz, położyłam na nim chustkę i potarłam ją tylną częścią drewnianej łyżki.

– Coś jak estampaż?

– Tak, ale z mniejszą siłą. Materiał zebrał tylko śladowe ilości pigmentu.

– Obraz nie był zbyt jasny?

– Zdziwiłbyś się. Wystarczy odrobina czerwonej ochry, żeby zabarwić materiał. Jeśli dostanie się przypadkiem na ubranie, trudno się jej pozbyć.

– Więc nie wątpisz, że obraz tak stworzony mógł przetrwać setki lat?

– Moim zdaniem mógłby przetrwać tysiące lat. Niektóre z rysunków w jaskiniach przetrwały trzydzieści tysięcy. Jednak nie

jestem pewna, jak długo mogłaby się zachować sama tkanina. Jeśli pamięć mnie nie myli, Randy Bresee wątpił, by kawałek materiału z pierwszego wieku mógł przetrwać tak długo.

– W każdym razie – bez względu na to, czy pochodzi z pierwszego czy czternastego wieku – jesteś pewna, że to mistyfikacja?

– Zależy, jak zdefiniujesz mistyfikację. Jestem pewna, że to rysunek. Dałabym sobie za to rękę uciąć. Myślę, że został stworzony w średniowieczu. I chyba wiem, czyim jest dziełem. Ale mistyfikacja? To oznacza fałszerstwo. A istnieje szansa – mała – że wcale nie został stworzony, by wprowadzić kogoś w błąd.

– Chyba się zgubiłem, Emily.

– Może to trochę naciągane – powiedziała – ale pomyśl o takim scenariuszu. Co, jeśli całun został stworzony jako coś w rodzaju zapisu z autopsji? Taka przedpotopowa fotografia. Może była to próba uchwycenia tej chwili. Udokumentowania tego, jak wyglądał Jezus, kiedy został zdjęty z krzyża.

Nie spodziewałem się tego.

– Ale powiedziałaś, że całun powstał w średniowieczu. Jak mógłby być zapisem tego, co wydarzyło się tysiąc czterysta lat wcześniej?

Westchnęła.

– Mówiłam, że to trochę naciągana teoria. Powiedzmy, że istniał autentyczny całun, który rzeczywiście pochodził z pierwszego wieku. Przypuśćmy, że w trzynastym wieku genialny artysta dostał zlecenie sporządzenia dokładnej kopii całunu, aby zachować wizerunek przez następnych tysiąc lat.

– To rzeczywiście naciągane. Jeśli istniał autentyczny całun z pierwszego wieku, który został skopiowany w trzynastym, to co się z nim stało? Czy ktoś by go nie zachował, nawet gdyby był

w złym stanie? Nie wyobrażam sobie, że zleciliby skopiowanie i pozbyli się oryginału.

– Mówiłam, że to naciągane – zgodziła się. – Wymyśliłam tę teorię, żeby pogodzić wiarę z faktami: datowanie radiowęglowe, obecność tlenku żelaza, dobry stan płótna. Nawet to na chwilę chwyciło. Wcześniej nikt z całunowców nie chciał ze mą gadać.

– A potem?

– Potem jedna z ich stron internetowych zamieściła nawet mój artykuł. Szybko go zdjęli. A i tak dostawałam listy i telefony z pogróżkami.

– Podziwiam twoją wolę pogodzenia religii z nauką – powiedziałem. – Ale nie jestem przekonany. Pamiętasz Brzytwę Okchama?

– Jak mogłabym zapomnieć? Wbijałeś nam to do głów na każdych zajęciach. „Najprostsze wyjaśnienie, które pasuje do faktów, jest zazwyczaj prawidłowe", tak?

– Zgadza się. Jakie jest najprostsze wyjaśnienie tego, że podobizna Jezusa pojawiła się w średniowieczu – okresie, który obfitował w fałszywe relikwie – na tkaninie, którą laboratorium radiowęglowe uznało za pochodzącą z czternastego wieku? Ja uważam, że to fałszywka stworzona, by przyciągnąć pielgrzymów do Lirey, do tej francuskiej wioski, gdzie całun ni stąd, ni zowąd się pojawił.

– Wiem, fałszerstwo pasuje do faktów – westchnęła. – I jest dużo prostszym wyjaśnieniem niż moja teoria.

– Mogę do czegoś wrócić? Powiedziałaś, że wiesz, kto wykonał rysunek. Kto?

– Stawiam na Giotta di Bondone – powiedziała bez wahania. – Genialny artysta. Bardzo ważna postać łącząca średniowiecze i renesans. Ludzie Giotta wyglądali jak żywi, byli trójwymiarowi,

nie płascy i wystylizowani jak na średniowiecznych ikonach. Działał pod koniec trzynastego i na początku czternastego wieku, więc w odpowiednim okresie. Styl też pasuje.

– Jak to?

– Po pierwsze, mężczyzna przedstawiony na całunie jest wysoki i szczupły, a figury Giotta mają zazwyczaj wydłużone twarze i ciała. Po drugie, sztuka religijna to był jego chleb powszedni, ale sam był sceptykiem. Po trzecie, trzymały się go żarty. Pomyśl, jesteś artystą religijnym i sceptykiem. Jaki mógłbyś wykręcić numer? Może sfałszować płótno pochówkowe Jezusa – i nie ponieść konsekwencji? Trudno o coś lepszego.

– Chwila. Jeśli to żart, to czy nie przeczy twojej teorii o autopsji?

– Nie jestem zakochana po uszy w tej teorii. Zaoferowałam ją jako gałązkę oliwną całunowcom, a oni mnie nią obili.

– Więc jeśli Giotto nie skopiował wcześniejszego całunu – jeśli to żart czy fałszerstwo – to nie jest to podobizna Jezusa czy kogokolwiek innego. Mógł rysować z pamięci, tak? Nie potrzebowałby modela?

Pytałem z dwóch powodów: musiałem własną hipotezę awiniońską wykluczyć raz na zawsze i byłem też zaintrygowany teorią Mirandy – teorią, która przypominała teorię „fotografii" z autopsji Emily, ale była nieco mroczniejsza.

– Brzytwa Ockhama. Giotto był artystą. Artyści korzystają z modeli. Oczywiście, że ktoś mu pozował.

– Ale mężczyzna na malunku...

– To nie jest malunek – przerwała. – To rysunek.

– Dobra. A wymiary mężczyzny na rysunku, na przykład wzrost byłby taki sam jak wzrost modela?

– Oczywiście. Jeśli artysta wykonywałby rysunek naturalnej wielkości – potwierdziła. – Dobry artysta potrafi rysować w skali.

Kiedy byłam ilustratorką medyczną, robiłam to przez cały czas.

„W skali" – słowa te przebijały się przez moją awinionską teorię jak brzytwa, rozdzierając ją jak starożytne płótno.

Godzinę później wbiegłem po schodach na piętro hotelu „Diplomatic" i zacząłem pukać do drzwi Mirandy.

– Mirando, Mirando, obudź się! – Zapukałem głośniej, mając nadzieję, że nie wyszła jeszcze z pokoju na poszukiwanie kawy i śniadania.

– Rany, co się dzieje? Chwileczkę.

Chwilę później, ubrana jedynie w długi T-shirt, zaspana Miranda otworzyła drzwi.

– Co się stało?

– Nic się nie stało – powiedziałem.

Spiorunowała mnie wzrokiem, wyjmując kulki papieru toaletowego z uszu.

– Przepraszam, myślałem, że już wstałaś.

– Rany, dopiero co zasnęłam – zaczęła marudzić. – Ciesz się, że masz pokój na tyłach budynku. Z dala od syren i alarmów samochodowych wyjących przez całą noc. – Przycisnęła dłonie do oczu. – O co chodzi?

– O to – powiedziałem i odsunąłem się na bok, żeby zobaczyła całun, który znowu rozłożyłem w korytarzu.

– Sprzątaczki się zdziwią, kiedy zaczną odkurzać – skwitowała, ale widziałem, że wzbudziłem w niej ciekawość.

– Rozmawiałem właśnie z Emily Craig.

– Z Emily? W Kentucky? – Skinąłem. – Teraz?

– Może godzinę temu.

– Pewnie ją obudziłeś.

– Tak, obudziłem ją. Ale to nie problem.

– Ona ma pewnie na ten temat inne zdanie. Powiesz mi, o co chodzi?

– Tak. Emily wytłumaczyła mi, jak mógł zostać stworzony całun. Technika nanoszenia proszku – coś jak malowidła w jaskiniach lub estampaż.

Miranda skinęła, przecierając oczy.

– Uważa, że całun to dzieło średniowiecznego artysty Giotta. Giotto był...

Machnęła ręką.

– Tak, ja i Giotto dobrze się znamy. Chodziłam na wykłady z historii sztuki. – Zaczęła się zastanawiać. – Dobra, stylistycznie Giotto wydaje się możliwy.

– Ale tutaj nie chodzi o Giotta – powiedziałem.

Westchnęła.

– Czy ktoś ci już kiedyś mówił, że trudno się z tobą rozmawia? O co zatem chodzi?

– Emily powiedziała mi, że dobry artysta rysuje w skali. Co potwierdziło, że facet z całunu nie może być naszym facetem z Awinionu.

– Bo facet z Awinionu jest o piętnaście centymetrów za niski.

– Właśnie. Facet z całunu jest o dziesięć procent wyższy. Ale kiedy skończyłem rozmawiać z Emily, powiedziałem sobie: „Hm".

– Niech zgadnę. Chodzi o to „hm".

– Właśnie, pani mądralińska. Pomyślałem, że jeśli można rysować w skali, to przecież można też, zachowując proporcje, powiększyć wizerunek. Znalazłem punkt ksero. Wiesz, jak jest po włosku ksero? – pokręciła głową. – *Xero*. Nieźle co? W każdy razie zrobiłem kopię. Spójrz.

Uklęknąłem i położyłem fotokopię na twarzy całunu. To był obraz czaszki z Awinionu widziany od przodu. W punkcie ksero

powiększyłem nasz wydruk o dziesięć procent i wydrukowałem na przeźroczystym papierze. Kiedy odsunąłem się, Miranda szybko wciągnęła powietrze.

– O mój Boże, to jest on. Teraz pasuje jak ulał.

Puchłem z dumy.

– Widzisz. Moje „hm" było bardzo ważne.

– Bez jaj, Sherlocku.

Powstały obraz był prawie jak zdjęcie rentgenowskie, jakbyśmy nieomal patrzyli przez twarz na całunie i widzieli kości pod spodem. Wykorzystywałem wcześniej tę technikę w mojej karierze: nakładanie fotografii zaginionej osoby na obraz znalezionej czaszki, żeby sprawdzić, czy twarz pasuje do czaszki. W większości przypadków nie pasowała – oczy wychodziły poza oczodoły, nos znajdował się na zębach, a broda była dwa razy szersza niż na zdjęciu – ale czasami, jak teraz, wszystkie punkty na twarzy pasowały do wszystkich punktów czaszki.

Technika ta nie mogła być wykorzystywana w sądzie do udowodnienia tożsamości danej osoby, mogła być użyta tylko do jej wykluczenia. Gdyby twarz z całunu nie pasowała do powiększonej czaszki z Awinionu, uznałbym, że wizerunek z Turynu i kości z Francji należą do innych ludzi.

Wyciągnąłem miarkę. Wykonaliśmy pomiary obrazu na całunie i porównaliśmy z wymiarami kości. Nie mogliśmy wykonać jednak tak wielu pomiarów, jak miałem nadzieję, ponieważ obraz na całunie był niewyraźny. To było jak oglądanie zdjęcia w gazecie przez szkło powiększające: im większe powiększenie, tym bardziej zamazany obraz. Jednak te, które udało nam się wykonać – wzrost, długość kości udowej, szerokość i długość nosa – pasowały do powiększonych o dziesięć procent wymiarów kości. Nawet

bocianie proporcje szkieletu – krótki tułów i długie nogi – dobrze było widać na całunie.

– Wszystko jest takie samo, tylko o dziesięć procent większe – stwierdziła Miranda. – Dlaczego go powiększył?

Wzruszyłem ramionami.

– Może chciał, żeby obraz robił większe wrażenie.

Roześmiała się.

– Może płacili mu od centymetra.

Też się roześmiałem.

– Pewnie nigdy nie uda nam się tego udowodnić, ale nie mam wątpliwości. Człowiek na całunie jest mężczyzną, którego kości znaleźliśmy w pałacu.

– Ale kto to jest? – spytała. – Eckhart czy Jezus?

– To pytanie za milion dolców.

ROZDZIAŁ 14

AUTOSTRADA A5, ALPY WŁOSKIE
CZASY WSPÓŁCZESNE

– Ciekawe – Miranda wpatrywała się w ekran iPada, kiedy pokonywaliśmy zakręt w pobliżu tunelu Mont Blanc w drodze powrotnej do Awinionu.

– Jak możesz czytać na tych krętych drogach i nie dostać choroby lokomocyjnej? Ja pochorowałbym się, zanim jeszcze opuścilibyśmy Turyn.

– To dar – zażartowała. – Mam ich wiele. A teraz buzia na kłódkę i prowadź. I słuchaj. Trzy ciekawe fakty dotyczące całunu. Kwestia

pierwsza. W latach dziewięćdziesiątych słynny chemik i specjalista mikroskopowy Walter McCrone znalazł na całunie czerwoną ochrę i cynober w tak zwanych plamach krwi.

– To by wyjaśniało, dlaczego są takie czerwone – powiedziałem. – Miałem o tym wcześniej wspomnieć. Od kiedy zaschnięta krew ma kolor czereśni? Na każdym miejscu zbrodni krew jest prawie czarna.

– W każdym razie odkrycie McCrone'a wydaje się wspierać teorię Emily. Druga kwestia. Kiedy całun pojawił się w Lirey we Francji, biskup z pobliskiego miasteczka był dość podejrzliwy. Zaczął badać sprawę, zadawał pytania i w końcu napisał do Awinionu, by ostrzec papieża, że to fałszerstwo, które miało na celu przyciągnięcie pielgrzymów do Lirey. Jak to się mówi? Turystyka pielgrzymkowa?

– Czy ten biskup-detektyw wskazał na Giotta jako autora?

– Nie – odparła. – Ale cieszę się, że zapytałeś, bo to prowadzi nas do kwestii numer trzy. W czerwcu 2011 roku włoski historyk sztuki, Luciano Buso, ogłosił, że znalazł podpis artysty – zgadnij kogo – ukryty na całunie. Podobno gdzieś w okolicach twarzy.

Odpięła pasy, a samochód zapiszczał alarmująco. Zaczęła się gramolić na tylne siedzenie.

– Co ty wyprawiasz?

– Sięgam po całun.

Wróciła na siedzenie dla pasażera, zapięła pasy i próbowała odwinąć ogromny wydruk. Jeden koniec zasłonił szybę przede mną i nieomal wypadłem z drogi, zanim udało mi się go przesunąć.

– Kompletnie oszalałaś? Jest wiele lepszych powodów, żeby umrzeć, niż to.

Zatrzymałem się na poboczu.

– Przepraszam. Wymsknął mi się.

Wysiadła z auta, rozłożyła wydruk na masce i odwinęła aż do twarzy.

– Chodź, pomóż szukać. – Pochyliła się nad obrazem, mrużąc oczy i marszcząc czoło. – Nie widzę nic, co wyglądałoby jak „Giotto". A ty?

– Nie – powiedziałem. – Ale ten zawijas przy oku wygląda jak piesek.

Wyciągnęła iPada i zaczęła przeglądać jakieś strony internetowe.

– To jest zdjęcie, które ten historyk przekazał mediom. Zbliżenie szyi z podpisem. – Powiększyła obraz i przyglądała się ekranowi. – Hm. – Potem znowu przyjrzała się wydrukowi. – Hm.

– Hm, co? Przypuszczam, że to „hm" jest ważne.

Pokazała mi ekran.

– Tutaj, tuż nad podwójną zmarszczką na szyi. Widzisz coś, co w miarę przypomina „Giotto"?

Byłem zaskoczony tym, co zobaczyłem.

– Tak, w miarę. Wszystko jest bardzo niewyraźne, ale widzę coś, co mogłoby od biedy ujść za „g" i kilka kółek, które mogłyby być „o".

Spojrzała na wydruk.

– Teraz przyjrzyj się naszemu obrazowi. Widzisz coś dziwnego?

– Wygląda inaczej. Widzę plamy, ale wszystko wygląda na zamazane i przypadkowe.

– Musiał mocno podkręcić kontrast. Nie w całym obrazie, tylko na szyi. Chyba uwypuklił to, co chce, żebyśmy zobaczyli. – Potem zawarczała. – Na miłość boską.

– Co?

– Spójrz na krew na czole. Ta wystylizowana kropla jest powyżej prawego oka. Potem pokazała na iPada. – Ale w tej wersji nad lewym. Buso obrócił obraz, to odbicie lustrzane. – Wkurzyła się. – Nie fair, gdybym miała czas, mogłabym sprawić, że napis brzmiałby „Miranda wymiata". – Zwinęła całun. – Chodźmy. Co za kant.

– Szkoda – powiedziałem. – Miałem nadzieję, że jeśli potwierdzi się teoria o Giotcie, praca Emily Craig spotka się z uznaniem, na jakie zasługuje.

Nie ujechaliśmy kilku kilometrów, a Miranda zaczęła znowu poszukiwanie ciekawych faktów.

– W średniowieczu podobno w obiegu było ponad czterdzieści „prawdziwych całunów". Ale na żadnym z nich nie było wizerunku Jezusa. To były tylko kawałki płótna. Dopiero w... – przerwała, aby przewinąć tekst – 1203 pojawia się zapis o całunie przedstawiającym oblicze Jezusa. Ale tylko twarz, nie całe ciało.

– Gdzie?

– W Konstantynopolu – powiedziała. – W ośrodku handlu relikwiami.

– Dlaczego?

– Dlaczego się pojawił?

– Nie, dlaczego Konstantynopol był ośrodkiem handlu relikwiami.

– Z powodu świętej Heleny.

– Patronki czego?

– Pewnie relikwii. Helena była matką Konstantyna I Wielkiego, cesarza rzymskiego, który przeszedł na chrześcijaństwo. Była kolekcjonerką relikwii. Odbyła pielgrzymkę do Ziemi Świętej, skąd przywiozła ich całe mnóstwo. Dwa krzyże, trzy korony cierniowe, świętą gąbkę...

– Co takiego?

– Gąbkę. Świętą gąbkę. Rzymski żołnierz zatknął gąbkę na patyk i dał się Jezusowi napić na krzyżu. Święte gwoździe.

– Chwila. Gąbka? Serio? Jezus umiera straszną śmiercią, przyjaciele i rodzina są zrozpaczeni, ale kiedy zdejmują go z krzyża i przenoszą ciało, komuś przychodzi do głowy zabrać z miejsca egzekucji gąbkę?

– Najwyraźniej. Gdzie to ja byłam? Święte gwoździe – mnóstwo gwoździ. Przynajmniej trzydzieści w całej Europie. – Czytała dalej i nagle zahukała. – Mega. Święte schody. Dwadzieścia osiem marmurowych schodków – nie zmyślam tego – z pałacu Poncjusza Piłata. Stopnie, na których stał Jezus, kiedy Piłat umywał ręce.

– Więc po tym, jak pogrążeni w żałobie uczniowie zabierają gąbkę i wyciągają gwoździe, pojawiają się też w pałacu namiestnika i rozmontowują całą klatkę schodową?

– Mówię ci tylko, co tu piszą. Przestań przerywać. Królestwo relikwii jest nieskończone. Pióra ze skrzydeł Archanioła Gabriela, które zgubił, kiedy zstąpił na ziemię, by oznajmić Maryi, że jest przy nadziei. Fiolki z mlekiem z piersi Maryi.

– O rany.

– Sześć świętych napletków.

– Czyich?

– Jezusa oczywiście.

– Miał ich sześć? Czy może został obrzezany sześć razy?

Wzruszyła ramionami.

– Może rabin był konowałem. – Znowu spojrzała na ekran. – Ciało Marii Magdaleny – trzy Marie Magdaleny w trzech różnych miejscach. Ogon osiołka, na którym Jezus wjechał do Jerozolimy w Niedzielę Palmową. Kilka dłoni Jana Chrzciciela. Łza, którą uronił Jezus.

– Łza? Jedna z łez z „Jezus zapłakał”? – Skinęła. – Ktoś stał obok niego z hermetycznym pojemnikiem? – pokręciłem głową. – Dwunastu apostołów? Jezus potrzebowałby setek – tysięcy – żeby za nim chodzili i zbierali wszystko, czego dotknął. Co za oszustwo.

– Tak i nie – powiedziała, co mnie zdziwiło.

– Dlaczego nie?

– Ludzie zawsze otaczali czcią relikwie. Relikwie mogą być rekwizytami – mogą udramatyzować historie i służyć za pomoce wizualne. Ale są też uznawane za talizmany z mocami magicznymi – które mogą uzdrowić chorego, przywrócić zmarłego do życia, chronić miasto przed wrogą armią. Ludzie chcą relikwii – pięknych jak całun lub tandetnych jak święta kanapka.

Przypomniało mi się, co widziałem w czasie mojego nocnego spaceru – pamiątki w oświetlanych blaskiem księżyca wnękach ściany więzienia i głowę Jana Chrzciciela na tacy – i wzmocniło to argument Mirandy.

– A wracając do tematu – powiedziałem. – Co się stało z całunem z 1203 roku? Tego z wizerunkiem Jezusa?

– Zniknął w czasie zdobycia Konstantynopola rok później. Miasto zostało splądrowane.

– Kto splądrował Konstantynopol?

– Krzyżowcy.

– Chrześcijanie ograbili ośrodek relikwii chrześcijańskich?

– Zależy – rzekła – jak zdefiniujesz chrześcijaństwo.

Właśnie wtedy zadzwonił mój telefon – alarmujący dźwięk tak wysoko w Alpach i z dala od miast. Podniosłem go z tablicy rozdzielczej, nieomal wjeżdżając w znak drogowy, i spojrzałem na ekran. Numer zastrzeżony.

– Halo?

– Halo. Czy to doktor Bill Brockton?

– Tak.

– Panie doktorze, tu doktor Adam Newman. Jestem dyrektorem naukowym Instytutu Nauki Biblijnej w Charlotte.

– A tak – powiedziałam. – Dostałem kilka dni temu pański list.

– Czy pomoże nam pan w naszym projekcie? Chcemy wkrótce zacząć pracę i mamy nadzieję, że jest pan zainteresowany.

Zawahałem się. Miałem wątpliwości, kiedy przeczytałem list, a słowa Stefana tylko je potwierdziły. Nie chciałem jednak obrazić mojego rozmówcy.

– Przykro mi, ale obawiam się, że nie będę mógł państwu pomóc.

– To będzie dla pana niebywała okazja – nie dawał za wygraną. – Jeśli pozwoli mi pan przedstawić nasz projekt, może zmieni pan zdanie.

– Nawet gdybym chciał, nie mógłbym podjąć w tej chwili współpracy – wyjaśniłem. – Jestem za granicą. We Francji.

– We Francji? – Nastąpiła cisza i myślałem, że połączenie zostało przerwane. – Szczęściarz z pana. W którym regionie Francji?

Coś w jego tonie zabrzmiało fałszywie, ale zanim zdecydowałem się na to, czy i jak odpowiedzieć, zrobiło się ciemno – wjechaliśmy do tunelu Mont Blanc, a rozmowa z doktorem Adamem Newmanem została rozłączona.

ROZDZIAŁ 15

AWINION
CZASY WSPÓŁCZESNE

Po podwiezieniu Mirandy do jej hotelu przejechałem peugeotem przez drewniane wrota „Lumani". Elisabeth wkładała purpurowe łodygi lawendy w wysoki wazon na jednym ze stołów w ogrodzie. Pomachała mi i skinęła głową.

– *Bonjour*. Szybko wróciłeś. Jak się udała wycieczka? Zobaczyłeś słynny całun?

– Nie. Nie było takiej możliwości.

– *Quel dommage* – jaka szkoda.

– To i tak była pożyteczna wyprawa. Kupiliśmy kopię całunu. Zdjęcie naturalnej wielkości. Za 300 dolarów.

Zrobiła wdech i w tym samym czasie wykrzyknęła „ach". Nigdy wcześniej czegoś takiego nie słyszałem. Dzięki temu jej „ach" wyrażało większe zdziwienie i było dużo bardziej czarujące.

– *Mon Dieu*. Za taką cenę powinien mieć jakieś cudowne moce.

– Nie zasnąłem za kółkiem ani nie rozbiłem twojego samochodu w górach, więc może ma.

– Kofeina – powiedziała. – Kofeina też ma taką moc. Napijesz się kawy?

– Nie, dziękuję. Ale nie pogardziłbym herbatą. – Odwróciła się w stronę kuchni. – Elisabeth, zanim zapomnę. Jesteś artystką. Masz dużą wiedzę z zakresu historii sztuki?

– Trochę się orientuję.

– Moja znajoma, która jest antropolożką i artystką, uważa, że całun został stworzony przez Giotta.

– Giotta? – zmarszczyła czoło. – Nie sądzę. Obraz jest zbyt *maigre*... Jak to będzie w twoim języku?... Cienki? Nie mężczyzna, ale jego wizerunek. Jest jak duch, prawie go nie ma. Farba odznaczyłaby się mocniej.

– Masz rację – zgodziłem się. – Nie farba. Proszek. Pigment. Czerwona ochra. Jak w jaskiniach.

Udałem, że posypuję dłoń proszkiem, a następnie zdmuchnąłem go na udawaną powierzchnię.

– Ach – i znowu to czarujące „ach". Uśmiechnąłem się. – Czerwona ochra. To możliwe.

– Wiesz, czy Giotto pracował w Awinionie?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. *Peut-être*, może. Artyści z całej Europy przybywali tu, żeby malować w pałacu. A także w *livrées* kardynałów. Było tutaj wiele ścian do ozdobienia i mnóstwo pieniędzy do zarobienia. Pieniądze działają na artystów jak lep na muchy.

Roześmiałem się.

– Myślałem, że artyści klepią biedę i przymierają głodem.

– Większość. Ale jeśli masz względy papieża, nie będziesz chodził głodny.

Kiedy Elisabeth wróciła z moją filiżanką herbaty, przyniosła ją na dwóch książkach: luksusowym albumie Giotta i mniejszą książeczką, którą otworzyła, kiedy tylko zabrałem z niej filiżankę.

– *Vies des Artistes* – powiedziała. – Żywoty artystów Vasariego. Znasz Vasariego? – Pokręciłem głową. – Giorgio Vasari. Włoch. Żył w szesnastym wieku. Zajmował się architekturą i historią, ale pisał też biografie.

– Prawdziwy człowiek renesansu – zażartowałem, a potem zreflektowałem się, że może nie zrozumieć mojego żartu.

Roześmiała się.

– *Ah, bon.* – Sprawdziła spis treści mniejszej książki i wyszukała odpowiedni rozdział. – Vasari tak pisze o Giotcie: „[P] o zgonie Benedykta IX wybrano papieżem w Perugii Klemensa V i Giotto musiał jechać z tym papieżem do jego siedziby, tj. do Awinionu, celem wykonania pewnych prac; przybywszy tam malował nie tylko w Awinionie, lecz także w innych miastach Francji wiele pięknych obrazów i fresków. Podobały się one nieskończenie papieżowi i całemu jego dworowi. Odjeżdżającego stamtąd papież nader przychylnie pożegnał i dobrze wynagrodził. Powrócił do kraju bogaty, uznany i sławny”.[9] Widzisz – powiedziała z uśmiechem – Mówiłam, że jeśli masz względy papieża, to nie będziesz chodził głodny.

– Ach – odparłem.

ROZDZIAŁ 16

Do biblioteki dotarłem godzinę przed jej zamknięciem. W żadnym z albumów Elisabeth nie było obrazów Giotta z okresu awiniońskiego, ale doszedłem do wniosku, że w bibliotece znajdę bardziej obszerną publikację. Cieszyłem się też, że będę miał kolejną okazję, by odwiedzić pałac kardynalski, który był teraz pałacem książek.

Przed budynkiem znajdował się kwadratowy dziedziniec, otwarty na ulicę, ale z trzech stron zabudowany wspaniałymi kamiennymi budynkami. Skrzydła wydawały się późniejszymi dobudówkami do ogromnego budynku głównego, który miał dwa piętra – bardzo wysokie dwa piętra – i fasadę z bladego kamienia, zwieńczoną krenelażami. Nie tak jak w pałacu papieskim, blanki tutaj wydawały się pełnić jedynie funkcję dekoracyjną. Budynek był duży, ale nie była to warowna forteca, a ogromne okna nie miały służyć za linię obrony w razie ataku.

Wszedłem przez duże oszklone drzwi w budynku głównym. Ogromna klatka schodowa prowadziła z lobby na wyższe piętra. Na pierwszym piętrze mieściła się czytelnia główna – niegdyś sala bankietowa kardynała, w której teraz można było wziąć udział w uczcie czytelniczej. Podszedłem do informatorium. Za biurkiem znalazłem pomocnego bibliotekarza Philippe'a. Uśmiechnął się, rozpoznawszy mnie.

– *Bonjour, monsieur*. Czy szuka pan nadal informacji na temat Eckharta?

– Już nie – odparłem. – Tym razem interesuje mnie historia sztuki. Macie jakieś książki o Giotcie? Włoski malarz. Giotto di... – zapomniałem nazwiska.

– Di Bondone. Oczywiście. *Magnifique*. Proszę za mną.

Poprowadził mnie wzdłuż długiej ściany do regałów, gdzie znajdowały się albumy malarstwa. Zostały ustawione w porządku alfabetycznym i pośrodku znalazłem literę G. Philippe wyciągnął dwie książki – cienką i grubą – a potem odłożył cieńszą.

– Ta nie jest najlepsza – powiedział lekceważąco. – Wszystko, co jest w tamtej, jest też w tej.

Podał mi album. Miał pięć centymetrów grubości, trzydzieści centymetrów wysokości i czterdzieści pięć centymetrów szerokości. Ważył pewnie z pięć kilogramów. Tekst był po francusku, ale doszedłem do wniosku, że to nie ma znaczenia, ponieważ interesowały mnie przede wszystkim ilustracje.

– Dziękuję – powiedziałem do młodego człowieka. – Co za piękna biblioteka. Mogę zabrać album na antresolę?

– Oczywiście. Ja też wolę antresolę. Jest tam cicho i spokojnie.

Wszedłem po schodach na antresolę z widokiem na ogromną salę. Łatwo było sobie wyobrazić, że mogła pomieścić pięciuset gości – kardynałów, biskupów, bogatych kupców, książęta, księżne i innych arystokratów. Sześć metrów pode mną, tam gdzie kiedyś stały stoły bankietowe zastawione pozłacaną porcelaną, błyszczącymi kryształami i talerzami z wykwintnymi potrawami, znajdowały się teraz na wykafelkowanej posadzce zastępy regałów z książkami. Sześć metrów nade mną zobaczyłem drewniane kwadraty kasetonowego sufitu, którego główne belki stropowe miały co najmniej czterdzieści pięć centymetrów grubości.

Skierowałem się do jednego z drewnianych stolików, ale po drodze zauważyłem fotel wciśnięty w głęboką niszę pod oknem.

Usiadłem w nim, wyobrażając sobie, że mieszkam i pracuję w takim luksusie – uczony, który przybył z wizytą albo osobisty lekarz Jego Eminencji kardynała, który wykradł się do biblioteki, aby zapoznać się z jednym z manuskryptów z ogromnej kolekcji.

Wkrótce zapomniałem o otoczeniu i całą uwagę skupiłem na obrazach Giotta, zwłaszcza serii fresków w kaplicy w Padwie. W kaplicy należącej do bogatej rodziny Scrovegnich mieściło się zaledwie sto osób, ale każdy centymetr kwadratowy ścian pokryty był freskami – ponad pięćdziesięcioma – ukazującymi tematy i sceny biblijne, w tym sceny z życia Maryi i Jezusa. Obrazy były przytłaczające w swojej liczbie i bogactwie; mały kościółek przypominał mi Kaplicę Sykstyńską, z tym że malunki były mniejsze i umieszczone na poziomie oczu. Jakimi wyrafinowanymi i religijnymi ludźmi musieli być członkowie rodziny Scrovegnich, aby zlecić stworzenie takich dzieł.

W końcu podniosłem wzrok znad ilustracji, przetarłem oczy i spojrzałem na indeks. Przejrzałem wpisy pod literą A, żeby znaleźć stronę, na której znajdowały się obrazy Giotta z Awinionu. Nie znalazłem tam jednak nazwy miasta. Zdziwiony zabrałem książkę do informatorium i pokazałem indeks Philippe'owi.

– W tym albumie nie ma nic o Awinionie. Macie jeszcze jakąś książkę o Giotcie, w której są reprodukcje jego awiniońskich dzieł?

– Awiniońskich? – wyglądał na zaskoczonego.

– Tak, stworzonych tutaj. – Uśmiechnąłem się, a on zmarszczył brwi. – Sprowadził go tu papież Klemens V – wytłumaczyłem, dumny ze swojej wiedzy. – Namalował piękne obrazy i freski, a potem w blasku chwały wrócił do Florencji.

– Monsieur Giotto nic tu nie tworzył. Nigdy nie był w Awinionie.

– Nieprawda. Przeczytałem o tym w książce z historii sztuki.

– Jakiej książce?

– Żywoty artystów Vasariego.

– Ach *oui*, Vasari. – roześmiał się. – Zmyślił ten fragment o Awinionie.

– Co?

– To fikcja literacka. Typowe dla Vasariego. Opowiada wspaniałe historie o sławnych malarzach i poetach, ale połowa z nich to jego fantazje.

Tego się nie spodziewałem – kolejna zmarszczka na całunie, a w każdym razie w mojej teorii łączącej kości z Awinionu z całunem turyńskim. Podziękowałem i zacząłem oddalać się rozczarowany. Ale przyszło mi coś do głowy. Odwróciłem się do Philippe'a.

– Czy Awinion odwiedzili jacyś inni słynni malarze fresków?

– *Oui.* Twórca fresków w pałacu papieskim. Jest sąsiadem Giotta.

– Słucham?

– Proszę pójść za mną.

Znaleźliśmy się znowu przy regale z albumami.

– Skończył pan z Giottem?

Oddałem mu tomiszcze, on odłożył je na miejsce, a potem wysunął cieńszy album, który stał obok. W tytule zauważyłem słowo Awinion. Zachęcające.

– Proszę spojrzeć – powiedział Philippe z uśmiechem. – Giovannetti. Najbliższy sąsiad Giotta na półce. „Włoski malarz na dworze w Awinionie" – przetłumaczył tytuł.

– Brzmi idealnie. Wezmę go.

Wróciłem do mojej niszy pod oknem i zagłębiłem się w przeglądaniu albumu. Większość reprodukcji przedstawiała freski w pałacu papieskim – freski, których nie widziałem, ponieważ moje kroki kierowałem głównie do podziemnego skarbca. Giovannetti

i jego uczniowie ozdobili trzy kaplice w pałacu, a także komnaty papieskie. Nie tak jak w przypadku religijnych malowideł w kaplicach, te w komnatach papieża przedstawiały sceny rodzajowe: polowanie na jelenia, połów ryb, polowanie z sokołami. Mimo że upłynęło prawie siedemset lat, freski miały nadal żywe kolory. Ale czy były dziełem tego samego artysty, który stworzył wizerunek na całunie? Przyglądałem się twarzom, szukając podobieństw w rysach lub stylu. Ale podobnie jak w przypadku całunu: im bardziej się przyglądałem, tym mniej widziałem.

Pochłonięty swoim zadaniem, z pewnym opóźnieniem zarejestrowałem, że w sali zaczął dzwonić czyjś telefon. Marszcząc czoło, rozejrzałem się wokół, szukając winowajcy, i zauważyłem, że kilka twarzy zwróciło się w moją stronę z gniewnym wzrokiem. To ja nim byłem. Zmieszany zbiegłem na schody i spojrzałem na ekran: Tennessee Bureau of Investigation.

– Halo, tu doktor Bill Brockton – powiedziałem cicho, ale miałem nadzieję, że nie za cicho dla mojego rozmówcy.

– Doktor Brockton? Czy to pan? Prawie pana nie słyszę.

– Tak, to ja – potwierdziłem nieco głośniej, otaczając dłonią telefon, żeby stłumić dźwięk, który odbijał się od ścian klatki schodowej.

– Doktorze, tu Steve Morgan z TBI.

– Steve? Jak się masz? Mam nadzieję, że dzwonisz, by przekazać, że złapaliście ten gang przemytników. Wiem, że Rocky pojechał za nimi do Amsterdamu. – W słuchawce zapadła cisza. – Steve? Jesteś tam?

– Tak. Przykro mi, ale mam złe wiadomości.

– Co się stało? Jesteś cały i zdrowy?

– Tak, ja jestem. Chodzi o Rocky'ego. On... został wczoraj zabity.

– Co?

– W Amsterdamie – kontynuował. – Morales, ten facet, którego chciał znaleźć Rocky. Wywiązała się strzelanina. Obaj nie żyją.

Usiadłem na schodach.

– O Boże. Jesteś pewien?

– Tak. Mam zdjęcia z miejsca zbrodni.

– Cholera. Cholera jasna. Czy jego żona już wie?

– Właśnie od niej wyszedłem. Jest załamana.

– Dobry Boże. Biedaczka. I dwójka dzieci. Ja... – W głowie mi się kręciło ze smutku i wyrzutów sumienia. – Steve, on poleciał do Amsterdamu z mojego powodu. Chciał się upewnić, że nic mi nie grozi.

– Wykonywał swoją pracę, a DEA prowadziło niebezpieczną operację, która została spalona. Nikomu nie mógł ufać. Pan nie był jedynym powodem jego podróży do Holandii. Miał ludzi, którzy pracowali pod przykrywką w Amsterdamie, musiał ich ostrzec. To nie pana wina.

– Jakoś nie wierzę.

– Proszę uwierzyć. To nie pana wina. – W tle usłyszałem dzwonek telefonu. Steve odebrał i powiedział coś szybko, choć nie zrozumiałem słów. – Muszę już kończyć – zwrócił się do mnie. – Wiem, że był pana kolegą. Bardzo mi przykro.

– Mnie też. Był dobrym człowiekiem... Dziękuję za telefon, Steve. Uważaj na siebie.

Ręka mi opadła, a telefon wypadł na podłogę, odbił się i wylądował na jednym ze stopni. Nie podniosłem go.

Wiele lat wcześniej straciłem żonę, która zmarła na raka. Niedawno – kiedy zacząłem wydobywać się z jaskini smutku – kobieta, którą pokochałem, została zamordowana. A teraz Rocky Stone, dobry człowiek, oddany policjant, mąż i ojciec. W tej chwili moje serce wydawało się cmentarzem pełnym grobów.

Nie wiem, jak długo tam siedziałem, patrząc niewidzącym wzrokiem na stopnie. Nagle poczułem dłoń na ramieniu i ktoś mówiący z irlandzkim akcentem zapytał:

– Wszystko w porządku?

Spojrzałem w górę. Przede mną, dwa stopnie niżej, stał siwy ksiądz. Był w każdym razie ubrany jak ksiądz – czarne spodnie i koszula z koloratką – choć nie wyglądał na duchownego. Zgadłem, że był jakieś dziesięć lat starszy ode mnie, ale miał sylwetkę człowieka o połowę młodszego: wysoki, z szerokimi barkami i płaskim brzuchem. Miał na sobie koszulę z krótkim rękawkiem, opiętą na klatce i bicepsach. Pochylił się i spojrzał mi w oczy.

– Wszystko w porządku? Czy mogę jakoś pomóc?

Wziąłem głęboki oddech, żeby się uspokoić, a potem następny.

– Dziękuję, ale nie.

Wciągnąłem powietrze i wypuściłem je przez zamknięte usta, jakbym zdmuchiwał świeczki na torcie. Ile lat miał Rocky Stone? Czterdzieści cztery? Czterdzieści osiem?

– Dziękuję, ale otrzymałem złe wieści. Wytrąciły mnie z równowagi.

Nie zabrał ręki z mojego ramienia. Wyciągnął drugą, w której trzymał mój telefon.

– Przypuszczam, że tak się pan dowiedział. Mam rację?

Skinąłem głową, zabierając aparat.

– Ja też kiedyś dostałem taką wiadomość przez telefon – powiedział. – Dawno temu. Zmieniła moje życie. Wiodę interesujący żywot i nie mam na co narzekać, ale dałbym wszystko, żeby nie otrzymać tamtej wiadomości.

Skinąłem znowu, teraz zaintrygowany, a może po prostu zdesperowany. Chciałem, żeby ktoś wyciągnął mnie z tej głębi smutku.

– Mogę zapytać, co to była za wiadomość?

– Jasne. Opowiadanie tej historii to moja pokuta. – Podniosłem wzrok zaskoczony. – To była po części moja wina, rozumie pan.

Nie rozumiałem, ale czekałem, aż zacznie snuć swoją opowieść.

– Miałem dwadzieścia dwa lata, kiedy wybuchł konflikt w Irlandii Północnej. Młody zapaleniec mieszkający z mamą w Banbridge, niedaleko od Belfastu. Nie miałem pracy, celu w życiu ani nic lepszego do roboty niż rozmyślać, wściekać się i winić za wszystko, czego nienawidziłem w moim życiu, armii brytyjskiej i protestantów. Wstąpiłem do IRA, chociaż wiele w niej nie zdziałałem. Głównie plotłem głupoty przed mamą i młodszym bratem Jimmym.

Przerwał na moment.

– Jimmy miał wtedy szesnaście lat i podziwiał mnie bardziej, niż powinien. „Rzeki krwi – lubiłem mówić – to jedyne, co może wyrugować tych diabłów z Irlandii Północnej". Ja gadałem, a Jimmy słuchał i wierzył. Jimmy też wstąpił do IRA, ale nawet mi o tym nie powiedział. Nie był gadułą, był człowiekiem czynu. Jimmy podłożył bombę – to była samoróbka podobna do tych, które okaleczają tak wielu żołnierzy w Iraku. Ale eksplodowała zbyt wcześnie. Zamiast wozu brytyjskiej armii wybuchł autobus szkolny. Troje dzieci zmarło, siedemnaścioro zostało rannych. Niektóre straciły ręce, nogi, wzrok.

Popatrzył przez okno.

– Armia ścigała Jimmy'ego przez wiele tygodni. Trudno mu było znaleźć schronienie i jedzenie, bo w jednym wszystkie strony konfliktu – protestanci, katolicy, lojaliści, Brytyjczycy – były zgodne: Jimmy Halloran dopuścił się niewybaczalnego czynu. W końcu znaleźli go w jakiejś stodole w wiosce Mill Bay, samego i osłabionego z głodu. Nie chciał się poddać, nie wiem, czy dali mu

szansę, ale wiem, że i tak by ją odrzucił. Podczas strzelaniny ranił trzech żołnierzy. Sam dostał sześć kulek. Wiesz, co powiedział przed śmiercią? – Głos mu się załamał. Kiedy spojrzałem na niego, zobaczyłem, że wyciera łzy. – Przepraszam. Wszystko wraca. Policjant, który zadzwonił, by poinformować mnie o jego śmierci, powiedział, że ostatnie słowa Jimmy'ego brzmiały: „Rzeki krwi". Niech Bóg mi wybaczy. – Przeżegnał się i westchnął smutno. – Więc widzi pan, dlaczego to moja pokuta.

– Przykro mi – powiedziałem. – Musiało to księdzu złamać serce.

– Serce nie łamie się tak łatwo, jak myślimy. Zostaje posiniaczone, ale rzadko zostaje złamane. A może pójdziemy przyjąć jakieś lekarstwo na pana świeżo posiniaczone serce? Może brandy albo guinness?

– Dziękuję, ale nie piję.

– Co proszę?

– Nie piję.

– Nawet kropelki?

– Nie, jeśli to kropelka alkoholu.

– Byłby z pana kiepski ksiądz. – Podniosłem wzrok zaskoczony. Jego zaczerwienione oczy błyszczały. – Niepijący? Nie ma szansy na sutannę. To oznacza zero powołania. – Ku swojemu zdziwieniu uśmiechnąłem się, słysząc ten obrazoburczy komentarz. – Nieważne, mojego powołania wystarczy dla nas obu. Proszę ze mną pójść. Ja się napiję brandy i guinnessa, a pan może się napić kawy, herbaty lub soku z brokułów, czy co tam pijają zamiast niebiańskiego nektaru amerykańscy abstynenci.

Wyciągnął rękę, a ja, ku swojemu zdumieniu, chwyciłem ją i pozwoliłem mu pomóc mi wstać. Zaczął iść w kierunku wyjścia i obejrzał się.

– Idzie pan? Nazywam się Michael Halloran, tak na marginesie.

Poszedłem za nim, porzucając album Giovannettiego w niszy przy oknie, gdzie go zostawiłem.

– Pracuje ksiądz w parafii w Awinionie, księże Halloran?

– Może pan się do mnie zwracać księże Mike'u. Lub po prostu Mike. Jest mi wszystko jedno.

– Księże Mike'u brzmi OK – stwierdziłem. – Przyjazne, ale wyrażające też szacunek.

– Kiedy się napiję, może pan opuścić tego księdza, jeśli dojdzie pan do wniosku, że szacunek mi się nie należy.

Roześmiałem się. Byłem zdziwiony, że czuję się tak swobodnie w towarzystwie księdza. Od śmierci żony nie miałem do czynienia z religią zorganizowaną – lub jej przedstawicielami.

– Przypuszczam, że jest ksiądz dobry w tym, co robi.

– Diabelnie.

Przytrzymał przede mną drzwi i wyszliśmy na dziedziniec, mrugając oczami.

– Nie odpowiedział ksiądz. Ma ksiądz tu parafię?

– Nie, ale nie pogardziłbym – powiedział. – Jestem tu na urlopie. Sprawdzam, jak żyła ta druga połowa ludzkości siedemset lat temu.

– Połowa? Raczej jedna milionowa jednego procenta.

– Arytmetyka nie jest moją mocną stroną. Jak mogę się do pana zwracać?

– Przepraszam. Mam na imię Bill. Bill Brockton.

– Przyzwoite nazwisko. Co pana sprowadza do Awinionu, panie Billu Brocktonie? – Skinął na monumentalną fasadę byłego pałacu kardynalskiego. – I do tej skromnej chatki wikariusza? Też jest pan tu na urlopie?

– Nie do końca. Jestem antropologiem. Przyjechałem przyjrzeć się kościom.

– Kościom? Czyim?

– Starym kościom znalezionym w pałacu.

– Kościom papieża?

– Nie sądzę.

– Może kochanki papieża. Klemens VI miał siostrzenicę, którą nadzwyczaj miłował. W każdym razie zawsze twierdził, że to jego siostrzenica. Albo może kości jego syna, bękarta.

– Jest ksiądz urodzonym optymistą. – Roześmiał się. – Nie wiem, kto to jest. I prawdopodobnie nigdy się nie dowiem. Wiem tylko, że kości są bardzo stare, a człowiek, do którego należały, umarł bardzo bolesną śmiercią.

– Pewnie go przyłapali na podbieraniu świętopietrza. Papieże tego nie lubili. – Pokazał na koniec ulicy. – Tak się składa, że znam w tej okolicy znamienity pub. Czy zaszczyci mnie pan swoim towarzystwem?

– O, to wielka szkoda – stwierdził, kiedy opowiedziałem mu o Rockym.

– Czuję się przynajmniej częściowo odpowiedzialny za jego śmierć – dodałem, tłumacząc moją rolę. – Muszę postarać się pomóc jego żonie i dzieciom.

– Na nieba, czy to możliwe? Czyżby był pan człowiekiem honoru? Niewielu już takich zostało. W mojej parafii jest takich zaledwie siedmiu. – Zmarszczył brwi. – Nie, sześciu.

– To mała parafia?

– A skąd. Na mszy w niedzielę mamy dwustu wiernych. Ale tylko kilkoro można nazwać honorowymi ludźmi. Jednego na piętnastu lub dwudziestu. To uniwersalny stosunek plewy do zboża. Jeśli chodzi o kobiety, jest nieco wyższy. Powiedziałbym, że jedna na trzy kobiety odznacza się honorem.

– Jak na takiego wesołka, jest ksiądz wielkim cynikiem.

– Jestem po prostu spostrzegawczy. Zawsze pierwszy spostrzegam kufel piwa.

Podniósł kufel i wypił duży łyk guinnessa.

– Wydaje się ksiądz za to trzeźwo myśleć. Czy mogę o coś zapytać? – Skinął, oblizując pianę z warg. – Kiedy rozgląda się ksiądz po Awinionie i widzi te wszystkie oznaki bogactwa, zachłanności i pychy – papieże wypełniający skarbce złotem, kardynałowie budujący luksusowe pałace – jak to ksiądz tłumaczy? Jak można to pogodzić z nauką Jezusa, który mówił o cnocie ubóstwa i pokorze?

– Nie można. Nie da się. Teraz jest lepiej. Nie jest idealnie, ale lepiej. Myślę, że kler mniej teraz obchodzą pieniądze i władza, a bardziej duchowość. Taką mam w każdym razie nadzieję. Średniowieczny Kościół był produktem swoich czasów, tak jak wczesny Kościół i tak jak Kościół współczesny. Lubimy Kościół nazywać Oblubienicą Pańską. Jest jak każda inna panna młoda: czasami jest aniołem, czasami suką. – Jego słowa mnie rozśmieszyły. – Kościół to ludzie. Może być piękny i czcigodny, ale też dwulicowy i zdeprawowany. Największym dziełem Kościoła, jakiego byłem osobistym świadkiem, było obalenie dyktatora w Ameryce Łacińskiej i oddanie władzy obywatelom kraju. Stało się to za sprawą pewnego księdza, którego znałem. Po jego śmierci dowiedziałem się, że był pedofilem. Czasami Kościół wydobywa z nas najgorsze cechy, czasami wydobywa z nas te najlepsze.

Jego otwartość była odświeżająca. Tak jak decyzja, żeby trzymać się Kościoła mimo jego błędów.

– Chyba się teraz pan trochę lepiej czuje, co?

Uśmiechnąłem się.

– To prawda.

– Zatem będę się zbierał. Mam do wykonania pewną misję.

– Misję? Myślałem, że jest ksiądz na wakacjach?

– Bo tak jest. Ale za dziesięć minut zaczyna się mecz Dublina z Manchesterem. Grzechem byłoby spóźnić się na jego początek. – Sięgnął do kieszeni i wyjął długopis. – Wiem, że ma pan telefon. – Uśmiechnął się. – Jeśli da mi pan swój numer, zadzwonię, zanim wyjadę. Miło by było jeszcze pogawędzić.

Ku mojemu zdziwieniu, też tak uważałem. Może, pomyślałem, nie doceniałem duchownych.

ROZDZIAŁ 17

AWINION
ROK 1328

– Wasza Świątobliwość?

– Wejdź, Jacques. Nie widziałem cię od trzech dni. Gdzieś ty się podziewał?

– Zajmowałem się Eckhartem. Ja... Mamy problem. Z Eckhartem.

– Wiem o tym – odpowiada papież oschle. – Często o tym rozmawialiśmy, prawda? Tiara nie jest aż tak ciężka, a ja nie jestem aż tak słaby, żebym już zapomniał, jak sumiennie usiłujesz wykazać mu błędy w jego nauczaniu.

Biały kardynał, pogromca heretyków, Fournier, sięga pulchną dłonią za pazuchę i wyjmuje chusteczkę, by wytrzeć czoło. Chociaż jesienny chłód zdążył już osiąść w kamiennych ścianach budynku, jego czoło lśni od kropelek potu.

– Ojcze Święty, mamy jeszcze jeden problem.

– Jaki? Czyżbyś pozwolił mu uciec, podobnie jak to się stało z tym franciszkańskim diabłem Michałem, którego ściągnąłem tu, byś go

złamał? Jak mogłeś dopuścić do tego, by również Eckhart zbiegł? Mówiłeś, że nie przejdzie dwóch kroków o własnych siłach.

Fournier składa chusteczkę, zyskując na czasie.

– Eckhart nie uciekł. On zmarł.

Papież spogląda ostro na człowieka, który jest jego protegowanym i stróżem doktryny.

– Ten kaznodzieja cieszył się zbyt dużą sławą, Jacques. Jak mogłeś uczynić zeń męczennika?

Chusteczka już nie wystarcza, by zatamować strumienie potu spływające po twarzy kardynała.

– Był stary i słaby, Wasza Świątobliwość. Po sześćdziesiątce.

– Ja mam osiemdziesiąt pięć lat – chrypi papież. – Nie obrażaj mnie, bezczelny młokosie.

Sam Fournier zbliża się do pięćdziesiątki i od dawna nie był nazywany młokosem, ale ma wystarczająco dużo lat i rozsądku, by nie zgłaszać zastrzeżeń do terminologii, zwłaszcza w trakcie dostawania bury, która sprawia, że czuje się jak tępy uczniak.

– Eckhart przybył tu z Kolonii. Przeszedł na piechotę pięćset mil, żeby odpowiedzieć na stawiane mu zarzuty. Nie był słabym człowiekiem. Nie wtedy, gdy tu dotarł.

Fournier przesuwa językiem po wargach – to nerwowy nawyk, który wygląda nieco nieprzyzwoicie.

– Może trud podróży tak niekorzystnie na niego podziałał.

– Może raczej surowość twojego przesłuchania okazała się nie do zniesienia – odpowiada staruszek. – Twoja gorliwość jest godna najwyższego uznania, ale środki, które stosujesz, są przesadne.

– Ojcze Święty, jak można przesadzać, chroniąc czystość wiary?

– Myląc gniew ze słusznością, a surowość z siłą. Przypominam sobie kobietę, którą spaliłeś w Montaillou, dwa lata po tym, jak mianowałem cię biskupem. Pamiętasz ją?

Jakim cudem Fournier miałby zapomnieć tę upartą, głupią sekutnicę, która nie chciała się nawrócić? Ale tylko nieznacznie kiwnął głową, mając nadzieję na zmianę tematu rozmowy.

– Przypomnij mi, dlaczego ją spaliłeś?

– Odmówiła złożenia przysięgi, Wasza Świątobliwość. Błagałem ją o to wiele razy. Otrzymała mnóstwo szans.

– Spaliłeś ją, ponieważ nie chciała przysiąc, że będzie mówić prawdę?

– Nie powinna była odmawiać. – Rozdrażniony Fournier nie może się powstrzymać od usprawiedliwiania się. – Jak Wasza Świątobliwość wie, przysięga jest wymagana od wszystkich, którzy są przesłuchiwani przez inkwizycję.

– Dlaczegóż w takim razie inni nie są paleni za jej odmowę?

– Nikt jeszcze jej nie odmówił, Ojcze Święty.

– W takim razie zapewne nikt poza nią nie znał nauczania naszego Pana. Jezus powiedział wszak: „Nie przysięgajcie ani na niebo, ani na ziemię, ani w żaden inny sposób: wasze «tak» niech będzie «tak», a «nie» niech będzie «nie»". Czyż nie? – Fournier znów kiwa lekko głową. – Powiedz mi, Jacques, dlaczego zwykła odmowa złożenia przysięgi przez prostą kobiecinę zakończyła się jej spaleniem?

A dlaczego w Paryżu spalono pół setki templariuszy, a w Marsylii czterech franciszkanów? – myśli Fournier. Jednak nie ośmiela się zadać tych pytań na głos. Zamiast tego odpowiada:

– Sprzeciwiła się świętej inkwizycji.

– Sprzeciwiła się tobie, Jacques, i to cię rozwścieczyło. – Starzec przygląda się zaciśniętym szczękom i błyszczącym oczom swego protegowanego. – Kardynale Fournier, przemawiam do ciebie jako twój duchowy ojciec. Wyspowiadaj się, przyznaj do grzechu pychy i odpraw pokutę, jaką wyznaczy ci twój spowiednik.

Pobladły Fournier klęka.

– Tak jest, Wasza Świątobliwość.

– A zatem Eckhart nie żyje. Jak przypuszczam, zmarł łamany kołem?

Fournier nie wyprowadza go z błędu. Nie zamierza się przyznać do tego, że złamał jedną z podstawowych zasad inkwizycji: żadnej krwi. Zamiast tego podnosi się z kolan. Starzec macha szponiastą ręką.

– Nieważne. Nie możemy dopuścić do tego, by nasi wrogowie wykorzystali tę śmierć przeciwko nam.

Fournier kiwa głową.

– Wasza Świątobliwość jak zwykle wykazuje się wielką przezornością. Dopilnuję tego.

Kłania się, po czym odwraca się, by opuścić salę audiencyjną. Brzeg jego białej sutanny sunie dwa centymetry ponad zapiaszczoną posadzką, jak zawsze nieskazitelnie czysty.

– Jacques?

Fournier zatrzymuje się i patrzy ponad ramieniem.

– Tak, Wasza Świątobliwość?

– Czy Eckhart zmarł w stanie łaski?

– Tak, Ojcze Święty. Na końcu, na samym końcu, wyznał swe grzechy, wyrzekł się błędnych nauk i pomodlił o wybaczenie. Jego nawrócenie było budującym przykładem.

Papież potakuje, a może głowa mimowolnie mu się trzęsie. Tak czy owak, Fournier woli zinterpretować ten gest jako błogosławieństwo i wychodzi, zanim papież ponownie go zawoła.

Schodząc po wąskich schodkach do cel, w których przetrzymywano zakutych w łańcuchy więźniów, kardynał odgrywa ponownie w głowie scenę, której był świadkiem. Minęło od niej zaledwie kilka godzin, ale wspominał ją już setki razy, dokładnie tak, jak czyni to w tej chwili.

Eckhart nie jest już przytwierdzony do koła – jego kończyny zbyt ucierpiały w trakcie wielomiesięcznych tortur. Mimo wyraźnego cierpienia nie ulega; pozostaje upartym, straszliwym zatwardzialcem.

– Może i mój umysł błądzi – jęczy – ale serce pozostaje czyste. Moje serce kocha Boga nade wszystko. Nie mogę być heretykiem.

– Jesteś aż tak doskonały? – dziwi się Fournier. – Nieskalany? Prawdziwy baranek boży z ciebie? Dobrze, niechaj tak będzie.

Posyła strażnika po cieślę i rozkazuje przerażonemu rzemieślnikowi zbić w celi drewniany krzyż, a także przynieść sznur, gwoździe i młot. Cieśla spełnia jego żądania, po czym czmycha. Strażnik niechętnie przywiązuje heretyka do krzyża, pomaga go postawić i oprzeć o ścianę, po czym również ucieka z celi.

Oddech Eckharta jest teraz ledwie szeptem, ledwie utrzymuje go przy życiu. Minuta po minucie, gdy wisi na ramionach, a jego klatka piersiowa się zapada, nieubłaganie się dusi.

– Wciąż mogę cię uratować – mówi Fournier, przykładając czubek gwoździa do miękkiej skóry na lewym nadgarstku mistrza. – Wyznaj swe grzechy, wyrzeknij się herezji i błagaj o wybaczenie.

– Jestem wolny od grzechu – dyszy Eckhart. – I od herezji. Ja i Bóg to jedno.

Żelazny gwóźdź brzęczy, gdy uderza o niego młot – raz, dwa, trzy razy. Ta trzyczęściowa sekwencja – żądanie poprawy, jej odmowa i brzęk gwoździa uderzanego przez młot – powtarza się przy drugim nadgarstku, a potem przy stopach.

Nie do wiary, Eckhart wciąż oddycha, o ile przedśmiertne rzężenie można uznać za oddychanie.

– Pozostała ci tylko jedna chwila – mówi Fournier. – Żałuj za grzechy i pojednaj się z Bogiem.

– Jak mam się z nim pojednać? – charczy staruszek, rozpalając w Fournierze iskierkę nadziei. – Jak mam się z nim pojednać, skorośmy już jednym? Bóg i ja to jedno.

– Bezczelny kłamco! – Fournier wyjmuje zza pazuchy sztylet. – Giń i bądź potępiony.

Zatapia ostrze pod żebrami człowieka, który zaledwie rok temu, zanim przeszedł pięćset mil, by obronić się przed zarzutami na dworze Ojca Świętego, był najwybitniejszym kaznodzieją Europy.

ROZDZIAŁ 18

AWINION
CZASY WSPÓŁCZESNE

Stefan stał oparty o ścianę w południowo-zachodnim rogu pałacu, czekając przy drzwiach, z których wyszedł kilka nocy temu. Kiedy podeszliśmy, rzucił papierosa na ziemię i przygasił go butem, a potem kluczem zawieszonym na szyi otworzył zamek w drzwiach. Klucz do pałacu fascynował mnie. Był zrobiony ze srebra, a może stali. Główka została wycięta w skomplikowany wzór filigranowej ślimacznicy; z dwóch boków cylindrycznego trzonka wystawały grube pręty różnej długości – przypominały żebra wystające z kręgosłupa.

– Chcecie obejrzeć freski Giovannettiego?

– Prosimy – odpowiedziałem. – Giotto ma alibi, więc teraz naszym głównym podejrzanym jest Giovannetti.

Stefan przewrócił oczami.

– Teraz uważacie, że całun jest dziełem Giovannettiego?

Miranda opowiedziała mu o podróży do Turynu, krótkotrwałej teorii o Giotcie i moim przekonaniu, że kości z Awinionu łączyły się z całunem turyńskim. Czy kiedy zapytał o Giovannettiego, w głosie Stefana kryła się nutka pogardy?

– Warto spojrzeć – powiedziałem, próbując ukryć irytację. – Giotto nigdy nie opuścił Włoch. Kości były we Francji, gdzie też pojawił się całun. Giovannetti pasuje pod względem geografii.

Stefan wyglądał na zirytowanego, ale zabrał nas do środka.

Poprowadził nas przez labirynt korytarzy i schodów, których wcześniej nie widziałem – jak długo zajęło mu poznanie tego labiryntu? – i zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami. Te drzwi także poddały się jego kluczowi i Stefan wprowadził nas do pomieszczenia, które zaparło mi dech w piersi. Każdy centymetr ścian i sufitu pokryty był pełnymi życia obrazami: ludzie, krajobrazy, budynki, wszystko na błękitnym tle.

– O rany – wyszeptała Miranda.

– Piękne – zgodziłem się z nią.

– *Oui*, niezłe. To kaplica świętego Marcjalisa. W trzecim wieku papież wysłał go do Francji. Podobno nawrócił wielu ludzi i uczynił wiele cudów. – Pokazał na kasetony. – Uzdrowienie chorych. Wskrzeszenie zmarłych. Wypędzenie szatana. – Ostatni z kasetonów na suficie ukazywał staruszka klęczącego przed przystojnym świętym z aureolą; nad nimi ze skrzydłami jak nietoperz unosił się pokryty łuskami demon, którego odganiały dwa anioły. – Według legendy – kontynuował Stefan – święta Waleria z Limoges – męczennica ścięta za wiarę – podeszła do świętego Marcjalisa, trzymając własną głowę w dłoniach, aby udzielił jej ostatniego namaszczenia.

Miranda przyjrzała się ścianom i sufitowi.

– Nie widzę tu kobiety bez głowy. Pewnie gdzieś na boku kopie własny grób.

– Jesteś pokręcona – zbeształem ją. – Wiesz o tym? – Skinęła radośnie.

Mój wzrok przyciągnął fragment ściany, gdzie freski zostały zniszczone. Na ścianie nie było żadnych malowideł albo widoczne były jedynie ich zarysy. Przyglądając się bliżej, zobaczyłem, że brakowało w tych miejscach warstwy tynku o grubości pół centymetra. – Co spowodowało te zniszczenia? Woda?

– *Non*. Żołnierze. W dziewiętnastym wieku pałac służył za koszary. Żołnierze skuwali tynk i sprzedawali malowidła.

Spojrzałem na ścianę i rzeczywiście w większości wypadków brakowało właśnie twarzy. Jeden z obrazów ukazywał Jezusa z czterema apostołami. Twarze uczniów znikły, ale Jezus pozostał nietknięty. Bogobojni wandale – pomyślałem – albo przesądni.

Podszedłem bliżej, aby lepiej przyjrzeć się okaleczonym postaciom. Na warstwie tynku widać było czarny zarys twarzy kobiety, który pasował do zachowanej reszty postaci. Odwróciłem się do Stefana:

– Dlaczego widać zarys twarzy? Czy przesiąknął przez warstwy mokrego tynku?

– *Non.* To szkic węglem. Studium. Artysta rysuje na nieotynkowanej ścianie, potem nakłada gładki tynk. Maluje, gdy tynk jest wilgotny – dlatego nazywa się go *fresco,* czyli „świeży". Farba zostaje wchłonięta i *voilà*: staje się częścią tynku. Z czasem kolory mogą zblaknąć, ale farba się nie łuszczy. Można ją ściągnąć tylko dłutem.

– Jak artyści pamiętali te wszystkie szczegóły po pokryciu szkiców tynkiem?

Stefan spojrzał w górę, podnosząc dłonie ku sufitowi.

– To cud.

– Szefie, jaki jest werdykt? – spytała w końcu Miranda. – Myślisz, że Giovannetti to nasz facet? Czy to on namalował całun?

Spojrzałem raz jeszcze na Jezusa, a potem obejrzałem ściany i sufit raz jeszcze.

– Piękne – stwierdziłem. – Giovannetti był wspaniałym malarzem. – W końcu pokręciłem głową. – Ale to nie ten styl. Jego ludzie są... nie wiem... zbyt ładni. Zbyt delikatni. Nie mają ciężkości, cielesności, mocy, jaką ma postać na całunie. – Westchnąłem. – Taka jest moja opinia.

– Zgadzam się – powiedziała Miranda. – Szkoda. Wydawało się, że to świetna teoria. A ty co myślisz, Stefan?

– Myślę, że szukacie wiatru w polu. – Spojrzał na zegarek. – *Merde* – zaklął. – Muszę iść. Mam głupie spotkanie z głupim gryzipiórkiem.

Miranda roześmiała się.

– Ale co naprawdę o nim myślisz? I kim on jest?

Wyjaśnił, że umówił się na spotkanie z człowiekiem z urzędu miasta, który zarządza pałacem.

– Staram się go przekonać, że musimy przenieść kości, a on: nie, nie, nie – złościł się. – Mówię, że ktoś je ukradnie i będzie żałował, ale nie słucha. Nie chciał nawet kupić detektora ruchu – musiałem zapłacić za niego z własnej kieszeni. *Fou*. Kretyn. – Pokręcił głową z odrazą. – Chodźmy.

Wyprowadził nas innymi drzwiami, które – jak wszystkie drzwi w pałacu – poddały się jego kluczowi. Te wychodziły na ogromną salę bankietową, pełną gablot ekspozycji i turystów. Krzywiąc się na ich widok, Stefan pokazał na drugi koniec sali z drzwiami prowadzącymi do głównego wyjścia.

Miranda przeszła przez nie i ja miałem zrobić to samo, kiedy nagle stanąłem jak wryty. Na ścianie na końcu sali bankietowej – na tynku w kolorze starej pościeli – zobaczyłem twarz Jezusa. Miał przenikliwy wzrok, długi i nieco skrzywiony nos, jakby został kiedyś złamany w bijatyce. Pierwsze dwa palce prawej ręki uniesione w geście błogosławieństwa były długie i smukłe.

– Miranda! Czekaj! Wracaj!

Podbiegła do mnie zaniepokojona. Wskazałem na obraz. Kiedy go zobaczyła, zrobiła wielkie oczy, a szczęka jej opadła.

Przeczytałem tabliczkę na ścianie. To było studium do fresku. Ale nie był to szybki szkic węglem – było to pełne detali dzieło sztuki w tym samym czerwonobrązowym kolorze i w tym samym stylu co twarz na całunie turyńskim.

Portret był dziełem innego włoskiego artysty, który – nie tak jak stylistycznie obiecujący Giotto – rzeczywiście pracował w Awinionie w okresie papiestwa. Znany był pod trzema imionami:

Simone Martini,

Mistrz Simone,

Simone ze Sieny.

ROZDZIAŁ 19

AWINION
ROK 1328

– Szybciej, mistrzu Simone! Pospiesz się, proszę! Jeśli nas tutaj przyłapią, podzielimy los tego nieszczęśnika.

Nerwowy strażnik powoli przechyla się do tyłu, wystawia głowę za drzwi celi i rozgląda się po korytarzu, jednocześnie nasłuchując. I chociaż nie widzi ani nie słyszy niczego niepokojącego, kiedy się prostuje, prosi raz jeszcze:

– Szybciej.

Chce stąd wyjść nie tylko dlatego, że się boi. To, co ma przed sobą, to scena jakby żywcem przeniesiona z koszmaru sennego. Zresztą po tej nocy rzeczywiście dołączy do jego najgorszych koszmarów i będzie go prześladować przez siedem lat życia, które mu jeszcze pozostały.

Sześć lamp olejnych stoi na zimnej, kamiennej posadzce, ich knoty trzaskają w nierównych odstępach czasu, kiedy uderzają o nie krople spadające z zawilgoconego sufitu. Rozstawione w małej celi lampy rzucają cienie na Simonego przy pracy. Kiedy się schyla, prostuje, przesuwa stopy, rusza ramionami, cienie podskakują i wiją się niczym demony w tańcu śmierci wokół trupa leżącego pośrodku celi.

Simone pozostaje nieczuły na błagania strażnika. Tak niezwykły temat wymaga jego pełnej uwagi i jak najlepszej pracy. Zwłoki tego starego, choć postawnego człowieka leżą na wznak na kamiennej posadzce. Jest goły, ale Simone z szacunku położył jego dłonie na genitaliach, by je zasłonić. Malarz jest zafascynowany, a jednocześnie wstrząśnięty ranami tego człowieka, będącymi odbiciem ran Chrystusa. Rany w nadgarstkach i stopach są otoczone rozerwanym ciałem i zaskorupiałą krwią. Rana od noża z boku jest wąska, a sącząca się z niej krew poplamiła tors, biodro i nogę. Surowy drewniany krzyż opiera się o ścianę celi i też poznaczony jest krwią. Simone nie spodziewał się, że będzie miał okazję zobaczyć coś takiego, kiedy przyjechał do Awinionu. Miał po prostu zbadać wpływy na dworze papieskim, żeby przekonać się, czy

francuscy księża skłonni by byli wysupłać coś z sakwy dla włoskiego malarza. Jednak malarz może całować ręce potencjalnych mecenasów jedynie do zdarcia ust i wyczerpania ducha. Kiedy to się staje, potrzebuje pracy, niezależnie od tego, czy otrzyma za nią zapłatę, czy nie. Dlatego też po nasyceniu się wspaniałością Awinionu Simone zaczął szukać jego nędzy, włócząc się po więzieniach, szpitalach i cmentarzach, i kończąc każde uprzejme zapytanie dyskretnym wciśnięciem florena w uniesioną w powitaniu dłoń strażnika, siostry czy grabarza.

To nie jest tak, że Simone fascynuje się chorobą i śmiercią. Wręcz przeciwnie, nikt tak nie miłuje życia jak Simone z Sieny! Jednak zawsze to dobrze przestudiować i naszkicować kilka trupów, jeśli tylko istnieje ku temu okazja. W dziełach malarzy religijnych liczba żywych przewyższa martwych, ale nie aż tak bardzo, jak można się spodziewać. Oczywiście istnieje stałe zapotrzebowanie na obrazy męczenników, ale naprawdę popłaca malowanie śmierci i męczeństwa Chrystusa. Malarz o szybkiej ręce i gładkim języku spokojnie wykarmi dziesięcioosobową rodzinę samymi zamówieniami na obrazy z ukrzyżowaniem. Dlatego tak ważne jest mistrzowskie oddawanie postaci umarłych i umierających. Skąd jednak brać modeli? Żywi modele – złodzieje, prostytutki i żebracy, którzy pozują za marne grosze lub trochę strawy, są o wiele łatwiejsi do pozyskania niż trupy. Jednak również o wiele bardziej kłopotliwi: ciągle coś chcą wyłudzić, jęczą i kręcą się, podczas gdy zwłoki nie domagają się ani zapłaty, ani jedzenia. Trupy pozostają nieruchome, nieważne, ile godzin trwa pozowanie. Z drugiej strony, jeśli trwa ono zbyt długo, odór, jaki wydzielają, strasznie rozprasza malarza, zwłaszcza latem. Simone już dawno temu przekonał się, że dojrzałość jest cnotą w przypadku owoców, kobiet i okazji, lecz nie w przypadku zwłok. Ten trup jednak – niedawno zmarły, leżący

na zimnej, kamiennej posadzce późną jesienią – zdaje się darem niebios.

Propozycja podróży do Awinionu padła niespodziewanie w trakcie realizacji zamówienia na kaplicę w Toskanii. Simone całymi miesiącami szkicował studia na nierównych ścianach. W końcu wszystkie sceny zostały naszkicowane i czekały jedynie na akceptację księcia. To miała być czysta formalność – bądź co bądź w każdej scenie występowała co najmniej jedna postać wzorowana na członku książęcej rodziny – i to przedstawiona w korzystnym świetle, i odgrywająca znaczącą rolę. Dziewica Maryja była uderzająco podobna do księżnej pani; Józef – do samego księcia, malutki Jezusek do ich wrzeszczącego bachora, święty Jan – do młodszego brata księcia. I tak dalej, i tak dalej, aż do upośledzonego umysłowo kuzyna przedstawionego w postaci prostego pasterza.

Po ukończeniu szkiców Simone rozdrobnił pigmenty, zrobił nowe pędzle, ustawił warsztat pracy i poprosił o zgodę na wymieszanie zaprawy i kontynuowanie pracy. Jednak w tej chwili stanął mu na przeszkodzie los: jego wysokość książę pogalopował w noc, ledwie uchodząc śmierci z rąk zamachowców. Chodziły słuchy, że ukrył się w Rzymie albo w Neapolu, a może nawet w Wenecji. Prace nad kaplicą zostały wstrzymane na Bóg wie jak długo.

Kiedy więc znajomy muzyk zaproponował, by Simone towarzyszył mu w podróży do Awinionu, który wedle słów mistrza Giotta miał stać się nową ziemią obiecaną artystów, tylko głupiec by odmówił, a Simone z pewnością głupcem nie był. On i muzyk, swawolny flecista, pokonali Val di Susa, płacąc złodziejskie myto w Bramie Sabaudzkiej strzegącej dostępu do Alp, a potem ruszyli krętą drogą w przeciwnym kierunku niż armia Karola Wielkiego pięć wieków wcześniej i ciężko stąpające słonie Hannibala dziesięć

wieków przedtem. Starożytna alpejska trasa była popularna, co nie znaczy, że łatwa. Wijąca się wzdłuż spienionych rzek, omijająca wyniosłe lodowce, często tarasowana przez skały lub lód, a czasami przecinana przez osuwiska. Czerwcowa pogoda była wyjątkowo kapryśna. Przyjemne słońce często ustępowało miejsca gwałtownym ulewom, te zaś czasami przeradzały się w krótkie zadymki. Gdyby nie pomoc mnichów zdążających z Turynu do Grenoble, dla Simonego z przyjacielem ta podróż mogłaby nie zakończyć się szczęśliwie. Jednak udało się i gdy podróżując w dół Rodanu, dotarli do przęseł pięknych mostów i tętniącego życiem papieskiego miasta na wzgórzu, Prowansja objęła Simonego swymi ciepłymi ramionami niczym ukochana, a Awinion wydał mu się zachwycający. A także nieco chaotyczny. Jeśli istniała współczesna wieża Babel, z pewnością było nią właśnie to miasto. Oficjalnym językiem Kościoła była łacina, jednak przy francuskich kardynałach i dworzanach, rzymskich emisariuszach, niemieckich i angielskich teologach, przybyłych tu bez celu Hiszpanach w różnym stopniu upojenia alkoholowego i Prowansalczykach jazgoczących we własnym dialekcie, nie było niczym niezwykłym na jednej ulicy słyszeć pół tuzina języków i nie rozumieć żadnego z nich. Na szczęście w mieście wypełnionym tak wieloma językami było również wielu tłumaczy, więc Simone porozumiewał się bez problemu.

Przez pierwsze dni szkicował twarze i budynki na głównych placach i w kościołach. Potem jednak, natchniony widokiem wozu wiozącego ciała na cmentarz, postanowił zarzucić sieci w innych wodach, wodach Styksu, rzeki umarłych. Simone lubił sobie wyobrażać, że płynie pod prąd, i uśmiechał się, przypominając sobie niektóre fragmenty Biblii. Dzień zmartwychwstania Chrystusa, kiedy zrozpaczeni uczniowie poszli do Jego grobu i anioł

zapytał ich: „Dlaczego szukacie żyjącego wśród umarłych?”. Tutaj, w rojącym się od ludzi, tętniącym życiem Awinionie, Simone zamierzał poszukać umarłych wśród żywych. Jego początkowe zapytania w kostnicach, szpitalach i aptekach spotkały się z podejrzliwością i niedowierzaniem. W sumie trudno się dziwić. W końcu: dlaczego artysta o zdrowych zmysłach chciałby rysować trupy, skoro zamiast nich może malować piękne kobiety – niewinne dziewice lub, jeszcze lepiej, urocze madonny odsłaniające dojrzałe piersi, by nakarmić święte dzieciątka? Jednak stopniowo, kiedy nie ustawał w staraniach i włączył w nie swój urok i monety, siostry, księża i grabarze zaczynali ufać temu szalonemu malarzowi, a nawet go lubić. Fortuna uśmiechnęła się do niego w drugim tygodniu pobytu w Awinionie: pewien kamieniarz spadł z rusztowania w kościele i skręcił kark, uderzając o podłogę. Szkice jego zwłok z pewnością mogły stać się użyteczne dla przyszłych obrazów przedstawiających martwego Łazarza albo zamordowanego Abla. Dwa dni później spłoszony koń stratował dziecko – nie był to, co prawda, szczyt marzeń, ale to zmiażdżone ciałko mogło się okazać przydatne, jeśli Simone otrzyma kiedyś zamówienie na namalowanie rzezi niewiniątek zarządzonej przez Heroda.

Jednak jego ostatnie znalezisko – ukrzyżowany mężczyzna! – było dla twórcy fresków niczym manna z nieba. Simone wylewnie dziękował Bogu i strażnikowi za tę jedyną w swoim rodzaju szansę. Bogu podziękował modlitwą, strażnikowi – we florenach.

Przypatrując się teraz zwłokom w ciepłej poświacie mrugających lamp, dziwi się, jak nieudolnie zawsze przedstawiano ukrzyżowanego Chrystusa. W każdej interpretacji tej sceny, jaką kiedykolwiek Simone widział – i sam wykonał – rany wyglądały sztucznie, wręcz śmiesznie, z tryskającymi strumieniami krwi, a ciału i kościom brakowało ścięgien i głębi. Po raz pierwszy Simone

Martini ma poczucie obowiązku – nie wobec świętej materii jakiejś sceny, za której namalowanie mu zapłacono, lecz wobec człowieczeństwa tego martwego człowieka oddającego siebie za darmo wygłodniałemu spojrzeniu artysty.

– To moje ciało – zdaje się mówić ten człowiek – które złamano dla ciebie. Naciesz oczy tym widokiem.

I to właśnie Simone czyni, cieszy oczy widokiem nóg, brzucha, piersi, twarzy i ignoruje pełne paniki błagania strażnika, by się pospieszył.

Jego pierwsze szkice są pospieszne i niedopracowane – to masa zamaszystych kresek robionych nawet bez podnoszenia węgla czy odrywania wzroku od ciała. Mimo szybkości i prostoty szkice ujmują istotę pozbawionej życia postaci: pociągła smutna twarz, silne ścięgna, teraz zwiotczałe, namacalność i cielesność zwłok. Potem wykonuje szczegółowe szkice poszczególnych części ciała – palców, stóp, nosa, oczu, uszu – całe kartki wypełnione nimi niczym makabryczne martwe natury przedstawiające elementy rozczłonkowanych zwłok. W końcu, kiedy już zna każdy szczegół ciała zmarłego człowieka, rysuje z wielką uwagą całość. Tyle że to, co rysuje, właściwie nie jest ciałem, to raczej światło i cień, a nawet mniej. Jego węgle nie mogą oddać światła, mogą szkicować jedynie ciemność: cienie cieni, począwszy od wodnistej szarości świtu, a skończywszy na miękkiej kompletnej ciemności aksamitu. Jakichże jednak cudów dokonuje Simone z cieniami! Zakrzywiając cień wokół owalnego pustego białego miejsca, potrafi stworzyć iluzję krągłości i plamy światła: iluzję jajka, czoła albo piersi. A operując tymi dwoma prostymi elementami – cieniem i tym, co cieniem nie jest – właśnie wyczarowuje ciało, krew, włosy, paznokcie, a nawet śmiertelność i żałobę. Strażnik, oczarowany tym

widokiem, w końcu zapomina o swych lękach i wpatruje się w milczeniu w rysunki.

Kiedy pierwsza bladość świtu zaczyna wślizgiwać się poprzez wąskie szpary, które udają, że wpuszczają powietrze i światło do celi, Simone wsuwa pozostałe kawałki węgla do swej peleryny, zwija szkice i skinieniem głowy sygnalizuje gotowość do wyjścia. Po upewnieniu się, że droga jest wolna, strażnik wyprowadza go na zewnątrz. Ma już zamknąć drzwi, gdy malarz powstrzymuje go, odzywając się po raz pierwszy od chwili, gdy wszedł do celi i ujrzał na podłodze zwłoki mężczyzny.

– Co możesz o nim powiedzieć? Jakiego rodzaju zbrodnię popełnił, że zasłużył na aż tak okrutną śmierć?

Strażnik, który podczas swej służby dla Kościoła był świadkiem, a niekiedy również sprawcą wielu zbrodni, patrzy przeciągle na malarza. Odpowiadanie na pytania – zwłaszcza te kłopotliwej natury – nie jest częścią umowy, jaką zawarł z Włochem. Potrząsa głową, po czym wycofuje się pod kamienny łuk. Drzwi zamykają się ze skrzypieniem zawiasów. Jednak zanim zamkną się całkowicie, przykłada usta do wąskiej szpary.

– Powiadają, że głosił słowa diabła – mówi. – Ale ja słyszałem tylko, jak wypowiadał się z życzliwością i wiarą. Jestem prostym człowiekiem, nawet nie próbuję zrozumieć sporów wielkich Kościoła. Wydaje mi się jednak, że jego zbrodnia polegała na tym, że zawstydził ich swą wiarą i dobrocią. Wierzę, że to był święty – jedyny święty, jakiego widziałem w czasie dwudziestu lat spędzonych na służbie u kardynałów i papieży. Jego grzechem było to, że był wolny od grzechu.

– Z twojego opisu wyłania się niemal zmartwychwstały Chrystus.

– Nie oczekuję, że wstanie z grobu, mistrzu Simone. Ale gdyby tak się stało, ci dranie znaleźliby pretekst, żeby zabić go jeszcze raz.

Pionowy pasek cienia zwęża się, a w końcu zastępują go dębowe deski i żelazne okucia. Droga w ciemność została zamknięta, przynajmniej na razie. Simone Martini, który zmienił się w sposób, którego nie zrozumie przez lata, jeśli w ogóle, odwraca się od świata cienia, iluzji i śmierci, i podąża do świata życia, oddechu, światła i koloru.

ROZDZIAŁ 20

AWINION
CZASY WSPÓŁCZESNE

Światła i kolory wypełniały plac po brzegi zastawiony tego niedzielnego poranka stołami z tkaninami, świeżymi kwiatami, akwarelami i prowansalskimi delikatesami – serami, winami, miodem, oliwą z oliwek, truskawkami, malinami. Miranda degustowała sery i wina – wino o dziesiątej rano! – i napełniała specjałami nasz piknikowy koszyk. Stefan zaproponował, że spotka się tu z nami i zabierze nas na wycieczkę do Pont du Gard, starożytnego akweduktu, który był jednym z osiągnięć rzymskich inżynierów. Nie podobało mi się, że będzie nam towarzyszył, ale byłem podekscytowany akweduktem.

– Posłuchaj – powiedziałem, podnosząc wzrok znad przewodnika. – Akwedukt ma szesnaście pięter wysokości i prawie pół kilometra długości, ale różnica w wysokości pomiędzy oboma końcami wynosi jedynie dwa i pół centymetra. Wyobrażasz sobie taką precyzję w budowli sprzed dwóch tysięcy lat?

– Mmm – Miranda oblizała usta. – Wyobrażam sobie, że mogłabym zjeść tyle koziego sera, ile ważę.

– Dostarczał około dwudziestu tysięcy metrów sześciennych wody dziennie. Czy to nie coś?

– Naprawdę jesteś w kontakcie ze swoim wewnętrznym nudziarzem, wiesz?

– Gdzie jest Stefan? Miał tu być pół godziny temu.

– Czterdzieści pięć minut temu.

– Zadzwoń do niego.

– Już to zrobiłam. Dwa razy. Włącza się poczta głosowa.

– Spróbuj jeszcze raz. Może jest w pałacu.

– Na pewno jest w pałacu. Dlatego nie mogę się do niego dodzwonić. Murów pałacu nie spenetrowałby nuklearny wybuch, a co dopiero sygnał komórkowy.

– To pójdźmy po niego – zasugerowałem. – Głupio tu siedzieć i czekać. Albo zapomniał, albo coś go zatrzymało.

Zarzuciłem plecak na jedno ramię – Mirandzie udało się do niego załadować ogromną ilość smakołyków – i ruszyliśmy w stronę pałacu, który znajdował się dziesięć minut drogi od placu. Kiedy dotarliśmy na miejsce, Miranda znowu zadzwoniła, ale raz jeszcze została połączona z pocztą głosową.

Przy głównym wejściu pokazaliśmy swoje identyfikatory, weszliśmy za sznur i zeszliśmy po schodach, które prowadziły do podziemi wieży ze skarbcem.

– Pewnie zamknął za sobą furtkę – martwiłem się. – Myślisz, że nas usłyszy, jeśli go zawołamy?

– Mam silne płuca – odparła. – Ostatni facet, który próbował mnie napaść na podziemnym parkingu, ma przebite bębenki oraz siniaki i zadrapania.

Jednak Stefan nie zamknął furtki ani nawet jej nie przymknął.

– Musi się nas spodziewać – powiedziałem. – Albo robi się nieostrożny.

– Jeśli się nas spodziewa, to powinien był zostawić włączone światło – wymamrotała Miranda. Odblokowała telefon komórkowy i zaczęła szukać włącznika, przyświecając sobie ekranem.

– Genialne – skomentowałem. – Jesteś taka zaradna.

– Wychowałam się na MacGyverze. Mogę zrobić komputer z zapałek i spinaczy.

– Naprawdę? – Nawet przy słabym świetle z telefonu zobaczyłem, że przewraca oczami. – Rozumiem. To był sarkazm.

– Nie. Hiperbola.

– Mirando, jeśli chcesz osiągnąć sukces na polu nauki, musisz przestać przesadzać. Mówiłem ci to...

– ...milion razy – dokończyła. – Tyle samo razy powiedziałeś mi ten żart. Cholera, gdzie ten włącznik?

Krzyknęła, kiedy w ciemności rozbłysła iskra, a potem żarówki zapaliły się wzdłuż klatki schodowej jak świecące okruszki chleba.

Spodziewałem się, że w skarbcu światło będzie włączone, ale nie było. Miranda wyglądała na zmartwioną, kiedy weszliśmy w ciemność.

– Stefan? – Brak odpowiedzi.

– Stefan, jesteś tutaj? – Cisza. – Daj spokój, to nie jest śmieszne. Jeśli tu jesteś, wyjdź. Nie żartuj tak.

Słyszałem tylko szybki i przerywany oddech Mirandy.

– Włączmy światło – zasugerowałem, żeby zająć czymś Mirandę. – Znajdziesz włącznik?

Znowu oświetliła sobie drogę za pomocą komórki i zniknęła za jedną z kolumn. Nagle poraził mnie oślepiający blask halogenowych żarówek.

Oświetlenie podkreśliło tylko pustkę pomieszczenia. Miranda spojrzała na mnie. Bez słowa podeszliśmy do brezentu ogradzającego wykopalisko. Miranda podniosła jeden koniec, ja drugi. Weszliśmy do środka. Nasz wzrok skierowaliśmy w to samo miejsce. Stół był pusty, kości zniknęły.

– Niedobrze mi – powiedziała Miranda. – To nie wróży nic dobrego.

– Może – zgodziłem się – ale nie panikujmy. Rozejrzyjmy się, a potem wyjdźmy na zewnątrz i postarajmy się dodzwonić do Stefana.

Skinęła głową, zagryzając usta.

Przyjrzałem się stołowi, na którym rozłożyliśmy kości w anatomicznym porządku. Przykrywało go nadal białe prześcieradło; kilka małych plam potwierdzało, że owszem, to na nim spoczywały kości. Podniosłem materiał i zajrzałem pod stół.

– Ossuarium też zniknęło – zgadła Miranda i miała rację. – Niech to licho weźmie – powiedziała, ale bez przekonania. – Powinnam była wiedzieć.

– Co?

– Że coś pójdzie nie tak. Że Stefan wywinie nam jakiś numer. Że jest nadal tym samym facetem, który zdradzał żonę, nabijał kolegów w butelkę i robił inne egoistyczne rzeczy, które wrócą do nas rykoszetem i odbiją nam się czkawką. – Pomyślałem, że powtórzę swój żart o przesadzaniu, ale doszedłem do wniosku, że nie byłby na miejscu. – Zabrał kości i dał nogę – powiedziała. – Pewnie je wystawił na eBayu.

– Nie sądzę – uspokoiłem ją – ale pewne jest, że nie ma ich tutaj. Nie widzę też liściku wyjaśniającego ich zniknięcie. Zamknijmy skarbiec i spróbujmy się dowiedzieć, co się stało.

Zgasiliśmy światło, weszliśmy po schodach i wyłączyliśmy światło na klatce schodowej. W słabym świetle z telefonu Mirandy zamknąłem bramę, a potem napotkałem problem.

– Nie ma kłódki – poinformowałem swoją asystentkę.

Przybliżyła telefon, oświetlając niebieskobiałym światłem skobel i kraty.

– Hm.

Rozszerzyła pole poszukiwań, przesuwając słup światła horyzontalnie na wysokości talii, a potem niżej. Kiedy zaczęła przeszukiwać podłogę, jęknęła i cicho zaklęła.

– Cholera.

Pochyliłem się, żeby zobaczyć, co takiego ujrzała.

Kłódka – ogromna, przemysłowa kłódka z grubym pałąkiem z utwardzanej stali – została przepiłowana na pół.

– Co teraz? – spytała Miranda.

Przedstawiliśmy nasze obawy szefowi pałacowej straży, który sporządził notatkę i obiecał, że się tym zajmie, ale nie wydawał się tak zaniepokojony jak my. Potem udaliśmy się na komisariat policji, ale pocałowaliśmy klamkę. Na drzwiach wisiała kartka: FERMÉ – JOUR FÉRIÉ. OUVERT LUNDI.

– Cholera – zaklęła Mianda. – Zamknięte ze względu na święto. Otwarte będzie w poniedziałek.

– Świetnie – powiedziałem. – Idealny dzień na obrobienie banku, gdybyśmy nie mieli nic innego do roboty. – Zawahałem się. – Czy ty... masz może klucz do mieszkania Stefana?

Uderzyła mnie w ramię.

– Nie, nie mam, ale dzięki za kredyt zaufania. Przyjechałam tu do pracy, nie po to, żeby się seksić. – Zrobiła głęboki wdech. – Przepraszam, mój problem, nie twój. To było rozsądne pytanie. Ale odpowiedź nadal brzmi: nie. Nie mam klucza.

– Wiesz, gdzie jest?

– Klucz?

– Nie, Einsteinie, mieszkanie.

– Wiem. Stefan zaprosił mnie pierwszego wieczoru na kolację. Chyba je znajdę. Położone jest niedaleko pałacu, ma balkon z widokiem na pałac i katedrę. Jeśli staniemy przed świątynią, na pewno uda mi się znaleźć ten balkon, a potem poszukamy wejścia do budynku.

Popędzani strachem, pospieszyliśmy na główny plac. Podbiegliśmy schodami do katedry i stanęliśmy przed wielkim krzyżem. Zasłaniając oczy przed porannym słońcem, Miranda zaczęła się rozglądać.

– Szkoda, że tamtego wieczoru wypiłam ten trzeci kieliszek wina – powiedziała. – Widok na pałac i katedrę był wspaniały. Pamiętam tyle, ale żadnych szczegółów. – Zmarszczyła brwi i pokręciła głową. – Niech to licho. Dlaczego nie uważałam bardziej?

Nie mogłem się oprzeć:

– Może dlatego, że miałaś gorączkę od zapalenia wyrostka? – Dostałem łokciem w żebra. – Uważaj, bo to mnie pęknie wyrostek. Wiesz, że na to zasłużyłaś.

– Wiem. Przepraszam. Wyżywam się na tobie, bo mam wyrzuty sumienia. To mniej bolesne. – Znowu mnie szturchnęła – Widzisz? Od razu mi lepiej.

– Więc podczas tego wieczoru winnej popijawy wyszłaś na balkon. Stałaś? Siedziałaś na stołku? Przysiadłaś na kamiennej balustradzie? – Wzruszyła ramionami. – Stałaś na rękach na metalowej poręczy?

– Tak! – krzyknęła nagle, łapiąc mnie za ramię. – Tak, metalowa balustrada. Tania, cienka, metalowa balustrada. Jeden ze spawów puścił, kiedy się na niej oparłam. Prawie wypadłam na ulicę

z czwartego piętra. Psy zlizywałyby mój mózg z chodnika, gdybym nie złapała się wiatrowskazu. – Pokręciła głową. – To dlatego nie poszłam z nim do łóżka, mimo że byłam na bani, a on mnie podrywał. Pomyślałam: „Ty sukinsynu, pozwoliłeś mi się oprzeć na tej tandetnej balustradzie, co mogłoby się dla mnie tragicznie skończyć. Jesteś tym samym egoistycznym bucem co przed laty". To prawda. *Plus ça change, plus c'est la même chose.*

– Hę?

– Stare francuskie przysłowie: im więcej coś się zmienia, tym bardziej pozostaje takie samo.

– Wolę ostrzeżenie Eckharta o cenie braku działania – powiedziałem. – Chodźmy, poszukajmy balkonu na czwartym piętrze z tandetną, cienką balustradą.

Razem oglądaliśmy budynki, których okna wychodziły na plac, pałac i katedrę.

– To było kilka ulic dalej – przypomniała sobie. – Może trzy. Pamiętam dachy pomiędzy mieszkaniem Stefana a pałacem. – Nagle pacnęła się w czoło. – Jezusie, Maryjo i Józefie Święty, ale ze mnie kretynka. Zrobiłam telefonem zdjęcie z balkonu.

Wyciągnęła swojego iPhone'a i zaczęła przeszukiwać zdjęcia.

– Jest!

Wykonała ruch palcami jak magik i powiększyła środkową część kadru. Zdjęcie było małe – nawet nie wielkości kartki pocztowej – ale na tyle ostre, że widać było na nim trzy rzędy dachów, kominy i anteny telewizyjne pomiędzy obiektywem a miejscem, w którym staliśmy. Przyglądałem się mu, szukając cech charakterystycznych, które pomogłyby nam zidentyfikować balkon.

– Mam – powiedziała Miranda, ściskając moje ramię. – Widzisz ten nowoczesny budynek? Ten z okropnymi antenami na dachu?

– Widzę.

– Jedno piętro w dół od góry, trochę w lewo. Widzisz to czerwono-niebiesko-żółte coś? To jest wiatrowskaz, który uratował mi życie.

– Chodźmy – zaproponowałem.

Nie odpowiedziała. Była już w połowie schodów.

***

Kilka razy zgubiliśmy się w labiryncie uliczek, ale po dwudziestu minutach staliśmy przed szklanymi drzwiami budynku Stefana. Drzwi były zamknięte – co mnie nie zdziwiło, choć nie pomyślałem wcześniej, co zrobimy, kiedy znajdziemy mieszkanie.

– Co teraz? – spytałem.

Rozejrzała się po ulicy, a potem wskazała na sklep obuwniczy.

– Chodź. Masz pieniądze?

– To jest twój plan? Zakupy?

– Patrz i podziwiaj.

Pięć minut później wyszliśmy ze sklepu obuwniczego biedniejsi o dziesięć euro i obładowani torbami z pudełkami po butach. Sprzedawczyni patrzyła na nas, jakbyśmy zwariowali, ale na zakup kilkunastu pudełek wydaliśmy dużo mniej, niż gdybyśmy kupili kilkanaście par butów. Tak objuczeni stanęliśmy przed wystawą butiku mieszczącego się tuż koło wejścia do apartamentowca, udając, że nas zainteresowała. Sprzedawczyni uśmiechnęła się i przywołała nas gestem do środka – nasze torby wskazywały, że nie liczymy się z pieniędzmi – ale Miranda pokręciła głową. Uśmiech zniknął z twarzy kobiety, która najpierw przybrała wyraz rozczarowania, a potem podejrzliwości.

Nagle Miranda wyszeptała:

– Teraz!

Z budynku wyszedł mężczyzna w średnim wieku. Drzwi zaczęły się za nim już zamykać.

– *Monsieur, monsieur, s'il vous plaît!* – zawołała Miranda.

Mężczyzna spojrzał w naszym kierunku i zobaczywszy atrakcyjną młodą kobietę o promiennym uśmiechu, zmagającą się z naręczem toreb, przytrzymał drzwi. Miranda weszła do środka w aurze tajemniczości z *merci beaucoup* na ustach i ze mną podążającym za nią jak piesek.

Ukryliśmy nasze torby za palmą w donicy w rogu holu i wezwaliśmy windę. Kiedy wysiedliśmy na piętrze Stefana, Miranda skręciła w prawo. Zaczęła się przyglądać drzwiom przy końcu korytarza. Zawahała się przed drzwiami z numerem 407, a potem ruszyła dalej.

– Nie pamiętasz, które to drzwi?

– Cii.

– Balkon nie był trzeci od końca?

– Cii! – brzmiała jak Niemka z katedry w Turynie.

Zatrzymała się przy trzecich drzwiach od końca – z numerem 405 – i pokazała na niewielką naklejkę. Zapukała trzy razy, a potem przycisnęła ucho do drewna i zaczęła nadsłuchiwać. Bez słowa pokręciła głową. Znowu zapukała, tym razem głośniej. Nic. Chwyciła za klamkę i powoli ją nacisnęła. Ku mojemu zdziwieniu drzwi ustąpiły. Weszliśmy do środka.

Mieszkanie wyglądało jak stajnia Augiasza: brudne naczynia stały w zlewozmywaku i na kuchennym blacie, wszędzie, gdzie nie było talerzy, poniewierały się ubrania, listy i sterty papierów. Pomyślałem, że apartament został splądrowany, ale po namyśle, wiedząc, że złodzieje najczęściej nie rozsmarowują resztek jedzenia na talerzach i sztućcach, doszedłem do wniosku, że Stefan był po prostu straszną fleją.

– Nie był idealną panią domu – podzieliłem się z Mirandą moją obserwacją. – Mieszkanie było w taki samym stanie, kiedy go odwiedziłaś?

– Nie, posprzątał.

Miranda przyjrzała się masakrze w kuchni.

– Ten talerz – ten z zaschniętym hummusem i pokrytym pleśnią chlebkiem pita – chyba był mój. A to mój kieliszek, poznaję swoją szminkę.

Powstrzymałem się – z trudem – przed spytaniem, od kiedy używa szminki.

To w sypialni pomyślałem, że może jednak moje pierwsze wrażenie nie było błędne. Mieszkając od lat sam, wiedziałem, jak wygląda nieporządek u mieszkającego samotnie mężczyzny: brudne ubrania na podłodze, czyste na łóżku i komodzie. Najczęściej panowałem nad bałaganem, chociaż czasem wymykał się spod kontroli. Ale sypialnia Stefana to było studium chaosu. Wszystkie szuflady komody zostały wysunięte i opróżnione, buty, swetry, a nawet bielizna pościelowa wyciągnięte z szafy; fotel leżał na boku, tapicerka była w strzępach.

– Ktoś tu czegoś szukał – powiedziałem, czując, że ciarki przechodzą mi po plecach.

– Mam złe przeczucie – szepnęła Miranda.

– Zadzwoń jeszcze raz do Stefana.

– Dzwoniłam już z tysiąc razy. Ostatni raz przed wejściem do sklepu z butami.

– Ale nie stąd. Chcę sprawdzić, czy nie zostawił telefonu w mieszkaniu.

– Dobry pomysł.

Wybrała numer. Telefonu Stefana nie było w jego mieszkaniu – chyba że archeolog wyłączył dźwięk lub padła bateria.

Spodziewałem się, że po kilku sygnałach usłyszymy pocztę głosową. Jednak to, co usłyszałem, zmroziło mnie. Szczęknięcie i cisza. Ktoś odebrał, ale nie powiedział ani słowa. Miranda spojrzała na mnie ogromnymi oczami.

– Halo? – powiedziała. – Stefan? – Brak odpowiedzi. – Kto to? – spytała. – Gdzie jest Stefan?

Długie milczenie po drugiej stronie, a potem szczęknięcie i na ekranie pojawił się komunikat oznajmiający, że rozmowa została zakończona.

***

– Tutaj skręć w prawo – powiedziałem. – To chyba ta ulica.

– Dokąd idziemy i dlaczego? – Miranda była zdenerwowana, co mnie nie dziwiło.

– Kilka dni temu, wieczorem, przed podróżą do Turynu, nie mogłem zasnąć i wybrałem się na spacer. Było późno, koło północy. Wpadłem na Stefana. Wychodził z pałacu.

– O północy?

– Tak. Spacerowaliśmy razem przez jakieś pół godziny. – Przed nami zauważyłem przejście z rue Saint-Agricol. – Przyprowadził mnie tutaj. – Poprowadziłem ją na podwórko. – To była kaplica templariuszy. Stefan miał klucz... Stefan ma klucze do wszystkich drzwi w tym mieście... Zabrał mnie do środka. Kiedy wyszliśmy, został w tyle. – Nagle coś mi się przypomniało. – Kiedy ja wyszedłem, on tu został, i zastanawiałem się, czy może na kogoś czeka. Wyraźnie chciał się mnie pozbyć.

– Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałeś?

– Chcesz znać prawdę?

– Proszę.

– Zastanawiałem się, czy nie umówił się z tobą. Randka przy blasku księżyca w kaplicy templariuszy.

Nic nie powiedziała, ale widziałem, że rusza żuchwą. Niechętnie sięgnąłem do klamki, mając nadzieję, że nie ustąpi pod naciskiem. Ale ustąpiła. Ciężkie drzwi kaplicy otworzyły się do środka. Weszliśmy.

W kamiennym wnętrzu było chłodno. Powietrze miało ostry miedziany zapach. Znałem go aż za dobrze.

– Lepiej, żebyś zaczekała na zewnątrz.

– Nie mam mowy! – Wiedziałem, że nie ma sensu się z nią sprzeczać.

Przedsionek oddzielała od kaplicy rdzawoczerwona aksamitna zasłona. Uniosłem ją do góry. Miranda weszła pierwsza, a ja podążyłem za nią.

Wciągnęła głośno powietrze i załapała mnie mocno za ramię. Odwróciła się i wtuliła głowę w moją pierś.

Na kamiennej posadzce zastygała kałuża krwi – była już czarna na brzegach, ale nadal czerwona w środku. Nad nami znajdowała się metalowa kratownica, na której wisiały reflektory. Pośrodku kraty, na linie i bloku zawieszono poziomo krótką, drewnianą belkę. Do belki tej – jak do nowoczesnego minimalistycznego krzyża – przybite zostało nagie ciało Stefana Beauvoira.

CZĘŚĆ DRUGA

DRUGIE PRZYJŚCIE[10]

Kołując coraz to szerszą spiralą,
Sokół przestaje słyszeć sokolnika;
Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze;
Czysta anarchia szaleje nad światem,
Wzdyma się fala mętna od krwi, wszędzie wokół
Zatapiając obrzędy dawnej niewinności;
Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych
Kipi żarliwa i porywcza moc.
Tak, objawienie jakieś się przybliża;
Tak, Drugie Przyjście chyba się przybliża.
Drugie Przyjście! Zaledwie wyrzekłem te słowa,
Ogromny obraz rodem ze Spiritus Mundi
Wzrok mój poraża: gdzieś w piaskach pustyni
Kształt o lwim cielsku i człowieczej głowie,
Z okiem jak słońce pustym, bezlitosnym,
Dźwiga powolne łapy, a wokoło krążą
Pustynnych ptaków rozdrażnione cienie.
Znów mrok zapada; lecz teraz już wiem,

Że dwadzieścia stuleci kamiennego snu
Rozkołysała w koszmar dziecinna kolebka –
I cóż za bestia, której czas wreszcie powraca,
Pełznie w stronę Betlejem, by tam się narodzić?

William Butler Yeats

ROZDZIAŁ 21

Jak na stróżów prawa, którzy w dni świąteczne zamykają komisariaty na trzy spusty, francuska policja odpowiedziała teraz z zadziwiającą szybkością i siłą. Już po pięciu minutach od chwili, gdy Miranda wciągnęła przerażonego przechodnia do ponurej kaplicy – w rozpaczliwej próbie przekonania go, że mamy do czynienia z poważnym wypadkiem – usłyszałem syreny wozu policyjnego. Po sekundzie dołączyły do niego kolejne trzy. Nastąpiło *crescendo* hałaśliwego kwartetu, a potem nastała cisza przerywana tylko piskiem opon samochodów zatrzymujących się na wąskiej uliczce. W naszym kierunku przez przejście w bramie i przez podwórko zaczęło biec ośmiu mundurowych. Miranda i przechodzień przywołali ich do kaplicy, a ja przytrzymałem przed nimi drzwi. Zobaczywszy wiszące zwłoki Stefana z twarzą wykrzywioną w bólu, dwaj policjanci przeżegnali się, a jeden krótko obcięty młodzieniec, który nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia lat, wyszedł na zewnątrz i zwymiotował nieomal na moje buty.

Żylasty mężczyzna po czterdziestce o sylwetce wojskowego przejął dowodzenie i kazał dwóm ze swoich ludzi odgrodzić miejsce zdarzenia. Nie było to trudne, po prostu zagrodzili taśmą przejście prowadzące na ulicę. Napis był francuski – ZONE INTERDITE – POLICE TECHNIQUE ET SCIENTIFIQUE – ale żółto-czarna taśma przemawiała uniwersalnym językiem miejsc zbrodni.

Rozmawiając z człowiekiem, który ich wezwał, oficer nadzorujący poczynania policjantów – sierżant Henri Petitjean (według naszywki na piersi) – obdzielał swoją uwagą (czyli piorunującymi

spojrzeniami) zaszokowanego mężczyznę, Mirandę i mnie. Nieszczęsny przechodzień, który pewnie wybrał się na poranną kawę i bagietkę, po kilku wzruszeniach ramionami i pokazaniu na nas palcem machnął w końcu ręką i odwrócił się, żeby sobie iść. W jednej chwili policjant obrócił go i przyszpilił do ściany, dając mu do zrozumienia, że nigdzie nie pójdzie – co najwyżej do stolika na podwórku, gdzie nakazał wstrząśniętemu mężczyźnie usiąść.

Policjant odwrócił się do nas.

– *Monsieur et madame. Parlez-vous français?*

Znałem francuski na tyle, by rozumieć, że pyta, czy mówimy po francusku, odpowiedzieć i spytać jego, czy mówi po angielsku:

– *Non, pardon. Anglais?*

Spiorunował mnie wzrokiem, a potem spojrzał przeszywająco na Mirandę.

– *Madame?*

Miranda pokręciła głową.

– Tylko trochę. *Seulement un petit peu. Nous sommes Américains.*

– Ach, Amerykanie. *Quel dommage*[11].

Szkoda dla niego czy dla nas? Dotknął krótkofalówki na ramieniu i szybko coś do niej powiedział. Nie zrozumiałem prawie nic oprócz słów oznaczających morderstwo i ukrzyżowanie. Po drugiej stronie wśród szumów rozległo się: – *Crucifixion?*[12] – Policjant znowu dotknął nadajnika i powtórzył.

– *Oui, crucifixion.*

To samo pytanie zostało zadane ponownie. Tym razem mężczyzna nieomal zmiażdżył przycisk.

– *Oui! Crucifixion, crucifixion, cruci-FIX-ion!*

Tym razem znaczenie słów dotarło do osoby, z którą rozmawiał.

– *Merde! Mon Dieu!* – Cholera, mój Boże, i po chwili coś, co zabrzmiało jak „dekart”.

Ta odpowiedź zadowoliła naszego policjanta. Burknął coś, odmeldowując się, a potem zaprowadził mnie i Mirandę do jednego ze stolików (z dala od mężczyzny, któremu zepsuliśmy poranek) i gestem nakazał nam usiąść. Jednego ze swoich ludzi postawił przy przechodniu, a drugiego, tego o słabym żołądku, przy naszym stoliku. Wrażliwy młodzieniec wyglądał teraz na opanowanego, ale jego twarz nadal była szara, a mięsień przy kąciku prawego oka pulsował, jakby ktoś przyczepił do niego elektrodę.

Niedługo potem przybyła ekipa techników – w białych kombinezonach, z aparatami, kamerami i zestawami do zbierania materiału dowodowego – i wkroczyła do kaplicy. Chwilę po ekipie pojawił się policjant po cywilnemu, którego uznałem za detektywa. Był mniej więcej w moim wieku, jego falowane czarne włosy zaczynały siwieć, podobnie jak jego krzaczaste brwi. Brązowe oczy były głęboko osadzone pod wystającą kością czołową. Miał typową dla mieszkańców basenu Morza Śródziemnego lekko oliwkową cerę, a pod oczami głębokie zmarszczki i ciemne podkówki, prawie granatowe. Mankiety koszuli i kołnierzyk były wytarte, czarne spodnie wyblakłe, a buty znoszone.

Detektyw i sierżant naradzali się po cichu przy drzwiach kaplicy. W pewnej chwili detektyw odchylił się do tyłu, żeby przyjrzeć się Mirandzie i mnie, a potem wyprostował się i wrócił do mamrotania. Po kilku minutach on i policjant weszli do kaplicy.

Po wyjściu detektyw porozmawiał krótko z niezadowolonym przechodniem przypadkowo wciągniętym w ten dramat, a potem pozwolił mu odejść. Mężczyzna rzucił nam nienawistne spojrzenie, przeszedł pod taśmą i zniknął za rogiem.

– Dzień dobry – przywitał się detektyw, kłaniając się najpierw Mirandzie, a potem mnie. – To państwo znaleźli ciało, tak? Muszę

zadać wam kilka pytań. – Mówił płynnie po angielsku z lekkim brytyjskim akcentem. – Jestem inspektor René Descartes. – Otworzył notatnik, zdjął skuwkę z długopisu i zaczął pisać.

– Jak ten filozof? – spytała Miranda. – Kartezjusz? Ten, który powiedział „Myślę, więc jestem"?

– Tak. Jesteśmy spokrewnieni, być może. Myślę, że jestem z nim spokrewniony, więc jestem. – Miranda uśmiechnęła się nieznacznie. – Proszę opowiedzieć, co się stało. Ale najpierw poproszę o państwa dane. – Podaliśmy mu je, brew mu podskoczyła, kiedy Miranda podała swoje nazwisko – Lovelady – ale nie skomentował go. – Jesteście oboje Amerykanami? – Skinęliśmy. – Podróżujecie razem?

– Tak – powiedziała Miranda, dokładnie wtedy, kiedy ja powiedziałem „Nie".

Długopis detektywa zawisł w powietrzu. Descartes podniósł wzrok, najpierw spojrzał na Mirandę, potem na mnie, a potem znów na Mirandę. Zaczerwieniła się lekko.

– Pracujemy razem – wyjaśniła.

– Ale przyjechała tutaj przede mną – dodałem.

– Rozumiem – powiedział obojętnym tonem. – Panie... – spojrzał do notatek – Brockton, czy mógłby pan tu zaczekać? Proszę usiąść i się odprężyć.

Jasne, pomyślałem. Odprężyć się – nie ma problemu. Stefan nie żyje, a my jesteśmy podejrzani. Bardzo odprężające.

– *Mademoiselle* Lovelady, czy mogłaby pani pójść ze mną?

Poprowadził ją do najbardziej oddalonego stolika i zanim sam usiadł, podstawił jej krzesło. Przyciągnął swoje krzesło do jej, pewnie żeby porozmawiać w zaufaniu lub, co było bardziej prawdopodobne, żeby ją wytrącić z równowagi, naruszając jej osobistą przestrzeń – ulubiona technika przesłuchań śledczych.

Miałem wrażenie, że przesłuchanie Mirandy trwało całą wieczność – a na pewno ponad godzinę, bo najpierw usłyszałem zegar wybijający jedenastą, a potem dwunastą. „Bije on tobie, Stefan" – pomyślałem. W końcu policjant przyprowadził Mirandę z powrotem i zaprosił mnie. Oczy Mirandy były załzawione i zaczerwienione. Podałem jej chusteczkę, ale pokręciła głową i wytarła łzy dłonią. Ścisnąłem jej ramię, a potem podążyłem za inspektorem do stolika.

– Przepraszam, że to trwa tak długo – zaczął. – Jak pan sobie może wyobrazić, to bardzo niezwykła zbrodnia. I bardzo niepokojąca.

– Nie ma sprawy – zapewniłem go. – Wiem, że śledztwo musi swoje potrwać.

Uśmiechnął się.

– *Mademoiselle* powiedziała, że dużo pan wie na ten temat. Słyszałem o panu. Jedna z naszych gazet, „Le Monde", opublikowała kilka lat temu artykuł o Trupiej Farmie. Mam go w swoim archiwum. Ciekawa praca. Kiedyś, kiedy pojadę do Stanów, chętnie zwiedziłbym pana placówkę.

– Oczywiście – wyjąłem portfel i wyciągnąłem z niego wizytówkę. – Proszę dać znać, kiedy będzie pan w USA.

Wziął kartkę i przyjrzał się wizytówce z obu stron. – Co to za linie i znaki? Wyglądają jak mała linijka.

– Zgadza się – powiedziałem. – Przydaje się, jeśli na miejscu zbrodni robię zdjęcie i muszę pokazać rozmiar kości. Zawsze mam przy sobie wizytówki, nawet jeśli nie wziąłem miarki.

Skinął.

– Bardzo użyteczne. Bardzo sprytne. – Przewrócił kartkę w notatniku, która była w połowie zapełniona zeznaniami Mirandy. – Panie doktorze – uznałem za dobry znak to,

że awansował mnie z pana na doktora – proszę opowiedzieć mi o wydarzeniach tego ranka. Od początku. Proszę się nie spieszyć.

W czasie mojego zeznania sporządzał dokładne notatki, przerywając tylko czasami, aby poprosić, żebym zwolnił, coś wyjaśnił albo opowiedział innymi słowami to, czego nie zrozumiał.

Ożywił się, kiedy powiedziałem mu, że poszliśmy z Mirandą do mieszkania Stefana.

– Dlaczego tam poszliście?

– Szukaliśmy go. Nie było go w pałacu, mieliśmy nadzieję, że będzie w domu.

– Dlaczego do niego nie zadzwoniliście?

– Dzwoniliśmy wiele razy. Jestem zdziwiony, że Miranda panu nie powiedziała. – Prawie niezauważalnie mrugnął oczami, co uznałem za potwierdzenie tego, że Miranda mu powiedziała, a on po prostu sprawdzał, czy nasze historie się zgadzają. – Poszliśmy też na komisariat, ale był zamknięty na cztery spusty. Pewnie będziemy na zapisie z monitoringu. – Wzruszył ramionami. – W każdym razie, do tego czasu bardzo się już o niego martwiliśmy. Pójście do jego mieszkania wydawało się jedyną rzeczą, jaką mogliśmy jeszcze zrobić.

– Ale weszliście do środka. Muszę przyznać, że to bardzo niefortunne. Wygląda podejrzanie. Dlaczego to zrobiliście?

– Martwiliśmy się o niego – powtórzyłem – a drzwi były otwarte. Baliśmy się, że zachorował albo miał wypadek.

– Czy niedomagał, kiedy go ostatnio widzieliście?

– Nie. Ale ludzie chorują i umierają bez ostrzeżenia. Miałem przyjaciela – tuż po czterdziestce, silny i wysportowany facet – który niespodziewanie dostał zawału. Zgon na miejscu. Znałem też zdrową młodą reporterkę telewizyjną, która zmarła na antenie w czasie podawania wiadomości. Inna moja znajoma poślizgnęła się

w łazience i rozbiła sobie głowę. Odzyskała przytomność dopiero po dwóch dniach.

– Proszę zatem nie zostawać moim przyjacielem – skwitował. – To bardzo źle wpływa na zdrowie.

– Właśnie, panie inspektorze – uśmiechnąłem się. – Chodzi mi o to, że wypadki chodzą po ludziach. Gdybyśmy wiedzieli, że Stefan nie żyje, nie weszlibyśmy do środka. A gdybyśmy byli jego zabójcami, na pewno nie zostawilibyśmy odcisków palców na drzwiach, włącznikach światła i kto wie, czym jeszcze. Wiem, że miejsca zbrodni nie należy naruszać, ale my nie wiedzieliśmy, że to miejsce zbrodni.

Miał szybki refleks:

– Dlaczego myśli pan, że mieszkanie to miejsce zbrodni?

– Szuflady były powyciągane z szafek, meble pocięte. Jeśli to nie miejsce zbrodni, to jest to najbardziej bałaganiarskie mieszkanie we Francji. Zanim weszliśmy do środka, byłem zaniepokojony się, ale potem wiedziałem już, że coś się stało. Dlatego przyszedłem do kaplicy. Gdybyśmy nie poszli do mieszkania Stefana, morderstwo nie zostałoby pewnie jeszcze wykryte.

Zmarszczył brwi.

– Ale dlaczego pomyślał pan o kaplicy templariuszy? Skąd pan wiedział, że go tu znajdziecie?

– Nie wiedziałem. Ale pomyślałem, że warto sprawdzić.

– Dlaczego?

– Nie do końca wiem. Po pierwsze, to jedyne miejsce poza mieszkaniem i pałacem, z którym Stefan był wedle mej wiedzy jakoś związany. Poza tym to miejsce wydawało mu się z jakiegoś powodu ważne. Przyprowadził mnie tutaj pewnej nocy w zeszłym tygodniu. Nie mogłem zasnąć, wyszedłem na spacer. Było późno – nieomal północ – ale wpadłem na ulicy na Stefana.

Pospacerowaliśmy razem i w końcu przyprowadził mnie tutaj, pokazał mi kaplicę, zabrał do środka. Miał klucz, powiedział, że zna właściciela. Wszystko było jednak nieco dziwne. Jakby zdradzał mi tajemnicę.

– Jaką tajemnicę?

Pokręciłem głową.

– Nie wiem. Miałem wrażenie, że dla Stefana kaplica była czymś więcej niż tylko zabytkowym budynkiem. – Wróciłem wspomnieniami do tej nocy. – Było coś dziwnego w jego zachowaniu – orzekłem w końcu. – Jakby sprawdzał to miejsce. Zanim zaprowadził mnie na podwórko, rozejrzał się. Zrobił to samo przed wejściem do środka. A kiedy wyszliśmy, wytłumaczył mi, jak wrócić do hotelu, ale sam został z tyłu. Jakby chciał się mnie pozbyć. Jakby się kogoś spodziewał.

Pochylił się do przodu, świdrując mnie wzrokiem.

– Kogo?

– Niestety nie wiem.

Usiadł najwyraźniej rozczarowany i zaczął przeglądać swoje notatki. Potem przetarł oczy i wziął głęboki oddech, potem kolejny.

– Inspektorze? Dobrze się pan czuje?

Skinął głową, zamrugał oczami i podniósł wysoko krzaczaste brwi, jakby chciał jak najszerzej otworzyć oczy.

– Jestem tylko trochę zmęczony – przyznał. – Pracowałem nad trudną sprawą. Fałszerz dzieł sztuki popełnił samobójstwo. – Powstrzymał ziewnięcie. – Proszę mi opowiedzieć o mademoiselle Lovelady.

To mnie zaskoczyło.

– Miranda? Jest świetna. Inteligentna jak mało kto. Pracowita. Ma wyrobioną opinię na wiele kwestii. Jest zabawna. Z ikrą.

– Z ikrą? Co to znaczy?

– Z charakterem.

– Rozumiem. Ufa jej pan?

– W stu procentach. Powierzyłbym jej własne życie.

Descartes znowu zajrzał do notatek, obracając między palcami długopis. Podniósł wzrok, żeby zadać następne pytanie, ale zadzwoniła jego komórka. Przeprosił mnie, wstał i podszedł do bramy. Nie było go przez kilka minut. Kiedy wrócił, usiadł, spojrzał mi prosto w oczy i zapytał:

– Jakie były stosunki pana asystentki z *monsieur* Beauvoirem?

Pytanie to zaskoczyło mnie, co Descartes na pewno zauważył.

– Chyba dobre. Zaprosił ją tutaj, żeby mu pomogła, więc raczej miał o niej dobre zdanie. Miranda zgodziła się przyjechać, więc też musiała mieć o nim dobrą opinię.

– Wie pan, dlaczego mieli o sobie tak dobre zdanie? I od kiedy?

Cholera, pomyślałem. Tylko nie to.

– Poznali się sześć czy osiem lat temu. Kiedy była jeszcze studentką. Na wykopaliskach w Gwatemali, które zorganizował Stefan.

Inspektor zaczął nieświadomie obgryzać paznokieć, wciąż się we mnie wpatrując.

– Wiedział pan, że byli kochankami?

Masz babo placek. Wiedziałem, że o to zapyta.

– Ich związek to nie moja sprawa.

Wzruszył ramionami.

– Ale wiedział pan?

– Tak. Miranda powiedziała mi o tym po przyjeździe do Awinionu. Była tym nieco skrępowana.

– Bo panu powiedziała? Czy dlatego, że byli kochankami?

– Chyba z obu powodów. To był krótki romans, wydarzył się dawno temu. Kochankowie to za mocne słowo. To była wakacyjna

przygoda na wykopaliskach. To zdarza się cały czas.

– Cały czas? – podniósł brwi i przekrzywił głowę.

Zaczerwieniłem się.

– Może nie cały czas, ale się zdarza. Niekoniecznie dużo znaczy. Myślałem, że Francuzi są tolerancyjni, jeśli chodzi o romanse.

– Czasami. Nie – kiedy jedno z kochanków zostaje ukrzyżowane. Proszę mi powiedzieć, czy była zła na Beauvoira? Nienawidziła go?

– Nienawidziła? Za co?

– Za cokolwiek. Za to, co się wydarzyło w Gwatemali. Co się stało – czy nie stało – w Awinionie.

Mój Boże, on myśli, że to Miranda przybiła Stefana do belki?

– Proszę posłuchać, inspektorze. Miranda i ja pracujemy razem od sześciu lat. Aż do wyjazdu nigdy o nim nie wspomniała. Gdyby żywiła do niego uczucie nienawiści – lub pragnęła jego miłości – wiedziałbym o tym.

Znowu wzruszył ramionami, co mnie zirytowało. Gest ten mógł oznaczać, zarówno „Kto wie?", jak i „Co ty, do diabła, możesz wiedzieć?".

– Czy wie pan, gdzie *mademoiselle* Lovelady była zeszłej nocy?

Tym razem to ja wzruszyłem ramionami.

– Przypuszczam, że w swoim pokoju hotelowym.

– A wie pan, gdzie był *monsieur* Beauvoir?

Podniosłem dłonie w geście irytacji.

– Gdybym miał zgadywać, to powiedziałbym, że pierwszą część nocy spędził w swoim mieszkaniu, a resztę konając w kaplicy.

Uśmiechnął się ironicznie.

– Tak naprawdę to nieomal do północy był w pokoju *mademoiselle* Lovelady. – Jego słowa były jak cios w brzuch. Przyjrzał się mojej minie. – Wydaje się pan zaskoczony.

– Tak. Jestem zaskoczony. Ale jak mówiłem, ich stosunki to nie moja sprawa.

– Nie zgadzam się z panem, doktorze Brockton. Może nie jest to pana sprawa w normalnych okolicznościach, ale teraz... – z *monsieur* Beauvoirem wiszącym w kaplicy – to jest pana sprawa. Jest pan związany z tym morderstwem. Porwała pana fala wydarzeń. Nie może pan się od niego odciąć.

Ściskanie w żołądku potwierdziło jego słowa. Z nieznanych mi powodów skręciłem za róg labiryntu uliczek Awinionu i nie wiedziałem, czy znajdę z niego wyjście.

– Przepraszam? Doktorze Brockton? – jego głos wydawał się odległy, miałem wrażenie, jakbym wypływał z głębin otchłani. Chyba powtórzył moje nazwisko kilka razy.

– Przepraszam. Tak?

– Doktorze Brockton, gdzie był pan ostatniej nocy?

– Ja? – spojrzałem na niego zaskoczony. Skinął. – W hotelu.

– Tym samym co *mademoiselle*?

– Nie, w innym. Mały pensjonat położony tuż przy murze obronnym. Nazywa się „Lumani".

– Ach, *oui*. „Lumani". Znalazł pan sobie piękną kwaterę.

– To Stefan znalazł ten hotel. Chyba zna właścicieli. Znał.

– Czy był pan zły na *monsieur* Beauvoira?

– Niby dlaczego miałbym być na niego zły?

– Może był pan zazdrosny o swoją asystentkę?

– Błagam – powiedziałem. – Nie byłem. Ale nawet gdybym był, na pewno nie zabiłbym go z tak błahego powodu. Poza tym nie wiedziałem nawet, że zeszłej nocy poszedł się zobaczyć z Mirandą.

– Może był pan zły, że wrobił pana w przyjazd do Awinionu. To była manipulacja, *non*?

– Tak, i nie podobało mi się to. Ale kiedy zrozumiałem, dlaczego tak postąpił, wiedziałem, że miał dobry powód.

– A co to był za powód?

– Czy Miranda panu nie wyjaśniła?

– Wyjaśniła. Teraz pytam o to pana.

– Ona i Stefan znaleźli w pałacu papieskim bardzo stare kości – powiedziałem. – Na ossuarium – skrzynce na kości – znajduje się ryt, który może wywołać niemałe poruszenie. – Nic nie powiedział, tylko czekał. – Według niego są w nim kości Chrystusa. Jeśli to prawda, to byłoby najbardziej sensacyjne odkrycie ostatnich dwóch tysięcy lat.

Przestał pisać.

– Ale jak można udowodnić, czy kości są prawdziwe czy fałszywe? Chyba nie można tego potwierdzić za pomocą badania DNA? Nie mamy DNA Jezusa dla porównania.

– Właśnie – zgodziłem się. – Ale niektórzy mają odmienne zdanie. Uważają, że mogą uzyskać DNA z plam krwi na całunie turyńskim. Ja nie uważam go za autentyczny – myślę, że to średniowieczna podróbka – i nie sądzę, żeby na całunie były plamy krwi. – Postanowiłem sprawdzić, czy inspektor ma poczucie humoru. – Z drugiej jednak strony, jeśli święta gąbka jest prawdziwa, to może zawierać ślady świętej śliny z DNA.

– Święta gąbka? Co to jest?

Wyjaśniłem mu.

– *Incroyable,* nie do wiary – powiedział, kręcąc głową w niedowierzaniu.

– Naprawdę pomogłaby – ciągnąłem – karta dentystyczna, rentgen świętego zęba.

Inspektor patrzył na mnie, jakbym oszalał, a potem – kiedy zdał sobie sprawę, że żartuję – roześmiał się.

– Podoba mi się to – stwierdził. – Rentgen świętego zęba byłby pomocny.

– Och – mój żart przypomniał mi o czymś poważnym. – Wysłaliśmy do laboratorium przeprowadzającego datowanie radiowęglowe dwa zęby, żeby sprawdzić ich wiek. Powinniśmy na dniach otrzymać wyniki. Moim zdaniem kości mają jakieś siedemset lat, ale jeśli laboratorium stwierdzi, że pochodzą sprzed dwóch tysięcy lat, to staną się dużo bardziej interesujące.

– Jakie kości?

– Jak to jakie kości? Kości, o których panu powiedziałem.

Powtórzył pytanie.

– Jakie kości? – Podniósł pustą dłoń. Teraz zrozumiałem. – Gdzie są te kości?

– Nie mam pojęcia, inspektorze. Ale myślę, że jeśli znajdziemy kości, znajdziemy też zabójcę. Jak się mówi po francusku, żeby szukać kobiety? *Cherchez la femme?* – Skinął. – Jak brzmiałoby „szukaj szkieletu"?

– *Cherchez le squelette*. Oczywiście, że będziemy go szukać, ale nie rozumiem, po co ta cała tajemnica. Dlaczego nie ogłosić światu, że znaleźliście kości, i wyjaśnić, że trzeba wykonać więcej testów, by się przekonać, czy to Jezus?

– Chce pan znać prawdę?

– Oczywiście, że chcę znać prawdę. Tylko prawdę.

Przez chwilę bałem się, że go poirytowałem, ale nie wyglądał na wściekłego.

– Proszę pójść ze mną. – Nagle wstał. Zaprowadził mnie do kaplicy, gdzie technicy wydawali się szukać włącznika do elektrycznej wyciągarki, która podniosła Stefana. Descartes przyjrzał się ukrzyżowanemu ciału, a potem spojrzał na fresk na ścianie nad ołtarzem. Malunek przedstawiał unoszącego się

na tle nieba zaróżowionego, rozpromienionego cherubinka, który wyglądał, jakby cieszył go widok zwłok wiszących kilka metrów przed nim. Detektyw nieznacznie pokręcił głową.

– Nie wierzę w anioły, cuda ani święte gąbki. Ale wierzę w prawdę. *La vérité*. – Wzrok mu się zamglił i zastanawiałem się, czy znowu myśli o nieżyjącym fałszerzu sztuki. – Czasami trudno mi ją odnaleźć.

– Jak by to brzmiało? *Cherchez la vérité?*

Uśmiechnął się.

– *Oui. Exactement*. Proszę zatem, aby powiedział mi pan prawdę. Dlaczego monsieur Beauvoir chciał trzymać wszystko w tajemnicy.

– To tylko moja opinia – podkreśliłem – ale myślę, że bał się, że ktoś inny przypisze sobie jego zasługi, że ktoś inny okryje się chwałą – jakiś urzędnik z pałacu lub Ministerstwa Kultury. Myślę, że sam chciał zdobyć sławę. Stefan sam chciał się znaleźć w świetle reflektorów.

Usłyszałem zawodzenie elektrycznego silnika. Belka nad nami poruszyła się i ciało Stefana drgnęło, kiedy kołowrót zaczął się obracać. Belka obniżała się powoli w świetle teatralnych świateł.

Spełniło się życzenie Stefana. Znalazł się pośrodku sceny w świetle reflektorów.

ROZDZIAŁ 22

W drodze do hotelu Miranda była milcząca, co mi nie przeszkadzało.

Wyglądała na zmęczoną i smutną. Ja też tak się czułem, ale byłem także zdezorientowany i niespokojny. Zamordowanie Stefana

zaszokowało mnie, ale nie przeżyłem traumy. Choć pracowaliśmy razem, ledwie go znałem, więc odkrycie jego zwłok było prawie jak natknięcie się na zwłoki nieznajomego. Nie, moja dezorientacja i niepokój dotyczyły Mirandy. Czy było coś między nią a Stefanem? Czy skłamała? Jeśli tak, to czy kłamała też w innych kwestiach? I czy Descartes miał rację – czy to morderstwo i nasz z nim związek sprawiały, że życie osobiste Mirandy było teraz moją sprawą?

Może, pomyślałem niechętnie. Zastanawiałem się, co powiedzieć, kiedy podniosłem wzrok i zauważyłem, gdzie jesteśmy. Jak na automatycznym pilocie dotarliśmy do pałacu papieskiego. Miranda patrzyła niewidzącym wzrokiem na kamienną fasadę, a łzy płynęły jej po policzkach.

– Boże, nienawidzę tego miejsca – wyszeptała z przekonaniem, nie tyle do mnie, co do siebie, a może nawet do budynku. – Myślałam, że trafiłam do raju albo przynajmniej do Disneylandu, kiedy zobaczyłam ten pałac. Zapragnęłam chwały i sławy, wiesz? – Roześmiała się gorzko. – Byłam zbyt zaślepiona, by dostrzec, że Stefan mną manipuluje. Wykorzystał mnie, żeby dotrzeć do ciebie – chciał, żebyś swoim nazwiskiem uwiarygodnił to znalezisko. Nie przyszło mi do głowy go o to podejrzewać. Przypuszczałam tylko, że chce mnie zaciągnąć do łóżka.

To był, pomyślałem, kiedy otrząsnąłem się z szoku, niezły początek rozmowy, którą kiedyś musieliśmy przeprowadzić.

– A chciałaś tego?

– Nie. Cóż, może. Nie bardzo. – Pokręciła głową. – Boże, co za bajzel. Czy mogę coś powiedzieć? Postaraj się mi nie przerywać i mnie nie osądzać. – Wzięła mnie pod ramię i poprowadziła do ławki stojącej na krawędzi placu. – Przez wiele lat w ogóle nie myślałam o Stefanie. Naprawdę. Więc kiedy zadzwonił, z trudem przypomniałam sobie, kim jest. Musiał dwa razy powtórzyć swoje

imię i dodać, że dzwoni z Francji. Ale potem ziarno zaczęło kiełkować – coś jak Zeus i Leda, ziarno niedokończonego biznesu. Wykopaliska w pałacu brzmiały fajnie, tak jak i darmowa wycieczka do Francji. Ale miałam też nadzieję, że może jakoś uda nam się pozbyć blizn powstałych sześć lat temu, kiedy ni stąd, ni zowąd w Gwatemali zjawiła się żona Stefana, a ja ze wstydu opuściłam kraj.

Skinąłem, nie byłem pewien, czy to do końca rozumiem, ale miałem nie przerywać, a chciałem, by wiedziała, że słucham.

– Więc kiedy tylko przyjechałam, Stefan zaczął mówić, jak to się cieszy, że znowu ze mną pracuje. Że mu przykro z powodu tego, co się stało w Gwatemali. Że jest zadowolony, że wreszcie mamy szansę zostać prawdziwymi partnerami. Próbowałam sobie za dużo nie myśleć, wszystko brzmiało fajnie, ale zastanawiałam się, czy mnie po prostu nie urabia, bo chce mnie zaciągnąć do łóżka. Rzeczywiście podrywał mnie tamtej nocy na balkonie, ale, jak ci powiedziałam, odmówiłam mu. Ale nie powiedziałam ci, że nie spaliłam za sobą wszystkich mostów. Chciałam wierzyć, że możliwy był prawdziwy związek ze Stefanem.

Skinąłem i ugryzłem się w język, żeby nie spytać, czy Stefan dał jej nadzieję na więcej niż przelotny romans, ale jakby czytała w moich myślach.

– Robił co do tego aluzje – kontynuowała. – Mówił, jaką wielką szansą jest to znalezisko. Jak moglibyśmy przez lata żyć z publikacji na ten temat. Jak to otworzyłoby przed nami wszystkie drzwi. Wygląda na to, że to były wrota śmierci, co? – Złapała kolejny głęboki oddech. – Jest jeszcze coś, czego ci nie powiedziałam. Stefan przyszedł do mnie wczoraj wieczorem.

– Wiem – tym razem jej przerwałem.

Posmutniała.

– Skąd?

– Descartes mi powiedział.

– Cholera. Przepraszam, że nie dowiedziałeś się tego ode mnie. – Spojrzała na kocie łby. – Wczoraj koło dziesiątej Stefan zadzwonił do mnie i powiedział, że wraca do domu z kolacji. Spytał, czy może wpaść, żeby o czymś ze mną pogadać. Powiedziałam, że nie ma sprawy. Przyszedł z butelką wina, cały w skowronkach. Zachowywał się czarująco, więc dałam się w końcu namówić na kieliszek. Po dwóch kieliszkach, poprawił mi się humor, a on zaczął mnie całować. Tym razem nie planowałam powiedzieć „nie". Ale nagle zaczął szeptać mi do ucha, jak to chce ze mną wyjechać, jak moglibyśmy uciec przed wyścigiem szczurów, zamieszkać w jakimś pięknym egzotycznym miejscu. Podróżować po świecie. Pisać książki, hodować orchidee, robić, co nam się żywnie podoba. Najpierw myślałam, że to tylko takie czcze gadanie, ale coraz bardziej się rozkręcał i w końcu spytałam go, o czym, do diabła, mówi. Powiedziałam mu, że brzmi jak napalony nastolatek. Wtedy on wycofał się i wkurzony wybiegł z pokoju.

– I to wszystko?

– Prawie. Przy drzwiach odwrócił się jeszcze i powiedział: „Nie masz pojęcia, co ci oferuję, Mirando. Drzwi otwierają się dzisiaj. Teraz. Zaraz przez nie przejdę. Chciałbym, żebyś poszła ze mną". Stał tak, czekając na mnie. Potem pokręcił głową, wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi. I tyle go widziałam.

– Pozwól, że to sobie poukładam w głowie. Chciał, abyś z nim o północy wyszła z hotelu, żeby wykorzystać nadarzającą się wielką okazję?

– Chyba tak. Zastanawiam się cały czas nad jego słowami i tak mi wychodzi.

– Powiedziałaś o tym Descartes'owi?

– Tak. Nie wiem, jak serio to potraktował. I czy w ogóle mi uwierzył.

Nagle zakręciło mi się w głowie.

– Gdybyś poszła ze Stefanem, mogłabyś skończyć przybita do belki w kaplicy razem z nim.

– Wiem.

ROZDZIAŁ 23

Mistral powrócił o zmroku, wyjąc i hucząc w liściach drzew ogrodu „Lumani". Przewracałem się z boku na bok przez wiele godzin, próbując zasnąć – jak osioł starający się złapać wiszącą przed nim marchewkę. W końcu, kiedy zacząłem się już pogrążać w otchłani snu, usłyszałem pukanie do drzwi, tak lekkie, że niemal niesłyszalne pośród wycia wiatru. Usiadłem zaalarmowany.

– Halo? Kto tam?

– To ja.

– Miranda, wszystko w porządku?

– Tak. Tak jakby. Nie bardzo.

Włączyłem lampkę przy łóżku i wyszedłem spod kołdry. Zmagałem się chwilę z zamkiem w drzwiach i w końcu otworzyłem jej w T – shircie i spodniach chirurgicznych. Nawet w słabym świetle sączącym się z mojego pokoju zauważyłem, jak mizernie wygląda.

– Wyglądasz okropnie.

W normalnych okolicznościach odpowiedziałaby jakoś dowcipnie, ale teraz po prostu skinęła i przytuliła się do mnie. Objąłem ją i poklepałem po plecach.

– Przykro mi – powiedziałem. – Chcesz o tym porozmawiać? – Pokręciła głową. – Chcesz iść na kawę albo coś zjeść? Może znajdziemy jakąś otwartą knajpę.

– Po prostu nie chcę być sama. Mogę wejść?

– Oczywiście.

Pokój nie został zaprojektowany do przyjmowania gości. Można było usiąść jedynie na łóżku lub wąskim drewnianym krzesełku stojącym w rogu. Skinąłem w stronę krzesła.

– Chcesz usiąść?

– Nie zrozum tego źle – powiedziała – ale chcę po prostu iść spać. Przez wiele godzin przewracałam się w łóżku z boku na bok, ale w moim pokoju jest strasznie. Wciąż czuć w nim papierosy Stefana i jego wodę kolońską, nadal czuć jego obecność. – Wzięła głęboki oddech, a potem wypuściła powietrze przez zamknięte usta. – Chcę iść spać. Czy mogę dziś spać z tobą?

– Mirando, to chyba nie jest najlepszy pomysł.

– Może i nie. Przepraszam, że cię o to proszę, ale naprawdę nie chcę spędzić tej nocy sama. – Patrzyła na mnie smutnym, zmęczonym wzrokiem. – Chcę się tylko przespać. Obiecuję. Proszę? Potrzebuję teraz przyjaciela, nie szefa.

Pięć minut później leżeliśmy z Mirandą w łóżku i wiedziałem, że ja tej nocy na pewno nie zmrużę oka. Leżałem przy krawędzi materaca, w głowie miałem gonitwę myśli i uczuć. Skoncentrowałem się na oddychaniu, starając się robić to jak najbardziej regularnie. Oddech co trzy sekundy. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Pościel zaszeleściła, materac lekko się poruszył i poczułem, że Miranda się do mnie przytula. Swoje kolana oparła o tył moich, a jej piersi i brzuch dotykały moich pleców. Objęła mnie ramieniem i położyła dłoń na mojej klatce piersiowej. Puknęła mnie kilka razy

w serce – bum, bum, bum – i przysięgam, biło w tym samym rytmie. Stopniowo jej ciało robiło się bezwładne, a oddech się pogłębiał. Z każdym wdechem jej brzuch napełniał się powietrzem i przyciskał mocniej do mnie, z każdym wydechem włosy na moim karku poruszały się.

Jej ciało drgnęło nieznacznie – sen albo jakaś synapsa zaiskrzyła przypadkowo. Miranda zrobiła głęboki wdech, a potem przytuliła się mocniej. Pomimo dziwnych i krwawych wydarzeń ostatniej doby jej ciało wtulone w moje dawało mi poczucie bezpieczeństwa i przyniosło pocieszenie. Pomyślałem o słowach mistrza Eckharta: „Jeśli twoja modlitwa będzie się składać jedynie ze słowa 'dziękuję', to wystarczy". Leżąc tak z wtuloną we mnie Mirandą – całą i zdrową, i budzącą we mnie uczucia, których nie rozumiałem, a może które po prostu bałem się zrozumieć – pomodliłem się znowu: *Dziękuję. Dziękuję. Dziękuję.*

ROZDZIAŁ 24

Kiedy się obudziłem, nie było jej. Na stoliku znalazłem liścik napisany drobnym starannym charakterem pisma Mirandy: „Dziękuję, dziękuję, dziękuję. To na pamiątkę. Może nic nie znaczy, ale może znaczy wiele". Włożyłem liścik – dziwna pamiątka, pomyślałem – do szuflady biurka.

Kilka minut później, kiedy usuwałem liście z krzesełka w ogrodzie, pojawił się Jean z telefonem bezprzewodowym w ręku.

– Telefon do ciebie.

To był inspektor Descartes.

– Mam panu coś ciekawego do pokazania – powiedział. – Może pan przyjść na komisariat?

– Oczywiście. Sadowię się właśnie do śniadania w ogrodzie. Herbata, tost i truskawki. Mogę najpierw zjeść czy muszę się stawić od razu?

– Może pan zjeść – zgodził się. – Albo może ja przyjdę do pana. Możemy porozmawiać przy śniadaniu.

– Spytam Jeana...

– Będę za dziesięć minut – oznajmił i rozłączył się.

Descartes pił mocną, czarną kawę espresso: małą, gorącą i tak gęstą, że mógł ją prawie jeść widelcem. Zwrócił jedno z krzeseł przy fontannie do słońca i postawił espresso oraz talerz pełen truskawek na małym stoliku, a następnie usiadł, poluzował krawat, podwinął rękawy i włożył okulary przeciwsłoneczne.

– Ach – wymruczał zadowolony. Gdyby nie jego wytarty garnitur, można byłoby pomyśleć, że szykuje się na słoneczną kąpiel na riwierze.

Usiadłem na krześle obok, z herbatą, teraz już wystygłą, i dwoma tostami z dżemem wiśniowym. Nie zjadłem ani jednego kęsa, czekając na to, co miał mi pokazać. Nie spieszyło mu się. Zaczął oddychać wolniej i głębiej, a ja zastanawiałem się, czy nie zasnął.

– Inspektorze, chciał mi pan coś pokazać?

– Mmm? Ach, *oui,* oczywiście. – Byłem zadowolony, że spytałem. – Mam to tutaj.

Poklepał kieszonkę koszuli, a potem wyciągnął z niej złożoną kartkę papieru. Z doprowadzającą mnie do szału powolnością rozłożył ją, spojrzał na jej treść, a potem mi podał.

– Pomyślałem, że może to pana zainteresować.

Chwilę zajęło mi skojarzenie nazwy na kartce. Ale kiedy to się stało, poczułem przypływ adrenaliny i szybko przeczytałem jej

treść.

– Znaleźliśmy to w gabinecie w mieszkaniu Stefana – wyjaśnił. – Prawie przeoczyliśmy. Kartka była w faksie. To raport...

– Wiem, wiem – przerwałem mu. – Dobry Boże. – Przeczytałem faks ponownie, by mieć pewność, że wszystko dobrze zrozumiałem. – A może powinienem powiedzieć: „Jezu Chryste".

W drżącej ręce trzymałem raport z wyników badań z Beta Analytic, laboratorium w Miami, do którego wysłaliśmy zęby do datowania radiowęglowego. Liczby nieomal skakały z kartki: „1950 +/– 30". Według laboratorium zęby (zęby, które wyciągnąłem z czaszki z ossuarium) pochodziły z roku 62 naszej ery plus minus 30 lat; ze stulecia, w którym żył i zmarł Jezus.

– Więc to mogą być kości Chrystusa. – Mój umysł pracował tak szybko, jak biło mi serce. – Powiedział pan, że znalazł to w faksie. Czy to zostało przefaksowane do niego, czy to on komuś przefaksował?

Uśmiechnął się.

– Dobry byłby z pana detektyw, *docteur*. Odpowiedź brzmi: i to, i to. Przejrzeliśmy log. Faks z Miami przyszedł w sobotę około ósmej wieczorem. Między dziewiątą a dziewiątą trzydzieści archeolog wysłał trzy faksy.

– Trzy? Czy wysłanie dwóch pierwszych nie powiodło się?

– Powiodło. Wysłał trzy faksy pod trzy różne numery: w Rzymie, Londynie i Stanach.

– Jasna cholera – powiedziałem. – Miranda miała rację. Stefan coś knuł. Tak bardzo zależało mu na ścisłej tajemnicy, ale jak tylko dostał wyniki, od razu poleciał do faksu. Czy wiecie, do kogo należą te numery?

– Pracujemy nad tym. – Inspektor zmarszczył brwi. – Musimy wykonać trochę papierkowej roboty, zanim otrzymamy te

informacje.

– Wie pan, dokąd w Stanach wysłał faks?

– Ach, *oui*. Do miasta o nazwie Charlotte.

– Charlotte? – byłem zaskoczony. – Mój Boże. Jakiś facet z Charlotte skontaktował się ze mną tydzień temu. Pytał, czy mógłbym zbadać kości i artefakty z pierwszego wieku.

Descartes wyprostował się. Już się nie opalał.

– Kim był ten facet? Gdzie go znajdziemy?

– Nazywa się... – przeszukałem zasoby pamięci – Newman. Doktor Adam Newman. Dyrektor jakiegoś instytutu. Instytutu Nauki Biblijnej.

Wyjął notatnik i zapisał nazwisko.

– Zna pan ten instytut? To poważna placówka naukowa?

Pokręciłem głową.

– Nie słyszałem o niej wcześniej. – Nagle zaskoczyłem. – Ale Stefan słyszał. Pokazałem mu list, który otrzymałem od Newmana. Ostrzegł mnie, żebym trzymał się od nich z daleka. Powiedział, że to religijne świrusy i że jeśli nie zgodzą się z moimi wnioskami, będą próbowali zniszczyć moją reputację.

– Ciekawe – zadumał się Descartes – że *monsieur* Beauvoir wiedział o tej amerykańskiej instytucji więcej niż pan.

– Myśli pan, że to tam przefaksował wyniki badań?

– *Peut-être*. Może. Dobre miejsce, żeby zacząć śledztwo.

– A co z Londynem i Rzymem? Do kogo wysłał wyniki?

Wzruszył ramionami.

– Do innych ludzi, których chciał poinformować o wieku kości. Ale kim są i dlaczego to zrobił? *Sais pas* – nie wiem. – Wybrał karmazynową truskawkę z talerza i włożył do ust. Żuł powoli, jakby degustował, a na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia. – Ach, *délicieuse* – wyszeptał. – Pyszne. Jedzenie i wino w Prowansji

są cudowne. Gdybym nie musiał żyć z pensji policjanta, uwielbiałbym tu mieszkać.

Rzucił krótkie, tęskne spojrzenie na ogród i cudowne budynki. Następnie, ku mojemu zdziwieniu, wziął z talerza croissanta, zawinął w serwetkę i włożył do kieszeni marynarki. Widząc wyraz mojej twarzy, podniósł brwi. Czy mnie prowokował? Nie podjąłem tematu, a on po chwili kontynuował:

– Może mógłby nam pan pomóc dowiedzieć się, do kogo wysłał te faksy. Jeśli pan ma ochotę, oczywiście.

– Ja? Pomóc? Jak? Czy mam zrobić coś nielegalnego, niemoralnego, niebezpiecznego?

– Ani nielegalnego, ani niemoralnego. – Uśmiechnął się. – Przykro mi, jeśli pana rozczarowałem.

– Nie powiedział pan, że to nie jest niebezpieczne. Czyli jest?

Wyciągnął dłoń i poruszył nią na boki.

– Może.

– Czy „może" oznacza „na pewno"?

– Może pan oczywiście odmówić.

– Myśli pan, że ktoś go zabił dla tych kości?

– Albo to, albo ktoś go zabił, bo facet bzykał pana asystentkę.

Tego się nie spodziewałem. Poczułem, że krew uderza mi do głowy, i zdałem sobie sprawę, że dałem się złapać w pułapkę. Czy Descartes nadal uważał mnie za podejrzanego? Jeśli tak, to czy moja reakcja potwierdziła jego podejrzenia i sprawiła, że wyglądałem w jego oczach na winnego? Byłem zbyt wściekły, żeby się tym przejmować.

– Proszę posłuchać, panie inspektorze, wiem, co pan myśli. Życie osobiste mojej asystentki to łatwy kąsek. Dobrze, proszę wykonywać swoją pracę. Ale jeśli chce pan, żebym panu pomógł

znaleźć jakieś brudy na Mirandę, to odpowiedź brzmi: nie, jest pan sam.

Wydawał się zdziwiony moją reakcją.

– Nie, *pas du tout*, wcale nie. Żartowałem. Zapomniałem, że jest pan przewrażliwiony na tym punkcie.

Czy był szczery? Trudno mi było stwierdzić.

– Oczywiście, że tu chodzi o kości. Kiedy archeolog dostał wyniki – inspektor wskazał palcem na kartkę w moim ręku – przefaksował je do trzech osób. – Podniósł palec wskazujący. – Trzy godziny później nie żył. – Podniósł drugi palec wskazujący i przytrzymał je razem. – Są połączone. Jak? – popukał się w skroń. – Próbował sprzedać kości. Miał trzech potencjalnych kupców – trzy ryby, na które zarzucił wędkę. I jedna z nich go zabiła.

– Zatem *cherchez le squelette* – przypomniałem mu. – Znajdź szkielet, a znajdziesz zabójcę.

– Może. – Dopił kawę i przyjrzał się fusom na dnie filiżanki. – Tak, może wziął kości na spotkanie w kaplicy, a kupiec go zabił i je zabrał. – Skinąłem, to była moja teoria. – Zabić go – tak, zastrzelić i zabrać kości – to ma sens. Ale ukrzyżować? Dlaczego? Dlaczego zabijać go w tak ryzykowny sposób? Dlaczego skazać go na powolne konanie? Może próbowano wydobyć od niego informacje? Torturowano go. Rozumie pan? – Skinąłem. Była w tym logika. Podniósł jeszcze raz palec. – I po co przeszukiwać mieszkanie, jeśli ma się to, czego się chciało?

– Może aby się upewnić, że w mieszkaniu nie ma dowodów, dokumentów, które naprowadziłyby policję na zabójcę.

– *Non* – odrzucił moją teorię. – Ktoś, kto przeszukał mieszkanie, nie szukał papierów. Szukał kości. Tego jestem pewien.

– I co teraz?

– Chciałbym, żeby pan skontaktował się z tymi rybami.

– Ja? Dlaczego?

– Żeby zaproponować im kupno kości.

– Ale ja nie mam kości – wytknąłem błąd w jego rozumowaniu.

– Mniejsza z tym – powiedział, uśmiechając się. – Będzie pan udawał, że je ma. – Nagle stało się jasne, dlaczego nie wykluczył, że zadanie może być niebezpieczne.

– Dlaczego nie powie im pan, że to pan ma kości?

Roześmiał się.

– Ach, *oui*. Wyślę faks o następującej treści: „*Bonjour monsieur*, jeśli nadal chce pan kości Jezusa, proszę jutro rano przynieść 10 000 euro na komisariat". Tak?

– Nie tak. Mógłby pan działać pod przykrywką. Policjanci cały czas to robią.

– Byłbym kiepskim tajnym agentem – powiedział. – Nie umiem grać. Od razu by się zorientowali. Poza tym morderca mógł mnie widzieć wczoraj w kaplicy.

– Jeśli tak, to widział też mnie – byłem tam przed panem, jeśli pan pamięta.

– Ach, *oui,* ale pan był tam jako świadek, nie prowadzący śledztwo. Dobrze, jeśli pana tam widziano. Logiczne jest, że ma pan te kości, skoro Beauvoir ich nie miał. Pan albo *mademoiselle* Lovelady.

– Nie! – nieomal krzyknąłem. – Nie Miranda. Nie może pan narażać Mirandy. – Podniósł okulary i skrzywił się. – Jestem za nią odpowiedzialny.

– *Pourquoi?* Dlaczego? Jest przecież dorosła, tak? Ile ma lat? Dwadzieścia pięć? Trzydzieści?

– Oczywiście, że jest dorosła. Ale jest też moją asystentką. Dlatego jestem za nią odpowiedzialny.

– Ale czy nie przyjechała tu, żeby pracować dla Beauvoira?

Tu mnie miał.

– Formalnie rzecz biorąc, ma pan rację. Ale zazwyczaj to ja jestem jej szefem. Proszę nie mieszać w to Mirandy.

Wzruszył ramionami.

– Mogę spróbować. Ale jak powiedziałem wczoraj, oboje jesteście zamieszani w to morderstwo. Może ja i pan nie jesteśmy jedynymi zainteresowanymi nią osobami.

Zadzwoniła moja komórka, to była Miranda. Dziewczyna zaczęła mówić, zanim zdążyłem dokończyć swoje „halo".

– Powoli – powiedziałem. – Nie rozumiem. Czy ty płaczesz? Co się stało?

– Zostałam okradziona – załkała.

– Co? Teraz? Na ulicy? Coś ci się stało?

– Nie, nic mi nie jest. To musiało się wydarzyć w nocy. Ktoś włamał się do mojego pokoju, kiedy spałam u ciebie. – Zrobiła kilka wdechów. – Po wyjściu z pensjonatu poszłam na długi spacer. Potem zjadłam śniadanie. Dopiero co wróciłam do hotelu. Mój pokój został splądrowany. Zabrali komputer, paszport, pieniądze. Boję się.

Dwadzieścia minut później – zdopingowany obawą o Mirandę i mając nadzieję, że jeśli zrobię, o co prosi Descartes, ochronię ją przed niebezpieczeństwem, ściągając je raczej na siebie – podpisałem się na wiadomości, którą miałem przefaksować do trzech „ryb" Stefana. Słowa, na które w końcu się zdecydowaliśmy z Descartes'em, miały brzmieć jednocześnie zachęcająco i groźnie. „Byłem współpracownikiem Stefana. Wiem o waszej umowie. Teraz musicie ułożyć się ze mną. Skontaktujcie się w ciągu doby albo pójdę na policję. Brockton".

Descartes przeczytał wiadomość i zamruczał zadowolony.

– Dobra – powiedział. – Jeśli nie mają kości, pomyślą, że pan je ma. A jeśli je mają, pomyślą, że ich pan szantażuje. To może zadziałać. Jak pan uważa?

– Uważam, że mogę z tego nie wyjść żywy – stwierdziłem. – Jeśli pomyślą, że ich szantażuję, co ich powstrzyma przed zastrzeleniem mnie lub ukrzyżowaniem?

– Będziemy pana chronić – zapewnił mnie. – Poza tym nie sadzę, żeby mieli kości. Gdyby mieli, po co włamywaliby się do pokoju *mademoiselle*?

– A co zrobię, jeśli będą chcieli, żebym dostarczył im kości – kości, których nie mam?

– To proste. Pan zarzuca przynętę, a my wyciągamy wędkę. Pan się z nimi spotka, a my ich aresztujemy.

– Przed tym czy po tym, jak mnie zastrzelą?

Roześmiał się.

– Proszę mi zaufać, *docteur*.

Zabraliśmy list do biura „Lumani", małej alkowy przy jadalni, a konkretniej: biurka we wnęce, i wysłaliśmy faks pod trzy numery.

Teraz czekaliśmy, aż ryba zaatakuje. Mnie.

– Ostatnio czuję się tak, jakbym podróżował w czasie – powiedziałem do Mirandy. – Albo jakby było mnie dwóch. Jeden jest tutaj, w teraźniejszości, i pomaga Descartes'owi znaleźć zabójcę Stefana. Drugi jest gdzieś w czternastym wieku i próbuje wykoncypować, jak ossuarium z kośćmi znalazło się w murze pałacu. I co mają z nimi i ze sobą wspólnego całun turyński i ten malarz Simone Martini.

Byliśmy znowu w bibliotece, raz jeszcze na tropie Martiniego i całunu. Pokazałem na ogromną czytelnię, która niegdyś była salą bankietową. Komputery, stalowe regały i lampy halogenowe

w otoczeniu ścian pokrytych freskami, z witrażowymi oknami i kasetonowymi sufitami.

– Czuję się tak schizofrenicznie jak ta biblioteka. – Gdzieś z dołu usłyszałem poirytowane „ciii".

Miranda rozejrzała się, przyglądając się bogatej architekturze, i odwróciła się do mnie z uśmiechem.

– Mogłeś gorzej trafić – wyszeptała. – Dość elegancka jak na psychola.

Powstrzymałem śmiech i zaprowadziłem ją na klatkę schodową, żebyśmy mogli swobodnie porozmawiać.

– Możemy trzymać się średniowiecza – podjęła temat. – Descartes sam tak powiedział. Jest zajęty identyfikacją właścicieli numerów faksów, a ty czekasz na ryby. Dlaczego zatem nie mielibyśmy zająć się kośćmi i całunem?

Miranda szybko się pozbierała. W hotelu przeniesiono ją do innego pokoju, a Descartes zgodził się postawić w nocy przed jej drzwiami strażnika. Pomogło też, pomyślałem, że miała czym się zająć.

– Jasne – rzuciłem. – Może uda nam się wszystko jakoś połączyć.

– Może uda nam się odkryć, gdzie Stefan ukrył kości – powiedziała. – Czy nie wspaniale by było, gdybyśmy je znaleźli?

– No nie wiem, Mirando. Może powinniśmy je zostawić w spokoju. Może są jak diament Hope – przynoszą pecha wszystkim, którzy próbują je posiąść.

– To bzdura – stwierdziła.

– Stefan może mieć na ten temat inne zdanie – zauważyłem.

– Nie mówię o kościach, tylko o Hope. Cała ta gadka o klątwie to bujda na resorach. Te wszystkie historie o morderstwie, szaleństwie i samobójstwie? Szum medialny, który ma na celu otoczyć go mgiełką tajemniczości i podwyższyć wartość rynkową kamienia.

– Przypomnij mi, że mam cię nigdy nie pytać o świętego Mikołaja – poprosiłem. – Ale na poważnie, nic nie jest prawdą? Nikogo, kto był w jego posiadaniu, nie spotkało nieszczęście?

– No dobra, króla Ludwika XVI i Marię Antoninę. Gilotyna nie była szczytem ich marzeń. – Skrzywiła się. – Przebija nawet ukrzyżowanie.

– Bez żartów. Jednego nie rozumiem. Myślałem, że wykoncypowałem całą tę średniowieczną historię. Pewien mnich żyjący w XIV wieku, mistrz Eckhart, naraża się kościelnym hierarchom. Ma wielu zwolenników, ludzie go kochają, a kler czuje się zagrożony, więc kaznodzieja musi zginąć. Czy to nie brzmi znajomo? Przypomina ci to kogoś? Kogoś z pierwszego wieku?

– Może jest jedno lub dwa podobieństwa – zgodziła się ze mną.

– Malarz Simone Martini widzi ciało Eckharta – ciągnąłem. – I zauważa podobieństwa do życia Chrystusa, więc tworzy ten obraz, ten pseudopochówkowy całun. Może poruszyło go to, co zobaczył, a może jest po prostu zachłanny i chce ukręcić lody na relikwiach. Do tej pory wszystko się zgadzało. Teoria pasowała do faktów. Aż pojawiły się wyniki badania radiowęglowego, które określają wiek kości na dwa tysiące lat.

Przyjrzała się mojej twarzy.

– Czy dobrze rozumiem? Jesteś tym rozczarowany?

– Zdezorientowany – powiedziałem. – Może sfrustrowany.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Podobała mi się moja teoria. Dobrze się ją opowiadało.

Zmarszczyła brwi.

– Podobała ci się bardziej niż możliwość, że to naprawdę kości Jezusa? Zastanawiałem się nad jej pytaniem, kiedy dodała: – Nie wierzę. Jesteś zazdrosny, prawda?

Odsunąłem się nieco. Poczułem się, jakby mnie spoliczkowała.

– O czym ty mówisz? Zazdrosny o kogo?

– O Stefana. Boisz się, że miał rację, że dokonał największego odkrycia wszech czasów. – Pokręciła głową, rozczarowanie w jej oczach było niepodważalne. – On nie żyje, a ty żyjesz. Nie masz czego zazdrościć Stefanowi i nie musisz być taki małostkowy. Jeśli to są kości Chrystusa, to co? To cię nie umniejsza. Stefan wyraźnie coś knuł, ale co, jeśli mimo tego knucia, to są prawdziwe kości Chrystusa? To byłoby niesamowite! Nie rozumiesz?

Miałem mętlik w głowie, szukałem jak najlepszych argumentów na obronę. Ale wtedy, tak wyraźnie, jakby zostały wypowiedziane na głos, usłyszałem słowa mistrza Eckharta: „Zachowuj się zawsze tak, jak zachowywałbyś się, będąc pewnym siebie". Ale co to znaczy? Jak? Co bym zrobił, gdybym był najlepszą wersją siebie? Byłem tak zdziwiony odpowiedzią, że się roześmiałem.

– Dziękuję – powiedziałem. Zmrużyła oczy i zobaczyłem, że zamierza mi jakoś sarkastycznie odpowiedzieć.

– Serio. Dziękuję. Masz rację. – Czy to naprawdę mówiłem ja? – Bardziej zależało mi na mojej teorii niż na prawdzie. To niewłaściwe – to jeden z największych grzechów, jaki mogą popełnić naukowcy. I masz rację, prawdopodobnie chciałem okazać się mądrzejszy niż Stefan, udowodnić, że on nie miał racji.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Może to *schadenfreude*. Radość z cudzego nieszczęścia. A może chciałem zaimponować tobie.

Znowu pokręciła głową, ale tym razem zaczęła się uśmiechać.

– Jak na takiego inteligentnego i imponującego człowieka, potrafisz czasami być bardzo głupi – stwierdziła. – Ale dobra robota.

Wziąłem głęboki oddech i wypuściłem powietrze.

– Przemyślmy to. Jeśli kości naprawdę pochodzą z pierwszego wieku i łączą się z całunem, czy to znaczy, że całun jest autentyczny? Czy wyniki wcześniejszych badań były nieprawidłowe?

– Wszystkie trzy niezależne laboratoria pomyliły się o tysiąc trzysta lat? Niemożliwe.

– A co z teorią niewidzialnej łatki? Może laboratoria testowały kawałek materiału ze średniowiecza?

– Błagam, całunowcy chwytają się, czego mogą. Poza tym Emily Craig ma rację. Uważam, że całun został stworzony przez zdolnego średniowiecznego artystę z wykorzystaniem techniki nanoszenia proszku, którą opisała. To proste i wiarygodne rozwiązanie. Pseudocałun, który sama wykonała, był bardzo przekonujący. Emily nie jest Giottem czy Simonem Martinim, ale udowodniła swoją teorię.

– Więc wracamy do twojego „filmu ostatniego tchnienia" – powiedziałem. – Jak można go pogodzić z koncepcją, że kości są o tysiąc trzysta lat starsze niż całun?

– Nie wiem. Nie potrafię tego zrobić. – Wzruszyła ramionami. – Ale to interesująca symetria, nie sądzisz? Jeśli całun turyński to średniowieczna podróbka, ale kości z pałacu są prawdziwe. – Nagle uśmiechnęła się. – Posłuchaj. Co, jeśli całun nie jest pierwszym „filmem ostatniego tchnienia", ale pierwszą rekonstrukcją twarzy na podstawie czaszki? Co, jeśli ten Martini zobaczył kości Jezusa i postanowił przekonać się, jak mógł wyglądać? Może mistrz Simone był czternastowiecznym Joem Mullinsem?

W tym momencie zadzwonił mój telefon. Ostatnia rozmowa telefoniczna, jaką przeprowadziłem w bibliotece, dotyczyła śmierci Rocky'ego Stone'a. Kiedy zobaczyłem numer Descartes'a, ścisnęło mnie w żołądku.

– Inspektorze?

– *Oui, docteur*.

– Czy to znaczy, że przynęta chwyciła? Czy ktoś wysłał faks do „Lumani”?

– *Non*, jeszcze nie. To nie dlatego dzwonię. Chodzi o coś innego.

Poczułem, że ciało mi się odpręża i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak się wcześniej spiąłem.

– O co?

– Gdzie pan jest? Mam panu do pokazania coś ciekawego.

– Znowu? To dzień interesujących znalezisk. Jesteśmy z Mirandą w bibliotece.

– A ja w mieszkaniu Beauvoira. To niedaleko. Mogę spotkać się z panem w bibliotece za pięć minut.

– Może łatwiej będzie, jeśli ja przyjdę do apartamentu?

– Lepiej, żeby się pan tu nie kręcił. Jedna z naszych ryb może obserwować budynek. W porządku, jeśli zobaczy, że pana przesłuchuję, ale możemy mieć kłopoty, jeśli będzie pan wyglądał jak członek zespołu śledczego.

– Rozumiem, inspektorze. Do zobaczenia.

– Spotkajmy się na dziedzińcu. Bez *mademoiselle*. I jeszcze jedno, proszę się za bardzo nie cieszyć na mój widok. – Dopiero gdy odłożył słuchawkę, uświadomiłem sobie, co miał na myśli. Jedna z ryb mogła nas obserwować.

W pobliżu biblioteki nie było miejsc parkingowych, ale Descartes się tym nie przejął. Zatrzymał swój wóz – białego oznakowanego sedana – na wąskim chodniku, niemal ocierając się stroną pasażera o ścianę budynku. To była technika parkowania bardzo popularna – być może wybierana z konieczności – wśród kierowców w Awinionie.

Czekałem na niego na ławce na dziedzińcu biblioteki. Kiedy podszedł, wstałem i miałem już wyciągnąć rękę na powitanie, kiedy przypomniała mi się jego rada, więc skrzywiłem się tylko na jego widok.

– Czego pan chce, inspektorze? – Podniósł brwi, jakby mówiąc, że przeholowałem, więc nieco złagodziłem swoje słowa. – O co chodzi?

– Przed chwilą dostarczono to do domu Beauvoira – powiedział głosem, którego nikt inny nie mógł usłyszeć. – Proszę spojrzeć.

Podał mi bąbelkową kopertę FedEx. Napis na liście przewozowym był ledwo widoczny; łatwo było wywnioskować, że przesyłka przybyła ze Stanów, ale niewiele więcej. W końcu udało mi się odcyfrować „Miami", a powyżej dwa zamazane słowa: „Be Anal", co oznaczało prawdopodobnie Beta Analytic. Koperta była prawie płaska, pomacałem ją. Przez bąbelki poczułem coś małego i twardego jak kamyk. Otworzyłem kopertę i znalazłam w niej ludzki ząb – kieł – pokryty poszarzałym szkliwem.

– Myślałem, że badanie niszczy próbki – powiedział Descartes. – Jak to możliwe, że mogli odesłać cały ząb?

– Pewnie użyli tylko jednego. Wysłaliśmy im dwa – wyjaśniłem. Wyciągnąłem ząb z koperty i położyłem na dłoni. – Trzonowy i kieł. – Podniosłem ząb i nagle po plecach przeszły mi ciarki. – Mój Boże – wyszeptałem. – To nie jest ten kieł.

– Jak to? – Descartes nachylił się, żeby przyjrzeć się zębowi.

– To nie jest kieł, który wysłaliśmy do laboratorium – przysunąłem ząb bliżej jego twarzy. – A w każdym razie nie ten, który wyciągnąłem ze szczęki.

– Skąd pan wie?

– Bo kiedy go wyrywałem, złamał się. Ten jest cały.

Zabrał ostrożnie ząb z mojej dłoni, jakby to był klejnot albo dojrzała malina, której nie chciał zgnieść. Trzymając go pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem, obrócił ząb i przyjrzał mu się ze wszystkich stron. – Jest pan pewien?

– Na sto procent.

– Myśli pan, że laboratorium popełniło błąd?

– Nie – powiedziałem powoli. Nagle w głowie zaświtał mi pewien pomysł. Pomysł, którego genialność równała się jedynie jego nikczemności. – Myślę, że Stefan zamienił próbki – stwierdziłem. – Myślę, że podmienił zęby na zęby z innej czaszki. Czaszki, która z pewnością pochodziła z pierwszego wieku.

– Jak to możliwe? Skąd by miał takie zęby?

– Był archeologiem – przypomniałem mu. – To proste. Wykopaliska w Grecji lub na Bliskim Wschodzie z pierwszego wieku. Katakumby w Rzymie, gdzie można znaleźć tysiące szkieletów z tego okresu. A może nawet Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu. Mają tam cały budynek ze skamielinami i z kośćmi. – Pstryknąłem palcami. – Właśnie mi się przypomniało. Pierwszego wieczoru mówiliśmy o datowaniu za pomocą C-14. Wspomniał coś o kościach kozy pochodzących z pierwszego wieku. Mógł mieć zęby z tego wykopaliska.

– Więc wszystko sfingował? *Merde*, wszędzie, gdzie się obejrzę, podróbki lub fałszerze. Myśli pan, że zaplanował to wszystko dawno temu?

Otworzyłem usta, żeby potwierdzić, ale pokręciłem głową.

– Nie, myślę, że działał pod wpływem chwili – powiedziałem. – Myślę, że naprawdę znalazł te kości w pałacu – najpierw zawaliła się ściana, potem pojawił się Stefan. Myślę, że sfałszował tylko badanie radiowęglowe. Przypuszczam, że natchnął go ryt z krzyżem i barankiem. – Nagle uświadomiłem sobie, że jeśli Stefan sfałszował

badanie, to może szkielet pochodził ze średniowiecza... i może całun turyński naprawdę powstał w Awinionie.

– Szkielet, który znalazł Stefan, jest ważny – dodałem. – Ale on chciał, żeby był najważniejszy – i żeby był najbardziej wartościowym szkieletem na świecie. Niestety jego plan wypalił aż za dobrze i obrócił się przeciwko niemu.

Descartes patrzył w przestrzeń. Nie byłem pewien, czy mnie w ogóle słuchał.

– Panie inspektorze?

– Proszę mi wybaczyć. – Wyciągnął komórkę i zatelefonował. Zrozumiałem tylko słowa *cherchez* i *appartement*. Descartes słuchał przez długą chwilę i w końcu wymamrotał: *„Ah, oui? C'est bon".* Kiedy się rozłączył, miał nieodgadniony wyraz twarzy, ale oczy mu błyszczały.

– Coś mi się przypomniało. W jego mieszkaniu zauważyłem małe słoiki z kawałkami metalu, ceramiki i drobnymi kośćmi. Kazałem moim ludziom poszukać dwóch zębów. *Dent de sagesse*, zęba mądrości – pokazał na jedną ze swoich ósemek – i kła złamanego przy korzeniu, tak jak pan to opisał. – Patrzył mi prosto w oczy. – Dobra, muszę iść. Powinniśmy skończyć małą sprzeczką.

Dźgnął mnie palcem w klatkę.

– Nie mówi mi pan wszystkiego, *docteur* – powiedział głośno. – Myślę, że pan wie, gdzie są te kości. Mam na pana oko. I mogę panu nieźle uprzykrzyć życie, jeśli nie będzie pan z nami współpracował.

Odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę ulicy.

– Descartes! – krzyknąłem. Zatrzymał się i obejrzał. – Uratowaliśmy wam tyłki w czasie drugiej wojny światowej. Gdyby nie Amerykanie, chodzilibyście w skórzanych portkach i wcinali kapustę kiszoną.

Ruszył przed siebie, podnosząc oba ramiona z wystawionymi środkowymi palcami. Gest, który nie potrzebował tłumaczenia.

I ten człowiek twierdził, że jest kiepskim aktorem.

ROZDZIAŁ 25

Kiedy godzinę później opuszczaliśmy z Mirandą bibliotekę, przekonaliśmy Philippe'a, żeby wypuścił nas tylnym wyjściem. Do jej hotelu poszliśmy długą, krętą trasą przez rue des Teinturiers – ulicę farbiarzy. Przez setki lat w tej dzielnicy Awinionu wełna i jedwabie na gobeliny, szaty liturgiczne, szaty dworzan i suknie dam przybierały czerwone, pomarańczowe, złote, zielone, błękitne i fioletowe barwy. Równolegle do ulicy biegł wąski kanał, a do wszystkich budynków po drugiej jego stronie prowadziły mostki. Koła wodne, z których kilka nadal się obracało, malowniczo przypominały, jak ważna dla średniowiecznego przemysłu była uzyskiwana z wody energia. Miranda zatrzymała się, żeby zrobić zdjęcie iPhone'em, a potem weszła po stopniach na niewielki mostek. Opierając się o barierkę, spojrzała na wodę.

– Wykąpiemy się? – zawołałem.

Pokręciła głową.

– Pamiętasz, co Stefan powiedział o zanieczyszczeniu Rodanu? To wygląda dużo gorzej. Woda jest bardzo mętna.

– Ścieki miejskie – stwierdziłem. – Smary, woda z mopów i psie odchody nie wpływają pozytywnie na jakość wody.

– Wyobraź sobie, jak to musiało wyglądać w 1350 roku, jeśli wszystkie te budynki były warsztatami farbiarzy. Woda pewnie zmieniała kolor za każdym razem, kiedy ktoś opróżniał kadź. Czy to

nie było fajne? Fuksja w jednej chwili, a w następnej pomarańcza? Coś jak *Czarnoksiężnik z krainy Oz*.

– Bardzo fajne – zgodziłem się. – Awinion odgrywał rolę Szmaragdowego Grodu przez większą część czternastego stulecia.

– Nie jesteśmy w Kansas, to na pewno.

Kilka ulic dalej przeszliśmy obok tablicy upamiętniającej Petrarkę i jego nieodwzajemnioną miłość do Laury. Pokazując ją Mirandzie, spytałem:

– Znasz ich historię?

– Patrarki i Laury? Trochę. Zobaczył ją w kościele i zakochał się po uszy. Ale od początku było wiadomo, że nic z tego nie będzie – była mężatką – więc spędził resztę życia, hołubiąc ją na odległość.

– Nigdy nie byli razem?

– Tylko w jego snach. I wierszach.

– Znacie historię Petrarki? – Elisabeth i Jean spojrzeli znad kieliszków z winem i skinęli.

Zostawiłem Mirandę w hotelu po wczesnej kolacji, którą zjedliśmy w serwującej potrawy z Bliskiego Wschodu restauracji niedaleko wieży zegarowej (kuskus, liście winogron, hummus i oberżyna – nie była to moja ulubiona kuchnia, ale Mirandzie smakowało).

Zaczęło się zmierzchać, kiedy wszedłem do sanktuarium ogrodu „Lumani". Elisabeth i Jean pili wino. Na niewielkim stoliku paliła się świeca, a wino w ich kieliszkach błyszczało jak płynne rubiny.

– Petrarka, *oui* – zawołała moja gospodyni. – Słynny poeta *pastoral*.

– *Pastoral?* Jak pastor? Ksiądz?

Zmarszczyła brwi, a potem rozpogodziła się.

– Ach, *non*. Jak owce. Jak pasterz. Petrarka uwielbiał wieś.

– A Laura? Co o niej wiecie?

– Była bardzo młoda – odpowiedział Jean – i bardzo piękna. Prawie tak piękna jak Elisabeth. – Wyciągnęła rękę i położyła ją na jego policzku. – Była żoną francuskiego arystokraty. Petrarka kochał ją, ale nie mógł jej mieć.

– *Une tragédie* – powiedziała Elisabeth. – Dla niego. Ale na szczęście dla nas. Napisał o niej wiele wierszy. Wymyślił sonet, wiersz miłosny specjalnie dla niej. – Zrobiła dzióbek w zamyśleniu, a potem podniosła palec. – Poczekaj. Zaraz wrócę.

Przeszła szybko przez dziedziniec do domu, a za chwilę wróciła z małą książeczką, trzymając ją nad głową, jakby to była jakaś nagroda.

– Mam tomik sonetów Petrarki. Prezent od Jeana. – Pochyliła się i pocałowała czubek jego łysiejącej głowy – prosty gest, który mówił wiele o ich uczuciu.

Przeglądała książkę i w końcu zatrzymała się na jednej ze stron z zagiętym rogiem.

– Posłuchaj. To wiersz, który napisał, kiedy Laura zmarła. Kochał ją już od dwudziestu lat. Napisał go po włosku, moja książka jest po francusku. Postaram się go przełożyć. Przepraszam, jeśli moje tłumaczenie nie będzie najlepsze.

Popatrzyła na kartkę, w myślach dobierając słowa tu i tam, a potem podnosiła dłoń w teatralnym geście i zaczęła czytać.

Oczy, które opiewałem słowami ognia, ramiona, dłonie, stopy i piękna twarz, które sprawiły, żem nie był już sobą, które od innych ludzi mnie oddaliły; falowane loki czystego złota, uśmiech, który anielskimi promieniami uczynił z tej ziemi raj – teraz w proch obrócone. A jednak ja wciąż żyję, ze smutkiem i pogardą zostawiony w ciemności. Światło, które hołubiłem, zgasło; sam jestem w mojej małej łódce na wzburzonym morzu. Tutaj ma pieśń miłosna dobiega końca. Pióro me wyschło, a pieśń zmieniła się w łzy.

Przerwała i wytarła oczy.

– Taka słodycz i taki smutek.

– Kochał ją przez dwadzieścia lat?

– Więcej. Dwadzieścia lat za jej życia, a potem jeszcze po jej śmierci. Pisał o niej przez dwadzieścia pięć, trzydzieści lat.

– Ale nigdy z nią nie był?

– *Non*. Nigdy. Miała męża. Odrzuciła jego zaloty. Nie wiemy, czy w ogóle ze sobą rozmawiali.

– Głupio robił – powiedziałem. – Zmarnował życie, wzdychając do kobiety, której nie mógł mieć, zamiast szukać miłości, w której mógł się spełnić. – Pokazałem na ich dwoje. – Jak ty i Jean.

– Ale on był synem Kościoła – przypomniała mi. – Nie mógł mieć żadnej kobiety.

– Więc był podwójnie głupi, jeśli przez całe życie miał taką obsesję na jej punkcie.

Spojrzała na mnie dziwnie – krytycznie i ze współczuciem.

– Ach, *monsieur scientifique*[13]– czy twoje serce zawsze słucha tego, co podpowiada głowa? Czy nigdy nie zgłupiałeś na punkcie jednej rzeczy lub osoby, której nie mogłeś mieć? Czy nigdy nie kochałeś niemądrze, nie opłakiwałeś za bardzo kogoś, kogo straciłeś?

Poczułem się, jakbym dostał obuchem. Zakręciło mi się w głowie i musiałem się czegoś przytrzymać. Lata temu, kiedy moja żona Kathleen zmarła na raka, odsunąłem się od ludzi na dwa lata, i poświęciłem się pracy. A kiedy poczułem, że znowu wracam do świata żywych – kiedy zacząłem zakochiwać się w Jess Carter, pięknej patolożce z Chattanooga – Jess została zabita. Potem była Isabella, z którą miałem krótki romans, i która zmarła w Japonii, kiedy uderzyło tsunami. A teraz? Teraz walczyłem z moimi

uczuciami do Mirandy, młodej kobiety, która z powodu wieku i pozycji była dla mnie tak niedostępna jak Laura dla Petrarki.

Elisabeth wyciągnęła dłoń i położyła na moim ramieniu.

– To były zbyt mocne słowa – powiedziała. – Chyba przypomniałam ci o czymś bolesnym. Przepraszam. Wybacz.

Pokręciłem głową.

– Nie, nie ma sprawy. To moja wina. Co ja wiem o tym, co jest głupie, a co mądre, albo jak najlepiej radzić sobie z bólem? Kiedy mnie boli serce, badam szkielet. Kiedy Petrarka przeżywa katusze, pisze wiersze. Większość ludzi woli jego sposób. I nic dziwnego. – Uśmiechnąłem się smutno, a ona odwzajemniła uśmiech.

– Odnajdujesz poezję w kościach – powiedziała, a Jean skinął. – Dobranoc. – Pocałowała mnie w policzek, wzięła męża za rękę i poszła z nim przez dziedziniec w stronę złotego światła sączącego się z okien ich domu.

Zastanawiałem się, czy za późno było, żeby zacząć pisać sonety.

ROZDZIAŁ 26

Descartes usiadł na krześle. Spodziewałem się, że się rozpromieni na widok dużego wyboru wypieków i owoców na stole – Jean i Elisabeth zaczęli podwajać porcje – ale wyglądał ponuro, najwyraźniej był też niewyspany.

– Nie spałem całą noc – potwierdził w odpowiedzi na mój pytający wzrok. – Byłem na rybach. Mamy informacje na temat wszystkich trzech potencjalnych kupców.

Kawa wylała się z filiżanki, kiedy zadrżała mi ręka trzymająca spodek. Gdy odstawiłem talerzyk, mleczna kawa spłynęła na stół

i zaczęła ściekać przez drewniane szczeble na kamienne płyty. – Proszę mi powiedzieć.

– Ryba z Londynu to marszand.

– Sprzedaje dzieła sztuki? – byłem zaskoczony, choć szybko zorientowałem się, że nie powinienem. Przecież jeśli kolekcjonerzy i muzealnicy wysoko cenili popękaną rzymską ceramikę i wykładane klejnotami azteckie czaszki, dlaczego ktoś nie miałby zapragnąć kości Chrystusa.

– Co pan o nim wie?

– Nie o nim. O niej. Nazywa się Felicia Kensington. Szemrana osoba. Scotland Yard i Interpol od lat mają ją na oku.

– Dlaczego?

– Handel dziełami sztuki na czarnym rynku. Oszustwa i fałszerstwa. Skradzione antyki. Jej nazwisko pojawiło się w związku z kilkoma sprawami podobnymi do naszej...

– W związku z morderstwami?

– Nic aż tak poważnego. W związku ze sprawami, w których cenne dzieła sztuki – obrazy, rzeźby, dokumenty – zniknęły lub pojawiły się ni stąd, ni zowąd. Czasami z fałszywymi papierami, czasami bez papierów. Ale kobieta zawsze się wywija policji. Ktoś inny bierze na siebie winę.

– Nigdy nie została skazana?

– Nie została nawet zatrzymana.

– Ma niesamowite szczęście albo jest bardzo sprytna. Albo jedno i drugie – podsumowałem. – Co pan myśli? Czy mogła zabić Stefana?

Przyjrzał się największej truskawce, a potem podniósł ją z talerza i odgryzł dolną połowę.

– Myślę, że jest *morceau de merde* – kąskiem gówna?

Uśmiechnąłem się, słysząc jego tłumaczenie.

– Kupą gówna.

– Dobra, niezła z niej kupa gówna – poprawił się, wkładając do ust resztę owocu. – Ale moim zdaniem nie jest zabójcą.

– Dlaczego?

– Dlatego, że jest kobietą. Kobiety prawie nigdy nie zabijają. Zabijają tylko swoich mężów lub kochanków. Czasami dzieci, ale to zdarza się rzadko. Poza tym ma alibi. Od dwóch tygodni jest w Kairze. Pewnie kupuje mumie lub grabi groby.

– Więc możemy ją wykluczyć. Kto jest podejrzanym numer dwa?

Przeżegnał się, a potem podniósł brwi, czekając na moją reakcję. Pokręciłem głową i wzruszyłem ramionami. Wyglądał na rozczarowanego, że nie zrozumiałem wskazówki.

– Papież.

– Papież? Ojciec Święty w Rzymie? Rany boskie! – Inspektor skinął głową, rozweselony moją dramatyczną reakcją. – Cóż, trzeba przyznać, że Stefan może i był głupi, ale myślał na wielką skalę, co? To gruba ryba.

Descartes pokiwał palcem.

– Chyba nie sam papież. Numer faksu należy do Watykanu. Do Muzeum Watykańskiego.

– Byłem w tym muzeum – powiedziałem. – Zwiedzenie go zajęło mi sześć godzin, a i tak wiele ekspozycji sobie odpuściłem. Przypuszczam, że pracuje tam więcej niż jedna osoba. Z kim negocjował Stefan?

– Jeszcze nie wiem. Koła watykańskiej machiny obracają się powoli. Mają tam dwa rodzaje policji. Gwardia szwajcarska chroni papieża.

– Jak służba bezpieczeństwa w Stanach – stwierdziłem – która ochrania prezydenta.

– *Exactement*. Jest też policja watykańska – zajmują się całą resztą. Ale nikt ze mną nie będzie współpracować, aż ktoś bardzo ważny tego nie nakaże. W Kościele katolickim wybuchło ostatnio zbyt wiele skandali. Nie chcą być zamieszani w morderstwo. – Jego usta ułożyły się w mały, ironiczny uśmiech. – A zwłaszcza w ukrzyżowanie.

– To nie byłoby po ich myśli – zgodziłem się. – Uważa pan, że ktoś w Muzeum Watykańskim pragnąłby tych kości tak bardzo, że dopuściłby się zbrodni?

Wzruszył ramionami.

– Nie jestem ekspertem. Kościół ma na swoich rękach dużo krwi. Krucjaty. Inkwizycja. Skandale seksualne i ich tuszowanie. Ale czy Watykan posunąłby się do morderstwa, żeby wejść w posiadanie kości Chrystusa – lub żeby je zniszczyć? Bóg jeden wie.

Rozsmarowałem dżem wiśniowy na rogaliku i zjadłem kęs; z jakiegoś powodu zacząłem imitować Descartes'a, który nie mógł wypowiedzieć więcej niż trzech zdań bez ponownego „napełnienia baku".

– Co pan wie o trzeciej rybce, tej z Charlotte? Czy to Instytut Nauki Biblijnej, organizacja, która się ze mną skontaktowała?

– Nie, to nie jest ta organizacja, ale być może istnieje jakiś związek. To Kościół.

– Katolicki? – Pokręcił głową. – Protestancki? Dlaczego Kościół protestancki z Karoliny Północnej chciałby zakupić kości Jezusa?

– To nie jest chyba typowy Kościół protestancki. Nazywa się „Kościół władzy i proroctwa". Kościół *gigantesque* – megakościół, *oui*? – z dwudziestoma tysiącami wiernych. A także stacją radiową i telewizyjną. Ich kaznodzieja nazywa się Jonasz Ezekiel. To nie jest jego prawdziwe imię i nazwisko. Mówi o sobie „Wielebny Jonasz,

apostoł i prorok apokalipsy". Jak to mawiacie, nie ma wszystkich klepek.

– Brakuje mu piątej klepki?

– *Exactement*, brakuje mu piątej klepki. Uważa, że nadchodzi koniec świata.

– Miliony Amerykanów, aż czterdzieści procent, zgodziłyby się z nim. Prawie połowa moich rodaków wierzy, że drugie przyjście Chrystusa i koniec świata nastąpią do roku 2050.

Podniósł palec.

– Ach, ale ten kaznodzieja mówi, że dokładnie wie, kiedy to się stanie. Bóg zabrał go do nieba i mu wszystko pokazał. – Musiałem przyznać, że to brzmiało, jakby rzeczywiście kaznodzieja nie wszystkich miał w domu. – Dwa lata temu ogłosił, że koniec nastąpi za pół roku. Więc wierni rzucili pracę, żeby pomóc mu wszystkich ostrzec. Kiedy nic się nie wydarzyło, czy kaznodzieja powiedział: „Przepraszam, pomyliłem się, jestem idiotą"? Nie. Powiedział: „Bóg dał mi więcej czasu, żeby zbawić dusze, więc dajcie mi więcej pieniędzy". – Wypluł szypułkę. – *Morceau de merde*.

To było to samo sformułowanie, którego użył, mówiąc o Felicii Kensington.

– Ale to nie wszystko. On chce, żeby nastąpił koniec świata. Pokażę coś panu.

Wyciągnął kilka złożonych kartek z wewnętrznej kieszeni marynarki i wręczył mi jedną. To był wydruk ze strony internetowej Kościoła, ulotka reklamująca kazania wielebnego Jonasza pod tytułem „Znaki końca czasów". Na większej części kartki umieszczona była ilustracja w mocnych kolorach. Pod nią znajdował się cytat z Ewangelii świętego Marka: „Widzisz te potężne budowle? Nie zostanie tu kamień na kamieniu, który by nie był

zwalony... będą miejscami trzęsienia ziemi, będą klęski głodu. To jest początek boleści... Albowiem dni owe będą czasem ucisku, jakiego nie było od początku stworzenia Bożego aż dotąd". Pośrodku ilustracji znajdował się ogromny błyszczący krzyż, powstający z dopalających się ruin drapaczy chmur. Na zadymionym niebie pod bramą do nieba widać było anioły witające kilkoro uniesionych z ruin ludzi w białych szatach i z aureolami. Pod ziemią skręcały się w ogniach piekielnych nagie ciała, niektóre poddawane torturom, inne odbywające akty seksualne, które były obrazowe, poniżające i groteskowe.

Oddałem mu kartkę.

– Nie wiem, co jest bardziej niepokojące – stwierdziłem. – To, z jakim zapałem wygląda końca świata, czy jego fascynacja bólem i perwersją.

– On nie czeka biernie na apokalipsę. On próbuje ją przyspieszyć.

– Jak?

Descartes wypił łyk kawy.

– Tworzy czerwone, czy raczej rude, krowy dla Izraela.

Zatrzymałem filiżankę w pół drogi do ust.

– Czerwone krowy dla Izraela?

– *Oui, exactement*. Czerwone krowy dla Izraela.

– Nie rozumiem, inspektorze. Co czerwone krowy mają wspólnego z końcem świata?

– Ja też nie rozumiem – powiedział. – To bardzo skomplikowane. Niektórzy ludzie wyczekujący końca świata, nie tylko ten kaznodzieja, ale też niektórzy żydzi, żydzi mesjanistyczni – wierzą, że Jezus, Mesjasz, przybędzie ponownie, kiedy zostanie odbudowana świątynia w Jerozolimie.

– Odbudowana przez czerwone krowy?

– *Oui*, specjalne krowy, po studiach architektonicznych i inżynieryjnych – roześmiał się. – Nie, oczywiście, że nie. Ktoś ważny dawno temu – Mojżesz, Salomon lub sam Bóg – powiedział, że najlepszym sposobem na zmycie grzechów jest złożenie w ofierze czerwonej krowy. W całości czerwonej, bez jednego włosa w innym kolorze – brązowym, czarnym czy białym. Nie tyle krowy, co *génisse*. Młodej krowy płci żeńskiej. Dziewicy.

– Chodzi o jałówkę. Tak, dziewicę. Dziewice zawsze poświęcają się dla dobra sprawy. Ale nadal nie rozumiem. Co poświęcenie czerwonej krowy ma wspólnego z końcem świata?

– Pfft. – Descartes wypuścił powietrze, ciekawy francuski sposób na wyrażenie irytacji, niecierpliwości lub niepewności.

– Dla mnie też to nie ma sensu. Ale ludzie, którzy wyczekują apokalipsy, uważają, że kiedy idealnie czerwona krowa zostanie poświęcona w ofierze, żydzi zostaną oczyszczeni i natchnieni. Połączą siły i wygonią niewiernych z Jerozolimy, i odbudują świątynię. A kiedy to się zdarzy, *voilà* – Mesjasz przybędzie ponownie.

– Więc ten kaznodzieja z Charlotte – głośno myślałem – łączy siły z rabinami w Jerozolimie w poszukiwaniu idealnej krowy.

– *Oui*. Ale nie tylko w poszukiwaniu. W tworzeniu. Kaznodzieja płaci farmerom i naukowcom za hodowanie czerwonych krów. Kilka lat temu myślał, że już ją ma, idealną jałówkę. W Jerozolimie i w Charlotte nastąpiło duże poruszenie, ale potem na ogonie wyrosły jej białe włosy. Ogromne rozczarowanie. Ale nadal próbują.

Rozejrzałem się dookoła: kwitnąca lawenda, szumiąca fontanna, mobil obracający się pod platanem z takim wdziękiem, jak planety obracające się wokół Słońca. To było surrealistyczne, ta cała

rozmowa o zniszczeniu ziemi, pożądaniu masowego cierpienia i koncepcji, że pigmentacja krowy może wywołać koniec świata.

– Żarty pan sobie stroi, inspektorze. Mąci mi pan w głowie.

– *Non, non, mon ami*. Nie dałbym rady tego wymyślić, nie starczyłoby mi wyobraźni. To wszystko prawda. *Incroyable*, ale prawdziwe. I jest coś jeszcze. Ten kaznodzieja, wielebny Jonasz Ezekiel, uważa, że rząd – może nie cały rząd, ale na pewno Partia Demokratyczna – jest kontrolowany przez demony. Przyjaźni się z republikanami, którzy mają szansę na prezydenturę. Może pan sobie wyobrazić, że wasz prezydent – człowiek z kodami nuklearnymi – postanawia rozpocząć Armagedon? To przerażające, *docteur*.

– Powiada pan, że według niego demony kontrolują rząd?

– *Oui*. Oraz Hollywood i Wall Street. Kaznodzieja i jego wierni chcą zdobyć władzę – stąd nazwa Kościoła – nad wszystkim i wszystkimi.

Potarłem oczy i przycisnąłem palce do skroni.

– Nie do wiary.

– Oto, co najbardziej mnie martwi – dodał Descartes. – W jednym z kazań kaznodzieja mówi, że Bóg wzywa męczenników – ludzi gotowych, żeby walczyć i umierać w walce ze złem.

– Męczenników? Naprawdę użył tego słowa?

– Tak. Dokładnie: „świętych męczenników".

– Fuj. Brzmi jak Osama bin Laden.

– *Exactement*. Włóż mu pan szaty i turban, przyklej długą brodę, zmień imię i religię, i *voilà* – amerykański bin Laden. *La même chose* – to samo. *Fou, fanatique, et dangereux*. Szalony, fanatyczny i niebezpieczny. – Podał mi resztę wydruków.

Na jednym było zbliżenie wielebnego Jonasza wygłaszającego kazanie z rozłożonymi i uniesionymi ku niebu rękami. W jednej

trzymał Biblię, w drugiej miecz. Wyraz jego twarzy był niepodobny do czegokolwiek, co kiedykolwiek widziałem, mieszanka euforii i wściekłości. Tak wygląda fanatyzm – pomyślałem. Pragnie tylko poszatkować tym mieczem niewiernego.

Ostatnie dwie kartki to były nieostre fotografie z kamer monitoringu. Mimo słabej jakości na pierwszym zdjęciu rozpoznałem wielebnego Jonasza. Drugie zdjęcie przedstawiało dużego muskularnego mężczyznę, który mógłby być zapaśnikiem lub futbolistą amerykańskim – z ogoloną głową, w okularach przeciwsłonecznych, czarnym garniturze i koszuli, które mocno opinały jego klatkę i ramiona.

– Kim jest ten osiłek? – spytałem Descartes'a.

– To szef bezpieczeństwa kaznodziei. Nazywa się Luther Talbot, ale jego pseudo, jego wyzwisko to Junior.

Tłumaczenie inspektora rozbawiło mnie, ale napis na fotografii szybko przywołał mnie do porządku. W górnej części zdjęcia zobaczyłem szereg cyfr – datę i czas wykonania fotografii. Mężczyźni zostali sfotografowani w ciągu dwóch minut – wielebny Jonasz Ezekiel o 9.11 rano, a Junior o 9.13.

Zdjęcia zostały zrobione na lotnisku Charles'a de Gaulle'a w Paryżu, mniej niż dwadzieścia cztery godziny przed tym, gdy Stefan Beauvoir zawisł na krzyżu.

ROZDZIAŁ 27

Simone Martini. To imię i nazwisko brzęczały w moim umyśle jak mucha uderzająca o szybę, kiedy spieszyłem na kolejne spotkanie z Mirandą w bibliotece awiniońskiej. Czy Martini mógł być twórcą

całunu turyńskiego? Jeśli tak, to kiedy i dlaczego go wykonał? Czy zrobił to, co proponowała Emily Craig? Czy skopiował rozpadający się oryginał z pierwszego wieku? Czy to może Miranda miała rację, kiedy nazwała całun „pierwszym filmem ostatniego tchnienia" przedstawiającym morderstwo głównego bohatera?

Moje wrażenie rozszczepienia osobowości – czy raczej wieków, rozdarcia pomiędzy czternastym i dwudziestym pierwszym stuleciem – nie osłabło, a nawet zintensyfikowało się, kiedy czekaliśmy, aż trzy ryby Stefana złapią się na zarzuconą przeze mnie i Descartes'a przynętę. Gdyby nie tajemnica samych kości, oszalałbym od tego czekania.

Elisabeth pokazała mi książkę na temat włoskich artystów wczesnego renesansu, ale Martini pojawiał się tylko na kilku stronach. Postanowiliśmy z Mirandą raz jeszcze zaszczycić bibliotekę swoją obecnością.

W sekcji albumów znaleźliśmy cienką książkę poświęconą Martiniemu. Weszliśmy po schodach na antresolę – którą dziś mieliśmy tylko dla siebie – i pochyliliśmy się nad reprodukcjami obrazów artysty.

Jedno z jego wczesnych dzieł zauroczyło mnie. Obraz – fresk w kaplicy w Asyżu – ukazywał świętego Marcina pasowanego na rycerza przez rzymskiego cesarza. Ze złotą aureolą i dłońmi złożonymi do modlitwy Marcin wyglądał bardzo pobożnie. Ale inne postacie na obrazie były jak średniowieczni imprezowicze. Trzech śpiewaków zostało przedstawionych w pół nuty, z otwartymi ustami, na zawsze śpiewających w harmonii. Obok mężczyzna o ciemnych włosach, w kolorowej, obwieszonej biżuterią szacie brzęczał na instrumencie ze strunami (mandolinie? lutni?). Towarzyszył mu flecista, uśmiechający się przebiegle – nie bez powodu. Pokazałem go Mirandzie.

– Spójrz – powiedziałem. – Gra na dwóch fletach.

– Zdolniacha – zdziwiła się. Potem dodała: – Jak to możliwe?

Jedna z ostatnich prac Martiniego – *Święta Rodzina* – była niezwykła w tym, jak przedstawiała Maryję, Józefa i młodego Jezusa w wieku dziesięciu lub dwunastu lat.

– Rodzinna kłótnia – powiedziałem do Mirandy. – Maryja i Józef besztają Jezusa – niewiele jest takich obrazów.

– Ale się naburmuszył – dodała. – Niezły urwis.

Ale do awiniońskiego portretu Martiniego *Błogosławieństwo Zbawiciela* – rysunku wykonanego czerwoną ochrą, który zobaczyłem w pałacu – wciąż wracałem. Rysunek był studium do fresku w katedrze, jednego z czterech umieszczonych na suficie frontowego ganku. Freski się nie zachowały, ale odnaleziono ten szkic, który przeniesiono do pałacu. Oczy Jezusa wydawały się patrzeć wprost na mnie, jakby mówiły: „Masz rację – całun, kości i ja: święta trójca Martiniego".

Miranda przetłumaczyła biografię artysty, nie zabrało jej to dużo czasu, bo życiorys był dość fragmentaryczny.

– Pierwsza znana praca powstała w Sienie w 1315 roku – powiedziała. – Przez dwadzieścia lat pracował w Sienie, Padwie, Neapolu i Florencji. Do Awinionu przeniósł się w 1335 lub 1336 roku, żeby malować na papieskim dworze. Zmarł tutaj w 1344.

– Na papieskim dworze? Więc może mieć związek z kośćmi – zauważyłem. – Mógł mieć dostęp do zwłok.

– Dużo tego „może" – zauważyła. – Hej, to jest ciekawe. Był przyjacielem Petrarki, poety, który tak kochał nienawidzić papiestwa. Martini namalował ilustrację na okładkę pism Wirgiliusza należących do Petrarki. Mega – namalował też portret Laury.

– Zobaczmy go – powiedziałem. – Na której jest stronie?

– Niestety zaginął. Ale wiemy, że istniał, bo Petrarka napisał dwa wiersze wychwalające obraz i artystyczny geniusz Simonego.

Czy możliwe, że Martini miał też ciemną stronę? Czy możliwe, że stworzył całun ostatniego tchnienia, jak spekulowała w Turynie Miranda – pracę, która miała udokumentować morderstwo przedstawionego na nim człowieka? Pomysł był przerażający, ale niewątpliwie fascynujący. Czy na ironię losu nie zakrawałoby, gdyby relikwia, której cześć oddają miliony wiernych, była dowodem zbrodni – najbardziej sensacyjnym i inkryminującym dowodem zbrodni, którego znaczenie było przez lata źle rozumiane?

Ale czy Martini był w stanie popełnić z zimną krwią zbrodnię dla... czego? Czy miał motyw i okazję, jak nauczyli mnie pytać znajomi detektywi? Co mogło doprowadzić utalentowanego i poważanego artystę do popełnienia i udokumentowania takiej zbrodni, a potem popełnienia świętokradztwa i przedstawiania jej dowodu jako świętej relikwii?

Wyjąłem z kieszeni notatnik i otworzyłem go. Na górze lewej strony napisałem „Motyw?", a na drugiej „Okazja?". Patrzyłem przez chwilę na kartki w linię, nie mając ani jednego pomysłu. W końcu pokręciłem głową z frustracji i zmusiłem się do przyłożenia długopisu do papieru. Pod motywem zapisałem „artystyczna rywalizacja". Czy Martini miał w Awinionie konkurenta, o którego był zazdrosny lub który mu zagrażał? Uderzyłem w ramię Mirandę.

– Znasz jakiegoś artystę, który zabił innego?

Wyglądała na rozbawioną.

– Pojedynek na pędzle? Rzut puszką farby z odległości dwudziestu kroków?

– Bądź poważna. Mówię o truciźnie, sztylecie, pałce. Morderstwo umotywowane artystyczną zazdrością?

– Myślę, że oczernianie jest bardziej powszechne w tych kręgach – powiedziała. – Zwłaszcza rozsiewanie złośliwych plotek.

– A rywalizacja romantyczna? Zobacz, czy znajdziesz coś na temat miłosnego życia Martiniego.

– Na przykład autoportrety ukazujące go w wywołanej zazdrością wściekłości?

– Do diabła, nie wiem – zakląłem. – Petrarka zostawił mnóstwo wierszy o swoim życiu miłosnym.

Popatrzyła na mnie sceptycznie, ale przejrzała resztę biografii.

– Niestety – podsumowała – Wygląda na to, że Martini był przykładnym mężem.

– Masz jakieś dowody?

– Niewiele – zgodziła się. – Zanim się ożenił, kupił swojej narzeczonej, Giovannie, dom – od jej ojca. Dał też jej dwieście dwadzieścia złotych florenów w prezencie ślubnym.

– To niczego nie dowodzi – stwierdziłem.

– Posłuchaj tego – powiedziała. – Martini zmarł w Awinionie w 1344 roku. Trzy lata później, kiedy Giovanna wróciła do Sieny, wciąż nosiła po nim żałobę. Musiał być niezłym mężem, jeśli tak długo go opłakiwała. Oczywiście nigdy nie wiadomo, co tkwi w ludzkim sercu, prawda? Ale z tego, co wiemy, wydaje się, że był z niego klawy gość.

– Kwiat Awinionu?

Skinęła.

– Kwiat Awinionu.

ROZDZIAŁ 28

Awinion
Rok 1330

Awinion cudownie rozkwita. Po dwudziestu latach od chwili, gdy papiestwo przyjechało tu na „krótką” wizytę, nie jest już leniwą kilkutysięczną mieściną, obecnie to tętniące życiem, dziesięć razy większe miasto. Po brukowanych ulicach terkoczą wozy z winem, mięsem, serami, przyprawami i jedwabiem. Każdy centymetr kwadratowy ziemi został zajęty i rozlega się na nim hałas sygnalizujący dobrobyt: piły cieśli tną drewno na szkielety budynków, młoty wbijają kołki w dopiero co wzniesione słupy i nadproża, dachówki brzęczą układane na nowych dachach, a od czasu do czasu ześlizgują się i roztrzaskują na ulicach.

Większość nowych budynków jest skromna – to czynszówki, garbarnie, piekarnie, sklepy rzeźnickie – ale są również ogromne budowle. Awinion i Villeneuve, zaraz za mostem Świętego Benedykta, pysznią się teraz dwudziestoma pałacami kardynałów. Wiele z nich przyćmiewa prowizoryczną siedzibę papieża, ledwie mieszczącą się w pałacu biskupim, który papież przejął po swoim przyjeździe. Papież Jan XXII nosi papieską koronę od czternastu lat. Za swojego panowania systematycznie napełniał papieski skarbiec. Pod jego czujnym okiem majątek zwiększył się z 70 000 florenów do 17 500 000 florenów, czyli 250 razy, co z pewnością cieszy naszego Pana. Obfitość florenów to istny dar niebios – chociaż słowo „dar” to gruba przesada, bo środki pochodzą głównie z dziesięcin, czynszów i płatności za oficja i odpusty, które zbierają, czasami pod groźbą ekskomuniki, niestrudzeni duchowni. Nigdy jeszcze ta machina nie była tak dobrze naoliwiona. Papież Jan został obdarzony przez Boga geniuszem organizacyjnym i administracyjnym, i ten geniusz przynosił bogate żniwo. Wszelako bogactwo może być wielkim ciężarem, nakładającym obowiązek

chronienia tego, co Bóg powierzył opiece swych skromnych sług. A czyż można sobie wyobrazić lepszego sługę aniżeli papież Jan? Ten syn bankiera i prawnik z wykształcenia wprowadził kościelną administrację i finanse w nową erę. Konsolidując i centralizując swych poddanych i ich pracę, dalej doglądał zastępów urzędników i księgowych, swych ogromnych wydatków i jeszcze większych dochodów. Jego sokoli wzrok zapewniał bezprecedensową ochronę przed sprzeniewierzeniami i oszustwami. Jednakże ochrona administracyjna nie wystarczała, co cenniejsze dobra wymagały ochrony fizycznej. To kłębowisko żmij, jakim jest Rzym, podczas tysiącletniego rezydowania w nim papieży stało się siedliskiem złodziei i rabusiów. Teraz, gdy bogactwa i władza papieska skoncentrowały się w Awinionie, zaczął on przyciągać najznakomitszych europejskich malarzy, rzeźbiarzy, muzyków i poetów. A tam, gdzie spotykają się pieniądze i artyści, i o złodziei nietrudno. Tak, skarbca należy strzec.

Takie to troski coraz bardziej zaprzątają umysł Jego Świątobliwości Jana XXII. Papież ma teraz osiemdziesiąt sześć lat – to wiek, w którym ludzie cierpią na nieufność i lęk – i brakuje mu sił, by podjąć się ochrony kościelnych dóbr. To dzieło musi spaść na barki jego następcy, Jacques'a – kardynała Fourniera – stojącego właśnie przed nim w prostym stroju zakonnym, którego nigdy nie porzucił. Sugeruje on pobożną skromność, jednak papież doskonale wie – w końcu Jego Świątobliwość ma szpiegów w pałacu każdego kardynała – że Jacques ma około dwudziestu takich habitów, dzięki czemu zawsze chodzi w czystym.

– Musisz zacząć planować – mówi mu papież. – Niedługo odejdę. Kiedy obejmiesz po mnie tron, musisz działać szybko.

Fournier splata swe tłuste palce i kłania się nisko.

– Ojcze Święty, czynisz mi wielki zaszczyt, ale nieznana jest wola Boga. Wasza Świątobliwość może panować jeszcze wiele lat. – Choćby z czystej złośliwości – myśli, ale oczywiście nie mówi tego głośno. – A kiedy już nadejdzie ten smutny czas, to Kolegium Kardynałów wybierze następcę.

– Oszczędź mi tych nieszczerych i pustych zapewnień – burczy staruszek. – Jestem stary. Byłem już stary, kiedy mnie wybierano. Miałem siedemdziesiąt dwa lata. To dlatego zresztą mnie wybrali. Myśleli, że się im odwdzięczę rychłą śmiercią. Od czternastu lat sprawiam im zawód, mimo trzech prób otrucia. Zabili mojego ukochanego siostrzeńca, Jacopa, ale nie zdołali zabić mnie. Ostatnimi laty przygotowuję ten tron dla ciebie. Powołałem dwa tuziny kardynałów, w większości z południa Francji, w tym trzech własnych krewnych. Włoscy kardynałowie są obecnie nieliczni i słabi, my, Francuzi, liczni i silni. A ty, Jacques, wyróżniasz się spośród nich niezłomną obroną wiary. To ty powinieneś dzierżyć tiarę i klucze.

Fournier ponownie się kłania, ale tym razem już nie tak nisko i z niecierpliwym błyskiem w oczach.

– Bądź wola twoja – mruczy melodyjnym głosem, nie wiadomo, do Boga czy swego potężnego patrona.

– Jest jednak coś, co może stanąć ci na drodze do realizacji marzeń – mówi staruszek cienkim, piskliwym głosem. – I dobrze o tym wiesz. – Chryste, myśli Fournier, czy on nigdy nie przestanie mnie tym dręczyć? – To sprawa Eckharta.

– Eckhart został zmieciony z powierzchni ziemi, Ojcze Święty. Nie żyje, a ty potępiłeś jego heretyckie nauki. Uczniowie Eckharta są rozproszeni jak pył. Nikogo nie obchodzi, że mistrz nie żyje. Za sto lat nikt nie będzie wiedział o jego istnieniu.

– Modlę się, byś miał rację. Musisz jednak zadbać o to, by dominikanie nie uczynili z niego męczennika.

– Niemożliwe, Wasza Świątobliwość. Byłem jedynym świadkiem jego śmierci.

– A co z jego szczątkami? Twoi bracia cystersi czczą głowę Tomasza z Akwinu. A jeśli dominikanie znajdą ciało Eckharta i uznają jego głowę albo serce za relikwię?

– Nigdy go nie znajdą. Jego kości złożono w zapieczętowanym ossuarium w skarbcu, do którego tylko ty, ja i szambelan mamy klucze.

– E tam! – Starzec macha z lekceważeniem drżącą ręką. – Skarbiec może zostać obrabowany nawet przez tuzin karmelickich mniszek. Musisz pobudować porządny pałac. Taki, który będzie godzien następcy świętego Piotra. O murach wystarczająco silnych, by strzegły złota naszego Pana. Bóg dał nam władzę nad cesarzami i królami, a tłoczymy się w budynku, który został pobudowany dla biskupa.

– Dużo o tym myślałem, odkąd po raz pierwszy o tym rozmawialiśmy – mówi Fournier. – Pozwoliłem sobie zlecić wstępne projekty architektoniczne... I cóż to są za projekty! – Ożywia się, zaczyna chodzić i gestykulować, odmalowywać słowami ogromne wieże i wyniosłe mury obronne, które otoczą główny krużganek – widziany z zewnątrz pałac miałby być wyrazem onieśmielającej siły, wewnątrz zaś – spokojnego piękna.

– Kiedy zostanę papieżem... jeśli zostanę papieżem, niezwłocznie rozkażę rozpocząć prace. Szczątki Eckharta zostaną zamurowane. I pozostaną tam aż do tego błogosławionego poranka, kiedy rozlegnie się ostatnia trąba i nasz Pan i Zbawiciel powróci w całej swej chwale, by nagrodzić wiernych... i wybuchnąć słusznym

gniewem na pogan, heretyków i wszystkich innych wrogów naszej prawdziwej wiary.

Kończy swój płomienny monolog, wznosząc ręce i oczy do nieba. Przez chwilę zastyga w tej pozie, po czym odwraca się do papieża spragniony pochwał.

Starzec jednak śpi na swoim tronie z otwartymi ustami, śliniąc się na swe wspaniałe jedwabne szaty.

ROZDZIAŁ 29

AWINION
ROK 1335

Simone wciąga gwałtownie powietrze, kiedy statek wpływa w zakole Rodanu i oczom podróżnych ukazuje się miasto. Siedem lat temu myślał, że Awinion nie może być już większy ani wspanialszy, jednak potężne kamienne wieże wznoszące się ponad kopułą udowadniają, że się mylił. Katedra, która niegdyś górowała nad innymi na skale, obecnie przyćmiona została przez ogromną wieżę, która wznosi się tak blisko nawy głównej, że te budowle zdają się stykać. Drewniane rusztowania stoją dookoła trzech innych wież w różnym stadium zaawansowania prac.

– *Bellissimo*[14] – wzdycha Martini, po części dlatego, że miasto jest naprawdę piękne, lecz również dlatego, że w głębi ducha czuje ulgę: jego bolesna decyzja była jednak słuszna.

Poprzednio, jesienią 1328 roku, Martini przybył do Awinionu na rozpoznanie. Chciał się przekonać, jakie perspektywy i zamówienia może zaoferować to miasto jednemu z najbardziej

utalentowanych i szanowanych włoskich malarzy. Awinion był wówczas kwitnącym miastem, ale krążąc od jednego potencjalnego mecenasa do drugiego – głównie byli to zamożni kardynałowie, którzy nawiedzili metropolię, ciągnąc za sobą chmary architektów i dekoratorów – zauważał z rosnącą frustracją, że większość z nich, a co za tym idzie: większość zleceniobiorców, pochodzi z Francji. Dla włoskiego artysty w pełni sił twórczych przeprowadzka do Awinionu w 1329 roku byłaby ryzykownym posunięciem. Jednak teraz, jesienią 1335, Martiniego błagał o przybycie nowo powołany włoski kardynał, dzięki czemu malarz miał gwarancję, że jego rodzina nie będzie głodować.

Otrzymał już nawet pewne niezwykłe zamówienie: świecki obraz, niewielki portret młodej mężatki, zamówiony nie przez jej męża, ale przez poetę, który był w niej szaleńczo zakochany. Naprawdę proste zadanie – sama twarz damy, nic więcej, a jednak Simone nigdy dotychczas nie tworzył podobnych prac. Nie przypominał sobie również, by robił to którykolwiek ze znanych mu malarzy. Oczywiście powszechną praktyką było umieszczanie twarzy bogatych mecenasów na freskach w kaplicach. I tak, na przykład, jeden z trzech mędrców mógł mieć rysy twarzy hrabiego Corsino, jeśli to akurat Corsino zapłacił za fresk. Ale obraz kobiety – kobiety we własnej osobie, nieudającej jakiejś świętej czy męczennicy ani osoby będącej świadkiem cudu? To niesłychane!

Simone nie ma pewności, jak dużym wzięciem mogą cieszyć się takie obrazy, ale kto wie? Jeśli uda mu się stworzyć naprawdę udane dzieło, portrety mogą się przyjąć.

Opętany miłością poeta, trzeba tu zaznaczyć, jest Włochem.

Poprzednią podróż Martini odbył niemal bez bagażu. Teraz jest obładowany, wiezie tak wiele narzędzi, że nawet on, który sam to wszystko spakował, uważa takie ilości za grubą przesadę: pudła

i słoje z pigmentami, olejami i rozpuszczalnikami; skrzynie z pędzlami, kredami, węglami, sztalugami i paletami; zwoje płótna i wielkie arkusze papieru; pergaminowe koperty z listkami złota, cienkimi niczym warstwa kurzu; mnóstwo drewnianych narzędzi stolarskich potrzebnych do robienia opraw i ram. Jego warsztat pracy stanowi zaledwie połowę bagażu, ponieważ podróżuje ze swą ukochaną żoną Giovanną i wszystkimi jej strojami oraz artykułami gospodarstwa domowego. Grupę podróżnych uzupełnia jego brat, Donato, również malarz, cudowny człowiek, lecz pośledni artysta. Od mizernego talentu bardziej mizerne są tylko jego zarobki.

Nie było łatwo wyzbyć się korzeni i popłynąć do Marsylii, a potem rzeką do Awinionu. Dwadzieścia lat ciężkiej pracy, tworzenia obrazów schlebiających gustom widzów, zaowocowało solidną karierą i znakomitą reputacją Simonego w Sienie, a nawet w dalekim Neapolu, gdzie był sowicie wynagradzany za swą twórczość i został pasowany na rycerza przez Roberta, króla Neapolu. Wyjazd do Awinionu był kolejnym wyzwaniem rzuconym sobie, co teraz, w wieku pięćdziesięciu jeden lat, było niezbyt zachęcającą perspektywą. Przeprowadzka oznaczała również rozstanie żony z rodziną, z którą była bardzo zżyta. Było to prawie tak samo bolesne dla Simonego, ponieważ rodzina żony była dla niego jak własna, tylko lepsza.

Szczęście małżeńskie wciąż napełnia Simonego wdzięcznością. W wieku czterdziestu lat, będąc na dodatek brzydkim czterdziestolatkiem, co musiał jako artysta przyznać, pogodził się już z tym, że się nie ożeni. I wtedy zdarzył się cud. On i inny malarz ze Sieny, Lippo Memmi, pracowali razem i się zaprzyjaźnili. Stopniowo, kolacja po kolacji, Lippo wciągał Simonego w krąg swej rodziny. Simone wpasował się tam tak, jakby się w niej urodził. Ojciec, wuj i brat Lippa również byli malarzami i kolacje przy

rodzinnym stole były pełne życia, śmiechu i radości. Siostra Lippa, Giovanna, osiemnaście lat młodsza od Simonego, zadziwiła malarza swymi spojrzeniami, uśmiechami, rumieńcami i w końcu swą miłością. Pobrali się i wprowadzili do przytulnego domu, który Simone kupił od jej ojca. Przeżyli w nim dziesięć szczęśliwych lat, jeśli nie liczyć rzadkich sprzeczek i coraz bardziej kurczących się z czasem marzeń o dzieciach. O pracę jednak było coraz trudniej, nie dlatego, że Simone stracił talent czy reputację, ale po prostu dlatego, że w Sienie koniunktura na budowle, a co za tym idzie, i na freski, znacząco się pogorszyła. Ostatnie duże zlecenie, scenę zwiastowania do katedry, dostał dwa lata temu i nic nowego nie było widać na horyzoncie. Kiedy więc Simone westchnął i powiedział Giovannie, że nad Sieną zaszło słońce i przyszłość sztuki leży nie we Włoszech, lecz w Awinionie, rozpłakała się... a potem otarła łzy i zaczęła się pakować.

Kiedy wczesnowieczorny wiatr zaczyna się uspokajać, statek halsuje leniwie ostatnią milę do nabrzeża przy moście. Licząca dwadzieścia dwa przęsła monumentalna przeprawa jest głównym połączeniem między południową Francją a Świętym Cesarstwem Rzymskim, Sabaudią, terytoriami papieskimi i wielkimi miastami Italii. Ponad jego bliższym krańcem wznoszą się wieżyczki i iglice Awinionu, które wydają się rozświetlone od wewnątrz, błyszczące złotą poświatą, która wkrótce zamieni się w pomarańczową, a potem, wraz z zachodem słońca, w różową. Efekt – kamień jarzący się światłem – jest olśniewający. Simone jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego na żadnym obrazie namalowanym przez siebie czy mistrza Giotta, jednego z niewielu malarzy, których uważa za lepszych od siebie.

Stojąc na dziobie statku, czuje Giovannę przytulającą się do niego od tyłu. Kobieta obejmuje go w pasie.

– *Così bello* – mruczy. – Jakie piękne. A ty, Simone, uczynisz je jeszcze piękniejszym.

Oprócz tego, że szaleje z miłości, młody włoski poeta, Francesco Petrarka, jest czarującym i inteligentnym towarzyszem. Trzydziestojednoletni geniusz, który został wygnany z Florencji i osiadł tutaj. Francesco jest duchownym, jednak jego główne obowiązki wydają się polegać na byciu elokwentnym, oburzonym, intelektualnym, poetyckim, kapryśnym czy co tylko przychodzi mu do głowy w danej chwili. Uwielbia pomstować przeciwko miastu i papiestwu – nazywa je Wielką Nierządnicą, kiedy akurat nie ssie jej piersi. Został zesłany na kilka lat do pewnej zapomnianej przez Boga i ludzi wioski na wyschniętym, nudnym zachodzie Francji, jednak obecnie zabiega o powrót do Awinionu lub jakiejś miejscowości w pobliżu, z której mógłby baczniej przyglądać się miastu, którego nienawidzi, i kobiecie, którą kocha.

Historia, którą Francesco z zamiłowaniem opowiada, jest następująca: dziewięć lat temu, podczas mszy w Wielki Piątek, ujrzał w kościele przepiękną młodą kobietę, ku której momentalnie zapałał afektem. Po nabożeństwie rzucił się za nią w pościg i dowiedział się, że nazywa się Laura de Noves, i chociaż ma zaledwie siedemnaście lat, jest już żoną francuskiego arystokraty, hrabiego. Nie chciała słuchać słów miłości Francesca, dlatego zaczął je spisywać i publikować: setki miłosnych wierszy dedykowanych kobiecie, z którą rozmawiał ledwie pół minuty prawie dziesięć lat temu. A teraz zamówił u Martiniego jej portret – obraz, na który będzie mógł spoglądać, ilekroć zapragnie rozpalić na nowo płomień miłości. Martini podejrzewał, że Petrarka pielęgnuje swój ból, niczym dziecko rozdrapujące strup, ponieważ sprawia mu perwersyjną przyjemność noszenie niezaleczonej rany w sercu. To jego własna wersja stygmatów, rany, które mówią „Patrzcie, jak

cierpię!". Martini poślubił Giovannę prawie dwanaście lat temu. Oboje się kłócili i godzili, śmiali się razem i płakali, razem gotowali, sprzątali i wyrywali chwasty, kochali się czule i na pół gwizdka, ale również gwałtownie, wręcz zwierzęco. Martini ma pewność, że ponieważ Petrarka nie robił żadnej z tych rzeczy z Laurą, w rzeczywistości nie robił z nią nic, ponadto nic o niej nie wie z wyjątkiem tego, że nie może jej mieć i że poeta tak naprawdę wcale nie kocha tej kobiety, ale siebie i swój zawód miłosny. Ten człowiek tworzy niekończącą się tragedię, w której obsadził siebie samego w roli tragicznego bohatera. Co więcej, zaczyna mu to przynosić sławę, inni poeci zaczynają kopiować i rozpowszechniać wersy Petrarki, niektórzy wręcz naśladują jego styl pisania i jego miłosne cierpienia.

Nie, Martini wcale nie jest zauroczony tą boginią: jest bez wątpienia ładną i uprzywilejowaną dwudziestopięcioletnią Francuzeczką, córką rycerza, która w wieku lat piętnastu wyszła za mąż i została hrabiną. Z pewnością nie jest pierwszą ładną dziewczyną, która sprzedała swą młodość i urodę za tytuł i beztroskie życie, i Martini nie widzi powodu, by jej źle życzyć. Nie ma przy tym najmniejszych złudzeń co do swojej roli. Jeśli Petrarka chce, by unieśmiertelnił jego muzę, i jest gotów go sowicie wynagrodzić (pięćdziesiąt florenów to nie byle co!), Simone z rozkoszą rozpakuje swe pędzle i zacznie mieszać czerwień, zieleń i złoto.

– Rozpocznę niezwłocznie – zapewnia poetę. – Kiedy skończę, musisz napisać wiersz uwieczniający mój obraz.

Petrarka potakuje z powagą, zupełnie jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że Simone żartuje.

ROZDZIAŁ 30

Przez całą swą trzydziestoletnią karierę malarską Simone nigdy nie pracował w ten sposób. Nigdy jeszcze nie musiał skradać się i wytężać wzroku, by ukradkiem wychwycić cechy charakterystyczne twarzy czy figury swej modelki. Często miał wręcz przeciwny problem: modelka oferowała mu swe dojrzałe usta i wydatne piersi nie jako artyście, ale jako mężczyźnie. Taką kobietę (a sporadycznie również mężczyznę) Simone oddalał, nie chcąc niszczyć procesu malowania.

Początkowo śledzenie tej młodej kobiety nie sprawiało mu żadnej przyjemności. Nie cierpiał naśladować żałosnego Petrarki – w niedziele czaić się w drzwiach obok jej domu, podążać za nią na nabożeństwo albo czekać w kościele, by uchwycić widok jej czoła lub oczu. Czaić się po drugiej stronie nawy albo za kolumną, aby studiować jej profil. Biec do pracowni zaraz po adoracji Najświętszego Sakramentu, żeby szkicować i malować, zanim szczegóły jej twarzy zbledną w pamięci i będzie można je odświeżyć dopiero za tydzień. Po pewnym czasie jednak Simone zmuszony był przyznać, że podoba mu się to wyzwanie – malowanie kogoś, kogo się ledwie widzi – i nie może się doczekać, kiedy znów ją ujrzy.

Pewnej niedzieli, kiedy kobieta klęka, malarz widzi, że jej głowa nagle zwisa bezwładnie, a ramiona opadają. Potem z raptownym drgnięciem budzi się, otwiera szeroko oczy i, uświadamiając sobie, co się stało, zaczyna się śmiać. W kościele! Matrona obok niej przeszywa ją ostrym, pełnym dezaprobaty spojrzeniem, i kobieta z powrotem przyobleka swą twarz w maskę opanowanej pobożności. Martini jednak widzi w niej w tej chwili kogoś zupełnie innego i jego ciekawość rośnie.

Tej nocy, leżąc pod pierzyną i nie mogąc zasnąć, wyobraża sobie, jak mógłby namalować jej twarz w różnych sceneriach, wyrażającą różne emocje: smutek, wdzięczność, spokój, przerażenie, irytację, rozkosz, pożądanie. A potem, kiedy Giovanna odwraca się do niego w ciemności i jej palce znajdują go, sprawiają, że twardnieje i prowadzą jego ciało do niej, wyobraża sobie, że to twarz Laury, jej piersi i jej jęki – i to rozpala go tak płomienną namiętnością, jakiej prosta i szczera miłość Giovanny nigdy nie zdołała rozpalić.

Kolejnej niedzieli nie ma jej w kościele. Sprawdza miejsca, gdzie zwykle ją widuje – boczne kaplice, gdzie zawsze zatrzymuje się, by zapalić świeczki – a potem przeszukuje tłum wiernych z mętlikiem w głowie i z coraz większym niepokojem. Ponieważ nie zdarzyło się, żeby jej nie było, przyjął za pewnik jej obecność. Zaskoczenie ustępuje innej emocji, którą rozpoznaje jako lęk... nie, panikę! A jeśli zniknęła na dobre – wyjechała do Paryża albo umarła na skutek nagłego ataku gorączki? Jakimże cudem ukończy jej portret, skoro jeszcze nie wszystkie szczegóły jej wyglądu wryły mu się w pamięć? Jak wyjaśni swoje niepowodzenie Petrarce? I wreszcie, czym wypełni niedzielne poranki i pozostałe godziny dnia i nocy, które zdążyła już zająć? Dobry Boże, myśli, jestem gorszy od poety. Mam dobrą żonę, kochającą i wierną, a mimo to zamieniam się w uczniaka przy tej kobiecie, która po trzykroć jest mi zakazaną, wszak jestem żonaty, a ona jest mężatką i ukochaną mojego przyjaciela, Petrarki. W stanie głębokiej konsternacji potyka się o stopy innych wiernych siedzących w jego ławce, skręca w boczną nawę i rusza do drzwi.

Tuż przed dotarciem do nich czuje, jak ktoś go ciągnie za rękaw. Za filarem skrywa się kobieta, której szuka. Jej widok jest tak niespodziewany, że o mało nie krzyczy z zaskoczenia. Kobieta patrzy, jak malarz dochodzi do siebie, po czym pyta:

– *Monsieur, vous me cherchez?*[15]

Dzięki pracy z francuskimi malarzami i szukaniu francuskich mecenasów całkiem dobrze radzi sobie z tym językiem, ale zaskoczony jej nagłym pojawieniem się i otwartym pytaniem, posuwa się do starej sztuczki i potrząsa głową, dając znać, że nie rozumie, i dorzuca: „Siena” dla pewności, że kobieta go zrozumie.

– *Siena, una bella città*[16] – odpowiada kobieta. Okazuje się, że włada jego językiem tak biegle, jakby dorastała w bezpośrednim sąsiedztwie malarza. – Piękne miasto – powtarza. – Jeśli pochodzi pan ze Sieny, zazdroszczę panu. – Spogląda przelotnie w dół, po czym znów patrzy na niego, a kiedy to robi, intensywność jej wzroku jest niemal namacalna, zupełnie jakby była niewidoma i dotykała go palcami. Kładzie rękę na jego ramieniu.

– Chodźmy – mówi – do klasztornego ogrodu. Chciałabym z panem porozmawiać.

Prowadzi go do bocznego wyjścia, pod sklepionym przejściem, a potem krużgankiem na odległy kraniec klasztoru, do ławeczki ukrytej w altance z bukszpanu. Siada i wskazuje mu miejsce obok siebie.

– A teraz proszę mi powiedzieć, czemu mnie pan szukał. I proszę nie udawać, że było inaczej.

Malarz ponownie wzrusza ramionami, tym razem nie po to, by udać, że nie rozumie, lecz by dać do zrozumienia, że został przyłapany i nie ma nic na swoje usprawiedliwienie.

– Zauważyłam, że pan mnie obserwuje. I to od tygodni. Każdej niedzieli czuję na sobie pana wzrok. Dlaczego?

– Jest pani... Jest pani piękną, młodą kobietą. Jakiż mężczyzna mógłby oprzeć się pokusie patrzenia na panią?

Jego rozmówczyni wolno kręci głową.

– Wielu mężczyzn na mnie patrzy. Niektórzy z pogardą, inni z tęsknotą. Jednakże żaden z nich nie patrzy na mnie w taki sposób jak pan. Pan mnie studiuje, bada pan mnie, jakbym była kwiatem albo owadem, którego zapragnął pan do katalogu. Dlaczego?

Simone otwiera usta, trudno mu jednak znaleźć właściwe słowa. Jeśli ją okłamie, kobieta rozszyfruje to kłamstwo, jeśli powie prawdę, znienawidzi go. Patrzy w bok i jego wzrok pada na figurę Matki Boskiej.

– Wybacz mi, pani – mówi z westchnieniem.

– Sieneńczyku – odpowiada kobieta powoli, z zadumą, obracając to słowo zarówno w głowie, jak i w ustach. Spogląda w dół, po czym bierze go za prawą rękę, podnosi ją i przygląda się jego palcom pokrytym plamami farb. – Jesteś malarzem. Malarzem ze Sieny. Tyś jest Simone ze Sieny.

Malarz kiwa głową, nieśmiało potwierdzając.

– Widziałam twe freski w Sienie. Są cudowne. Ucieszyłam się, kiedy doszły mnie słuchy, że przyjechałeś do Awinionu.

Simone kłania się raz jeszcze, tym razem niżej, a potem prostuje się i po raz pierwszy patrzy jej prosto w oczy. Kobieta dalej przeszywa go wzrokiem, ale nie ma w nim gniewu, tylko ciekawość, a także iskierka czegoś innego, co krystalizuje się właśnie w jej umyśle.

– Dlaczego badasz mnie swoimi oczami malarza, mistrzu Simone ze Sieny?

Jak ma to wyjaśnić? Przecież nie może.

– Czy ty mnie malujesz, mistrzu Simone?

Waha się chwilę, po czym kiwa głową. Kobieta odwraca wzrok, a kiedy znów spogląda na niego, jej spojrzenie jest już inne.

– Czy malujesz mnie dla niego? Dla poety, który stawia mnie na piedestale?

Malarz ponownie kiwa głową. Kobieta znów odwraca wzrok, a kiedy podnosi oczy, w ich kącikach lśnią łzy, krople rosy w szary jesienny poranek.

– Nie prosiłam go o to, by zostać jego boginią, mistrzu Simone. Nie chcę nią być. Dlaczego nie miałam wyboru? Postawił mnie na piedestale, na widoku wszystkich, i teraz, nieważne, co robię, nie mogę z niego zejść. Z uporem przekształca mnie w wytwór swojej wyobraźni. Czytałam kiedyś, mistrzu Simone, o greckim rzeźbiarzu, który dawno temu zamienił posąg w kobietę. Ten poeta zamienia mnie, kobietę, w posąg.

– Wybacz mi, pani – powtarza malarz. – Nie wiedziałem... nie myślałem o tym, jak jego... zainteresowanie... wpływa na twoje życie. Nie powinienem był przyjąć tego zlecenia. Jeszcze dziś zniszczę ten obraz.

– Nie! – Kobieta otwiera szeroko oczy i przykłada dłoń do szyi. – Nie, zaczekaj. – Jej oddech jest urywany, a na policzkach pojawiają się rumieńce. – Najpierw musisz opowiedzieć mi o tym obrazie. W jaki sposób mnie malujesz, mistrzu Simone? W jakiej scenerii? Jaką biblijną postać przedstawiam? – Kąciki jej ust drgają. – Nie mogę być Dziewicą Maryją. Czy jestem zatem kobietą przyłapaną na akcie cudzołóstwa?

To pytanie sprawia, że malarz czerwienieje. Czyżby przejrzała jego nocne myśli?

– Oczywiście, że nie, pani – zaprzecza, chyba nazbyt szybko i głośno.

– Czy zatem jestem Elżbietą, starą i przywiędłą żoną Abrahama, która w końcu staje się brzemienna w wieku lat dziewięćdziesięciu? – Oczy jej błyszczą, malarz jest w równej mierze zszokowany, jak i zachwycony jej śmiałością.

– Starą i przywiędłą? Bynajmniej, pani. Na moim obrazie jesteś młoda i piękna. Na moim obrazie jesteś prawdziwą sobą.

Na twarzy kobiety pojawia się uśmiech.

– Wiedziałam, że jesteś wielkim malarzem, mistrzu Simone. Nie wiedziałam jednak, że jesteś również wytrawnym pochlebcą.

– Nieprawda. Nie mam daru słowa. Tylko mój pędzel potrafi mówić, a on mówi, że jesteś piękna i wspaniała.

Kobieta rumieni się.

– A co mówi twój pędzel na temat mojego stroju na tym obrazie?

– Masz na sobie swoją zieloną, jedwabną suknię z kołnierzykiem wyszywanym złotą nicią, tę, którą miałaś na sobie, kiedy Petrarka po raz pierwszy cię ujrzał. Tę, którą miałaś na sobie, kiedy po raz pierwszy ujrzałem cię ja. A na szyi masz naszyjnik z pereł. Twoje włosy są upięte wysoko, tak jak teraz, ale nad twoim lewym uchem zatknięty jest emaliowany grzebyk, a nie ten z masy szylkretowej, który nosisz dzisiaj. Twoja głowa zwrócona jest nieco w prawo, dzięki czemu widzimy ten grzebyk, ale patrzysz prosto na widza. Prosto na mnie.

Ledwo wypowiada te słowa, kobieta spogląda prosto na niego, dokładnie tak jak na portrecie. Tak jak w jego marzeniach.

– Tęczówki są głównie zielone – kontynuuje – prawie szmaragdowe na obrzeżach – ale z plamkami złota, zwłaszcza blisko środka, gdzie tęczówka spotyka się ze źrenicą.

Przysuwa się do niej, patrząc jej w oczy, i dalej mówi szeptem, niemal do siebie:

– Żałuję, że nie mogę oddać tego, jak twoje źrenice pulsują wraz z uderzeniami twego serca, robią się to większe, to mniejsze, to większe, to mniejsze... Ale nawet wtedy, gdy są mniejsze, i tak są duże. Nigdy jeszcze nie widziałem tak dużych źrenic. Są naprawdę... niezwykłe.

Kobieta opuszcza powieki i z cichutkim świstem wciąga powietrze. Kiedy otwiera oczy, spojrzenie ma zamglone. Dopiero po chwili dochodzi do siebie.

– Nie chciałabym, żebyś zniszczył ten obraz, mistrzu Simone. Chciałabym, żebyś go skończył. Jednak w zamian mam do ciebie jedną prośbę.

– Cóż to za prośba, pani?

– Chcę go zobaczyć. Zanim przekażesz go poecie, musisz go pokazać mnie. Uczynisz to?

– Tak, oczywiście. Kiedy? Gdzie? Mam go przynieść do twojego domu?

– Tak, pod warunkiem wszelako, że pragniesz śmierci nas obojga! – Uśmiecha się. – Gdzie masz swoją pracownię, mistrzu Simone?

– To nie do końca pracownia. Bardziej szopa. Zaraz za kościołem karmelitów, tym z otwartą dzwonnicą. Podążaj za zapachem terpentyny.

– Kiedy mogę się spodziewać końca pracy?

– Myślałem, że już skończyłem, pani, ale się myliłem. Muszę poprawić twoje oczy.

– Poprawić? Co z nimi nie tak?

– W niewystarczającym stopniu oddałem ich blask.

Kobieta zaczyna się śmiać.

– Mówiłam, że pochlebca z ciebie. Paryscy dworzanie mogliby się od ciebie uczyć.

Unosi rękę.

– Klnę się na Boga, że to prawda, pani. Zrazu oddałem je dobrze, ale potem ogarnęły mnie wątpliwości. „Simone, ty głupcze", powtarzałem sobie. „Oczy nie mogą być tak intensywnie zielone, a przy tym tak złote". Więc zmieniłem je, uczyniłem je zwykłymi.

Teraz muszę jednak powrócić do pierwotnej koncepcji. Przedstawić je takie, jakie w istocie są.

– Wezmę ze sobą lusterko, mistrzu Simone, więc uważnie się przyjrzę – mówi kobieta. – Kiedy mogę zobaczyć ten obraz?

– Może w następną niedzielę? Przed mszą? Albo po niej?

– Zamiast niej – decyduje. – A zatem do zobaczenia.

– Pani? Ja również mam prośbę. Czy mogłabyś mieć na sobie zieloną jedwabną suknię? Chcę mieć pewność, że namalowałem cię dobrze.

Kobieta kiwa głową.

– Tak, mistrzu Simone. I naszyjnik z pereł. A także emaliowany grzebyk.

ROZDZIAŁ 31

AWINION
CZASY WSPÓŁCZESNE

Elisabeth przyniosła Descartes'owi kawę, a mnie herbatę. Teraz i ona, i Jean uznawali detektywa za regularnego gościa na śniadaniu. Pomyślałem, że kiedy będę się wymeldowywał, zapytam, czy muszą dodać do mojego rachunku pozycję pod tytułem „Śniadania Descartes'a: 40 euro". Już nie byłem zdziwiony tym, że wpycha croissanty do kieszeni. Nieomal spodziewałem się, że zacznie przychodzić z termosem i torebką, by je napełnić kawą, owocami, serem i bagietkami.

Tego ranka Descartes postawił na zmianę. Załadował maszynkę do mielenia owsem, otrębami i słonecznikiem, nacisnął przycisk i *presto*[17] z maszynki wyszło świeżo zmielone musli, które dopełnił suszonymi wiśniami i świeżym jogurtem. Spróbował specjału, cmoknął i skinął z aprobatą.

– *Bon*. I do tego zdrowe. – Zjadł kolejną łyżkę. – Szukałem związku między kościołem w Charlotte a organizacją, która się z panem skontaktowała.

– Instytutem Nauki Biblijnej?

– *Exactement*. Jak myśleliśmy, to nie przypadek. Kaznodzieja, ten wielebny Jonasz, zasiada w zarządzie instytutu. A ten naukowiec...

– Newman? Doktor Adam Newman?

– *Oui*, Newman. Zgadnie pan, co on jeszcze robi?

– Uch... oblicza, kiedy dokładnie pojawi się Antychryst?

– Ha! Może to też. Ale z pewnością pracuje nad...

Przerwał mu dzwonek telefonu – mojego. Spojrzałem na wyświetlacz. Tennessee Bureau of Investigation. Poczułem panikę. Ostatnia rozmowa z TBI dotyczyła śmierci Rocky'ego Stone'a w Amsterdamie.

– Przepraszam, muszę odebrać. – Skinął głową.

– Panie doktorze? Tu Steve Morgan z TBI. Mam nadzieję, że pana nie obudziłem.

– Nie. Jem śniadanie z francuskim detektywem. Ale dlaczego ty nie śpisz? Czy w Stanach nie jest druga w nocy?

– Trzecia – poprawił mnie. – Mam wieści, które mogą pana zainteresować. Przeprowadziliśmy dziś nalot – my, czyli DEA i FBI – na grupę, która zamordowała Rocky'ego i jego agenta. Wszystko zawdzięczamy Rocky'emu. Facet, którego zastrzelił w Amsterdamie...

– Morales?

– Tak, Morales. Federalni znaleźli jego telefon. Okazał się istną kopalnią złota, czy raczej: kontaktów. Zgarnęliśmy jednego człowieka w Tennessee, dwóch w Atlancie i czterech w Miami.

– Czy to wszyscy?

– Nie, ale na razie wystarczy – powiedział. – Wierchuszka rezyduje w Kolumbii, są poza naszym zasięgiem, przynajmniej na razie. Ale mamy wszystkich, którzy byli bezpośrednio związani z operacją w Sevierville. Może pan przestać oglądać się przez ramię – w każdym razie, jeśli o tę sprawę chodzi.

Wziąłem głęboki oddech i wypuściłem powietrze.

– To wielka ulga. Powiedziałeś żonie Rocky'ego?

– Pójdę się z nią zobaczyć o jakiejś bardziej przyzwoitej godzinie, kiedy dzieci będą w szkole. Ucieszy się, że złapaliśmy tych gnojków, ale na pewno ciężko to przeżyje. Wciąż jest załamana.

– Nie dziwię się – powiedziałem. – Odwiedzę ją i chłopców, kiedy wrócę z Francji. Jeśli będziesz miał okazję, pogratuluj ode mnie wszystkim świetnej roboty. Swoją rolę odegram na procesie.

– Dzięki, doktorze. Proszę na siebie uważać.

Odłożyłem telefon i podniosłem filiżankę. Słońce świeciło mocno, zapowiadał się upalny dzień, ale nie będzie gorąco jeszcze przez następną godzinę; ciepła filiżanka dodawała mi otuchy. Wziąłem kolejny oddech, żeby powrócić do ogrodu w Awinionie i sprawy, o której rozmawialiśmy z Descartes'em.

– Na czym skończyliśmy?

– Instytut Nauki Biblijnej. Newman, naukowiec.

– A tak. Czy jest prawdziwym naukowcem? Czy jakimś hochsztaplerem, który kupił doktorat w Internecie?

Descartes wzruszył ramionami.

– Nie wiem, gdzie zdobył doktorat i czy jest on autentyczny, ale Newman jest podobno biologiem molekularnym. Próbuje stworzyć idealną krowę dla Izraela, wykorzystując DNA z krowy, która była prawie idealna. On...

– Zaraz. Oni nie hodują krów, oni je klonują?

– *Oui.* Próbują, ale jak na razie bez powodzenia.

Dzwonki alarmowe dzwoniły w mojej głowie jak oszalałe.

– Newman pracuje z wielebnym Jonaszem? Facetem, który chce wcisnąć guzik włączający koniec świata? Chcą kości z pałacu papieskiego? Dlaczego? – Ale znałem odpowiedź, zanim jeszcze skończyłem zadawać pytanie. – Dobry Boże, mają nadzieję pobrać DNA z kości. Chcą sklonować Jezusa! Drugie przyjście w zaawansowanej technologii.

– Zgadza się – powiedział Descartes. – Jeśli można sklonować krowę, to dlaczego nie Jezusa?

Odstawiłem filiżankę i podniosłem ręce.

– Bo to szaleństwo. I do tego z punktu widzenia nauki niemożliwe – wyplułem z siebie. – W tych kościach nie ma nienaruszonego DNA, na pewno nie ma nienaruszonego jądrowego DNA, takiego, którego potrzeba do klonowania. Być może jest w nich DNA mitochondrialne, ale to tylko fragmenty, nie będą w stanie odtworzyć całej sekwencji.

– Jest pan pewien?

– Na sto procent. Poza tym DNA mitochondrialne nie jest unikatowe. Przekazywane jest z matki na dziecko, z pokolenia na pokolenie. Pana DNA mitochondrialne jest takie samo jak pana mamy, jej mamy i mamy jej mamy.

Descartes zastanowił się.

– Jezus miał takie samo DNA mitochondrialne co jego matka, *oui*?

– *Oui*, inspektorze.

– Takie samo jak Maryja Dziewica – podniósł brwi. – Kolejne niepokalane poczęcie, *n'est-ce pas*?

– Ale z DNA mitochondrialnego nie może powstać człowiek – niemal krzyknąłem. – To technicznie niemożliwe.

Wzruszył ramionami.

– Wystarczy tylko cud *et voilà*.

Chciałem złapać go za poły i nim potrząsnąć.

– Cholera, Descartes, to nie są nawet kości Jezusa!

– Myli się pan, *docteur* – to są kości Jezusa. Jest na to naukowy dowód, pamięta pan? Raport z Miami. Kości mają dwa tysiące lat.

– To totalna bzdura. Stefan dopuścił się mistyfikacji. Wie pan o tym.

– Ale kaznodzieja nie wie. Wierzy w ten raport. Jeśli powiemy mu, że to bzdura, nie uwierzy nam. Powie, że sterują nami demony.

Rozpacz ogarnęła moje serce i zacząłem myśleć o czymś nie do pomyślenia. Czy szalony kaznodzieja ma rację w kwestii końca

świata? Czy nadeszła pora?

ROZDZIAŁ 32

AWINION
ROK 1335

Czy to już ta pora? Simone liczy uderzenia dzwonu w dzwonnicy kościoła karmelitów – dziesięć – i uświadamia sobie z rozpaczą, że musi jeszcze godzinę zaczekać. Zaczekać na nią.

Zaczyna sprzątać w pracowni, ale szybko dochodzi do wniosku, że to bezcelowe. Panuje tu straszny bałagan, ale to w końcu warsztat pracy pełen pędzli, desek, materiałów, pigmentów, rozpuszczalników i tysiąca innych narzędzi i składników. Odkrywa mały portret, po czym znowu go zakrywa, i znowu odkrywa, dzięki czemu może patrzeć na jej twarz w chwili, gdy się pokazuje. Uświadamiając sobie, że nie ma krzesła, na którym mógłby ją posadzić, zgarnia pędzle i narzędzia ze stołu do pracy, wpycha je pod niego i nakrywa nierówny blat czystą płachtą malarską. Odchodzi, po czym patrzy niespokojnie na stół, a potem zaczyna chodzić w kółko. Sześćdziesiąt minut to wieczność. W końcu dzwon za żelazną kratownicą na wieży zaczyna wybijać jedenastą, godzinę, o której zaczyna się nabożeństwo. Przy drugim uderzeniu wie już, że kobieta nie przyjdzie. Nie może przyjść, uświadamia sobie – przyjście tutaj by ją skompromitowało, a on nie chce przysparzać jej dodatkowych kłopotów. Potem jednak rozlega się pukanie do drewnianych drzwi, które zostawił lekko uchylone, i serce podchodzi mu do gardła, kiedy słyszy swe imię.

– Tak! Proszę wejść! Bałem się, że pani nie przyjdzie.

– Ja się bałam, że pana nie zastanę. – Na twarzy Laury de Noves pojawia się uśmiech. – Cóż za niepotrzebne katusze oboje przeżywaliśmy, mistrzu Simone.

Na ramiona narzuciła czarny szal, a na głowę czarną chustę. Skrywają jej piękno i elegancję stroju, ale i tak z pewnością jest najpiękniejszą kobietą na ulicach Awinionu.

– Czy trudno było się tu wymknąć?

– Nie bardzo, musiałam tylko otruć męża i udusić służącą.

Po raz kolejny urzeka go i zdumiewa jej poczucie humoru. Żałuje, że nie ma do dyspozycji wielu godzin, by mógł nauczyć się jej sposobu prowadzenia rozmowy, jej ruchów, jej sposobu rozumowania. Wie, że to spotkanie to prawdopodobnie jedyna szansa na zaspokojenie ciekawości.

Kobieta pokazuje dłonią w jedwabnej rękawiczce na mały zasłonięty prostokąt na sztaludze.

– Czy to on? To ja?

Simone kiwa głową.

– I co, poprawiłeś moje oczy?

– Tak sądzę. Mam nadzieję. A ty, pani, przyniosłaś zwierciadło?

– Naturalnie. Przecież obiecałam.

Wyjmuje z wewnętrznej kieszeni sukni małe lusterko ze srebrną rączką.

– Nie wiedziałem, czy naprawdę masz taki zamiar.

– Nie zawsze dotrzymuję obietnic, mistrzu Simone, ale się staram.

Uśmiecha się, chociaż to smutny uśmiech. Malarz dostrzega ból malujący się na jej twarzy w tej samej chwili, gdy rozlegają się żałosne trele karmelitańskich mniszek. Laura kładzie zwierciadełko na stole, po czym zdejmuje szal i chustę, i również je odkłada na stół. Unosi lusterko i przygląda się swojej fryzurze, a potem

poprawia grzebyk w tak niewielkim stopniu, że Simone nie może nawet powiedzieć, co zrobiła. Po tych wszystkich czynnościach podchodzi w końcu do sztalugi.

– Pokaż mi go, mistrzu Simone. Co ty mówiłeś o tym obrazie? Że jestem na nim „prawdziwą sobą"? Pokaż mi zatem prawdziwą mnie.

Z nerwowością debiutanta siwowłosy artysta ściąga powoli sukno. Zaczepia ono gdzieniegdzie o świeże płótno. Jedynym odgłosem w pomieszczeniu jest delikatny szelest materiału. A potem słyszy, jak kobieta gwałtownie wciąga powietrze. Malarz ośmiela się oddychać i ryzykuje spojrzenie na nią.

Jest zszokowany tym, co widzi. Spodziewał się jej uśmiechu, może nawet śmiechu lub oklasków. Tymczasem ona wygląda jak matka, która właśnie stała się świadkiem śmierci swego jedynego dziecka. Jej oczy pełne są bólu, prawą ręką przebiega po ustach, podbródku i szyi, lewą, w której wciąż trzyma lusterko, opuszcza. Zamyka oczy i zwiesza głowę, a jej ramiona zaczynają drżeć.

– O nie, pani, widzę, żeś niezadowolona. Nie wiem, co powiedzieć. Wybacz mi. Proszę cię, wybacz.

– Oszukałeś mnie, mistrzu Simone – szepcze kobieta. – To nie jestem... prawdziwa... ja. Może kiedyś rzeczywiście taka byłam. Jednak nie teraz. Nie jestem już tą kobietą. Może zresztą nigdy nią nie byłam.

– Jak to? Zaklinam cię na wszystkie świętości, wyjaśnij mi to, pani... Dłużej tego nie zniosę.

Przez wszystkie lata malowania jego obrazy nie spotkały się z tak wielkimi nadziejami i nie wywołały potem takiej rozpaczy. Nigdy też nie został doprowadzony do łez przez swych krytyków. A jednak Simone ze Sieny, rycerz Neapolu, w tej chwili płacze,

a śpiewające w oddali mniszki wydają się jeszcze odzwierciedlać jego cierpienie.

– Na czym polega mój błąd? Co jest w tym obrazie nieprawdą? Jakimże cudem aż tak cię rozczarowałem?

– Przedstawiłeś na tym płótnie żywą istotę, mistrzu Simone. Tymczasem powinieneś namalować kamień. Marmur pokryty słowami. Nie jestem teraz niczym więcej niż kamieniem i wersami. Nawet me serce zamieniło się w kamień. Mój mąż nad moje towarzystwo przedkłada towarzystwo swej kochanki. Mężczyzna, który twierdzi, że mnie kocha, składa należne mnie hołdy komu innemu.

Wchodzi za sztalugę, tak że nie musi już patrzeć na swój portret.

Simone milczy dłuższą chwilę. W końcu potrząsa głową.

– Biedna kobieto, cóż uczynił ci ten głupiec? – Podchodzi do niej i wpatruje się w jej twarz. – Być może masz rację, być może nie oddałem wiernie twego wyglądu. Trudno było dojrzeć twe rysy w słabym świetle w kościele – i to jeszcze z daleka. Muszę ci się baczniej przyjrzeć w tym świetle.

Stoi teraz na wyciągnięcie ręki od niej – tak blisko niej jeszcze nie był, jeśli nie liczyć krótkiej rozmowy w przyklasztornym ogrodzie. Wyciąga dłoń, wkłada poplamiony farbą kłykieć palca wskazującego pod jej brodę i unosi nieznacznie jej głowę. Pochyla się, po czym chwyta jej brodę kciukiem i palcem wskazującym, i obraca jej głową na boki, przypatrując się uważnie płaszczyznom, plamom światła i wgłębieniom w jej twarzy.

– Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy – mówi w końcu – ale muszę przyznać, że masz, pani, rację. Nie udało mi się oddać prawdziwej ciebie. Na przykład tutaj.

Unosi drugą rękę i kładzie palec wskazujący tuż powyżej prawego kącika jej ust.

– Masz tutaj malutki pieprzyk. – Pociera go koniuszkiem palca – być może specjalnie, a być może po prostu palec mu drży. – Nie zauważyłem tego pieprzyka. Wybacz mi, pani. Powinienem był go namalować – podkreśla linię twoich ust.

Odchyla się do tyłu, żeby spojrzeć na portret, ale jego dłonie pozostają na jej twarzy. W tej chwili palec wodzi po górnej wardze.

– Jestem pewien, że wygięcie ust oddałem prawidłowo – mówi – ale obawiam się, że nie udało mi się należycie wyrazić dojrzałości twojej dolnej wargi.

Sunie palcem po jej dolnej wardze, naciskając ją delikatnie. Palec ciągnie lekko wargę. Laura dygoce, jej oddech staje się szybki i urywany. Simone bierze jej wargę pomiędzy kciuk i palec wskazujący, ściska ją i skręca, a kobieta robi gwałtowny wdech, po czym cichutko jęczy.

– Twój podbródek – mruczy malarz, głaszcząc go. – Wiem, że nie poszło mi z nim źle. Jednak te kosmyki włosów na twej szyi... nie zauważyłem ich w półmroku.

Wsuwa dłonie pod luźne kosmyki jej włosów, nie dotykając przy tym skóry na jej szyi, a jedynie meszku. Kobieta ma uczucie, jakby to wiatr muskał jej ciało. Malarz powraca ręką do jej ust, pieści je palcami, a potem muska nimi krawędzie jej zębów.

– Gdybyś się uśmiechnęła podczas mszy – szepcze – mógłbym namalować twoje zęby.

Wsuwa między nie palce. Kobieta otwiera szerzej usta, a potem zaciska zęby na jego palcach i Simone jęczy. Jej twarz jest zarumieniona, oddech urywany, a źrenice tak rozszerzone, że prawie zasłaniają tęczówki. Malarz opuszcza drugą rękę do jej dłoni, podnosi ją i podstawia jej pod oczy lusterko.

– Popatrz jeszcze raz w to zwierciadło i powiedz mi teraz: czy ta kobieta jest kamieniem czy rozpaloną żywą istotą?

Laura wpatruje się w swe odbicie. Wstrzymuje oddech, kolana się pod nią uginają i osuwa się w jego ramiona. On unosi ją swymi poplamionymi od farb rękami, kładzie na stole, a potem z niesłychaną czułością zaczyna ją rozbierać.

***

Dokonuje dwóch niewielkich zmian w jej portrecie, malując obnażony do pasa, podczas gdy Laura wyciera się wilgotną ściereczką, którą jej podał. Tuż obok kącika ust dodaje pieprzyk, a nad suknią, pomiędzy jej piersiami, domalowuje malutki język ognia. Kiedy kończy, ona zapina suknię, wygładza jedwab i upina włosy. A potem przegląda się raz jeszcze w lusterku, porównując się z portretem. Tym razem się uśmiecha, gdy wkłada lusterko z powrotem do wewnętrznej kieszeni sukni. Nie odzywają się do siebie. Kobieta wyjmuje pędzel z jego ręki i kładzie go na półce sztalugi, po czym przykłada jego dłoń do swojego mostka, dokładnie tam, gdzie na portrecie widać ogień. Przyciskając mocno rękę do swego ciała, całuje go w usta, a potem w policzki, po czym wymyka się przez drzwi na ulicę, którą oddali się od niego.

Pozostają mu coraz cichsze głosy chóru karmelitanek, wpadające przez otwarte drzwi, zmieszane ze słabnącym zapachem jej perfum i piżma. Podchodzi do stołu, ściąga z niego sukno i przyciska do twarzy, wciągając jej zapach. Tak pachnie owoc zakazany, myśli. Owoc z drzewa poznania dobra i zła.

Nazajutrz pakuje portret i wysyła go do Petrarki. Nie podpisuje ani paczki, ani samego obrazu. Simone zdradził nie tylko Giovannę, lecz także człowieka, który jest jego klientem i przyjacielem. Wie o tym i spodziewa się, że zapłaci za to wysoką cenę, będzie musiał to odpokutować. Jednak będzie to prywatna pokuta, którą sam na siebie nałoży. Musi dźwigać to brzemię sam, aby nie zranić uczuć

tych, których skrzywdził. Nierozerwalnie związany ze wspomnieniem tego, jak Laura rozpaliła się pod jego dotykiem, Simone musi poradzić sobie z sekretnym poczuciem winy.

Dwa tygodnie później posłaniec przynosi przesyłkę od Petrarki. W środku znajduje się dwadzieścia pięć florenów – druga część honorarium za portret – oraz wiersz. Petrarka naprawdę to zrobił: wziął na poważnie żart Simonego i napisał wiersz sławiący ten portret. Malarz czyta pierwsze wersy, w których poeta oświadcza, że gdyby wszyscy najlepsi malarze rywalizowali ze sobą przez tysiąc lat, i tak zdołaliby oddać jedynie ułamek niezrównanego piękna Laury. Kolejny wers brzmi następująco:

Szymon się tedy w niebo wstąpić waży,
Skąd moja pani jest miłości posłem;
By tam ją widząc, dłutem wielce wzniosłem
Świadectwo prawdzie dał z jej pięknej twarzy.
Więc dzieło wyszło z serca tej potrzeby,
Któremu chętnie, jak bądź z ciężką troską,
Spowitą w zmysły duszę moją święcę.[18]

Martini czyta te słowa po raz drugi, a potem trzeci.

– „Spowitą w zmysły duszę moją święcę" – wypowiada głośno, po czym potrząsa głową i dodaje: – Co za głupiec.

Gniecie kartkę swymi silnymi, poplamionymi farbami dłońmi, które jeszcze niedawno ściskały jej namiętne ciało.

Kilka dni po otrzymaniu od Petrarki wiersza i pieniędzy Simone dostaje nowe zlecenie. Ma nadzieję, że pozwoli mu ono zapomnieć o tęsknocie i poczuciu winy. Ma wykonać freski w pałacu papieskim – w sypialni samego papieża! Komnata położona jest wysoko w Wieży Aniołów, ogromnej kamiennej fortyfikacji, którą

armia robotników papieża Benedykta budowała przez cały zeszły rok. Zaledwie czternaście miesięcy temu wbudowano kamień węgielny. Obecnie kamieniarze nakrywają wieżę zwieńczonymi blankami parapetami murów obronnych. Ciekawe, myśli Martini. Wybudowanie katedry w Sienie, poświęconej Bogu, trwało pięćdziesiąt lat. Tę ogromną budowlę poświęconą papieżowi – pałac papieski, fortecę i skarbiec – wzniesiono w mgnieniu oka.

Simone przedstawia się strażnikowi przy wejściu do wieży. Ten przygląda mu się bacznie, ale malarz nie spotyka się z jego aprobatą, być może budzi w nim odrazę (może to przez zapach terpentyny, a może zapach obcokrajowca, który wyczuwa francuski strażnik). Tak czy owak, macha do niego ręką i pokazuje w głąb pomieszczenia.

– Idź do *monsieur* Poissona, architekta i głównego majstra.

Poisson ślęczy nad stertą rysunków, rachunków, pokwitowań i zapisków. Podnosi wzrok, zmęczony i niewyspany.

Malarz przedstawia się po francusku:

– Simone Martini, malarz ze Sieny, do usług.

– Martini? A, tak, Martini, masz pomóc francuskim malarzom w komnacie papieża.

Simone wzrusza ramionami.

– Wolałbym myśleć, że to francuscy malarze będą pomagać mnie – żartuje, ale Poisson nie reaguje.

Prowadzi Martiniego dwa piętra wyżej po kręconych schodach wzniesionych w jednym rogu wieży. Komnata papieża, mieszcząca się na trzecim piętrze kwadratowej wieży, ma jakieś dziesięć metrów kwadratowych powierzchni i sześć metrów wysokości, i jest cała zawalona wiadrami z farbą. Martini dolicza się jakichś dwudziestu robotników; jedna trzecia z nich to kamieniarze i tynkarze, jedna trzecia – malarze, a jedna trzecia to widzowie lub

majstrowie, trudno stwierdzić, którzy są którzy. Przy wszystkich ścianach stoją rusztowania, od podłogi do sufitu. Na poziomie podłogi, przy nogach rusztowań, uwijają się malarze, pokrywając błękitne tło pętelkami i zawijasami złotej winorośli, na której gałęziach przesiadują stada ptaków. Poziom wyżej ekipa tynkarzy właśnie kończy nakładać świeżą warstwę tynku, a malarze przepychają się z nimi, chcąc jak najszybciej nałożyć na tynk błękitną farbę. Muszą się uwijać, malując nie tylko tło, lecz także winorośle i ptaki, zanim wyschnie tynk. Na trzecim i najwyższym poziomie kamieniarze nakładają pierwszą warstwę zaprawy na najwyższe gołe kamienie. To właśnie ten poziom, ostatnie półtora metra ściany pod sufitem, ma pomalować Martini – a oprócz tego głębokie wnęki, w których umieszczono okna.

Simone czuje rozczarowanie. Najlepsza część komnaty – największa i najniżej położona – została oddana francuskim malarzom i zniszczona przez nich bohomazami z prostymi, złotymi zawijasami na błękicie. Dziecinna igraszka! Simone mógłby to namalować lewą ręką z zamkniętymi oczami!

Wspina się po drabinie na najwyższą platformę rusztowania – jego poziom – i przygląda się z wysokości komnacie pełnej uwijających się ludzi. Nie wybrał tematu swego fresku, ale wie, że będzie to coś bardziej wymagającego i robiącego o wiele większe wrażenie. Coś z głębią, detalami i dramatyzmem; coś, co sprawi, że papież pokaże ręką na ten fresk i powie: „Przyprowadźcie do nas malarza, który to stworzył, abyśmy mogli go wynagrodzić i sławić nad innymi artystami!”.

Jego fantazje zostają przerwane przez krzyk dobiegający z dołu:

– Martini!

Patrzy w dół. Majster francuskich malarzy, Jean d’Albon, macha, by przyciągnąć jego wzrok.

– Musimy zmieszać więcej tempery – mówi mężczyzna. – Mógłbyś nam przynieść więcej jaj? Najlepiej dwadzieścia?

Simone patrzy na gliniane dzbany, w których sproszkowane pigmenty – czerwone, niebieskie, zielone i złote – miesza się z żółtkiem jaj, żeby je nasączyć i żeby farba trzymała się tynku. Rzeczywiście, dzbany są prawie puste. Simone zastanawia się nad odmową – czyżby d'Albon wydał mu to upokarzające polecenie, żeby ustalić hierarchię? – ale wszyscy francuscy malarze naprawdę wyglądają na zajętych, a d'Albon składa dłonie jak do modlitwy, kłania się lekko i dodaje:

– Wkrótce, kiedy ty w pośpiechu będziesz kończył swe wspaniałe freski, ja będę przynosił jaja tobie.

Simone nie może opanować uśmiechu. D'Albon na pewno nigdy nie będzie odgrywał roli chłopca na posyłki, ma od tego uczniów, ale żartobliwa propozycja dowodzi, że uważa Simonego za równego sobie. Pozostali malarze z pewnością dostrzegą ten gest.

Simone schodzi po drabinie i krzyczy:

– A gdzie znajdę dwadzieścia jaj, złożonych przez dwadzieścia pobożnych kur ku chwale Boga, Jego Świątobliwości papieża Benedykta i francuskich malarzy fresków?

D'Albon wybucha śmiechem i pokazuje palcem wskazującym w dół.

– Po schodach, aż do podnóża wieży, gdzie jest miło i chłodno. Niedługo powstanie tam skarbiec pełen złota, srebra i klejnotów. Na razie jednak mieści się tam piwnica na jaja, zaprawę do tynków i szmaty.

Simone pochyla się i wychodzi na kręcone schody, jednak kilka stopni niżej pod wpływem impulsu zatrzymuje się i zadziera głowę. Schody wiodą dalej w górę, prawdopodobnie na dach. Simone postanawia na chwilę zboczyć z trasy. Błyskawicznie pokonuje

pierwszą spiralę schodów, w miarę szybko przebywa drugą i z wysiłkiem trzecią. Ciężko dysząc, wychodzi na dach.

Widok z dachu zapiera dech w piersiach. Na zachodzie przęsła mostu Świętego Benedykta wiodą przez Rodan do Villeneuve. Na jego odległym końcu znajduje się druga kwadratowa wieża, którą wybudował król Francji, by pobierać z niej myto... i dla przypomnienia czasami aroganckim mieszkańcom Awinionu, kto naprawdę panuje w tej części świata. Z dołu dobiega głos d'Albona, który właśnie ruga ucznia za niedbałe tynkowanie. Simone odwraca się od pięknego widoku i zbiega do piwnic.

Po pewnym czasie zaczyna mu się kręcić w głowie od tych schodów. Niemal na samym dole zatrzymuje się i opiera o ścianę, żeby trochę się uspokoić. Jest tu chłodno i ciemno – niższe piętra wieży pozbawione są okien, zamiast nich są wąskie szpary, przez które wpada trochę światła i powietrza. Z komnaty poniżej dobiega odgłos przesuwania czegoś po piaszczystym podłożu, przerywany stękaniem z wysiłku. Zaciekawiony Simone pokonuje ostatnie stopnie i zagląda do komnaty, piwnicy na jaja, która wkrótce zapełni się skarbami. W złocistej poświacie migoczącej lampy widzi tęgiego robotnika wpychającego ciężką skrzynię w głęboką wnękę w murze, a potem zastawiającego ją płaskim kamieniem i zalepiającego go zaprawą murarską. Mężczyzna nie za dobrze radzi sobie z kielnią i efekty jego pracy wyglądają niechlujnie. Konsternacja Simonego tylko wzrasta, gdy mężczyzna kończy pracę. Kiedy się podnosi, Simone widzi, że jasny strój, który wziął za kitel robotnika, to w rzeczywistości sięgający do podłogi biały habit. Habit cystersa, który, jak wszyscy wiedzą, ukochał sobie papież Benedykt, biały kardynał, który został białym papieżem.

Nagle Simone zdaje sobie sprawę, w jak wielkim znajduje się niebezpieczeństwie. Ukrywając się na schodach, przygląda się

jakiemuś sekretowi papieża. Malarz wycofuje się do góry, ukrywa się w ciemnej, pustej komnacie i czeka... aż wreszcie słyszy kroki. Ze swojej kryjówki patrzy na odzianą na biało postać, która mija go niczym jakiś otyły, ciężko dyszący duch. Kiedy kroki i sapanie cichną, Simone spieszy z powrotem do piwnicy. Powinien zabrać jaja i jak najszybciej pobiec z nimi na górę. Francuscy malarze w każdej chwili mogą zostać bez tempery, o ile już nie zostali – jednak ciekawość zwycięża poczucie odpowiedzialności. Podchodzi do ściany, kuca przy wiadrze z zaprawą i wpatruje się w nieudolnie wykonaną pracę, zupełnie jakby bliższe przyjrzenie się ścianie mogło wyjaśnić, co ukryte jest w środku. I to ukryte osobiście przez papieża! Ale dlaczego? Dlaczego ukrył wewnątrz ściany jakąś cenną skrzynię, skoro cała ta komnata, od podłogi do sufitu, ma być przeznaczona do przechowywania skarbów? I dlaczego nie zatrudnił do tej roboty prawdziwych kamieniarzy?

Zaskoczony własną zuchwałością, Simone podnosi kielnię i zaczyna nią zdrapywać zaprawę podtrzymującą kamień. Potem wyjmuje kamień, opiera go o ścianę i wyciąga skrzynię z wnęki. Skrzynia, kamienna kaseta, jest owinięta drutem, a jego kawałki są połączone ołowianymi pieczęciami – pieczęciami Benedykta XII! – dla lepszej ochrony zawartości.

Rubiny i szmaragdy? Złote floreny? A może nawet święty Graal? Wyzbywając się do cna ostrożności i szacunku dla władzy, Simone przecina drut krawędzią kielni i podważa wieko. Zanim jeszcze je uniesie i odłoży na bok, dociera do niego odór śmierci, więc nie jest całkowicie zaskoczony widokiem kości. Simone nie jest zbyt wrażliwy – biorąc pod uwagę to, że tak wielu modeli artystów to żebracy i dziwki, malarz nie może sobie pozwolić na wrażliwość – więc bez odrazy przygląda się zawartości skrzyni.

Najpierw czaszka. Bierze ją ostrożnie w obie ręce i unosi do oczu. Twarz długa i wąska, kości policzkowe wysoko osadzone i wydatne, czoło nieco niższe, niż można by się było spodziewać. Obraca czaszkę w dłoniach, szukając zniszczeń, oznak gwałtownej śmierci, ale nic nie znajduje. A jednak jej kształt i proporcje wydają mu się dziwnie znajome. Marszczy brwi, próbując sobie przypomnieć jakieś konkrety, i nagle odkłada czaszkę na bok, zaczyna grzebać w skrzyni, dopóki nie znajduje tego, czego szuka: kości przedramienia, które są – tak jak się tego spodziewał – rozszczepione na końcach, tuż nad miejscem, gdzie kiedyś był nadgarstek. Dokładnie tam, gdzie przechodził przez niego gwóźdź, który przybijał go do krzyża.

Wyjmuje ze skrzyni drugie ramię, a potem stopy. Wszystkie cztery kończyny noszą nierówne ślady wbijania gwoździ. Martini kładzie je razem z czaszką na półkę i wpatruje się w te kości – kiedyś przyobleczone były w ciało, które z taką uwagą szkicował.

Sięga pamięcią do tej dziwnej nocy sprzed siedmiu lat, kiedy wiele godzin rysował przy migoczącym świetle lamp, oddając każdy detal świeżych zwłok leżących na podłodze celi. Przypomina sobie słowa strażnika:

– Wierzę, że to był święty... Jego grzechem było to, że był wolny od grzechu.

Przykrywa skrzynkę wiekiem. A potem, pod wpływem impulsu, którego nie umie ubrać w słowa, sięga po narzędzia leżące na podłodze – dłuto i młotek – i szybko ryje szeroki krzyż w kamiennym wieku. Potem, pod krzyżem, używając ostrego rogu dłuta, wyżłabia kontur baranka. Spieszy się, bojąc się, że zaprawa w wiadrze za chwilę stwardnieje, i wie, że z pewnością ryzykuje życiem, ingerując w sekret papieża. Wkłada skrzynkę do wnęki, zakrywa ją kamieniem i ładuje kielnią zaprawę w szpary, naśladując niechlujną robotę Ojca Świętego.

Kiedy kładzie ostatni kawał zaprawy w szparę między kamieniami, zastanawia się, dlaczego Bóg sprawił, że ścieżki tego zmarłego człowieka – tego bezgrzesznego człowieka, jeśli wierzyć strażnikowi – i Simonego ponownie się przecięły.

ROZDZIAŁ 33

AWINION
CZASY WSPÓŁCZESNE

Kiedy Elisabeth przyszła zabrać tacę, ze zdziwieniem spojrzała na owoce i pieczywo oraz nietkniętą kawę espresso.

– Jak to? – spytała zdumiona – Nie ma *monsieur l'inspecteur*? – Rzuciła okiem na błękitne niebo. – Czy słońce dziś nie wzeszło? Czy to koniec świata?

– Jestem tak samo zdziwiony jak ty.

Zamiast zabrać tacę, usiadła przy fontannie, tam gdzie zazwyczaj siadał Descartes.

– Cieszę się, że go nie ma – powiedziała.

– Nie dziwię ci się. Croissanty i owoce jada w ilościach hurtowych. – Nie wspomniałem o napychanych kieszeniach co rano.

Zmarszczyła czoło, a potem się rozchmurzyła.

– Ach, *non*. Nie o to mi chodzi. Cieszę się, bo chcę z tobą porozmawiać. Mam dla ciebie wiadomość. Chyba się z niej ucieszysz.

– Znowu bawiłaś się w detektywa? – Ostatni raz była tak podniecona, kiedy podzieliła się ze mną swoją teorią na temat

tożsamości N.N., sugerując, że szkielet może należeć do mistrza Eckharta.

Klasnęła w dłonie radośnie.

– *Oui!* Pamiętasz, co mi powiedziałeś? – Nachyliła się bliżej i mówiła teraz konspiracyjnym szeptem: – Że ten mężczyzna miał wyjątkowe proporcje? Nogi do szyi?

Roześmiałem się.

– Może nie aż tak długie. Ale rzeczywiście miał bardzo długie nogi jak na mężczyznę swojego wzrostu. Tak długie jak moje, a ja jestem od niego sporo wyższy.

– W zeszłym tygodniu skontaktowałam się z kuzynem. Mówiłam ci, że jest dominikaninem, tak? – Skinąłem. – Nie powiedziałam mu, dlaczego, więc nie martw się, nie zdradziłam sekretu. Ale spytałam go, co dominikanie wiedzą o wyglądzie Eckharta – jego wzroście i posturze. *Mon Dieu*, mój kuzyn pomyślał na pewno, że oszalałam, ale obiecał, że sprawdzi. Dziś rano dostałam od niego mail. Pierwszy portret Eckharta powstał dopiero sto lat po jego śmierci, więc nie wiadomo, jak wyglądała jego twarz. Ale czasami za jego plecami inni zakonnicy nazywali go *Ciconia Dei*. – Oparła się o oparcie krzesła, wyraźnie z siebie zadowolona.

– Dlaczego tak go nazywali?

Z błyskiem w oku i szerokim uśmiechem samozadowolenia odparła:

– To po łacinie znaczy „bocian Boga".

ROZDZIAŁ 34

AWINION

Rok 1337

Martini unika Laury równie wytrwale, jak Petrarka jej szuka. Ilekroć poeta jest w Awinionie, śledzi biedną kobietę, podążając dwadzieścia lub trzydzieści kroków za nią. Skrupulatnie pilnuje właśnie tej odległości: jest na tyle blisko, by ją widzieć, i na tyle blisko, by widziała jego melancholijną twarz i umiejętnie spuszczony wzrok, ale zarazem na tyle daleko, by odległość tę należało uznać za niewinną. Natomiast dla Simonego żadna odległość nie byłaby niewinna ani eteryczna, gdyby znalazł się w obecności Laury, dlatego w ogóle trzyma się od niej z daleka.

A mimo to nie może od niej uciec ani o niej zapomnieć. W zasadzie Laura prześladuje Simonego równie bezustannie, jak Petrarka prześladuje ją. Nie ma dnia, żeby jakiś hrabia, markiz, emisariusz albo dama nie odnaleźli go, nie wzięli na stronę i nie wyszeptali mu do ucha, jakby to był nie wiadomo jaki sekret: „Wiem, że namalowałeś portret Laury dla biednego Petrarki. Widziałem/widziałam go – cóż za uderzające podobieństwo!".

Zdaje się, że nie ma mieszkańca Awinionu, który by nie widział tego sekretnego portretu... i chociaż malarz wie, że tak nie jest, od czasu do czasu, żeby sprawdzić wielbicieli, zadaje pytania, które niemal zawsze zbijają ich z tropu:

– I co myślisz o jej szmaragdowym naszyjniku?

Albo:

– Czy błękit jej oczu nie jest zbyt głęboki?

Zadziwiające, że mały sekretny portret Laury – widziany przez niewielu, ale przez wielu wychwalany – sprawił, że imię Martiniego jest na ustach wszystkich. Petrarka zdążył do tego czasu napisać już nie jeden, ale dwa sonety wychwalające obraz. Zostały skopiowane i rozpowszechnione, być może przez innych poetów, a być może przez samego Petrarkę, który nie należy do skromnych.

Martiniego przerażają te wiersze, jednak byłby ostatnim głupcem, gdyby odrzucał zamożnych klientów, których zdobywa dzięki nim. Jeden z nich, kardynał Corsini, nawet bardziej skłonny do narcyzmu niż Petrarka, jeśli to w ogóle możliwe, zamówił portret osoby, którą najbardziej kocha, czyli samego siebie.

Dla Simonego, zajętego portretami i freskami w komnacie sypialnej papieża, portret umarłego Chrystusa staje się coraz mniej palącą kwestią. Freski dla papieża są niemal skończone. Dwadzieścia cztery panele, które wieńczą ściany sypialni, przedstawiają sceny z czterech ewangelii, chociaż znajdują się tak wysoko, że chyba nikt nigdy nie będzie w stanie w pełni docenić ich detali. Freski we wnękach okiennych przedstawiają architektoniczne detale, takie jak łuki, kolumny i kasetony, które dają iluzję głębi, sprawiając, że ściany wydają się mieć nie zaledwie dwa metry grubości, ale trzy albo cztery, tak że Jego Świątobliwość może spać spokojnie świadom siły swoich fortyfikacji.

Simone zatrudnia teraz dwóch pomocników. Malują tła, draperie i inskrypcje, pozwalając Simonemu skupić się na tym, co najbardziej chce malować i woli od wszystkiego innego: twarze i ciała, o których wszyscy mówią, że są bardziej realistyczne niż u innych malarzy – i to prawda! Jest zawalony zleceniami, pracując ciężej niż kiedykolwiek wcześniej w całym swoim życiu.

Jego ostatnie dzieło to cztery freski zamówione do portyku w katedrze. Pierwszy z nich, przedstawiający Andrzeja Corsiniego uzdrawiającego ślepca, w pewnym sensie sfinansował trzy pozostałe. Obraz przedstawia cud, który według rodziny Corsinich wydarzył się ledwie kilka lat temu, na schodach wiodących do katedry, pewnego ranka przed mszą. Przywrócenie wzroku niewidomemu (jeśli to prawda) to zaiste cudowny czyn, chociaż Simone nie może się powstrzymać przed myślą, że obraz ten

bynajmniej nie jest wyrazem czystej pobożności. Rodzina Corsinich rozpoczęła właśnie energiczną kampanię mającą na celu ogłoszenie Andrzeja świętym, a fresk jest najważniejszym jej punktem. „Zobaczcie (zdaje się mówić), dowód macie przed oczami. Trzeba samemu być ślepym, by go nie dostrzec".

Drugi fresk, Madonna Pokorna, to poniekąd spełnienie obowiązku – bądź co bądź to katedra pod wezwaniem Maryi. Również w tym wypadku Simonemu trudno włożyć w ten obraz całe serce. Być może z coraz większym sceptycyzmem podchodzi do cudu niepokalanego poczęcia, ale bardziej prawdopodobne jest to, że po prostu męczy go ciągłe malowanie matek z dziećmi, zwłaszcza że Giovannę coraz większym smutkiem napawa jej bezpłodność.

Dla odmiany trzeci obraz – błogosławieństwo Zbawiciela – to źródło satysfakcji i wielkiej dumy Simonego. Jezus wydaje się na nim unosić na niebie. Prawą rękę ma podniesioną w błogosławieństwie, w lewej trzyma kulę. Wewnątrz tej kuli Simone ukazał świat w miniaturze: krajobraz, marszczące się wody i rozgwieżdżone niebo. Wzrok Zbawiciela jest silny i przenikliwy, odnosi się wrażenie, jakby nasz Pan patrzył prosto w oczy oglądającym. To odważne i bezprecedensowe posunięcie – Simone nie namalował czegoś takiego jeszcze nigdy na żadnym obrazie z Jezusem ani na żadnym czegoś takiego nie widział. Z pewnością ten wyraz hołdu dla Chrystusa ma być błogosławieństwem dla człowieka, który go namalował, z pewnością ma zmyć z Simonego sekretne poczucie winy.

Czwarty fresk ukazuje świętego Jerzego zabijającego smoka i ratującego księżniczkę. Jak można się domyślić, ten obraz jest żywszy od pozostałych. Simone nie jest pierwszym malarzem, który przedstawia ten bohaterski czyn, ale bez wątpienia jako pierwszy

ukazuje go z tak dużym dramatyzmem. Rycerz na koniu akurat szarżuje, zaciska obie dłonie na lancy, przeskakuje ponad kośćmi rycerzy, którzy zginęli, walcząc z potworem. Smok stoi, gotując się do walki, pokryty łuskami grzbiet ma wygięty, pazury wyciąga do konia. Jego ślepia błyszczą z wściekłości, a pełna ostrych zębów paszcza jest rozwarta, by wypuścić ognisty podmuch. Jednak bestia jest o ułamek sekundy zbyt wolna. Chociaż smok jeszcze tego nie wie, rycerz właśnie zadaje mu śmiertelny cios. Święty Jerzy ciska lancę prosto w otwartą paszczę potwora z tak wielką siłą, że przedziurawi ona jego gardło na wylot i wynurzy się z tyłu szyi, a jej ostrze pokryte będzie krwią.

Mimo swej błyskotliwości i dramatyzmu fresk ze świętym Jerzym przywodzi Simonego do zguby. Malując księżniczkę ratowaną przed smokiem, malarz pod wpływem impulsu nadaje jej rysy twarzy Laury. Oczywiście twarz jest mała – ledwie kilkucentymetrowa – ale ci nieliczni szczęśliwcy, którzy dostąpili zaszczytu oglądania artysty przy pracy, wydawali się o wiele bardziej zainteresowani księżniczką niż cudotwórcą Corsinim, Dziewicą Maryją, Chrystusem czy zabijającym smoka rycerzem. Kończąc smoka, Simone zastanawia się, czy nie zmienić twarzy księżniczki, jednak upór lub duma triumfują nad głosem rozsądku, więc ostatecznie jej nie poprawia.

W niedzielny poranek, gdy freski zostają odsłonięte, przed mszą zbierają się tłumy chętnych do ich zobaczenia.

Chcąc się pławić w ich zachwycie, Simone stoi tuż za drzwiami, a obok niego rozpromieniona Giovanna. Jakaś setka ludzi już obejrzała freski i złożyła gratulacje, a jeszcze ze dwie setki tłoczą się na schodach i ulicy. Simone wychyla się przez drzwi, chcąc zobaczyć kolejkę, ale to, co widzi, sprawia, że o mało nie mdleje. Na samym szczycie schodów, o krok od przedsionka stoi młoda hrabina – Laura

de Noves. Ubrana w zieloną, jedwabną suknię i z naszyjnikiem na szyi. Klejnot, który spoczywa na jej mostku, to ogromny rubin o kształcie łzy... albo płomienia. Obok niej stoi, trzymając w zaborczym geście rękę na dole jej pleców, chudy mężczyzna o ziemistej cerze, przerzedzonej rudej czuprynie i wodnistych błękitnych oczach. Za parą stoi niańka, trzymając na rękach małe dziecko. Włosy chłopca są czarne, jego oczy brązowe, a skóra śniada – to kolory Sieny, a także Simonego – ojca chłopca!

Martini chwiejnym krokiem wchodzi do nawy, a potem wymyka się bocznymi drzwiami, zostawiając za sobą setki rozczarowanych wielbicieli. Na odchodnym ogląda się jeszcze za siebie i widzi swoją żonę wpatrującą się w Laurę i dziecko, madonnę i jezuska. Nawet w półmroku panującym w kościele Simone dostrzega błysk rozpoznania, szok i poczucie zdrady świtające – nie, rozbłyskujące jak błyskawica – na twarzy Giovanny, kiedy przygląda się bladej kobiecie i śniademu chłopcu, skórze zdjętej z Simonego.

Malarz, potykając się, zbiega ze wzgórza i kieruje się do swojej pracowni. A tam siada ciężko na stołku i opada na stół. Uświadamia sobie, że freski w katedrze bynajmniej nie były jego pokutą. Namalowana z bezmyślną arogancją scena ze świętym Jerzym tylko pogłębiła jego poczucie winy, ponieważ Giovanna cierpi teraz, wiedząc, że był jej niewierny... i jest ojcem syna, którego ona nie jest w stanie mu dać. Simone nie tylko zawiódł jej zaufanie, ale również złamał jej serce i odebrał niewinność. Jęczy i szlocha, uświadamiając sobie ogrom swej hańby. Potem, z zadziwiającą, przenikliwą jasnością, nagle zaczyna rozumieć, jaką pokutę musi odbyć. Muszę znaleźć sposób, by przedstawić śmierć niewinności – myśli – mojej niewinności, niewinności Giovanny i niewinności świata. A cóż lepiej ją wyrazi niż pośmiertny portret Chrystusa, którego modelem był bezgrzeszny zmarły mężczyzna, wysłany przez

Boga w jego kierunku. Jak to powiedział strażnik? „Jego grzechem było to, że był wolny od grzechu”?

Simone doprowadza do porządku swój stół i rozpościera na nim zakurzone szkice zmarłego mnicha Eckharta. Wreszcie rozpoczyna pokutę, której unikał przez ostatnie dwa lata. Pokutę za to, że zdradził Giovannę.

ROZDZIAŁ 35

Simone bierze szmatę ze stołu i gwałtownie wyciera temperę z deski. Namalował już kilkanaście postaci zmarłego, ale zniszczył wszystkie, uznawszy je za nijakie i bezbarwne, całkowicie pozbawione mocy tego nagiego trupa leżącego na kamiennej posadzce celi, słabsze nawet od szkiców węglem, które zrobił przy migoczącym świetle niemal dekadę temu.

Po raz setny wraca do tych szkiców. W odróżnieniu od prób z farbą rysunki wizerunku tego mężczyzny są surowe, lecz przejmujące. Dlaczego nie może oddać za pomocą farby tego, co udało mu się osiągnąć węglem? „Dlatego – odpowiada sam sobie – że malarstwo jest zbyt kunsztowne, zbyt wyrafinowane: obraz to mieniący się przedmiot do podziwiania z dystansu, niemający takiej siły oddziaływania, niewywołujący aż takiego wstrząsu. Siła tej sceny i tych szkiców polega na ich surowości i bezpośredniości przekazu. W tamtej chwili i przy oglądaniu tych szkiców nie ma możliwości zdystansowania się albo bezpiecznego wycofania się do kontemplowania barw i techniki, kompozycji i harmonii, postaci i tła, pozłacanych ram i aureoli”. I wtedy

uświadamia siebie, że *Śmierć niewinności* nie może być obrazem, to musi być coś surowego, niewyrafinowanego i niedającego spokoju.

Jednak same szkice nie wystarczą. Simone pojmuje siłę, jaka tkwi w tych niezgrabnych rysunkach wykonanych na chropowatym papierze. Zwykli śmiertelnicy, widząc ten skromny materiał, mogą błędnie uznać te rysunki za błahostki, mogą one nie dotrzeć do ich serc i umysłów. Simone musi pomóc ludziom pozbyć się uprzedzeń i otworzyć serca. By oddać sprawiedliwość człowiekowi niewinnemu jak baranek, Martini musi być chytry jak lis.

Przed oczami pojawia mu się nieproszony obraz: *Opłakiwanie Chrystusa* mistrza Giotta na ścianie kaplicy w Padwie. Bezwładne ciało Jezusa otaczają rozpaczający uczniowie, nad nimi unoszą się pogrążeni w żalu aniołowie z rękami rozpostartymi, złożonymi lub przyłożonymi do twarzy w wyrazie przerażenia i rozpaczy. Za lamentującymi ludźmi rozciąga się skała, która biegnie z lewego dolnego rogu fresku do prawego górnego. Jej powierzchnia wydaje się płynna, zupełnie jakby została przykryta materiałem. Przed laty Simone zastanawiał się nawet przez chwilę, czy to przypadkiem nie całun do zawinięcia Chrystusa leży na tej skale.

Teraz ten zapamiętany fresk i jego własne szkice łączą się i już wie, co robić.

W warsztacie tkackim przy rue de Teinturiers, ulicy farbiarzy, przegląda i odrzuca kilka materiałów – są zbyt szorstkie, zbyt połyskliwe lub zbyt krótkie – aż w końcu znajduje taki, jakiego szukał: długą płachtę jasnego płótna z fakturą w jodełkę, która dodaje elegancji, a jednocześnie nie jest wyzywająca.

Kupuje całą belę i dźwiga ją do pracowni. Rozkrusza jedną ze swoich kred na pył i miesza ją z żółtkiem jaja dla uzyskania czerwonobrązowej barwy tempery. Maże róg tkaniny, ale od razu widzi, że kontrast jest zbyt gryzący, efekt nie ma nic wspólnego

z tajemnicą czy mistycyzmem. Marszcząc brwi, bierze kolejny kawałek kredy i bezpośrednio na materiale szkicuje brwi i nasadę nosa. Uznaje, że rezultat jest lepszy, ale wciąż zbyt oczywisty. Żeby uzyskać zamierzony efekt, Simone musi stworzyć przyciągającą uwagę twarz – cień twarzy, jej widmo.

W końcu, z wahaniem, bierze arkusz pergaminu i cieniuje nos i brwi, a potem resztę twarzy, jednak tym razem specjalnie czyni obraz ciemnym i ciężkim. Potem przykłada do rysunku drugi róg tkaniny. Używając tępego, zakrzywionego końca stępora, którym kruszy pigmenty, pociera delikatnie we wszystkich kierunkach, przyciskając materiał do obrazu z proszku. Po kilku minutach pocierania unosi materiał i wciąga gwałtownie powietrze. Na płótnie, wpatrując się prosto w niego, znajduje się duch zamordowanego mnicha, duch ukrzyżowanego Chrystusa, duch utraconej niewinności.

ROZDZIAŁ 36

AWINION
CZASY WSPÓŁCZESNE

Po raz dwudziesty spojrzałem na wejście na antresolę, nadsłuchując kroków Mirandy. Czekałem od pół godziny i zacząłem się już denerwować. Nie spóźniała się zazwyczaj, zwłaszcza kiedy to ona proponowała spotkanie. Nasz znajomy bibliotekarz, Philippe, który zaczął się interesować naszymi obiektami zainteresowania – Eckhartem, Martinim i całunem – zadzwonił do Mirandy godzinę wcześniej i powiedział, że znalazł coś intrygującego, więc Miranda

wezwała też mnie. Kiedy dotarłem do biblioteki, zdziwiłem się, że dziewczyny jeszcze tam nie ma. Teraz – pół godziny i dwanaście nieodebranych telefonów później – moje zdziwienie zaczęło się przeradzać w prawdziwy niepokój.

W końcu usłyszałem kroki na schodach, ale to nie była Miranda. W wejściu pojawił się Philippe.

– Pomyślałem, że tu pana znajdę.

– Nadal czekamy na Mirandę.

– Niestety ja nie mogę dłużej czekać – powiedział. – Chodzę na zajęcia z historii sztuki i dziś rano mam egzamin. Jeśli pokażę panu, co znalazłem, przekaże pan to Mirandzie?

– Oczywiście.

Wysunął krzesło i usiadł po drugiej stronie stołu. Między nami położył folder.

– Moja wykładowczyni jest kuratorką w Petit Palais. Słyszał pan o tym pałacu?

– To muzeum w dawnym pałacu kardynalskim, tak?

– Zgadza się. Specjalizuje się w sztuce średniowiecznej z czasów papiestwa w Awinionie. Jest tam jeden obraz Simonego Martiniego – *Madonna i Dzieciątko*, dla was pewnie mało interesujący. Ale moja wykładowczyni pokazała mi rysunki z magazynu – jest pewna, że są dziełem Martiniego. Nie są podpisane, ale znaleziono je w archiwach miasta z dokumentami dotyczącymi domu artysty i jego pracowni. Pozwoliła mi zrobić ksero. – Przesunął folder przez stół. Powoli go otworzyłem. Obraz w środku to był szkic węglem twarzy mężczyzny – czy raczej części twarzy: oczu i nosa. Nos był długi, szeroki i lekko zakrzywiony. Wyglądał jak nos złamany w bijatyce.

Wyglądał jak nos z całunu turyńskiego.

Dwadzieścia minut po tym, kiedy Philippe zostawił mnie ze szkicem nosa z całunu autorstwa Martiniego, Mirandy nadal nie było. W końcu, nie mogąc dłużej usiedzieć na miejscu, podszedłem do okna, które wychodziło na dziedziniec. Okno było otwarte i powietrze późnego poranka zaczynało się robić gorące i aromatyczne. Wraz z zapachem cebuli i smażonych ziemniaków wyczułem kwaśny odór ścieków – jednego z zapachów typowych dla zabytkowych miast. W dole dwoje dzieci szło w stronę skrzydła biblioteki przeznaczonej dla młodszych czytelników; za nimi wlokła się matka, która o jedenastej rano już wyglądała na zmęczoną. Po drugiej stronie podwórka postawna wdowa szła kaczym krokiem za grubym psem, który również szedł kaczkowato, co przypomniało mi naszą dyskusję z Mirandą na temat psów, ich właścicieli i bogów.

Nagle gdzieś w dole usłyszałem muzykę – anielskie głosy wielkiego chóru dobywające się z niewielkiego głośnika. Ku swojemu zaskoczeniu zdałem sobie sprawę, że anioły śpiewają po angielsku „Glory, glory hallelujah! Glory, glory, hallelujah!". Szukając źródła dźwięku, zauważyłem ruch po drugiej stronie ulicy. Z zacienionych drzwi wyszedł mężczyzna i wyciągnął telefon z futerału. Kiedy podniósł go do ucha, pieśń rozbrzmiała nieco głośniej, a potem muzyka ucichła tak nagle, jak się zaczęła. Mężczyzna przyłożył telefon do ucha i wydawało mi się, że powiedział „Szczęść Boże". Pochyliłem się, żeby mu się lepiej przyjrzeć, a on wtedy odwrócił się do mnie.

Widziałem tę twarz wcześniej. Widziałem ją pomiędzy podniesionymi rękami – w jednej była Biblia, w drugiej miecz – i na zdjęciu z Paryża, wykonanym dzień po moim przyjeździe do Awinionu. Kiedy tak patrzyłem zastygły w bezruchu przy otwartym oknie, wielebny Jonasz Ezekiel uśmiechnął się do mnie

i uśmiechał się tak przez całą wieczność, aż samochód – czarny, elegancki sedan z przyciemnionymi szybami – zatrzymał się przed nim z piskiem opon. Kaznodzieja pospiesznie wsiadł do auta, które chwilę potem popędziło przed siebie i zniknęło za rogiem.

Inspektor Descartes odebrał dopiero po czwartym sygnale. Do tego czasu gardło zacisnęło mi się ze strachu.

– *Oui? Il y a quelqu'un? C'est quoi, ça?*[19] – Nie słysząc odpowiedzi, rozłączył się. Wziąłem głęboki oddech, potem kolejny i wybrałem numer ponownie. – *Oui, Descartes* – nieomal krzyknął.

– Inspektorze, tu Bill Brockton – udało mi się wydusić.

– *Docteur?* Coś się stało? Jest pan ranny?

– Nie, nic mi nie jest, ale boję się, że coś się stało. Coś strasznego. Obawiam się, że wielebny Jonasz ma Mirandę.

– *Merde* – zaklął. – Co się stało? Skąd pan wie?

Opowiedziałem mu, przerywając raz po raz, żeby zrobić głęboki wdech i opanować panikę.

– *Merde* – powtórzył. – Co to za samochód? Dokąd pojechał?

– Nie wiem. Czarny, czworo drzwi. Mercedes? BMW? Coś francuskiego? Nie wiem, inspektorze. Widziałem go tylko przez chwilę, bardzo szybko zniknął za rogiem.

– Widział pan kierowcę?

– Nie. Okna... – nagle telefon zaczął wibrować mi w ręku. Prawie wypadł mi przez okno. Kiedy zobaczyłem numer na wyświetlaczu, serce mi niemal stanęło. – Inspektorze, muszę kończyć. Dzwoni Miranda. – Wcisnąłem przycisk. – Miranda. Dzięki Bogu. Martwiłem się o ciebie.

– Nie ma się co martwić – powiedział mężczyzna z wyraźnym sarkazmem. – Jest w bardzo dobrych rękach. Rękach Boga. – Grunt usunął mi się spod nóg. Zakręciło mi się w głowie. – Ale może pan ją odzyskać, jeśli zrobi pan to, co panu każę.

– Kto mówi? Czego pan chce?

– Proszę nie udawać głupiego. Wie pan, kim jestem i czego chcę. Sam zaproponował mi to pan w swoim faksie. Czy przedyskutujemy wymianę?

Byłem zrozpaczony. Descartes i ja założyliśmy, że morderca Stefana będzie nadal chciał kości. I mieliśmy rację. Byłem gotowy ryzykować swoje życie, ale wielebny Jonasz mnie przechytrzył: poprawnie zgadł, że największą kartą przetargową jest Miranda. Otworzyłem usta, ale raz jeszcze gardło mi się zacisnęło.

– Słyszy mnie pan? – głos brzmiał teraz groźniej. – Mam pana cenną perłę. Jeśli nie dostanę kości, ona zginie.

– Jeśli ją pan zabije – udało mi się wykrztusić – będzie pan miał na głowie dwa razy więcej policji niż teraz.

Roześmiał się krótko.

– Jestem poza ich jurysdykcją.

– Nie mówię tylko o francuskiej policji – ciągnąłem. – Miranda jest obywatelką USA. Jeśli ją pan zabije, zainteresuje się panem FBI. – Nie wiedziałem, czy to była prawda, ale miałem nadzieję, że tak, albo że przynajmniej zabrzmiało to prawdopodobnie.

– Źle mnie pan zrozumiał – zaszydził. – Policja tego świata nie ma nade mną władzy. – Jego słowa i ukryta w nich myśl przyprawiły mnie o dreszcz. – Ale dlaczego mówi pan o jej śmierci? Dziewczyna zostanie uwolniona, kiedy dostaniemy kości. Czy da je pan nam?

– Oczywiście – pospieszyłem z zapewnieniem. – Ale skąd mam mieć pewność, że dotrzyma pan słowa? Już zabiliście Stefana.

– Tylko dlatego, że nie dotrzymał słowa. Zdradził mnie. Mam nadzieję, że pan nie popełni podobnego błędu.

– Nie zrobię tego. Ale skąd mam mieć pewność, że macie Mirandę? Skąd mam wiedzieć, że jest cała i zdrowa? Chcę z nią porozmawiać.

– Zadzwonię za godzinę z instrukcjami. Wtedy będzie pan mógł zamienić z nią kilka słów. Proszę nie zawiadamiać policji, nie grać w żadne gierki. Nie, jeśli chce pan odzyskać ją żywą. – Rozłączył się.

Dziewięćdziesiąt siedem boleśnie długich minut później oddzwonił. Sygnał był słaby, a jego głos urywał się. Nie wiedziałem, czy to dlatego, że dzwonił skądś o słabym zasięgu, czy może dlatego, że byłem w betonowej kwaterze głównej Police Nationale.

– ...uwaga – powiedział głos. – Tutaj... zrobi pan, jeśli... dziewczynę żywą...

– Muszę najpierw z nią porozmawiać – zażądałem. – Nie kiwnę palcem, dopóki nie przekonam się, że nic jej nie jest. – Usłyszałem wściekły oddech po drugiej stronie słuchawki i przestraszyłem się, że za mocno go przycisnąłem, ale potem usłyszałem odgłosy, kiedy przekazywał komuś telefon.

– Bill... przepraszam. – Nawet mimo słabej jakości dźwięku rozpoznałem, że głos Mirandy jest cienki i drżący. Gdyby to był puls, to powiedziałbym, że jest nitkowaty i rozpoznałbym jako symptom szoku. Ale mimo że słaby, to był jej głos. – Jeden z nich... mój hotel... pager... powiedział, że... bóle w klatce. Miał samochód... szpital... z nim... lepiej. Boże, dałam się nabrać... na który ty... tak bardzo...

– Miranda, nie przepraszaj. Powiedziałem Descartes'owi, że nie chcę cię w to wplątywać – i zobacz, co zrobiłem.

– ... twoja... wina... Stefana. – Jej głos stał się wyższy, szybszy, bardziej naglący. Pokręciłem głową z wściekłości i pokazując na telefon, wstałem i wybiegłem w kierunku tylnego wyjścia z biura, przeklinając w duchu Descartes'a za to, że mnie przyprowadził do tego bunkra. – Posłuchaj... Stefan... chciwy...

więcej. Nie pozwól, żeby... bądź nieporuszony... Rozumiesz, nieporuszony... kluczem... weź kości. Słyszysz?... kluczem... kości.

Wybiegłem na zewnątrz, Descartes był kilka kroków za mną.

– Miranda, bardzo słabo cię słyszę. Możesz to powtórzyć...

– Czekaj, nie skończyłam – usłyszałem jej protest. Potem nastąpiły odgłosy przepychanki, jęk, ostry dźwięk uderzenia i słowo „skurwiel" wypowiedziane przez Mirandę.

– Miranda? Miranda? – krzyczałem do telefonu, obracając się na parkingu, oszalały z frustracji i strachu. Dwóch policjantów rozmawiających przy radiowozie spojrzało na mnie i zaczęło iść w moją stronę, ale Descartes powstrzymał ich gestem – Miranda?

– Tyle wystarczy – powiedział głos, który, jak przypuszczałem, należał do wielebnego Jonasza.

– Niech pastor przyprowadzi Mirandę ze sobą – zażądałem. – Najpierw ją pan uwolni, albo nici z umowy.

– Proszę nie naciskać. Igra pan z jej życiem, a jej życie dla mnie nic nie znaczy.

– Ale kości znaczą – przypomniałem mu. – Chce pan tych kości tak bardzo, jak ja chcę Mirandy. Tylko jej bezpieczeństwo daje panu nadzieję na otrzymanie kości.

– Proszę je przynieść dzisiaj do kaplicy templariuszy – powiedział. – O północy.

– Nie! – Myśl o zastawionej tam pułapce lub znalezieniu ciała Mirandy wiszącego jak zwłoki Stefana przeraziła mnie. Poza tym nie było nadziei na tak szybkie znalezienie kości.

– O co chodzi, doktorku? Czy ten teatrzyk pana przeraża? – roześmiał się, a mnie zmroziło. – Nie myślałem, że człowiek pańskiej profesji jest taki wrażliwy. Rozczarowuje mnie pan.

– Policja pewnie nadal obserwuje kaplicę – powiedziałem. – Poza tym nie będę miał kości aż do pojutrza.

– Co? O czym pan mówi? – jego ton było ostry i podejrzliwy. – Jak to nie będzie pan ich miał? Gdzie są?

– Stefan i ja przenieśliśmy je w bezpieczne miejsce. Bank szwajcarski. Muszę po nie jechać do Genewy. Bank jest zamknięty w niedzielę. Pamiętaj, aby dzień święty święcić, pastorze.

– To kłamstwo. – Moje serce prawie przestało na chwilę bić. Nastąpiła przerwa. Wydawało mi się, że słyszę szepty. – Który bank?

– Crédit Suisse.

– Na jakiej ulicy?

– Proszę nie przesadzać, pastorze. Mam pomóc panu się na mnie zasadzić? Jestem z Tennessee, ale nie jestem głupi.

– Stefan powiedział, że kości są tutaj. Miał je przynieść tamtej nocy.

– Ale ich nie przyniósł – przypomniałem mu. – Dlaczego by ich nie przyniósł, gdyby tu były?

– Jak mówiłem, zrobił się zachłanny. Zgodziliśmy się na milion, ale tej nocy dostał lepszą propozycję, wyższą. Powiedział, że nowa cena to dwa miliony.

Byłem zaskoczony tymi liczbami, ale nie okazałem tego.

– Ja tak nie załatwiam interesów. Jeśli Stefan zgodził się na milion, uszanuję to.

Nastąpiła przerwa, a potem szepty.

– Chyba nie rozumie pan sytuacji, doktorze. – Jego głos przeszywał mnie jak ostra brzytwa w zimny ranek. – Nowa cena – jedyna cena – to bezpieczny powrót pana asystentki. – Przerwał, żebym przyswoił sobie jego słowa. – Jeśli nie dba pan o jej życie, możemy porozmawiać o pieniądzach. Ale wtedy będę musiał ją zabić. A zabicie jej spowoduje pewne komplikacje i ryzyko. Sam

pan powiedział, że będę miał na głowie FBI. Więc jeśli woli pan pieniądze, nowa cena to pół miliona.

– Wie pan, że nie chcę pieniędzy – powiedziałem. – Chcę, żeby wróciła cała i zdrowa.

– Więc proszę sobie ze mną nie pogrywać.

– Nie pogrywam. W poniedziałek wieczorem wrócę z Genewy z kośćmi.

– Jeśli nie, ona zginie – śmiercią dużo straszniejszą niż Stefan. A potem taki sam los czeka pana. Klnę się na Boga – i rozłączył się.

– Niech to licho, inspektorze, dlaczego umieścił mnie pan w budynku z takim słabym zasięgiem? Nie usłyszałem połowy z tego, co mówiła Miranda.

– Przepraszam – wzruszył ramionami. – Ja nigdy nie miałem tu problemów z komórką. To pewnie wina pana amerykańskiego telefonu.

– Próbowała mi powiedzieć coś ważnego – uniosłem głos. – O tym, gdzie ukryte są kości. Dwa razy powiedziała coś o kluczu i kościach. Z fragmentów, które usłyszałem, wydawało się, że powiedziała „kluczem jest znalezienie kości". Ale to było zbyt oczywiste, bez wątpienia znalezienie kości było kluczowe. Musiała mówić o czymś innym – o prawdziwym kluczu. Mówiła, że kości są zamknięte w miejscu, które otworzy klucz. Ale jaki klucz i gdzie jest to miejsce? Bez względu na odpowiedź, dzięki bajeczce o Genewie zyskaliśmy trzydzieści sześć godzin.

Genewa to nie było nagłe olśnienie. Descartes i ja omówiliśmy, jak najlepiej opóźnić przekazanie kości, podczas gdy ich szukaliśmy, i bank w Szwajcarii był najbardziej wiarygodnym pomysłem. Wprawiliśmy też w ruch inne koła – plan awaryjny, na wypadek gdyby nie udało nam się znaleźć ossuarium. Baliśmy się, że Stefan wysłał jego zdjęcia do kupców, więc Descartes zlecił wykonanie

repliki ossuarium lokalnemu kamieniarzowi, ja natomiast poprosiłem Hugh Berrymana, antropologa, który mnie zastępował na uniwersytecie, żeby wysłał mi kurierem jeden ze starych szkieletów z Knoxville.

Hugh miał z czego wybierać. Na półkach pod trybunami stadionu znajdowało się około 5000 szkieletów: ponad tysiąc współczesnych darowizn plus kilka tysięcy szkieletów Indian Arikara z osiemnastego i dziewiętnastego wieku – kości, które wykopałem z Wielkich Równin wiele lat temu, kiedy Korpus Inżynieryjny Armii budował tamy na rzekach, tworząc nowe zbiorniki i zalewając cmentarze rdzennych mieszkańców Ameryki. Kości Indian Arikara nie miały dwóch tysięcy lat, ani nawet siedmiuset – może dwieście lub trzysta – ale pokryte były szarą patyną, która nadawała im przekonująco stary wygląd; nie było w nich także żadnych plomb, urządzeń ortopedycznych i innych znaków nowoczesności. Dałem Hugh szczegółowe wytyczne: miał znaleźć szkielet dorosłego mężczyzny o wzroście około stu sześćdziesięciu ośmiu centymetrów i bez uszkodzeń kości – oprócz wgłębień, jakie kazałem Hugh wyżłobić na nadgarstkach, stopach i żebrach – aby zasymulować rany Chrystusa lub naszego N.N. Przeprowadzaliśmy dziwne ukrzyżowanie – pośmiertne, po rozkładzie, jakiego na pewno nikt inny nie dokonał. Zdałem sobie sprawę, że z tym podrobionym Chrystusem dołączam do grona fałszerzy relikwii. Przy odrobinie szczęścia szkielet miał przybyć za trzydzieści sześć godzin, i choć nie zwiódłby antropologa, to miałem nadzieję, że może zwieść szalonego telekaznodzieję.

To było ryzykowne. Ale potrzebowaliśmy czasu. Oraz kości.

I cudu.

ROZDZIAŁ 37

Po raz trzeci przejrzałem stertę papierów na biurku, ale i tym razem go tam nie było. Poziom paniki i ciśnienie krwi mi się podniosły. Byłem w „Lumani" dopiero od dwóch godzin i już czułem się, jakbym był zamknięty w klatce. Descartes powiedział, że mam siedzieć na tyłku, kiedy on i jego ekipa będą przetrząsać pałac w poszukiwaniu kości, ale nie mogłem dłużej wytrzymać w pokoju. Musiałem z kimś porozmawiać, ale na horyzoncie nie było ani Elisabeth, ani Jeana, a ja nie mogłem znaleźć numeru telefonu, którego szukałem.

W końcu zajrzałem pod biurko i oczywiście tuż przy nodze leżała jak gdyby nigdy nic kartka z nabazgranym numerem. Ręce mi się trzęsły, kiedy go wybierałem.

– Nie mogę teraz odebrać – powiedział wesoły irlandzki głos – ale zostaw wiadomość, to oddzwonię.

Zakląłem w duchu; po sygnale słowa wylały się ze mnie jak woda z wodospadu. – Księże Mike'u. Tu Bill Brockton. Antropolog ze Stanów. Poznaliśmy się kilka dni temu w bibliotece. Nie wiem, czy jest ksiądz jeszcze w Awinionie, ale jeśli tak, to wdzięczny byłbym za telefon. Stało się coś strasznego i nie mam z kim o tym porozmawiać. Jeśli jest ksiądz w Awinionie, proszę do mnie zadzwonić. – Rozłączyłem się i zdałem sobie sprawę, że nie podałem swojego numeru, więc połączyłem się ponownie.

Omal nie wyskoczyłem ze skóry, kiedy za chwilę mój telefon zadzwonił. Spojrzałem na wyświetlacz. Numer wydawał się znajomy. Dopiero po trzecim dzwonku uświadomiłem sobie, że to numer, który właśnie wybrałem.

– Księże Mike'u, to ksiądz?

– Dzień dobry. Tak, to ja. Tak, wciąż jestem w Awinionie. Miałem wyjechać dziś rano, ale trochę wczoraj zapiłem i spóźniłem się na pociąg. Więc jestem do pana dyspozycji. Nieodgadnione są ścieżki Pana. A najbardziej nieodgadniony jest nieoczekiwany kac. – Ton nagle zrobił się poważny. – Zechce mi pan powiedzieć, co się stało?

– Tak. Ale nie przez telefon. Możemy się gdzieś spotkać? Porozmawiać w cztery oczy?

– Oczywiście. Dwie przecznice na wschód od pałacu papieskiego jest uroczy kościółek pod wezwaniem Świętego Piotra, ale żabojady nazywają go „Saint Pierre".

– No nie wiem, dawno nie byłem w kościele.

– Proszę mi dać dokończyć. Przy kościele znajduje się cudowna restauracja o nazwie „L'Epicerie", z ogródkiem z zielonymi parasolami. Po francusku *l'épicerie* podobno znaczy „sklep spożywczy". Gdzieś w pobliżu jest na pewno spożywczak o nazwie „Le Restaurant". Może spotkamy się w „L'Epicerie"? Umieram z głodu i, mówiąc szczerze, przydałby mi się też mały klin, jeśli nie miałby pan nic przeciwko temu.

– Nie miałbym. Nie piję, ale sam mam ochotę sobie łyknąć. O której może ksiądz tam dotrzeć?

Kiedy przybyłem do „L'Epicerie" kwadrans później, młoda para siadała właśnie przy ostatnim wolnym stoliku z parasolem. W drzwiach restauracji zauważyłem księdza Mike'a, który rozmawiał z kelnerem. Kelner kręcił głową, ale nagle przestał i zaczął słuchać uważniej. Nachylił się bliżej i uśmiechnął; w końcu skinął. Ksiądz Mike też się uśmiechnął i uścisnął dłoń mężczyzny. Chwilę później młoda para – teraz oburzona młoda para – została wyeksmitowana ze stolika; wylewne przeprosiny kelnera nie pomogły złagodzić ich gniewu. Spiorunowali wzrokiem księdza

Mike'a, który wzruszył ramionami, uśmiechnął się przepraszająco i pokazał na niebo, a następnie usiadł na jednym z pustych krzeseł i zaproponował mi drugie.

– To robi wrażenie – powiedziałem. – Moc koloratki czy dar przekonywania?

– Ani jedno, ani drugie – uśmiechnął się. – Siła euro. Dałem kelnerowi dwudziestaka.

– Jest ksiądz bardzo przedsiębiorczy.

– Nie zawsze byłem księdzem. Poza tym robię, co nakazał nam Pan.

– Mówił coś o przekupywaniu kelnerów?

– Poniekąd. Powiedział, że mamy być roztropni jak węże i nieskazitelni jak gołębie!

– Pierwszą część opanował ksiądz do perfekcji.

Roześmiał się, ale potem spoważniał.

– Ale mamy coś poważniejszego do omówienia, prawda? Rozumiem, że otrzymał pan kolejne złe wieści. Coś o tym mężczyźnie działającym pod przykrywką?

Dopiero po chwili zorientowałem się, że nie mówi o mnie.

– Nie, nie chodzi o Rocky'ego. Chodzi o Mirandę.

– Przepraszam, że nie łapię, ale kim jest Miranda?

– Moją asystentką. Doktorantką. Jest tu z tego samego powodu co ja – starych kości, o których wspomniałem. Znalazła się w niebezpieczeństwie.

– W jakim niebezpieczeństwie?

– Została porwana.

– Porwana? Na pewno? Może po prostu zalicza skok w bok z jakimś Francuzikiem.

– Zadzwonił do mnie jej porywacz. Dał mi z nią porozmawiać. Wydawała się przestraszona. On grozi, że ją zabije.

– Na Boga. Poszedł pan na policję?

– Oczywiście, ale jeśli facet się o tym dowie, będzie po niej.

– Módlmy się zatem, żeby się nie dowiedział. Ile chce okupu? Uda się panu zebrać taką kwotę?

– Nie chodzi mu o pieniądze.

Zanim zadał następne, oczywiste pytanie, nastąpiła chwila ciszy.

– Zatem czego chce? Nie musi mi pan mówić, jeśli to zbyt osobista kwestia. Ale mam wrażenie, że pan chce.

Miałem utrzymać wszystko w tajemnicy, ale byłem wściekły. To ta cała tajemniczość Stefana i jego kłamstwa spowodowały, że znaleźliśmy się w niezłych opałach.

– Kości.

– Słucham? Nie rozumiem.

– Chce kości. Głupich, pierdolonych kości.

Jeśli był zszokowany lub urażony, nie okazał tego.

– To muszą być bardzo ważne kości.

– I tak, i nie. Niektórzy uważają, że są ważne – jeden człowiek już został przez nie zabity – ale nie tak ważne jak Miranda.

– Zatem sprawa jest prosta. Proszę mu dać te kości.

– Niestety nie mogę. To nie takie proste.

– Rzadko takie jest, prawda? Gdyby było, nie siedziałby pan tutaj ze mną. Jak mogę panu pomóc?

Pokręciłem głową.

– Sam nie wiem. Wystarczy, że ksiądz mnie wysłucha. Pewnie ksiądz często to robi. – Skinął głową i pochylił się, więc zacząłem mówić. Mówiłem, a kelner przyniósł piwo dla księdza i wodę dla mnie; mówiłem, kiedy pojawiły się przed nami talerze zapełnione jedzeniem, i kontynuowałem, kiedy puste naczynia zostały zabrane. Zacząłem od niespodziewanego zaproszenia, które otrzymała Miranda, i jej nagłego wyjazdu do Awinionu, potem

opowiedziałem o moim pospiesznym wyjeździe, tajemniczości Stefana i jego paranoi, rekonstrukcji twarzy i jej podobieństwie do oblicza z całunu turyńskiego, wynikach datowania i o tym, jak Stefan je sfałszował, i w końcu: o morderstwie archeologa.

Kiedy opisałem scenę zbrodni, ksiądz zagwizdał cicho.

– Ukrzyżowany? Nie kłamiesz?

– Nie kłamię. To święta prawda. To było okropne.

– Jezusie, Maryjo i Józefie święty. Dziwię się, że to do mnie nie dotarło. Księża to straszni plotkarze – gorsi niż stare kobiety. Wypadłem z obiegu na wakacjach. – Wypił łyk piwa. Był to jego drugi, a może trzeci kufel, szybko mu szło, a ja nie liczyłem. – Mówi pan, że ten Stefan miał trzech potencjalnych kupców na kości? Skąd pan to wie?

– Inspektor znalazł faks, który Stefan do nich wysłał. Nie wiemy, czy wszyscy byli poważnie zainteresowani. Wiemy, że jeden był. Śmiertelnie poważnie zainteresowany.

– Stefan ubił kiepski interes. Policja jest na tropie zabójców?

Pokręciłem głową.

– Nie działają tak szybko, jak powinni. Myślą, że z grona podejrzanych mogą wykluczyć dwoje kupców. Jednym z nich jest marszandka sprzedająca antyki bogaczom, którzy nie dbają o to, skąd je wzięła. Inspektor uważa, że jest szemrana, ale według niego nie jest zabójczynią. I ma alibi. A drugi kupiec to poniekąd księdza kolega po fachu – kurator lub ktoś w tym rodzaju – z Muzeum Watykańskiego.

Zrobił minę.

– Muzeum Watykańskie – mała kolekcja sztuki Ojca Świętego. Jedna z korzyści tej ciepłej posadki. Sztuka i ministranci. Pewnego dnia będziemy musieli za wiele odpowiedzieć.

– Ale facet, który ma Mirandę, to fanatyk protestancki. Głosiciel końca dziejów. Kaznodzieja, który uważa się za jednego z Jeźdźców Apokalipsy. – W pobliskim kościele zadzwonił dzwon, a ja nieomal podskoczyłem. – Nazywa się wielebny Jonasz Ezekiel. I jeśli nie przekażę mu kości w ciągu doby, zabije moją asystentkę.

– Daj mu je pan. Dlaczego nie? Bo policja mówi, żeby pan tego nie robił? Pieprzyć policję, ratuj pan dziewczynę. To proste.

– Nie takie proste. Nie wiemy, gdzie są kości.

– Słucham?

– Myślimy, że przed śmiercią Stefan je gdzieś przeniósł, ukrył. Nie wiemy, gdzie są.

– Dlaczego więc ten szaleniec porwał dziewczynę?

Przetarłem oczy.

– Pozwoliłem się namówić na udawanie, że mam kości. Posłużyły za przynętę. Ale to był blef.

– A ten szaleniec pana sprawdził? – Skinąłem smutno. – Zdaje się, że podniósł też stawkę.

– Boże, nie chciałem w to wciągać Mirandy. Myślałem, że uda mi się ją od tego trzymać z daleka, ale myliłem się. Inspektor Descartes miał rację. Wszyscy jesteśmy w to zamieszani. Jedno jest pewne – jeśli w porę nie znajdę kości, Miranda zginie, i to będzie moja wina.

– Zatem została tylko jedna rzecz do zrobienia, co? – Spojrzałem na niego. – Musi pan znaleźć te kości. I to szybko. – Położył dłoń na piersi, przyglądając mi się z namysłem. – Wiem, że nie wierzy pan w świętych i relikwie, ale może nie miałby pan nic przeciwko temu? – Rozluźnił koloratkę i wyciągnął spod koszuli duży srebrny medalion na skórzanym rzemyku. Zdjął go i podał mi.

– Jest dwustronny – powiedział. – Z jednej strony święty Krzysztof, patron podróżnych, a z drugiej – obrócił medalion – święty Antoni, patron rzeczy zagubionych.

– Jest specjalny święty od rzeczy zagubionych?

– Jasne. Mamy świętych od wszystkiego i modlitwy w każdej możliwej intencji. Istnieje też modlitwa do świętego Antoniego – błaga się go o pomoc, mówi, co się zgubiło, a potem trochę się płaszczy. Wszystko grzecznie i pobożnie. Ale jest też inna wersja, nieco bardziej zuchwała. Ta mi się bardziej podoba: „Antoś, Antoś, spójrz dokoła, coś zgubiłem, znajdź to skoro". Dzięki temu wydaje się równym facetem.

Wziąłem medalion. Był duży – prawie wielkości mojej dłoni – i zadziwiająco ciężki.

– To musi ważyć z ćwierć kilograma.

– W środku ma wbudowany detektor metalu – wyjaśnił. – Piszczy, kiedy zbliżysz się do tego, czego szukasz. – Widząc moje zmieszanie i niedowierzanie, roześmiał się i pokręcił głową. – Jest pan bardzo łatwowierny. Podoba mi się to.

Przyjrzałem się podobiznom dwóch świętych.

– Patron podróżnych i zagubionych rzeczy. Jakby zrobiony na miarę. Czemu nie? Przyda mi się każda pomoc. – Założyłem medalion i schowałem go pod koszulę. Metal był ciężki i ciepły, ale dodawał też otuchy.

– Dziękuję.

Tylko skinął.

Kiedy skończyliśmy nasz posiłek, zaczęły dzwonić dzwony u Świętego Piotra.

– Msza o piątej – powiedział ksiądz Mike. – Lepiej pójdę. Ostatnio nieco się leniłem. – Bez patrzenia na mnie dodał: – Może pan ze mną pójść, jeśli pan chce. Muzyka koi nerwy. Ale dobrze wcześniej coś zjeść, nie karmią tam najlepiej. – Nieomal się roześmiałem wbrew sobie... a potem ku swojemu zaskoczeniu poszedłem za nim do kościoła.

Saint Pierre nie był duży – wielkością bliższy kaplicy niż katedrze – ale budowla miała złożoną konstrukcję. Drzwi i okna znajdowały się w ramach wysokich łuków. Nad nimi po obu stronach wejścia stały wąskie wieże z ostrymi kamiennymi iglicami. Drewniane drzwi – o podwójnych wrotach – były ogromne: wysokie, grube i rzeźbione. Na panelach widnieli święci, Maryja i anioł. Najbardziej uderzająca postać została wyrzeźbiona w kolumnie stojącej obok jednego z wrót. Był to stylizowany, prawie naturalnej wielkości Indianin, wódz Azteków w pióropuszu. Choć budowa kościoła rozpoczęła się sto pięćdziesiąt lat przed tym, kiedy Kolumb natknął się na Amerykę, budynek skończono dopiero w roku 1550. Drzwi – ostatni nabytek – odzwierciedlały europejską fascynację egzotycznymi odkryciami w Nowym Świecie.

Kiedy weszliśmy do chłodnego, ciemnego wnętrza, usłyszeliśmy wysokie dźwięki organów, które odbijały się od ścian kościoła. Ksiądz Mike zanurzył palce w święconej wodzie przy wejściu, a potem przeżegnał się i usiadł w ławce. Poszedłem w jego ślady.

Duży obraz nad ołtarzem przedstawiał Jezusa wręczającego Piotrowi klucze do królestwa niebieskiego. Nad malunkiem widniało drewniane, pozłacane słońce o średnicy przynajmniej sześciu metrów. Pośrodku znajdował się witraż z gołębicą z rozpostartymi skrzydłami i dziobem skierowanym w górę – wyglądającą jak rakieta lecąca do nieba.

Muzykę organową zastąpiły wysokie czysty soprany. Dawno temu przestałem wierzyć w anioły, ale ta nierzeczywista muzyka, która zdawała się emanować z samych kamiennych murów, kazała mi przemyśleć moją decyzję. Msza była sprawowana po łacinie i po francusku, więc mało co rozumiałem z całej liturgii. Jednak mimo że byłem kimś z zewnątrz, znalazłem pocieszenie

w dźwiękach, obrazach i zapachach kamiennego sanktuarium, złoconych obrazach ołtarzowych, kadzidłach i starych rytuałach.

Ale duchowe pocieszenie nie mogło pomóc mi uratować Mirandy, do tego potrzebne było działanie. Co powiedział Eckhart? „Cena braku działania jest o wiele większa niż koszt popełnienia błędu". Pomachałem księdzu Mike'owi na pożegnanie i wstałem. Zaczął się podnosić, ale położyłem dłoń na jego ramieniu i pokręciłem głową. Byłem mu wdzięczny za wysłuchanie mnie, ale teraz byłem zdany na siebie.

Otworzyłem ciężkie drzwi i wyszedłem na plac. Słońce opadło za dachy i każdy stolik w „L'Epicerie" był zajęty. Mój wzrok przyciągnął ruch trzy piętra wyżej. Zobaczyłem kota o czarno-białym futrze, w kolorach stroju zakonnicy, idącego po parapecie nad restauracją. W miejscu, gdzie ściana budynku łączyła się z kościołem, kot przycupnął, a następnie skoczył w otwarte okno: studium gracji, zwinności i odwagi.

Usłyszałem brzęk sztućców i poczułem zapach pieczonego mięsa. Jeśli się nie myliłem, była to jagnięcina.

Przypomniał mi się baranek wyryty na ossuarium. Pomyślałem o przypowieści o pasterzu, który zostawił dziewięćdziesiąt dziewięć owiec, żeby szukać jednej zbłąkanej. Jaki był morał tej przypowieści? Przypomniało mi się mgliście, że chodziło o to, iż w niebie większą radość sprawia odnalezienie zbłąkanej owieczki niż tych dziewięćdziesiąt dziewięć, które nie zaginęły.

Gdzie było ossuarium? I co ważniejsze: gdzie była Miranda i czy mogłem ją uratować?

ROZDZIAŁ 38

AWINION
ROK 1342

Simone już prawie nie maluje.

Kardynał Orsini, którego portret Martini namalował siedem lat temu, w tym gorączkowym czasie, świeżo po przyjeździe do papieskiego miasta, był niemal jedynym człowiekiem, który mógł wyciągnąć od niego jakieś prace, a i to tylko dlatego, że przetrwanie Simonego – a także Giovanny, jej nieutalentowanego brata i rodziny brata – zależało od nieustannej szczodrości kardynała. Simone nakłada właśnie ostatnie wymęczone pociągnięcia pędzlem w poliptyku, nastawy ołtarzowej złożonej z ośmiu ruchomych drewnianych skrzydeł, z których każde jest rozmiaru modlitewnika. Simone sprzedał ten poliptyk Orsiniemu, jakby był jego nową pracą, ale prawda jest taka, że namalował te sceny dziesięć lat temu (czy to możliwe, że tyle piasku przesypało się w klepsydrze?), jeszcze w Sienie, kiedy, jak sobie teraz uświadamia, był u szczytu sił twórczych. Teraz Orsini jest chory, prawdopodobnie umierający, i trzeba jak najszybciej ukończyć dekoracyjne ramy poliptyku, zanim sakwa kardynała zostanie pogrzebana wraz z nim. Tylko to sprawia, że Simone sięga po pędzel i złote listki.

Na sztaludze ma jeszcze jedną pracę, również sprzedaną, ale nieskończoną – to mający zaledwie pół metra wysokości obraz przedstawiający świętą rodzinę: Maryję, Józefa i małego Jezusa, ale namalowany tak jak jeszcze nigdy przedtem. Jest to scena powitania rodziców z Jezusem po tym, jak zniknął na trzy dni – dni, które spędził w świątyni, prowadząc teologiczne rozmowy ze starszymi. Józef ma nachmurzoną minę, a Maryja, której policzki są czerwone z gniewu, ruga chłopca – wyobraźcie sobie tylko, ruga Syna Boga – podczas gdy młody Chrystus stoi w wyzywającej pozie, z rękami

skrzyżowanymi na piersiach, i wpatruje się z pogardą w błogosławioną Dziewicę. Simonemu trudno powiedzieć, co go skłoniło do namalowania takiej zuchwałej sceny. Wie tylko, że czuje dziwną więź ze stojącym z kamienną twarzą chłopcem. Znosząc nieskończone pochlebstwa lub połajanki od ludzi, którzy chcą, żeby namalował to albo naszkicował tamto, Simone ma wielką ochotę też skrzyżować ręce na piersiach i tak na nich popatrzeć.

Giovanna wybaczyła mu niewierność, być może widząc, że sam się nią zadręcza bardziej, niż ona byłaby w stanie go zadręczać. Rozumie, jak to jest, kiedy człowieka zżera poczucie winy. Jej największym cierpieniem jest to, że nie może dać Simonemu dziecka. Świadomość, że innej kobiecie się to udało, jest dla niej gorzkim przypomnieniem własnego niepowodzenia.

Simone wciąż codziennie chodzi do pracowni, jednak większość czasu spędza na wpatrywaniu się w cień twarzy na materiale, w swoją *Śmierć niewinności*. Przedłużył swój stół do pracy, żeby zmieścić na nim większą część płótna – ponad cztery i pół metra – i powlekł płaską, gładką warstwą tynku. Zwykle w tym momencie zaczyna malować, pracując szybko, żeby farba związała się z wilgotną zaprawą. Jednak nie tym razem. Tym razem potrzebna mu powierzchnia sucha i gładka niczym marmur. Przerywając często, by zestawić swą pracę ze szkicami, które wykonał lata temu, szkicuje lekko ołówkiem węglowym postać zmarłego – przód i tył, łącząc obrazy na szczycie głowy. Kiedy jest zadowolony z niewyraźnego szkicu, zamienia ołówek na gruby kawał czerwonobrązowej kredy i zaczyna zacieniowywać rysy twarzy – mocno te rzucające się w oczy, lekko: wgłębienia i zakamarki. Zajmuje mu trzy dni ukończenie samej postaci, a kolejny dzień –

dodanie ran. W końcu ostrożnie, wręcz czule – tak czule, jakby rozbierał piękną kobietę – rozwija płótno na obraz, który stworzył.

Raz jeszcze używając zaokrąglonego końca drewnianego stępora, pociera delikatnie, przesuwając nim po tkaninie we wszystkich kierunkach, by przenieść cienką warstewkę pigmentu ze stołu na materiał. Ostatni etap to dodanie plam krwi – rozwodnionej tempery czerwonego cynobru, jaśniejszej niż obraz człowieka w kolorze ochry – by uwydatnić rany.

Właśnie ukończył pracę nad strużką krwi spływającą z czoła – wijący się strumyk, który wiedzie wzdłuż zmarszczki, mistrzowskie posunięcie! – kiedy ktoś zaczyna walić do drzwi pracowni. Ignoruje to pukanie, podobnie jak ignoruje wszelkie pukanie z wyjątkiem charakterystycznego, przypominającego stukanie dziobem przez ptaka, pukania Giovanny, jednak walenie do drzwi nie ustaje, a wręcz staje się coraz głośniejsze.

– Simone Martini, otwórz drzwi – rozkazuje ktoś, kto wydaje się przywykły do wydawania poleceń, które się bezwzględnie wykonuje.

– Zostawcie mnie w spokoju! – krzyczy. – Pracuję. Nie można mi przeszkadzać.

– Otwórz drzwi, mistrzu Simone, albo je wyważymy.

Malarz zastanawia się, czy nie zlekceważyć tej groźby, ale brakuje mu sił na naprawę drzwi, więc odsuwa zasuwę i patrzy przez szparę.

Władczy głos należy do jednego z papieskich gwardzistów. Wpycha się do pracowni, a widząc, że poza Simonem nikogo w niej nie ma, daje znak ręką swoim towarzyszom. Do środka wchodzi bezszelestnie sześciu duchownych – dwóch kanoników, biskup, dwóch kardynałów w czerwonych kapeluszach i wreszcie mnich. Mnich to potężny cysters w białym habicie. Simone uświadamia sobie, że to papież Benedykt we własnej osobie: starsza, jeszcze

bardziej ponura wersja mężczyzny, którego widział chowającego kości w ścianie pałacu. Simone kiwa głową na powitanie. Oczywiście powinien uklęknąć i ucałować pierścień papieża, ale dalej czuje się tak jak rugany Chrystus na jego sztaludze.

– Mistrzu Simone, zanadto skąpisz nam swojego towarzystwa i obrazów – mówi jeden z kardynałów, którego Simone nie zna. – Kardynał Orsini – niech Bóg go ma w swojej opiece i wyleczy albo ułatwi mu śmierć – tak dużo opowiada o twoim poliptyku, że musimy go zobaczyć.

– Mój przyjaciel i mecenas jest nad wyraz uprzejmy – odpowiada Simone – ale jeszcze go nie skończyłem i czułbym się zawstydzony, pokazując go już teraz.

– Nonsens, mistrzu Simone – obrusza się kardynał – jesteś stanowczo zbyt skromny.

Jego głos jest z pozoru pogodny, lecz da się w nim usłyszeć również nutkę złośliwości: to słowny sztylet zawinięty w jedwab i aksamit. Jego wzrok spoczywa na płachcie zasłaniającej poliptyk i nagle w jego oczach pojawia się błysk.

– Czy to on?

– Wasza Eminencjo... – zaczyna Simone, ale jest już za późno. Z zaskakującą szybkością kardynał podchodzi do tkaniny przykrywającej skrzydła poliptyku. Simone słyszy szelest sukna i okrzyki zachwytu. Jedynym duchownym, na którym malowidło nie robi wrażenia, jest papież, jednak Jego Świątobliwość jest znany z tego, że nie przepada za sztuką – wielka szkoda, bo w związku z tym jego pałac to hektary gołych ścian, wciąż wołających o freski i gobeliny, które ociepliłyby wnętrza. Może następny papież, modlą się artyści z Awinionu, wyniesie sztukę na należne jej miejsce w pałacu.

Papież odwraca się od poliptyku i patrzy prosto na obrazek ze świętą rodziną, stojący na sztaludze. Podchodzi bliżej, splatając grube paluchy za plecami, pochyla się i przypatruje twarzy małego Jezusa.

Szmer rozmów w pracowni cichnie, kiedy świta papieska dostrzega jego zasępienie. W końcu papież odwraca się twarzą do Simonego i patrzy na niego zimnymi, zmrużonymi oczami. Bez słowa dochodzi do malarza, okrąża go, a potem przystaje i patrzy. W końcu się odzywa:

– Mistrzu Simone, jak twoja dusza?

– Moja dusza? Jestem bardziej nawykły do pytań o moje obrazy.

– Twe obrazy interesują mnie tylko o tyle, o ile odzwierciedlają twoją duszę, Simone Martini. A na tym obrazie widzę zatroskaną duszę.

Atmosfera w pracowni robi się napięta.

– Na świecie jest dużo troski, Wasza Świątobliwość – odpowiada powoli Simone.

– Nie ma jej jednak u naszego Pana – ripostuje papież. – Ten obraz to bluźnierstwo. Prawdopodobnie herezja.

Towarzysze papieża wyrażają głośno swą dezaprobatę.

– Ojcze Święty, moim zamiarem nie było bluźnierstwo. Pismo Święte naucza nas, że słowo stało się ciałem i mieszkało między nami.

– Jego Świątobliwość nie potrzebuje nauczania Pisma z ust malarza – oświadcza nadgorliwy kardynał.

– Naturalnie, że nie – zapewnia Simone. – Jednak z pewnością na twarzy Maryi mogłoby się pojawić matczyne cierpienie, kiedy jej ukochany syn zaginął na trzy dni? I z pewnością nasz niewinny Pan, będąc dzieckiem, mógłby czuć się obrażony, że się go beszta?

Papież wbija swoje inkwizytorskie spojrzenie w Martiniego, zastanawiając się, czy artysta z niego kpi, a potem się od niego odwraca.

– Jakież to jeszcze bluźniercze dzieła masz w swej pracowni, Martini?

Simone nie odpowiada. Papież zerka za duży drewniany parawan przy długim stole, po czym wchodzi za niego, by się lepiej przyjrzeć.

W pracowni zapada cisza. Nagle w tej ciszy rozlega się ostry krzyk. Papież chwiejnym krokiem wychodzi zza parawanu. Jego twarz jest szara, duchowny przyciska dłonie do piersi. Próbuje coś powiedzieć, lecz nie może. Wpatruje się z przerażeniem w Simonego, jakby właśnie zobaczył ducha. Ducha człowieka, którego torturował i zabił wiele lat temu.

Towarzysze wyciągają go na ulicę i wsadzają do pospiesznie zarekwirowanego wozu, który zawozi go do pałacu. Trzy dni później inkwizytor, który został papieżem, już nie żyje. Zostaje wybrany nowy papież – wielki miłośnik sztuki, człowiek, który tak szeroko otworzy papieską sakwę, jak żaden z jego poprzedników. Przybiera imię Klemensa VI. Wydaje wystawne przyjęcie koronacyjne, na które zaprasza trzy tysiące wysoko postawionych duchownych i arystokratów.

– Moi poprzednicy – mówi gościom – nie wiedzieli, jak zasiadać na Tronie Piotrowym.

Wszyscy się z nim zgadzają. Awinion jest w przededniu wielkiego artystycznego i kulturalnego ożywienia.

Rozpocznie się on jednak bez nowych prac Simonego Martiniego. Swoje ostatnie dzieło sprzedaje dzień po przyjęciu papieża Klemensa. Jego klientem jest gorliwy, młody duchowny z Lirey, kapelan jednego z najznamienitszych rycerzy Francji, lorda Geoffroi de Charny. Kapelan, który był jedną z osób towarzyszących

papieżowi podczas jego wizyty u Simonego, wraca do pracowni malarza, chcąc zobaczyć na własne oczy dzieło, które tak silnie podziałało na papieża. Ani trochę zaniepokojony tym dziełem kapelan uznaje zamazany, niedający spokoju obraz za całkiem intrygujący... i nad wyraz obiecujący. Odpowiednio zaprezentowany – nie jako nowe dzieło sztuki, ale jako starodawna relikwia, całun naszego Pana! – obraz może zacząć cieszyć się czcią, przyciągnąć rzesze pielgrzymów... i zapoczątkować strumień datków od wiernych.

Sprytny młody ksiądz z Lirey kupuje całun od Simonego za trzydzieści florenów. Trzydzieści sztuk złota. Ceny poszły w górę od czasu, gdy sprzedano Chrystusa.

ROZDZIAŁ 39

AWINION
CZASY WSPÓŁCZESNE

Spojrzałem w lusterko wsteczne i oczywiście zauważyłem ruszający za mną inny samochód. Wyglądał jak ten, który widziałem poprzedniego dnia. Tym razem dobrze się przyjrzałem kratownicy i stwierdziłem, że to czarne BMW. Wydawało mi się nawet, że rozpoznałem dużą ogoloną głowę kierowcy ze zdjęcia na lotnisku – goryla wielebnego Jonasza.

Pół kilometra dalej, w murze obronnym znajdowała się brama Świętego Józefa. Skręciłem w prawo, aby przez nią przejechać. Ktoś za mną wściekle zatrąbił. Raz jeszcze spojrzałem w lusterko i zobaczyłem białą furgonetkę dostawczą – wszystkie wyglądają tak

samo na całym świecie – która mimo znaku stopu nie zatrzymała się i wyjechała przed czarnego sedana, dotykając prawie mojego zderzaka. Kiedy na skrzyżowaniu światło zmieniło się na zielone, przejechałem przez wąski otwór, a potem od razu skręciłem w prawo na trzypasmowy bulwar Saint Lazarus, który biegł na zewnątrz wzdłuż murów obronnych miasta. Ulica była jak współczesna fosa asfaltu, z samochodami zamiast ryb. Po lewej stronie miałem szmaragdowe wody Rodanu, i kiedy sprawdziłem w lusterku, czy BMW za mną jedzie, zobaczyłem w dole rzeki most Świętego Benedykta. Na obu brzegach rzeki cumowały barki, pogłębiarki i stare łodzie, który zostały przekształcone w luksusowe domy na wodzie. Na ster jednej z łodzi został nabity mały drewniany żuraw, a na linie, wysoko, poza zasięgiem złodziei, wisiał starodawny rower bez przerzutek, taki jak ten, który się kurzył w moim garażu.

Pół kilometra dalej droga rozwidlała się: jedna odnoga biegła dalej wzdłuż muru, a druga prowadziła do tunelu. U jego wejścia pracowała ekipa budowlana, a człowiek z flagą kierował ruchem. Kiedy dotarłem do wjazdu do tunelu, zszedł z chodnika i zaczął machać. Zahamowałem, ale gestem kazał mi jechać dalej, podobnie jak białej furgonetce za mną, a potem zatrzymał ruch. Z przodu kolejki zatrzymanych samochodów było czarne BMW. Uśmiechnąłem się, wyobrażając sobie Juniora czerwonego ze złości.

W połowie tunelu zahamowałem gwałtownie, wrzuciłem jałowy bieg i wysiadłem pospiesznie z samochodu, nie wyłączając silnika. Za mną otworzyły się boczne drzwi białej furgonetki. Wyskoczył z nich szpakowaty mężczyzna, który mógłby być moim bratem – ubrany w spodnie khaki i niebieską koszulę, dokładnie takie same jak moje. Mój sobowtór skinął do mnie, wsiadł za kierownicę peugeota, zatrzasnął drzwi i odjechał. Wskoczyłem do furgonetki,

której drzwi się za mną zasunęły. W środku, w półmroku z trudem dostrzegłem Descartes'a; kończył rozmawiać z kimś przez radio. Przez szybę z tyłu zauważyłem parę świateł szybko zbliżających się do furgonetki.

– Niedługo dogonią pańskiego peugeota – powiedział inspektor. – To było *très bien fait* – świetna robota. Dwadzieścia trzy sekundy.

Mniej niż pół minuty zajęła zamiana, w ramach której wysiadłem z samochodu podążającego do Genewy, a moje miejsce zajął mój sobowtór – zmiana, dzięki której zyskaliśmy jeden dzień zwłoki. Półtora dnia, żeby znaleźć kości lub – jeśli to się nie uda – wykorzystać szkielet Indianina, który był w drodze z Knoxville. To była kolejna podmiana, zdałem sobie sprawę: sobowtór, który miał zastąpić inną fałszywą relikwię.

Kiedy wyjechaliśmy z tunelu, nasz kierowca skręcił w prawo na pierwszym skrzyżowaniu. Czarne BMW przejechało obok. Z powodu szybkości i przyciemnionych szyb nie udało mi się dojrzeć kierowcy.

– Kim jest mój sobowtór? – spytałem Descartes'a.

– To jeden z naszych inspektorów, który, tak się składa, wygląda jak pan.

– Szczęściarz – powiedziałem. – Czy dużo ryzykuje?

– Nie w drodze do Genewy. W drodze powrotnej może być gorzej. Mogą próbować zastawić na niego pułapkę i zabrać kości. – Inspektor wzruszył ramionami. – Ma doświadczenie wojskowe i jest po szkoleniu taktycznym. Jest inteligentny, świetnie prowadzi i dobrze strzela. Potrafi o siebie zadbać. Ale ryzyko to część jego pracy.

Furgonetką szarpnęło, kiedy kierowca skręcił do Awinionu.

– Myśli pan, że Junior dał się nabrać?

– Miejmy nadzieję. – Pokazał palcem na mój strój. – Widział, że wsiadł pan do samochodu tak ubrany i zobaczy sobowtóra wysiadającego z niego w tym samym stroju. Uzna, że to pan, chyba że coś wzbudzi jego podejrzenia.

To „chyba że" trochę mnie zaniepokoiło.

– Co może wzbudzić jego podejrzenia?

Wzruszył ramionami.

– Gdyby ktoś obserwował wyjazd z tunelu, może zauważyłby dodatkowych dwadzieścia sekund, które zabrało pańskiemu samochodowi przejechanie przez tunel. Policja może coś takiego zauważyć, albo wasze FBI. Ale ci faceci nie są aż tak dobrzy. To fanatycy religijni, nie szpiedzy czy gliniarze.

– To fanatycy religijni sprawili, że runął World Trade Center – zauważyłem. – Nie należy lekceważyć siły fanatyzmu.

– Nie lekceważę ich siły – odparł – Tylko ich zdolności. Z tego, co wiem, tylko kaznodzieja i jego ochroniarz przybyli do Francji po kości Jezusa.

– Kości nie-Jezusa – poprawiłem.

– Dobrze – zgodził się – ale tego nie możemy im powiedzieć. Jeśli dowiedzą się prawdy, zabiją *mademoiselle*. Musimy się modlić, żeby wierzyli w nasze kłamstwa.

Nie byłem z tych modlących się, ale w tej szarpiącej furgonetce w drodze do hotelu wysłałem żądanie do Boga czy wszechświata: „Bez względu na to, czego to będzie wymagać, prawdy czy kłamstwa, pomóż mi uratować Mirandę". Pomyślałem o tym, jak mistrz Eckhart krytykował hipokryzję ludzi modlących się słowami „Bądź wola Twoja", a potem narzekających na swój los. Ale ja się nie modliłem w ten sposób; nie byłem tak cnotliwy czy pobożny. Chciałem po prostu, żeby Miranda wróciła cała i zdrowa.

Furgonetka wjechała na starówkę i jechała teraz wzdłuż muru, aż dotarła do wieży przed „Lumani". Kierowca zatrzymał samochód na wąskim chodniku, z bocznymi drzwiami furgonetki bezpośrednio przed drewnianą bramą pensjonatu.

– Proszę tu zostać – przypomniał mi Descartes – aż do czasu, gdy pana sobowtór wróci z Genewy.

– Czy muszę? To jest jak areszt domowy. Oszaleję. Chcę panu pomóc szukać kości.

– To zbyt ryzykowne – powiedział. – Jeśli kaznodzieja pana zobaczy, będzie wiedział, że nie ma pana w samochodzie, i zabije *mademoiselle*. *Non*, nie może pan tak ryzykować. My poszukamy kości. Proszę już iść.

Klepnął kierowcę w ramię. Mężczyzna wysiadł. Na szczęście był chudy jak szczapa, bo inaczej nie udałoby mu się wcisnąć między drzwi a ścianę domu. Wyszedł na ulicę, rozejrzał się, a potem cicho gwizdnął. Descartes przesunął boczne drzwi. Nie wyszedłszy nawet z samochodu, włożyłem klucz w zamek i otworzyłem drewnianą bramę. Potem jednym susem znalazłem się w ogrodzie i zamknąłem wrota za sobą. Ten manewr zajął mniej niż dwadzieścia trzy sekundy. *Très bien fait*, pomyślałem. I proszę, sprowadź ją z powrotem.

ROZDZIAŁ 40

AUTOSTRADA A40, SZWAJCARIA
CZASY WSPÓŁCZESNE

W pięciokilometrowym tunelu wykutym w masywie górskim na drodze z Genewy do Lyonu czarne BMW zjeżdża na lewy pas i pruje do przodu, szybko doganiając starego peugeota, który „krztusi się" pod górkę. Niemiecki samochód mija francuskie auto tak szybko, jak czołgi Hitlera przekroczyły Linię Maginota w 1940 roku; zajeżdża mu drogę i hamuje gwałtownie. Potężny łysy kierowca, Junior – przezwisko, którego nienawidzi, chociaż sam go też używa – spogląda w lusterko wsteczne, spodziewając się, że maska peugeota zrobi ostry skłon w dół i że usłyszy pisk opon hamującego samochodu – przecież szpakowaty facet w złomiastym peugeocie to jakiś profesorek, co nie? – ale peugeot skręca w prawo i wbija się między zwalniające BMW i ścianę tunelu.

Metal zgrzyta i skrzypi, kiedy peugeot masakruje drzwi BMW od strony pasażera, ścina lusterko i w tym samym momencie kasuje znak ostrzegawczy wiszący na ścianie tunelu. Szyba od strony kierowcy francuskiego auta zostaje opuszczona i nagle Junior widzi coś, co wygląda na pistolet w ręku profesora: pistolet wysunięty przez okno, wycelowany – cholera jasna – prosto w niego! Szyba w jego beemce rozpryskuje się, a sam Junior musi się schylić, żeby ujść z życiem. Następnie BMW skręca gwałtownie w lewo i wbija się w betonowy wspornik, co powoduje wciśnięcie chłodnicy w silnik i wybicie lewego przedniego koła z podwozia. Poduszka powietrzna eksploduje, uderzając Juniora w twarz i łamiąc mu nos. To przepełnia czarę goryczy. Mężczyzna nie wie, co boli bardziej: złamany nos czy świadomość, że został przechytrzony przez podstarzałego profesorka w kupie złomu.

ROZDZIAŁ 41

Awinion
Czasy współczesne

Osiem godzin po opuszczeniu przeze mnie furgonetki, godzin ciągnących się w nieskończoność i spędzonych na chodzeniu po ogrodzie – kiedy popołudniowe słońce rzucało długie cienie na dziedzińcu „Lumani" – zadzwonił mój telefon.

– Goryl kaznodziei próbował zatrzymać pańskiego sobowtóra – powiedział Descartes.

Poczułem strach, pot zaczął spływać mi kropelkami po czole i pod pachami.

– Cholera. Co się stało? Nic mu nie jest?

– Jest cały i zdrowy – pospieszył z odpowiedzią inspektor. – Udało mu się uniknąć obrażeń. Samochód goryla nadaje się za to do kasacji. Junior może być ranny, ale nie mamy pewności. Nasz człowiek się nie zatrzymał – bez wsparcia nie mógł ryzykować, a poza tym nie chciał się zdradzić. Ale musi pan zadzwonić do kaznodziei, aby myślał, że to pan był na drodze.

Zmusiłem się do wzięcia kilku oddechów – jeden, dwa, trzy – i dopiero wtedy się odezwałem:

– Proszę mi powiedzieć, co się stało. I co mam powiedzieć.

– To było w tunelu Chamois, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Genewy. Godzinę po wizycie w banku. Junior wyminął pana i próbował zmusić do zatrzymania. Strzelił pan...

– Dobry Boże, strzeliłem do niego? – Byłem wstrząśnięty tym, że ja – czy nawet moja podróbka – mógłbym do kogoś strzelić.

– Nie wiemy, czy pan trafił. Wiemy tylko, że samochód goryla rozbił się o ścianę tunelu. Junior już za panem nie jedzie. Musi pan teraz zadzwonić do kaznodziei, zanim jego człowiek się z nim skontaktuje.

– Tu Brockton – powiedziałem, kiedy odebrał. – To było bardzo głupie, pastorze.

– O czym pan mówi?

– Zastanawiam się, czy nie zawrócić i nie wrzucić tych kości do Jeziora Genewskiego. W miejsce tak głębokie, że nigdy ich pan nie znajdzie, nawet jeśli będzie pan ich szukał, lub się modlił, do usranej śmierci.

– Przysięgam, że nie wiem, o czym pan mówi. – W jego głosie wyczułem fałsz.

– Kłamie pastor. Albo stracił pan panowanie nad swoim zbirem, tak jak on stracił panowanie nad kierownicą swojego samochodu.

Nastąpiła długa pauza.

– Jakiego samochodu?

– Proszę nie obrażać mojej inteligencji. Czarne BMW, które prowadził pana łysogłowy małpiszon. Ten, który rozbił się właśnie w tunelu Chamois.

Kolejna pauza.

– W tunelu był wypadek? Czy ktoś został ranny? Nic się panu nie stało?

– Ojej, dzięki za chrześcijańską troskę, pastorze. Nic mi nie jest, ale nie wiem, w jakim stanie jest pana zbir. Może mnie pan oskarżyć o znieczulicę, ale nie zatrzymałem się, żeby odegrać dobrego samarytanina. Może jest w szoku, a może nie żyje. Mówiąc szczerze, mało mnie to obchodzi. Wracam do Awinionu z kośćmi i jeśli je pan chce, proszę ze mną nie pogrywać. Bóg przebacza, ale nie ja.

Rozłączyłem się i, jak kazał Descartes, wyłączyłem telefon, żeby wielebny Jonasz nie mógł oddzwonić – w każdym razie, aż się trochę spoci.

Tymczasem ja też się pociłem. Udało nam się zdobyć przewagę nad kaznodzieją, ale nie chciałem za dużo ryzykować. Jeśli

Juniorowi nic się nie stało i udało mu się wydostać z tunelu, a potem szybko znaleźć nowy samochód, nasza przewaga wynosiła jedynie dwie godziny. A co wtedy?

Pukanie było ciche, ale prawie wyskoczyłem ze skóry i pisnąłem z zaskoczenia.

– *Excusez-moi, docteur* – powiedziała Elisabeth. – Przepraszam, że pana przestraszyłam. – Otworzyłem drzwi i od razu lepiej się poczułem, gdy zobaczyłem jej serdeczną twarz i ogromną paczkę, którą trzymała w ramionach. – To przyszło do ciebie.

List przewozowy FedEx potwierdził to, czego się spodziewałem: paczka nadana została w Knoxville, co oznaczało, że zawierała szkielet od Hugh Berrymana. Spodziewałem się, że listowi przewozowemu towarzyszyć będzie nasze standardowe pudełko na kości o wymiarach trzydzieści na dziewięćdziesiąt centymetrów, ale to, co Elisabeth przytaszczyła na drugie piętro, było wielkości małej szafki. Podziękowałem jej, położyłem pakunek na łóżku i otworzyłem go, zanim jeszcze moja gospodyni znalazła się na schodach. W środku zewnętrznego pudła znalazłem długie, wąskie pudełko na kości, którego oczekiwałem, oraz jeszcze jedno kwadratowe pudełko o wymiarach czterdzieści na czterdzieści.

Podniosłem pudełko z kośćmi, postawiłem na biurku i podniosłem wieko. Hugh dobrze wybrał. Antropolog nigdy nie pomyliłby tego indiańskiego szkieletu z tym, który znaleźliśmy w pałacu papieskim – ta czaszka była szersza i bardziej płaska, a zęby miały charakterystyczne krzywizny siekaczy w kształcie łopaty, które są cechą uzębienia Azjatów i rdzennych Amerykanów – ale poza tym szkielet przypominał nasze zaginione kości: mistrza Eckharta lub Jezusa Chrystusa, lub kogo tam Stefan próbował sprzedać za dwa miliony dolarów. Hugh wykonał dobrą robotę, symulując rany na nadgarstkach, stopach i żebrach: nie tylko

wyżłobił kości, ale potraktował też poszarpane brzegi mieszanką kawy i herbaty, która pokryła je „patyną czasu", sprawiając, że świeże uszkodzenia wyglądały jakby powstały dawno temu.

Zadowolony ze szkieletu, swoją uwagę zwróciłem teraz na drugie pudełko. Przyklejona była do niego za pomocą taśmy rycina z rysunkiem przedstawiającym Don Kichota na koniu z uniesioną lancą i wiatrakami w tle. Pod spodem znajdowały się następujące słowa, napisane charakterem pisma Hugh: „List do Efezjan 6, 11". Zaskoczony otworzyłem pudełko. To, co w nim znalazłem, sprawiło, że ciarki mi przeszły po plecach. Otworzyłem laptopa i wygooglowałem cytat z Biblii. To był fragment listu świętego Pawła do rodzącego się Kościoła chrześcijańskiego w Efezie. „Obleczcie pełną zbroję Bożą, byście mogli się ostać wobec podstępnych zakusów diabła". Doszedłem do wniosku, że święty Paweł – a może mój własny święty Hugh – był mądrym gościem.

Kawałki naszego planu układały się wreszcie w jedną całość, choć następowało to bardzo powoli. Szkielet to było to, o co najbardziej się martwiłem, ale przybył na czas we wspaniałym stanie. Nowe ossuarium powinno pojawić się wkrótce – kamieniarz obiecał dostarczyć je nie później niż o dziesiątej wieczorem. I jeśli wszystko odbędzie się bez zakłóceń, udawany Brockton powinien wrócić do Awinionu przed północą.

Do północy były tylko cztery godziny – cztery godziny, które, jak przypuszczałem, będą się ciągnąć w nieskończoność.

Włączyłem telefon – pozostawał wyłączony przez wiele godzin, żeby wielebny Jonasz obszedł się smakiem, gdyby chciał do mnie zadzwonić. Oczywiście miałem nieodebrane połączenie z jego numeru z Karoliny Północnej. Miałem też wiadomość na poczcie głosowej, i gdy tylko ją zacząłem odtwarzać, poczułem

instynktowną odrazę, którą zawsze wywoływał we mnie głos kaznodziei. Moja odraza szybko ustąpiła miejsca panice, gdy usłyszałem jego słowa i zrozumiałem ich implikacje.

– Jeśli nie jest pan z nami, jest pan przeciwko nam – powiedział. – Nie można panu ufać. Jeśli spróbuje pan jakichś sztuczek przy wymianie, dziewczyna zginie. Jeśli będę miał najmniejsze podejrzenia, że obserwuje nas policja, dziewczyna zginie. Jeśli będzie pan grał na zwłokę lub próbował się targować, dziewczyna zginie. Jeśli kości nie są prawdziwe, dziewczyna zginie. – Poczułem ukłucie w piersi. – Mam fotografie zębów – kontynuował, a ja pomyślałem, że serce zaraz mi stanie. – Zanim ugadałem się z pana kolegą Stefanem, kazałem mu przysłać zdjęcia. Nie jestem detektywem, ale klnę się na rany Chrystusa, że jeśli zęby nie będą się zgadzały, dziewczyna zginie, a pan wraz z nią.

Patrzyłem na telefon w ręku, mając nadzieję, że to nie jest prawda, że to tylko sen, że jeśli będę się wpatrywał w aparat wystarczająco intensywnie, ściskał go wystarczająco mocno, obudzę się.

Nie obudziłem się jednak; przeżywałem koszmar na jawie. Otworzyłem pudełko z kośćmi. Podniosłem czaszkę i żuchwę, i zrobiło mi się słabo. Miałem nadzieję, założyłem, że krzywizny siekaczy nie zdradzą nic kaznodziei, ale zobaczyłem teraz, że to był mój najmniejszy problem. Prawdziwym problemem była liczba zębów: mój szkielet miał cztery zęby więcej niż zaginiony szkielet znaleziony przez Stefana. Nawet kaznodzieja, który ma słabość do cudów, nie uwierzy, że w szczęce Chrystusa wyrosły cztery nowe zęby dwa tysiące lat po ukrzyżowaniu.

Zrozpaczony zadzwoniłem do Descartes'a, który wciąż przeszukiwał labirynt korytarzy i zaułków pałacu papieskiego.

– Musi pan znaleźć te kości i to szybko – oznajmiłem. Opowiedziałem o wiadomości wielebnego Jonasza i jego groźbach. – Nie da się nabrać – powiedziałem. – Nie ma takiej możliwości. Nawet dziecko spostrzeże się, że zęby nie są takie same.

Descartes przez chwilę milczał. W końcu odezwał się:

– Nie ustajemy w wysiłkach, ale kończą nam się miejsca, gdzie możemy szukać kości. Proszę grać na zwłokę.

– Niby jak? Już Genewa to było duże ryzyko. Staje się podejrzliwy. Może mu odbić.

– Proszę coś wymyślić. Mamy jeszcze dwie wieże do przeszukania. Pewnie nie będzie pan mógł się do mnie dodzwonić. Odebrałem ten telefon tylko dlatego, że wyszedłem przed budynek, by zadzwonić do biura. Skontaktuję się z panem za godzinę.

Rozłączył się, zostawiając mnie znowu wpatrującego się w telefon. Ciśnienie mi się podniosło, w uszach mi dzwoniło, a serce biło jak oszalałe. Z frustracji krzyknąłem wściekle i kopnąłem ciężką drewnianą ramę łóżka. Zabolało – zastanawiałem się, czy czasem nie złamałem palucha – ale miałem to w głębokim poważaniu; podbiegłem do drugiej nogi i znowu kopnąłem. Łóżko przesunęło się... i coś spadło z brzękiem na podłogę. Cholera, czyżbym zepsuł łóżko? Uklęknąłem na podłodze i zajrzałem w ciemność, przyświecając sobie telefonem jak Miranda.

Światło rozbłysło na czymś metalowym – wspornik? śruba z łóżka? Przycisnąłem twarz do podłogi i wyciągnąłem to coś. To był klucz – wyglądający na stary, srebrny klucz z dużą owalną główką i kilkoma grubymi prętami wychodzącymi z trzonka. Przez chwilę myślałem, że to klucz Stefana do pałacu, ale był nieco inny. Klucz pałacowy był swoistym dziełem sztuki z filigranową ślimacznicą. Ten klucz był prosty – klucz roboczy, używany raczej

przez jakiegoś średniowiecznego stróża, a nie kardynała czy szambelana. Nie tylko główka była prostsza, także trzonek, który miał tylko trzy pary prętów, nie sześć. Nagle olśniło mnie. Otworzyłem szufladę w biurku i przeszukałem stos papierów, aż znalazłem liścik od Mirandy, który zostawiła na stoliku po nocy spędzonej w moim łóżku.

„To na pamiątkę. Może nic nie znaczy, ale może znaczy wiele". Kiedy obudziłem się tamtego ranka i znalazłem liścik, pomyślałem, że to on sam jest tą pamiątką – dziwną pamiątką, ale Miranda nie była konwencjonalna. Słowa te miały jednak większy sens, jeśli dotyczyły czegoś innego – czegoś, co spadło za stolik i zaklinowało się między nim a łóżkiem – aż do teraz. Czy to Stefan dał jej ten klucz? Czy może zgubił go w jej pokoju, kiedy próbował ją namówić na ucieczkę?

Nagle przeszył mnie dreszcz, kiedy przypomniałem sobie jej słowa. „Klucz do znalezienia kości" powiedziała. Dwa razy. Boże, musiała mieć na myśli ten klucz. Ale jakie drzwi ten klucz otwiera? Nie są to drzwi w pałacu, bo uniwersalny klucz Stefana – którego kopię mieli Descartes i jego ludzie – był inny. Co więcej powiedziała Miranda podczas tej ważnej, ale frustrującej rozmowy? Próbowała mi powiedzieć coś jeszcze, coś ważnego, ale mało zrozumiałem ze względu na jakość rozmowy. Powiedziała, żebym nie był chciwy jak Stefan. Ale potem dodała coś dziwnego, czego nie zrozumiałem. Żebym był nieporuszony. Próbowałem spytać, co miała na myśli, kiedy wielebny Jonasz złapał za telefon i ją uderzył. „Bądź nieporuszony". Obracając w dłoni klucz, patrzyłem na niego niewidzącym wzrokiem i powtarzałem te słowa powoli, jakby były magiczną formułą, może mantrą. „Bądź nieporuszony. Bądź nieporuszony. Bądź nieporuszony".

A potem otworzyłem drzwi i zbiegłem po schodach, pokonałem dziedziniec, odemknąłem drewnianą bramę hotelu i pobiegłem krętymi uliczkami obok skąpanej w świetle fasady pałacu papieskiego, pod wyciągniętymi rękami pozłacanej dziewicy i obok ogromnego krucyfiksu, i dalej w dół do północnej krawędzi murów obronnych, w kierunku ciemnych wód Rodanu.

Dotarłem do mostu Świętego Benedykta – mostu nienaruszonego, nieporuszonego świętego Benedykta – kiedy zadzwonił mój telefon. To był wielebny Jonasz.

– Teraz albo nigdy, profesorku – wysyczał.

– Teraz – powiedziałem. – Dokładnie teraz. Ale musi ją pan ze sobą przyprowadzić. Ja i kości jesteśmy na moście Świętego Benedykta. Proszę przyjść od południowej strony. Jeśli zobaczę kogoś z panem oprócz Mirandy, wrzucę kości do rzeki.

Jakie kości? To retoryczne pytanie postawione przez Descartes'a wciąż miało sens. Nie miałem jeszcze kości i nie byłem pewny, że tam rzeczywiście były. Ale musiały być. Nie było innego wytłumaczenia... i czasu, żeby szukać ich gdzie indziej.

– A jeśli ktoś będzie z panem, zastrzelę dziewczynę – odparł. – Jeśli ma pan jakieś wątpliwości, proszę pamiętać, co się stało z pana kolegą.

– A co z piątym przykazaniem? Nie zabijaj? Czy może Bóg powiedział panu, że ono pana nie dotyczy, kiedy zabrał pana do nieba i pokazał zwiastun apokalipsy?

– Wszyscy jesteśmy grzesznikami. Niektórym z nas, dzięki łasce Boga, grzechy zostają wybaczone. To jedyna różnica. Wiele razy w życiu zgrzeszyłem. I pewnie jeszcze zgrzeszę. Ale zostałem oczyszczony przez krew Jezusa Chrystusa. Cudem łaski. I kiedy zabrzmi trąba – a nastąpi to wkrótce – stanę po prawicy Ojca. Bo jestem głosem wołającego na pustyni. „Przygotujcie drogę Panu,

dla Niego prostujcie ścieżki!" Mimo że jestem niegodny, jestem narzędziem Boga.

Jego słowa – ich zapalczywość – przepełniły mnie strachem, ale wiedziałem, że nie mogę go okazać.

– Ja też – powiedziałem z takim przekonaniem, na jakie mogłem się zdobyć. Dorastając, miałem do czynienia z religijnymi fundamentalistami – Południową Konwencją Baptystów czy prymitywnymi baptystami. Przypomniałem sobie ich język, mając nadzieję, że przemówię do kaznodziei słowami, które będą niosły ze sobą wagę.

– Ja też jestem narzędziem Pana. Proszę wsłuchać się w Ducha, pastorze, a zrozumie pan, że to prawda. Znalazłem kości. Wymknąłem się z zastawionej przez pana pułapki. A teraz wzywam pana – jak Jezus wezwał kobietę przyłapaną na cudzołóstwie – „Idź, a od tej chwili już nie grzesz!". Aby otrzymać rozgrzeszenie, należy żałować za swoje grzechy. A żal za grzechy nie jest prawdziwy – to kłamstwo – jeśli planuje się kolejny grzech. Proszę przyprowadzić Mirandę za dziesięć minut – z czystym sercem. Wzywam pana w imię tego, któremu pan służy.

– Nie waż się pan... – zaczął, ale się rozłączyłem.

Wiedziałem, że to było ryzykowne, ale przecież grałem o wysoką stawkę w „kto pierwszy stchórzy" z czystej wody szaleńcem. Robienie czegokolwiek było ryzykowne... ale niezrobienie niczego byłoby jeszcze większym ryzykiem. Słowa mistrza Eckharta siedemset lat po tym, jak je wypowiedział, wciąż niosły w sobie prawdę: „Cena braku działania jest o wiele większa niż koszt popełnienia błędu". W tym wypadku ceną braku działania było życie Mirandy.

Zadzwoniłem do Descartes'a. Telefon dzwonił i dzwonił, aż w końcu włączyła się poczta głosowa. Chryste, pomyślałem, jest

w piwnicy jednej z wież, gdzie nie ma zasięgu. Kiedy skończył się komunikat powitania – zrozumiałem z niego tylko „René Descartes” – powiedziałem:

– Panie inspektorze, tu Brockton. Wiem, gdzie są kości. Spotykam się z kaznodzieją za dziesięć minut na moście Świętego Benedykta. Proszę się pospieszyć. Proszę go tylko nie wystraszyć, bo zabije Mirandę.

Wejścia do wieży, która służyła za kotwicę kamiennego mostu, broniły wielkie drewniane drzwi zamknięte na żelazny zamek. W świetle telefonu włożyłem klucz do dziurki i przekręciłem. Zamek stawiał opór, nacisnąłem mocniej, modląc się, żeby nie złamać klucza. Wciąż nie ustępował, więc zwiększyłem nacisk i pomodliłem się znowu... Zamek poddał się. Naparłem na drzwi całym ciałem i otworzyłem je, a potem pobiegłem po kamiennych schodach na szczyt mostu. Pięćdziesiąt metrów przede mną znajdowała się zrujnowana mała kaplica, w której przez czterysta lat spoczywały nienaruszone szczątki Benedykta, do czasu gdy rewolucja francuska zdetronizowała podwójną monarchię króla i Kościoła.

Przy drzwiach kaplicy powtórzyłem tę samą sekwencję: światło, klucz, modlitwa, siła. Znowu, kiedy już spodziewałem się, że klucz się złamie, obrócił się w zamku i drzwi się otworzyły.

W kaplicy było ciemno choć oko wykol. Wyświetlacz telefonu sprawdzał się jako źródło światła w przypadku dziurki od klucza, ale był prawie bezużyteczny w tak dużym pomieszczeniu. Na czworakach przeszukiwałem posadzkę kaplicy. Znalazłem szczątki szczurów, odchody gołębi, kilka kawałków papieru i plastiku, które mistral musiał tu przygnać przez okna. Ale nie kamienne ossuarium.

Natknąłem się jednak na kolejne, mniejsze drzwi w jednej z bocznych ścian kaplicy. Wstałem, znalazłem po omacku żelazną

klamkę i otworzyłem. Przed sobą miałem schody prowadzące w dół do niskiej komnaty, która musiała być kryptą. To tutaj spoczywały szczątki Benedykta do czasu, aż zabrały je zakonnice. Czy to tutaj Stefan ukrył ossuarium? Czy był to ostatni żart aroganckiego archeologa?

Na prostym kamiennym ołtarzu pośrodku krypty stało ossuarium z krzyżem i barankiem widocznymi nawet w słabym świetle telefonu. Nie podniósłszy nawet wieka, żeby sprawdzić, czy w środku znajdują się kości, ściągnąłem skrzynkę z płyty i z trudem wniosłem po schodach.

ROZDZIAŁ 42

Dotarłem do krawędzi mostu i ostrożnie postawiłem ossuarium na wąskiej balustradzie dokładnie w chwili, gdy wielebny Jonasz wychodził z wieży. Pół kroku przed nim szła Miranda. Pastor lewą ręką trzymał ją za ramię; prawą popychał ją przed sobą jak tarczę.

– Proszę ją puścić, pastorze! – zawołałem. – Proszę puścić jej ramię i iść w moją stronę z wyciągniętymi rękami.

Wyciągnął prawą rękę zza pleców dziewczyny i zobaczyłem pistolet, który przyciskał do żeber Mirandy.

– Pokaż mi pan kości.

Język mnie świerzbił, ale wiedziałem, że muszę mówić spokojnie i z mocą.

– Najpierw proszę ją puścić. I odłożyć broń.

– Nie, doktorze.

– Taka była umowa, pastorze. Ja dostanę Mirandę, a pan kości.

– Nasz umowa się nie liczy. Odpowiadam tylko przed kimś dużo silniejszym od pana. Proszę mi pokazać kości albo, klnę się na Boga, pociągnę za spust.

W głowie mi się kotłowało.

– Jeśli pan ją zabije, wrzucę kości do rzeki. Jeśli zabije pan mnie, kości także skończą na dnie. Zauważył pan na pewno, że balansują na krawędzi. Nie spadły tylko dlatego, że je trzymam. Ale skoro pan nalega, pokażę coś panu. – Podniosłem wieko ossuarium i odłożyłem je, opierając o dolny pręt balustrady na wysokości kolan. Patrząc na kaznodzieję, sięgnąłem do środka i poszukałem dotykiem kości udowej. Biorąc ją za głowę – kulkę w górnej jej części – wyjąłem kość ze skrzynki.

– To lewa kość udowa. Lewa kość udowa Syna Człowieczego. Teraz proszę uwolnić Mirandę. – Pokręcił głową i zrobił krok w moim kierunku, ciągnąc dziewczynę ze sobą. Pomachałem ostrzegawczo kością... – Jak wytłumaczy to pan swojemu Bogu? – Opuściłem kość wzdłuż mojej nogi, a potem potrząsnąłem nadgarstkiem. Kość poszybowała w górę, obracając się w powietrzu, i skierowała się nad przeciwległą stronę mostu. Wciąż się obracając, spadła za balustradę i z pluskiem zniknęła w czarnej wodzie.

Wielebny Jonasz krzyknął i podbiegł do balustrady. Potem wycelował broń w moim kierunku. Wiedziałem, że teraz wszystko się może wydarzyć, ale przynajmniej nie trzymał pistoletu przy żebrach Mirandy.

– Ty... ty... – głos mu drżał, podobnie jak pistolet.

– Proszę pamiętać, że jeśli mnie pan zastrzeli, reszta kości także wyląduje w wodzie. I wie pastor co? Ta kamienna skrzynia jest ciężka jak diabli i ręka zaczyna mi już drętwieć. – Żeby podkreślić swoje słowa, pozwoliłem, żeby ossuarium zachwiało się na balustradzie. Kości zagrzechotały w środku. – Pewnie pan to wie,

pastorze, ale jeśli szuka pan DNA w starym szkielecie, to największe szanse na ich znalezienie ma pan w zębach i kościach długich, ponieważ DNA lepiej się w nich zachowuje niż w mniejszych kościach, kości długie chronią je przed bakteriami, zanieczyszczeniami i działaniem czasu. Wiem, co chce pan zrobić. Największą szansę powodzenia ma pan z kością udową. – Sięgając znowu do skrzynki, znalazłem drugą kość udową i wyciągnąłem ją. – Niestety, łamiąc dane mi słowo, już pan stracił jedną kość. Szkoda by było, żeby stracił pan też drugą. – Machnąłem nią, jakbym zbierał się do rzutu.

– Nie – wydyszał.

– Proszę odłożyć broń. Liczę do trzech – to liczba Świętej Trójcy. Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty. Obserwują pana i zastanawiają się, czy ich pastor zawiedzie. Jeśli te kości skończą w rzece, myśli pan, że przyjmą pana z otwartymi ramionami i powiedzą: „Dobra robota, dobrze nam służyłeś"? Jakoś w to wątpię. Ale pana wiara jest pewnie silniejsza niż moja. Raz – podniosłem kość, ale nie wypuściłem jej z ręki. – Dwa – kość znowu znalazła się w górze. – Trzy – tym razem mocniej podniosłem ramię, jakbym robił większy zamach.

– Przestań! Dobra. Dobra! – Położył pistolet na kocich łbach i obie ręce wysunął do przodu.

– Tak lepiej – powiedziałem. – Miranda, idź stąd.

– Nigdzie bez ciebie nie idę – stwierdziła.

– Idź. Będę tuż za tobą. Jak tylko zejdziesz z mostu, dam kości pastorowi i cię dogonię. Idź.

– Nie mogę. – Ku mojemu zdziwieniu zaczęła płakać. – Nie mogę cię tu z nim zostawić.

– Możesz i musisz. – Poruszony jej wrażliwością, poczułem, że sam się zaraz rozkleję. – Nie bój się. Nic mi nie będzie. – Sam nie

do końca wierzyłem w swoje słowa, ale ona musiała w nie uwierzyć, przynajmniej do czasu, kiedy bez szwanku zejdzie z mostu. – Kocham cię, Mirando. Idź już...

– Ja też cię kocham – powiedziała szeptem, ale w jej słowach była większa moc, niż gdyby to wykrzyczała.

Zaczęła iść – najpierw powoli, potem szybciej, odgłos jej kroków dźwięczał na kamieniach. W końcu pobiegła. Kiedy dotarła do wieży i zaczęła iść po schodach, skinąłem na kaznodzieję.

– Dobra, pastorze, proszę wziąć te swoje kości. Ale proszę nie zapominać, że w każdej chwili mogą znaleźć się w wodzie, jeśli będzie pan próbował jakichś sztuczek.

Był trzy metry ode mnie. Szedł powoli i sztywno, jakby maszerował na paradzie wojskowej w zwolnionym tempie. Oczy mu błyszczały, oddech był krótki, a usta szeptały słowa, których nie rozumiałem. Kiedy był dwa kroki ode mnie, powiedziałem:

– Proszę się zatrzymać. – Zatrzymał się, lekko się chwiejąc. – Proszę wyciągnąć ręce. Podam panu ossuarium. Proszę się przygotować, jest ciężkie.

– Niech pan je postawi na ziemi. Mam słaby kręgosłup.

Chciałem, żeby przez kilka sekund miał zajęte ręce.

– Musi pastor pokładać wiarę i pamiętać słowa Izaaka: „Lecz ci, co zaufali Panu, odzyskują siły, otrzymują skrzydła jak orły: biegną bez zmęczenia, bez znużenia idą". Proszę wyciągnąć ręce i przygotować się. Ręce mi już mdleją.

Zrobił kolejny krok, a ja pchnąłem ossuarium z balustrady na jego wyciągnięte dłonie. Kiedy zachwiał się pod jego ciężarem, przebiegłem na drugą stronę mostu, podniosłem pistolet i wycelowałem w niego.

– Kłamca – wysyczał. – Oszust. Syn szatana. – Ukucnął i odstawił ossuarium.

– Nie, pastorze. Nie mam zamiaru pana skrzywdzić. Chcę tylko żywy opuścić ten most. – Z pistoletem wycelowanym w kaznodzieję i wbitym w niego wzrokiem zacząłem iść tyłem w kierunku wieży i schodów na końcu mostu. Byłem w połowie drogi, kiedy krzyk Mirandy przeciął noc.

Odwróciłem się i pobiegłem do schodów, krzycząc:

– Miranda? Miranda!

Wtedy ją zobaczyłem, przewieszoną przez ramię zbira wielebnego Jonasza, który wyglądał jak nikczemna wersja świętego Krzysztofa niosącego małego Chrystusa. Jak znalazł się tu tak szybko po wypadku w tunelu? Czy złapał okazję? Jeśli tak, to kto był „złym" dobrym samarytaninem?

Na żywo Junior wyglądał na dużo potężniejszego niż na nagraniu z monitoringu: był olbrzymem z karkiem grubości pnia drzewa i ramionami jak gałęzie dębu. Miranda wierciła się i walczyła, ale zdziałała tyle, co małe dziecko.

– Zemsta jest moja! – zawołał wielebny Jonasz za mną. – Tak mówi Pan. – Odwróciłem się do niego. Szedł w moją stronę z drugim pistoletem w ręku. Podniósł go, wycelował i zobaczyłem błysk, a potem poczułem, że lecę do tyłu, jakbym dostał w pierś pięścią Boga. Uderzyłem w ścianę kaplicy plecami i głową; nogi ugięły się pode mną i zsunąłem się po ścianie na kocie łby.

– Zemsta jest moja – usłyszałem, jak powtarza wielebny Jonasz. – Bogu niech będą dzięki za to, że dał nam odnieść zwycięstwo. – Obraz stawał się coraz bardziej zamglony, kiedy pastor szedł w moim kierunku, ale widziałem, że się zbliżył i przysunął pistolet do mojej głowy. – Przygotuj się na spotkanie ze swoim stwórcą. – Usłyszałem strzał, a potem kolejny.

Niewątpliwie w malignie zobaczyłem, że kaznodzieja upada przede mną, a za nim Miranda i zbir.

– Miranda, nie – jęknąłem.

Ale wtedy, jakby za sprawą cudu, Miranda uwolniła się i wstała. Spojrzała na Juniora, którego głowa leżała w kałuży krwi.

– Bill, Bill – załkała. – Boże, Bill.

Za nią zobaczyłem idącego po mnie anioła śmierci. Był ubrany na czarno, ale zamiast kosy miał w ręku karabin.

– Przepraszam, że tyle mi to zajęło – powiedział z irlandzkim akcentem anioł śmierci, którego rysy przekształciły się w twarz księdza Mike'a.

– Proszę zabrać Mirandę – wyszeptałem. – Proszę ją stąd zabrać.

– Najpierw przyjrzyjmy się panu – odpowiedział. – Nieźle pan oberwał, co?

– Nie wiem. Trudno mi oddychać. Jak mnie ksiądz znalazł?

– Za sprawą świętego Antoniego – odparł. – Pamięta pan? „Antoś, Antoś, spójrz dokoła, coś zgubiłem, znajdź to skoro". – Złapał za mój kołnierzyk i rozdarł górę koszuli. Wyglądał na zaskoczonego, a potem zaczął się śmiać. – Niech mnie licho. Może jednak coś jest w tych zabobonach.

– Co? – spojrzałem w dół, oczekując widoku krwi, ale nie było jej. Potem mi się przypomniało. – A, kamizelka. – Prezentem od Hugh była kamizelka kuloodporna. Od razu ją rozpoznałem, Hugh zawsze ją wkładał do pracy na miejscu zbrodni i często sobie z tego żartowałem. Ale teraz tej kamizelce zawdzięczałem życie i obiecałem sobie, że już nigdy nie będę się podśmiewał z ostrożności mojego kolegi.

Zanim udało mi się wszystko wytłumaczyć, Miranda dotknęła mojej piersi, a potem podniosła medalion, który dał mi ksiądz Mike. Święty Krzysztof został unicestwiony; w miejscu jego twarzy w środku medalionu tkwiła spłaszczona kula pistoletu.

– O mój Boże – wyszeptała Miranda – To niesamowite. Niewiarygodne. Nawet nie jesteś ranny?

– Łatwo ci mówić – mruknąłem. – Czuję się, jakby kopnął mnie koń. – Ale kiedy to mówiłem, poczułem, że ból ustępuje.

– Będzie miał pan niezłego siniaka – powiedział ksiądz Mike. – Może nawet pęknięty mostek, ale biorąc wszystko pod uwagę, miał pan dużego farta. – Nachylił się bliżej, przyglądając się kamizelce. – Nie chciał pan ryzykować, co? – uśmiechnął się nieznacznie. – Ale ta kamizelka nie zatrzymałaby tej kulki. Dobra na 9 mm, ale nie na 45, a tym pana ochrzcił wielebny.

Miranda spojrzała na księdza Mike'a, a potem na zdruzgotany medalion, obracając go na wszystkie strony w słabym świetle. Z krawędzi wystawał jakiś zielono-złoty plastik.

– W medalionie jest układ scalony – powiedziała powoli. – Czy to urządzenie namierzające? Śledził ksiądz doktora Brocktona?

Wzruszył ramionami.

– Nawet święty Antoni potrzebuje trochę pomocy.

Popatrzyła na niego uważnie.

– Kim pan jest? Bo na pewno nie księdzem z zabitej deskami irlandzkiej wioski.

W moim umyśle zaczęły się krystalizować podejrzenia.

– Nie spotkaliśmy się w bibliotece przypadkiem, prawda? Obserwował mnie ksiądz. Szukał możliwości nawiązania kontaktu.

– Nie wierzę w przypadki. To prawda. Miałem na pana oko.

– To pan obserwował nas z lornetką i aparatem – powiedziała oskarżycielsko Miranda. – Robił pan zdjęcia, kiedy byliśmy na moście. Cały czas chodziło panu o kości.

– A ta cała historia o IRA i bracie – dodałem – to było kłamstwo.

– Nie do końca. Rzeczywiście straciłem brata w czasie konfliktu, ale to nie Angole go zabili, a ja. Bomba, którą uzbrajałem, wybuchła

przedwcześnie. Historia o mojej pokucie jest prawdziwa – będę odpokutowywał to aż do śmierci.

– Nie jest pan księdzem.

Wzruszył ramionami.

– Księdzem nie jestem. I jeśli zapyta pan o mnie papieża, to wyprze się, że mnie zna. Ale służę Kościołowi. Myślę o sobie jako o współczesnym templariuszu.

– Po co panu te kości? – spytała Miranda. – Albo po co one papieżowi, czy komu tam, kto jest pana szefem?

– Żeby chronić interesy Kościoła. Jeśli są to kości Chrystusa, to posypie się historia o zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu. To sprawi pewną trudność, prawda?

– Ale to nie są kości Chrystusa – przypomniałem mu. – To kości mistrza Eckharta, teologa i kaznodziei z czternastego wieku. Mówiłem to panu.

– Niby tak. Ale powiedział pan też, że Eckhart został zamordowany – ukrzyżowany – przez kardynała, który potem został papieżem. I to podobizna Eckharta, a nie Chrystusa jest na całunie. Nie rozumiecie, w jakim świetle stawiałoby to Ojca Świętego, gdyby sprawa się rypła?

Poczułem się jak ostatni naiwniak. Oczywiste było – ze sposobu zachowania i łatwości, z jaką posługiwał się bronią – że był żołnierzem albo policjantem. Czy należał do gwardii szwajcarskiej papieża? Czy może do służb specjalnych – watykańskiej wersji CIA? Jak mogłem go wziąć za wiejskiego wikariusza?

Karabin wisiał luźno na jego ramieniu. Miał składane łoże i lunetę o dużej objętości, sprawdzającą się przy słabej widoczności lub w ciemnościach. Na jej szczycie znajdowało się cienkie cylindryczne urządzenie, które musiało być laserem naprowadzającym.

Miałem ochotę się roześmiać, kiedy zdałem sobie sprawę z ironii losu. Miranda i ja wywinęliśmy się śmierci z rąk protestanckiego fanatyka religijnego, a teraz mieliśmy zginąć z rąk katolickiego zamachowca. Spojrzałem na nią, spodziewając się ujrzeć smutek i strach w jej oczach. Zobaczyłem jednak, że ona coś knuje. Prawie niezauważalnie przesuwała się za księdzem Mikiem w stronę pistoletu, który wypadł mi z ręki, gdy trafiła mnie kulka wielebnego Jonasza. Była metr od niego, potem pół metra, a następnie tuż przy nim. Musiałem odciągnąć uwagę księdza Mike'a czy kim tam był.

– Więc będzie pan też musiał odprawić pokutę za zabicie Mirandy i mnie? Co to będzie za pokuta?

Kiedy zadałem to pytanie, Miranda sięgnęła po pistolet. Nie oglądając się nawet, fałszywy ksiądz wykonał zamach nogą i ją podciął. Upadła na ziemię z hukiem i jęknięciem. Nadal próbowała chwycić broń i nawet udało jej się położyć na niej dłoń, kiedy mężczyzna przycisnął stopą jej nadgarstek. Krzyknęła z bólu, a ja spróbowałem rzucić się na niego. Zatrzymała mnie lufa karabinu przyłożona do mojego gardła kilka centymetrów nad kamizelką.

– Pewnie powinienem was zabić, ale nie zrobię tego. Gdybym chciał waszej śmierci, dałbym wielebnemu dokończyć dzieła. Nie mam wyrzutów sumienia z powodu zabicia kaznodziei i jego goryla – nie będzie potrzebna żadna pokuta – ale nie chcę mieć na rękach krwi niewiniątek. Być może tego pożałuję, ale pozwolę wam odejść. Mam nadzieję, że nie będziecie mieć nic przeciwko temu, jeśli wezmę to na pamiątkę. – Wyjął pistolet z ręki Mirandy, a potem podniósł nogę z jej nadgarstka. – Przykro mi, że zabolało. Jest pani chyba dość uparta, więc pomyślałem, że jeśli krzyknę „Stój", to i tak pani nie posłucha. Mam nadzieję, że nie zrobiłem pani jakiejś większej krzywdy.

– Mam na głowie guza i może naciągnięte ścięgna w nadgarstku, ale nic mi nie będzie – oświadczyła Miranda. – Trochę boli, ale uratował mnie pan przed szaleńcami, więc jeśli obieca pan, że mnie nie zabije, nie będę nosić urazy.

Uśmiechnął się – uśmiechem przypominającym mi tego miłego, ciepłego faceta, który mnie wysłuchał na schodach biblioteki kilka dni, a jednocześnie całe wieki temu. Patrząc na mnie, pokazał głową na Mirandę.

– Sprawdza się w sytuacjach kryzysowych. Bez wahania powierzyłbym jej własne życie.

Wrzucił do rzeki pistolet pastora, który spoczął na dnie gdzieś w sąsiedztwie kości udowej.

– Czy mogę zaufać, że będziecie tu siedzieć cicho jak mysz pod miotłą, aż przestaniecie słyszeć silnik mojego skutera? – Skinąłem, Miranda zrobiła to samo. – Świetnie. Potem możecie krzyczeć, ile sił w płucach, i nasłać na mnie gliniarzy. Jeśli mnie złapią, to będzie oznaczać, że się starzeję.

Podszedł do ossuarium stojącego kilka metrów dalej, gdzie zostawił je wielebny Jonasz. Podniósł wieko i położył je na miejsce, ale przedtem szybko zajrzał do środka. Potem kucnął i podniósł skrzynkę, a następnie wzruszył ramieniem, żeby pasek karabinu mu się z niego nie zsunął.

– Te kości przyniosły pecha wszystkim, którzy próbowali je sobie przywłaszczyć – ostrzegłem go. – Na pewno chce je pan zabrać?

Wzruszył ramionami, a kości nieco zagruchotały.

– To nie zależy ode mnie. Taki otrzymałem rozkaz. – Kiedy dotarł do nas, zwrócił się w naszą stronę. – Powodzenia. Nosiłbym ten medalion na pana miejscu. Chyba przyniósł panu szczęście.

Odwrócił się i nagle z jego pleców wytrysnęła jasnoczerwona chmura krwi. Upadł na kolana i upuścił z hukiem ossuarium, jakby

poczuł nagłą potrzebę modlitwy. Potem opadł na skrzynkę.

– Cholera, cholera, cholera – wyszeptała Miranda. Podbiegła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu, gdy uchodziło z niego życie. – Jezusie, Maryjo, Józefie święty.

Zza wieży na końcu mostu wyszedł mężczyzna i podszedł do nas.

– *Bonsoir, mademoiselle.* – Tym mężczyzną był inspektor René Descartes.

– Panie inspektorze? Jak długo pan tu jest?

– Może pięć minut – wzruszył ramionami. – Widziałem, jak zginął kaznodzieja i jego goryl.

W głowie mi wirowało ze strachu, smutku i złości.

– Nie musiał pan zabijać księdza, inspektorze – zrobiłem mu wyrzut. – Nie chciał nam zrobić krzywdy.

– Ależ tak – powiedział.

Zdziwiłem się.

– Ależ tak co?

– Musiałem go zabić.

– Dlaczego?

– Bo zabierał kości.

– Mógł mu pan je kazać zostawić. Miał zajęte obie ręce. Nie stanowił zagrożenia.

– Był bardzo groźny. Stanowił ogromny problem. Tak jak pan i *mademoiselle*.

– Nie rozumiem.

– Wie pan, doktorze, ile zarabia inspektor francuskiej policji?

– Nie wiem. Pewnie za mało.

– Wystarczy na wynajęcie dwupokojowego mieszkania, dziesięcioletni samochód i tydzień nad morzem w sierpniu – wyjaśnił. – Wie pan, ile mogę dostać za te kości? Trzy miliony dolarów.

– Jak to? Komu chce je pan sprzedać? Szalony protestant i katolicki komandos nie żyją. Rynek się skurczył.

– Zapomina pan o rynku dzieł sztuki – powiedział. Uśmiechnął się ironicznie. – Wygląda na to, że *madame* Kensington ma bardzo zainteresowanego i bardzo bogatego klienta, który chciałby dać kościom drugą szansę. Szkoda, że wrzucił pan kość udową do rzeki, ale myślę, że krew na ossuarium, wraz z opowieścią o szalonym kaznodziei i księdzu żołnierzu, zrekompensują jej brak. Kolekcjoner, który jest gotowy zapłacić trzy miliony dolarów za kości Chrystusa, z pewnością ceni dobre opowieści. Proszę sobie wyobrazić, że jest pan miliarderem i że ma pan te kości, najbardziej wyjątkowe kości świata, i że może je pan pokazać swoim zaufanym przyjaciołom. Proszę sobie wyobrazić, jak uważnie słuchają, kiedy mówi im pan, ile za nie zapłacił i ile osób straciło przez nie życie. Sama ta historia jest warta milion, prawda? Może powinienem podnieść cenę, doktorze, co pan myśli?

– Chyba pan o czymś zapomniał. Tydzień temu nazwał pan Felicię Kensington kupą gówna.

– Ach, *oui*, ona jest kupą gówna. Ale pozłacaną i wysadzaną brylantami.

– Więc pan też jest oszustem, fałszerzem – powiedziałem. – Podrabianym gliniarzem. Tylko udaje pan, że dba o prawdę i sprawiedliwość.

Wzruszył ramionami, a potem wsunął czubek buta pod ciało księdza Mike'a i zepchnął je z ossuarium.

– Dobra, idziemy. Moi koledzy są zazwyczaj dość opieszali, ale nawet oni niedługo się tu zjawią. Może pan wziąć te kości?

Ukucnąłem i podniosłem skrzynkę.

– Ksiądz Mike chciał nas puścić. A pan?

– Przykro mi. Fałszywy ksiądz dał wam fałszywą nadzieję. Ja wam dam smutną prawdę. *La triste vérité*. Wasza śmierć ułatwi mi życie. Szkoda, że muszę was zabić. Proszę nie brać tego do siebie.

– A niby jak inaczej mam to brać?

– *Quel dommage*. Wielka szkoda. Ale jak pan chce.

Przed nami mój wzrok przykuło coś pomarańczowego: siatka bezpieczeństwa, która zasłaniała lukę w balustradzie. Prawie do niej dotarliśmy i w głowie zakiełkował mi pomysł.

– Panie inspektorze, muszę zmienić pozycję rąk, bo inaczej skrzynka mi z nich wypadnie. Wątpię, czy pana klientka będzie zadowolona, jeśli ossuarium się rozbije. Postawię je na balustradzie, jeśli pan pozwoli.

– *Non*. Nie na balustradzie. Widziałem, co pan knuł wcześniej.

– Dobrze, postawię je na ziemi – powiedziałem – ale muszę to zrobić teraz. Wyślizguje się. – Nie czekając na jego odpowiedź, ukucnąłem i postawiłem ossuarium na bruku. – Uff – odetchnąłem z ulgą. Wyprostowałem się i zacząłem robić skłony, żeby się rozciągnąć. Przełożyłem palce, wyciągnąłem ramiona i pchnąłem dłonie, żeby rozluźnić kłykcie.

– Wystarczy – rzucił. – Idziemy.

– Jestem gotowy. To pomogło. – Ukucnąłem znowu i włożyłem palce pod ossuarium. – Mirando, pomożesz mi podnieść skrzynkę?

– Może ja ją przez chwilę poniosę? – Miranda ukucnęła po drugiej stronie ossuarium i też wsunęła pod nie palce. Poczułem, że dotykają lekko moich.

– Nie, poradzę sobie – zapewniłem ją. – Pomóż mi ją unieść – to najtrudniejsza część. Pamiętaj, żeby rozłożyć ciężar równomiernie na obie nogi i nie obciążać kręgosłupa – dotknąłem jednego z jej palców, mając nadzieję, że odczyta to jako sygnał. Spojrzała mi

w oczy, a ja podniosłem wzrok w górę i uniosłem brwi. – Dobra, na trzy – powiedziałem. – Raz, dwa, trzy!

Z całą siłą, na jaką mogłem się zdobyć, skoczyłem na równe nogi i rzuciłem się do tyłu, krzycząc:

– Pchaj!

Miranda pchnęła mocno skrzynkę, przyspieszając tym samym mój upadek. Wpadłem na Descartes'a z impetem zapaśnika. Inspektor jęknął i upadł na plecy. Ciężar mojego ciała pchnął nas obu w kierunku luki w balustradzie. Poczułem opór siatki, która się rozciągnęła pod naszym ciężarem. Przez chwilę wisieliśmy nad wodą – detektyw próbował złapać równowagę, machając rękami, desperacko starał się chwycić czegoś stałego – a potem plastik trzasnął i runęliśmy. Ja ze skrzynką przy piersi, spychając w dół Descartes'a. Zrobiliśmy w powietrzu koziołka, a potem siła odśrodkowa sprawiła, że kości poszybowały w kierunku czarnego nieba. Spadaliśmy w ich otoczeniu, jakbyśmy byli w jakiejś makabrycznej kuli ze śniegiem śmiertelności.

Descartes upadł do wody na plecy i podwójna siła uderzenia – najpierw o taflę wody, a potem zderzenie z moim ciałem – sprawiła, że powietrze uleciało z jego płuc, jakby został uderzony w brzuch. Ja przygotowałem się, robiąc głęboki wdech i napinając mięśnie brzucha, aby stworzyć swego rodzaju bufor przeciwko uderzeniu ossuarium.

Woda szybko zamykała się nad nami. Opadaliśmy w dół przez zimną czerń. Światło nad nami bladło. Poczułem, że Descartes walczy o życie i łapie się mnie, jakbym był drzewem lub drabiną, po której mógłby się wspiąć na powierzchnię. Poczułem też, że fragmenty plastikowej siatki owijają się wokół moich dłoni i twarzy.

Miałem w płucach powietrza zaledwie na kilka sekund, a zbliżałem się do dna rzeki ściągany w dół przez tonącego mężczyznę i kilkanaście kilogramów kamienia. W desperacji odchyliłem głowę do tyłu, uderzając inspektora w twarz. Poluźnił swój chwyt na tyle, że udało mi się uwolnić z jego uścisku. Wciąż trzymałem w lewej ręce krawędź ossuarium. Odpuść, krzyczał głos w mojej głowie. Odpuść. Wyciągnij go na powierzchnię.

Zignorowałem ten głos. Chwyciłem mocniej ossuarium, a drugą ręką sięgnąłem po kawałek siatki, który owinąłem wokół skrzynki. Zwisający kawałek plastiku przywiązałem do stopy Descartes'a. Dopiero gdy przymocowałem go do tej kamiennej kotwicy, odepchnąłem się od niego i zacząłem desperacki powrót na powierzchnię. Poczułem, że jego palce chwytają się moich stóp, a potem ześlizgują, kiedy odkopałem się w górę, a on opadł na dno.

W górze błyszczał tylko słaby promyk światła. Kiedy płynąłem w jego kierunku na bezdechu, światło zaczęło gasnąć. Moja ostatnia myśl, kiedy otworzyłem usta, a moje płuca wypełniły się wodą, dotyczyła Mirandy: Niech będzie bezpieczna – pomyślałem, nie pomodliłem się. A następnie: To już koniec.

Potem nastąpiła ciemność.

ROZDZIAŁ 43

Syreny wyją, a opony piszczą, kiedy samochody hamują na chodniku przy wejściu na most. Ośmiu mężczyzn wyskakuje z wozów policyjnych i biegnie z bronią w ręku w kierunku schodów.

Jeden z policjantów krzyczy i pokazuje w górę, a inni, podążając wzrokiem za jego dłonią, widzą młodą kobietę wchodzącą na balustradę mostu i przeszukującą wzrokiem wodę w poszukiwaniu zmarszczek, bąbli, jakiegokolwiek ruchu. Przez krótką chwilę kobieta balansuje na balustradzie z rozłożonymi szeroko ramionami, jakby Jezus i Maryja, Zbawiciel i Dziewica, ukazali się w tym samym momencie. Wtedy coś zauważa; bez wahania rzuca się do wody na główkę, nie bacząc na nic, jak mewa, która widzi w wodzie błysk łuski. Znika pod powierzchnią nieomal bez plusku, a policjanci stoją jak zahipnotyzowani, patrząc na rozszerzające się kręgi – jedyny dowód na to, czego byli przed chwilą świadkami. Mijają długie chwile, jeden z mężczyzn chwyta za ramię partnera, inny się żegna.

W końcu woda się porusza. Kobieta wyłania się z otchłani, chwytając powietrze, kaszląc. Płynie do brzegu z wyciągniętym jednym ramieniem, drugim otacza pozbawione życia ciało mężczyzny, które wyciągnęła z głębin.

Wciąga go na brzeg i opróżnia jego płuca z wody, a potem, trzymając w ręku zdruzgotany medalion, który wisi na szyi mężczyzny, przykrywa jego usta swoimi i obdarza go pocałunkiem życia.

Mężczyzna – Brockton – porusza się, jęczy i ożywa.

OD AUTORA

O faktach i fikcji

Uwaga: w poniższym rozdziale zawarte zostały najważniejsze informacje dotyczące treści książki. Czytelnicy, którzy nie skończyli lektury i nie chcą poznać zakończenia powieści przed czasem, nie powinni zapoznawać się z treścią tego rozdziału... jeśli potrafią oprzeć się pokusie.

Awinion – miasto papieży – zostało przedstawione w tej książce zarówno czule, jak i wiernie. Założona przez Celtów kilkaset lat przed naszą erą osada zmieniła się na zawsze w roku 1309, kiedy to Klemens V, pierwszy francuski papież, osiadł tutaj ze swoim dworem, aby uniknąć niebezpieczeństw Rzymu, w którym rządziły zwalczające się frakcje kardynałów. Przez kolejnych siedemdziesiąt lat papiestwo awinionskie – okres nazywany niewolą awinionską przez krytyków, którzy uważali, że jedynie Rzym może być Stolicą Piotrową – przekształciło Awinion z mieściny o populacji 5000 mieszkańców w tętniącą życiem półmilionową metropolię. Miasto stało się ośrodkiem finansów i władzy średniowiecznej Europy. Królowie, cesarze i inni możni tego świata przybywali do Awinionu, aby zapewnić sobie papieską przychylność, wywierać polityczne naciski i pławić się w luksusach, które przewyższały te, jakie mógł zaoferować dwór króla Filipa Pięknego w Paryżu.

Nic więc dziwnego, że czternastowieczny Awinion stał się też centrum sztuki. W murach miasta papieże, kardynałowie i arystokraci obcowali z utalentowanymi malarzami i poetami. Kilka

sławnych postaci ze złotego okresu Awinionu odgrywa w tej książce ważną rolę. Żadna z opowieści przedstawionych na jej kartach nie pozostaje w sprzeczności z zapisami historycznymi, choć działania bohaterów wychodzą poza ich ramy.

Francesco Petrarka – płodny poeta i filozof, którego niektórzy historycy nazywają „ojcem humanizmu" – krytykował papiestwo awiniońskie, nawet kiedy żył z dziesięciny i innych datków zbieranych przez „Wielką Nierządnicę". Długie lata uwielbienia dla niedostępnej arystokratki, Laury – które nie ustało nawet po jej śmierci podczas epidemii dżumy w 1348 roku – to jedno z najsłynniejszych w historii nieodwzajemnionych uczuć. Petrarka napisał wiele sonetów skierowanych do Laury i na temat swojej ukochanej, ale nawet w jego czasach krytycy uważali, że bardziej był zakochany w idei bycia zakochanym (zauroczony samym sobą w roli tragicznego bohatera) niż w prawdziwej Laurze z krwi i kości – kobiecie, której ust nigdy nie zaznał.

Malarz Simone Martini bez wątpienia namalował mały portret Laury dla Petrarki. Niestety obraz, będący według historyków sztuki pierwszym wykonanym na zlecenie portretem, zaginął. Gdyby go odnaleziono, na pewno zostałby sprzedany w domu aukcyjnym Sotheby's czy Christie's za grube miliony. Mało wiadomo o życiu osobistym Simonego. Wżenił się w rodzinę malarzy ze Sieny; on i jego żona Giovanna przeprowadzili się do Awinionu w 1335 lub 1336 roku i nie mieli dzieci. Kiedy Simone zmarł w Awinionie w 1344 roku, zostawił po sobie niespodziewanie niewiele prac z okresu awiniońskiego: cztery freski (obecnie przechodzące renowację) w wejściu do katedry oraz studia do dwóch z nich, a także portret Madonny z Dzieciątkiem w pałacu papieskim, który – podobnie jak Brocktona i Mirandę – bardzo mnie zafascynował.

Budowa pałacu papieskiego, największego gotyckiego pałacu Europy, została rozpoczęta w 1335 roku przez papieża Benedykta XII, który – zanim został papieżem w roku 1334 – nazywał się Jacques Fournier. Przez sześć lat sprawowania funkcji kardynała w Awinionie Fournier rzeczywiście znany był jako *le Cardinal Blanc*, biały kardynał, ze względu na biały habit dominikanów, który zawsze nosił, nawet kiedy mógł już przyoblekać się w bardziej wytworne szaty. Fournier to fascynująca i, przynajmniej dla mnie, przerażająca postać, która stanowi studium kontrastów. Mimo że był nieczuły na pokusy życia w luksusie (wyjątek stanowiły podobno jedynie jadło i napoje), zbudował papieski pałac jak fortecę, aby chronić 17 500 000 złotych florenów zebranych przez swojego sprytnego poprzednika – papieża Jana XXII.

Podczas sprawowania funkcji kardynała w Awinionie, a wcześniej jako biskup i inkwizytor w południowo-zachodniej Francji, zajmował się – ja bym powiedział, że obsesyjnie – poszukiwaniem herezji i prześladowaniem heretyków. Fournier został biskupem w miejscowości Pamiers w 1317 roku. W 1318 zaczął prowadzić proces inkwizycyjny wszystkich mieszkańców wioski górskiej Montaillou, oskarżonych o herezję dziesięć lat wcześniej. Fournier otworzył ponownie przewód i spędził osiem lat, przesłuchując mieszkańców wioski, pastuchów, wdowy i innych, których podejrzewał o herezję. Prowadził bardzo szczegółowe zapisy z tych przesłuchań; ich łacińskie tłumaczenie – tak zwany Rejestr Fourniera – zebrane w wielkie tomy, dostępne jest w bibliotece watykańskiej (manuskrypt łaciński 4030). Fournier uznał wielu mieszkańców wioski za winnych herezji, chociaż na stos skazał „tylko” pięcioro. W ich gronie znalazła się Agnes Francou, wdowa, o której wspominamy w rozdziale siedemnastym; Fournier przesłuchiwał Agnes wiele razy między 1319 a 1320 rokiem, i w końcu skazał ją

za odmowę złożenia przysięgi (mimo że Agnes wskazała na wers z Ewangelii, który dowodził, że miała rację). Kilka angielskojęzycznych tłumaczeń przesłuchań Fourniera – w tym sesji z Agnes – można znaleźć na stronie profesor Nancy Stork (http:/www/sjsu.edu/people/nancy.stork/courses/c4), mediewistki, która prowadzi kurs na temat Fourniera na Uniwersytecie Stanowym w San José. Bogaty opis życia i przesłuchań w Montaillou został przedstawiony w książce *Montaillou. Wioska heretyków 1294–1324,* autorstwa Emmanuela Le Roy Ladurie (co za wspaniałe imiona, Emmanuel oznacza „Bóg z nami", a Le Roy: „Król"!). Książka ta, uważana za pionierskie studium etnograficzne, oparta jest na zapisach Fourniera: na informacjach, jakie uzyskał on od mieszkańców wioski. Muszę tu w imię faktów historycznych przyznać, że chociaż Jacques Fournier – inkwizytor, który został papieżem – miał obsesję na punkcie herezji i skazał na śmierć przynajmniej pięciu heretyków, średniowieczna zbrodnia przypisana mu w tej książce jest wytworem wyobraźni.

O całunie turyńskim, najsłynniejszej relikwii chrześcijańskiej, powstało wiele książek i blogów. Nie będę próbował ich tu streszczać. Wystarczy, że powiem, iż odkąd całun pojawił się w Lirey we Francji w połowie XIV wieku, wywoływał zarówno uniesienia religijne, jak i kontrowersje. Zintensyfikowały się one w roku 1898, kiedy fotograf Secondo Pia opublikował czarno-biały negatyw fotografii całunu, który zmaterializował się w jego ciemni fotograficznej. Ten moment wskazuje początek nowoczesnej naukowej rozprawy z całunem – rozprawy, której kulminacja nastąpiła w roku 1988, kiedy laboratoria w Zurychu, Oksfordzie i Tucson przeprowadziły niezależne badania metodą datowania radiowęglowego, aby ustalić wiek materiału. Laboratorium w Tucson określiło jego wiek na 646 lat +/–31 lat, w Zurychu na 676

lat +/–24 lata, a w Oksfordzie na 750 lat +/–30. Wyciągając średnią i biorąc pod uwagę margines niepewności, naukowcy odpowiedzialni za badania doszli do wniosku – z 95-procentową statystyczną pewnością – że całun turyński powstał między 1262 a 1384 rokiem. Prawie natychmiast zagorzali zwolennicy teorii zakładającej, że całun pochodzi z pierwszego wieku naszej ery, zaczęli podważać wyniki badań. Jedna z nowych teorii stwierdzała, że warstwa bioplastyczna na włóknach zniekształciła wyniki. Według innej, bardziej kreatywnej teorii, obraz na całunie powstał w wyniku promieniowania, które nastąpiło w czasie zmartwychwstania Jezusa, i to promieniotwórczość zmieniła liczbę C-14 na tkaninie. Według jeszcze innej teorii próbki zostały pobrane z „niewidzialnej łatki", wszytej w materiał podczas szesnastowiecznej renowacji. Jeden z naukowców, który skrytykował wyniki datowania, napisał: „Po prostu nie wiadomo, jak powstał ten wizerunek spokojnego, brodatego mężczyzny". W podobnym duchu wiele osób przekonanych o autentyczności całunu niezachwianie twierdzi, że nie istnieje technika znana artystom – współczesnym czy średniowiecznym – za pomocą której można byłoby stworzyć obraz mający cechy charakterystyczne wizerunku na całunie. To nie jest prawda, jak prawie dwadzieścia lat temu zademonstrowała doktor Emily Craig.

Emily – ilustratorka medyczna, która została antropologiem sądowym – to postać autentyczna, która pojawia się w trzecim rozdziale powieści. W 1994, kiedy była doktorantką na Uniwersytecie w Tennessee, Emily i jej wykładowca Randall Breese opublikowali artykuł w „Journal of Imaging Science and Technology" (tom 34, numer 1, 1994; dostępny na stronie: http://shroud.com/pdfs/craig.pdf) zatytułowany *Image formation and the Shroud of Turin* [Formowanie obrazu a całun turyński].

Artykuł wyjaśnia i pokazuje, jak technika nanoszenia proszku – z wykorzystaniem materiałów i metod dostępnych od tysięcy lat – mogła zostać wykorzystana przez artystę do stworzenia obrazu na całunie.

Jeszcze jedna uwaga na temat całunu: opis wzrostu i proporcji postaci na tkaninie, które pojawiają się w tej książce, jest – jak Emily Craig – prawdziwy. Jeśli całun rzeczywiście byłby odbiciem ciała Chrystusa, Jezus – o wzroście ponad 180 centymetrów – byłby jak na pierwszy wiek naszej ery, kiedy ludzie byli dużo niżsi niż obecnie, olbrzymem. Jeśli rzeczywiście był wyższy od wszystkich swoich wyznawców i wrogów, wydaje się dziwne, że żaden z ewangelistów o tym nie wspomniał. Prawdziwe są też niezwykłe, bocianie proporcje postaci – długie nogi i krótki, wąski tułów – które zauważył doktor Brockton.

Na koniec Eckhart, nasz N.N. – mistrz Johannes Eckhart – ważny dominikański teolog i mistyk. Rzeczywiście został oskarżony o herezję przez arcybiskupa Kolonii około roku 1326. Eckhart złożył apelację bezpośrednio do papieża Jana XXII i przeszedł na piechotę 800 kilometrów do Awinionu, żeby przedstawić swoją obronę. Papież kazał zająć się sprawą Jacques'owi Fournierowi. Po podróży do Awinionu Eckhart jakby zapadł się pod ziemię; wiemy tylko, że zmarł przed marcem 1329 roku, kiedy to papież wydał bullę krytykującą nauczanie Eckharta... i twierdzącą, że Eckhart wyrzekł się swoich błędów przed śmiercią.

Okoliczności i data śmierci Eckharta są owiane tajemnicą. Tak jak i miejsce spoczęcia jego prochów. Nie ma wątpliwości co do jednego: był uznanym nauczycielem i uwielbianym kaznodzieją, ale był postrzegany jako zagrożenie dla wyższych rangą duchownych, którzy spreparowali dowody i doprowadzili do jego oskarżenia; zmarł, próbując oczyścić swoje imię. Jak

powiedziała Miranda, *Plus ça change, plus c'est la même chose*: Im więcej coś się zmienia, tym bardziej pozostaje takie samo.

Jon Jefferson

PODZIĘKOWANIA

Do powstania tej książki przyczyniło się wiele osób. Niektóre z nich – postacie ważne z punktu widzenia historii, które pojawiły się na jej kartach – nie żyją od wielu lat. Większość, na szczęście, nadal żyje.

Antropologowie Angi Christensem, Norm Sauer, Richard Jantz i Emily Craig pomogli stworzyć fragmenty dotyczące całunu turyńskiego. Richard, który współtworzył oprogramowanie ForDisc, wykonał pomiary postaci na całunie i zauważył jej niezwykłe, bocianie proporcje. Emily, która napisała artykuł na temat tego, jak mógł powstać całun, przeegzaminowała naturalnych rozmiarów fotografię całunu i przekazała nam swoje spostrzeżenia; podobnie jak współautor jej pracy – Randy Breese. Oprócz tego, że są poważnymi naukowcami, Randy i Emily są też fajnymi ludźmi (i odważnymi!), którzy zgodzili się pojawić na kartach naszej książki. Joe Mullins, utalentowany rysownik z National Center for Missing and Exploited Children, także nie miał nic przeciwko temu, żeby odegrać w niej niewielką rolę.

Zbieranie informacji o Awinionie było dla autora spełnieniem marzeń – po części dlatego, że miasto jest tak spektakularne, po części ze względu na jego cudownych mieszkańców. Sylvie Joly z biura turystyki (Office de Tourisme d'Avignon) zapewniła informacje dotyczące tła historycznego, znalazła ekspertów i zaaranżowała wycieczki oraz wywiady. W monumentalnym i cudownym pałacu papieskim konserwatorka Sophie Biass-Fabiani łaskawie otworzyła przed autorem prawie wszystkie wieże, zaułki

i klatki schodowe. A w „Lumani", najwspanialszym hotelu Awinionu, Elisabeth i Jean Beraud-Hirschi (także występujący w książce) zaoferowali nie tylko gościnę, lecz także ciepło, czar i przyjaźń.

Ojciec Michael Demkovich – mnich dominikański, nauczyciel i autor, który znalazł inspirację w życiu i nauczaniu mistrza Eckharta – szczodrze dzielił się faktami z historii i nie skąpił też zachęt do pisania. Ojciec Michael (który w niczym nie przypomina naszego księdza Mike'a!) również pisał o tajemniczym zniknięciu teologa; jego wersję wydarzeń można znaleźć w książce pod tytułem *The Death of Magister Aycardus*.

Sztuka i artyści są ważnym elementem tej historii. Stuart Riordan, utalentowana artystka z Tallahassee, dzieliła się hojnie swoją wiedzą, a nawet węglem i papierem, podczas cudownych lekcji rysunku. Jeśli fragmenty opisujące Simonego Martiniego przy pracy brzmią autentycznie, jest to zasługa Stuart.

To jest jak dotąd najbardziej złożona z siedmiu książek z serii na temat Trupiej Farmy. Dennis McCarthy, Beth McPherson i Willima McPherson przeczytali rękopis i podzielili się z nami wieloma uwagami. Jane McPherson – niesamowita Jane – była zaangażowana w jej powstawanie od samego początku. Wysłuchiwała (i pomagała zrealizować) pierwsze, nie do końca sprecyzowane pomysły; pojechała do Turynu, zagłębiała się w uliczki Awinionu (ach, to zbieranie informacji na temat wina!), słuchała w drodze pierwszych wersji książki, przekazując mnóstwo sugestii, które sprawiły, że powieść stała się lepsza. Szybka, inteligentna i charakteryzująca się sokolim wzrokiem Casey Withworth dołączyła do tego projektu na późniejszym jego etapie i miała swój wkład w poprawki w rękopisie, a także uaktualniała

www.JeefersonBass.com, naszą stronę na Facebooku, i Jon. Jefferson-Author.blogspot.com.

Wydanie książki wymaga ogromnych nakładów pracy. Jesteśmy wdzięczni wszystkim pracującym w wydawnictwie William Morrow, którzy wyprodukowali, wypromowali i sprzedali naszą powieść, zwłaszcza naszej redaktorce Lyssie Keusch, jej wspaniałej asystentce Wendy Lee (żegnaj i powodzenia w karierze pisarskiej!), naszej redaktorce technicznej Andrei Molitor i naszej specjalistce z zakresu *public relations*, Danielle Bartlett. Czapki z głów! Pragniemy też podziękować naszemu agentowi Giles'owi Andersonowi, który wprawił koła w ruch.

Przekazanie książki w ręce czytelników wymaga także zadziwiająco dużo pracy. Podziękowania dla wszystkich w dziale sprzedaży wydawnictwa William Morrow oraz dla księgarzy, którzy sprawiają, że nasze książki trafiają do naszych fanów, nawet w tych gorszych czasach. Specjalne podziękowania należą się Susan Seals i BoneZones.com za nieustanną promocję naszych książek oraz Frankowi Murphy'emu, Jennifer Alexander i naszym długoletnim przyjaciołom z programu „Alive at Five" w kanale WBIR.

Dziękujemy też naszym czytelnikom i fanom. Bez Waszego zainteresowania i wsparcia nasze powieści nie miałyby racji bytu. Obserwowanie, jak stworzeni przez nas bohaterowie i wymyślane przez nas historie poruszają wyobraźnię czytelników, to prawdziwa magia!

Na końcu – w duchu „ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi" – chcielibyśmy podziękować naszym rodzinom za ich miłość i nieustanną zachętę do pracy.

Czarno-biały negatyw zdjęcia twarzy z całunu turyńskiego. Obraz na całunie jest w rzeczywistości czerwonobrązowy. Dramatyczny negatyw powstał w 1898 roku, kiedy włoski fotograf Secondo Pia zauważył niesamowite, „widmowe" właściwości zdjęcia, które wywołał w swojej ciemni. Dużo wyraźniejszy niż obraz, którego prawie nie widać na tkaninie, negatyw zdjęcia bez wątpienia stał się także obiektem kultu.

Budowa czaszki

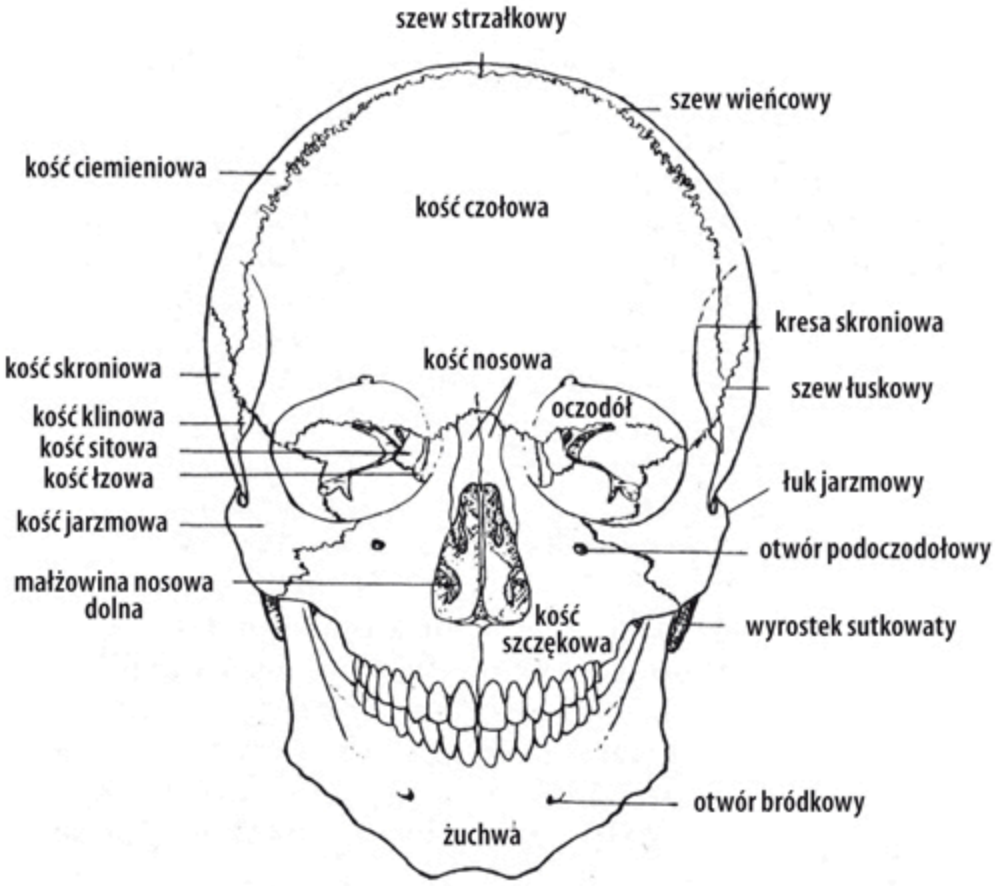

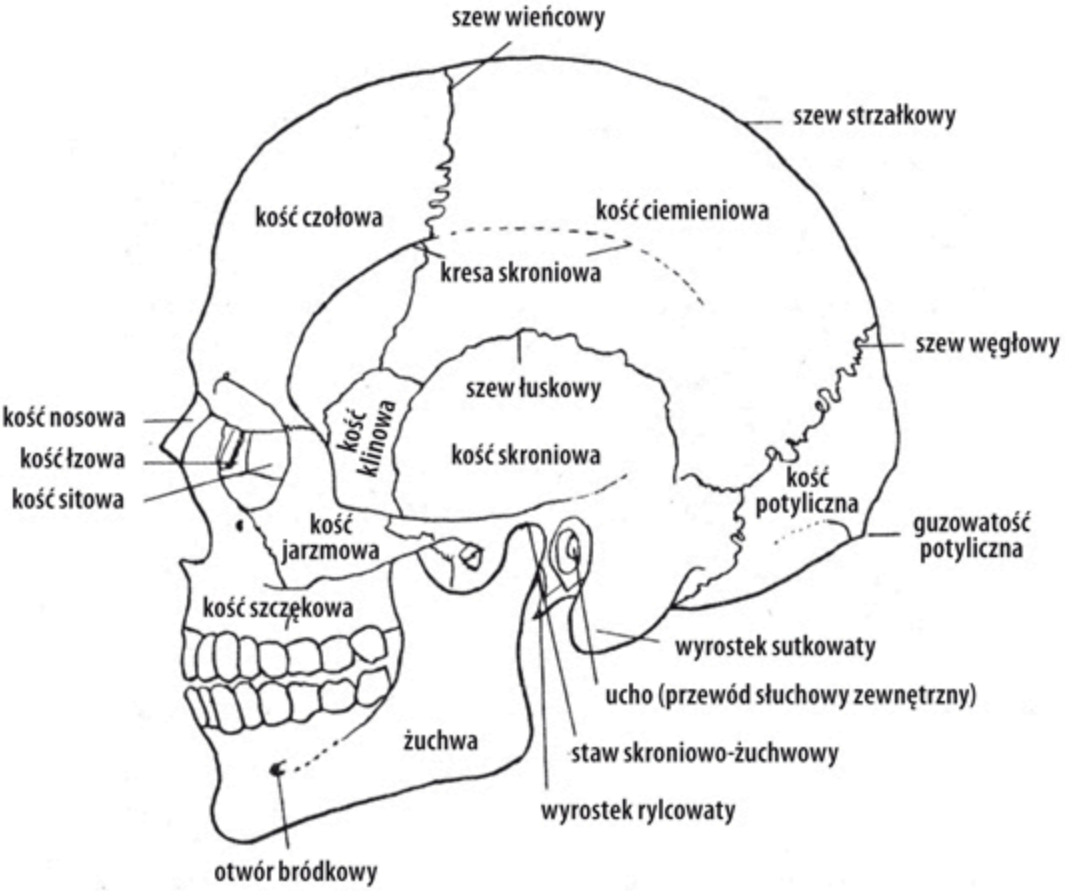
szew wieńcowy
szew strzałkowy
kość czołowa
kość ciemieniowa
kresa skroniowa
szew węgłowy
szew łuskowy
kość nosowa
kość łzowa
kość sitowa
kość klinowa
kość skroniowa
kość potyliczna
kość jarzmowa
guzowatość potyliczna
kość szczękowa
wyrostek sutkowaty
ucho (przewód słuchowy zewnętrzny)
żuchwa
staw skroniowo-żuchwowy
wyrostek rylcowaty
otwór bródkowy

Budowa szkieletu

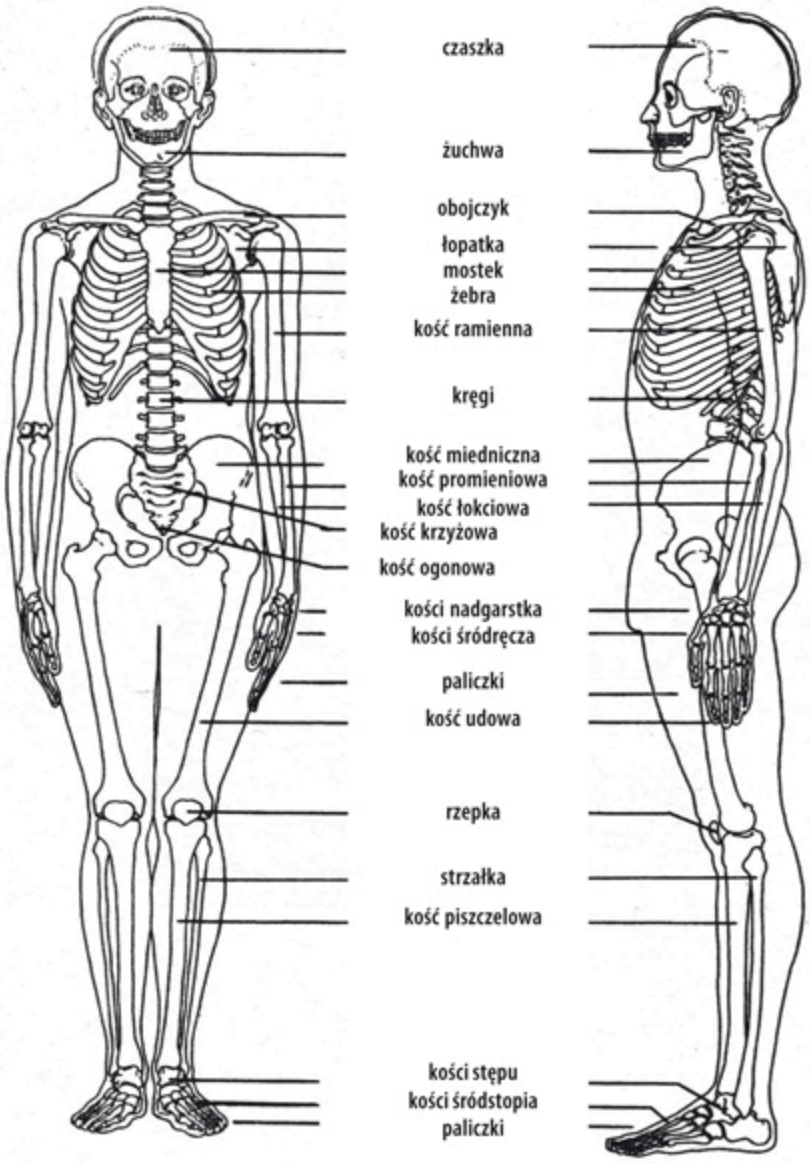

Przypisy

[1] Inspirowane mottem powieści Ernesta Hemingwaya *Komu bije dzwon*, pochodzącym z wiersza poety angielskiego, Johna Donne'a (tłum. Bronisław Zieliński).

[2] Ten i inne cytaty biblijne z: *Biblia Tysiąclecia*, wyd. 3 poprawione, Pallottinum, Poznań 1998.

[3] *fr.* Przeciwnie, mój przyjacielu

[4] *fr.* nieprawdaż?

[5] *fr.* Proszę to tutaj położyć

[6] *fr.* Tańczymy, tańczymy na moście w Awinionie

[7] *fr.* Mój Boże, Bill, co za niespodzianka

[8] *fr.* [tutaj:] Co za zaraza!

[9] Giorgio Vasari, *Żywoty najsławniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów*, tłum. Karol Estreicher, PWN, Warszawa-Kraków 1985, t. I, s. 292.

[10] William Butler Yeats, *Poezje wybrane*, tłum. Stanisław Barańczak, Warszawa 1987, s. 99.

[11] *fr.* Jaka szkoda

[12] *fr.* Ukrzyżowanie?

[13] *fr.* panie naukowcu

[14] *wł.* Przepiękne

[15] *fr.* Czy pan mnie szuka?

[16] *wł.* Siena, piękne miasto

[17] *wł.* szybko [tutaj: od razu]

[18] Francesco Petrarca, *Drobne wiersze włoskie*, tłum. Felicjan Faleński, Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2006,

Sonet 77, s. 124.

[19] *fr.* Tak? Ktoś tam jest? O co chodzi?

ŚLADY ZBRODNI

KOŚCI Z AWINIONU

W pałacu papieskim w Awinionie dochodzi do zagadkowego odkrycia. Zamurowane w ścianie ossuarium skrywa kości z charakterystycznymi wgłębieniami w stopach i nadgarstkach oraz ryt przedstawiający krzyż i baranka. Na miejsce przybywa Bill Brockton, antropolog sądowy z USA. Stwierdza, że szczątki mogą mieć około dwóch tysięcy lat. Co więcej, wykonana na podstawie czaszki rekonstrukcja twarzy wykazuje niezwykłe podobieństwo do wizerunku na całunie turyńskim. Badania są prowadzone w ścisłej tajemnicy. Gdy o znalezisku dowiaduje się grupa fanatyków religijnych wieszczących zbliżającą się apokalipsę, naukowcy nie mogą już czuć się bezpiecznie…

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE
www.publicat.pl
ISBN 978-83-271-5325-8
EAN 9788327153258
U.WD.KRW050.1.01.01